



Elena Kolina

**Dziennik  
nowej  
Rosjanki**

czyli

**Jestem  
najpiękniejsza  
i najbardziej  
urocza**

Świat Książki

Elena Kolina

**Dziennik  
nowej  
Rosjanki**

czyli



Z rosyjskiego przełożyła  
*Ewa Rojewska-Olejarczuk*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
DNIENNIK NOWOJ RUSSKOJ

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja merytoryczna  
*Elżbieta Rawska*

Redaktor techniczny  
*Małgorzata Jużwik*

Korekta  
*Maciej Korbański*  
*Jolanta Spodar*

Copyright © by Amphora Publishers, St Petersburg 2004  
Copyright © for the Polish translation Ewa Rojewska-Olejarczuk, 2006

Świat Książki  
Warszawa 2006  
Bertelsmann Media sp, z o.o.  
ul. Rosoła 10,02-786 Warszawa

Skład i łamanie  
Studio ER  
Elżbieta Rosińska

Druk i oprawa  
Finidr, Czechy

ISBN 978-83-247-0009-7  
ISBN 83-247-0009-9  
Nr 5286

## WRZESIEN'

*1 września, poniedziałek*

Miałam kiedyś grubą książkę w szorstkich zielonych okładkach - dziennik dziewczynki, która przez cały rok szkolny zapisywała, jak się przyjaźniła i kłóciła z koleżankami, jak się uczyła gry na skrzypcach i jak dostawała dwóje. Wykładałam na uniwersytecie, toteż mój prywatny dziennik w każdym roku akademickim zaczyna się pierwszego września i kończy w maju; lata nie uważam za część roku, lato - to oddzielne małe życie.

Latem opracowuję nowe plany na najbliższą przyszłość, potem zaczynam się ich strasznie bać i wtedy stosuję spec. podejście psych.

Jeśli czeka mnie tak wiele spraw, że:

1. Trzęsę się ze strachu, bo nie zdążę wszystkiego zrobić.
2. Trzęsę się ze strachu, bo nie zdążę niczego zrobić.
3. Marzę, żeby wleźć pod kołdrę i tkwić tam, udawać, że ja to nie

ja -

sporządzam Listę!

Sens sporządzania Listy polega na tym, że absolutnie na nic nie muszę się silić - wystarczy zamknąć oczy i wodzić długopisem po papierze. Moja podświadomość już dawno podjęła decyzję i sama umieści na pierwszym miejscu to, co najważniejsze. Czyli że całą resztę mogę zrobić kiedy indziej albo nie robić wcale.

Na przykład w zeszłym roku postanowiłam zacząć uprawiać sport (bynajmniej nie po to, żeby bić rekordy, ale żeby schudnąć, i był to tylko jeden z wielu moich planów, jako że nie jestem idiotką zaprzątniętą jedynie zbędnymi kilogramami, zgubnymi dla mego

wyglądu, ale wręcz przeciwnie - doktorem nauk pedagogicznych, psychologiem, matką Mury i paru innych zwierzaków). A więc, kiedy ułożyłam osobną Listę zajęć sportowych, podświadomość uszeregowała jej punkty następująco:

1. Jeść więcej owoców i warzyw (dieta według Bragga).

2. Jeść więcej śmietany, kiełbasy, lodów i in, smacznych, tłustych potraw (dieta Atkinsa).

3. Jeść makaron oddzielnie od pieczywa i ziemniaków (potrawy mączne są absolutnie konieczne w naszym zimnym i mokrym klimacie, gdzie już od września ma się okropną ochotę na pielmieni).

Z powyższej Listy wynika, że należy jeść więcej owoców, warzyw, smacznych tłustych rzeczy (pozostaje tylko przypomnieć podświadomości, że przeoczyła batony czekoladowe), widać też, czego można wcale nie robić (na przykład na punkt „zajęcia sportowe” podświadomie w ogóle zabrakło miejsca).

Z Listą można też wykonywać rozmaite manipulacje. Profesjonalny psycholog, taki jak ja, zawsze ma w pogotowiu drugą parę oczu, którymi może uważnie obejrzeć swoją Listę, a wtedy staje się dlań zupełnie jasne, że i pierwsze jej punkty prędzej czy później rozpląną się same przez się.

Załóżmy, że nie udało mi się schudnąć, przestrzegając surowej diety (patrz Lista); oznacza to jedynie, że podświadomość była przekonana, iż wcale nie muszę chudnąć, ponieważ od początku wiedziała, że cała ta chudość to wymysł projektantów homoseksualistów. Poza tym wiem (ja, nie moja podświadomość, ja) z literatury, że nawet świnię chorują na anoreksję. Wtedy nie chcą jeść i chudną, a chuda świnia robi się strasznie nerwowa i podatna na każdy stres.

Tego lata jednak nie sporządzałam żadnych List, ponieważ mam romans - romans z Romanem.

Dzisiejszy poranek, poranek pierwszego września, rozpoczął się jak zwykle - krótką, orzeźwiającą awanturą z Murką.

- Mura, dlaczego idziesz do szkoły bez plecaka? - zaintereso-

wałam się. Zainteresowałam się ostrożnie, bo z nastolatkami należy się obchodzić bardzo taktownie - a nuż Mura uzna, że ingeruję w jej życie osobiste?

Roman także wyprawia dzisiaj swoją córkę do szkoły. (Wcale nie jest mi przykro, że wczoraj nie usłyszałam od niego dobranoc. A dzisiaj dzień dobry, po raz pierwszy od dwóch miesięcy i dwudziestu trzech dni). Głupio byłoby się przejmować, że stoi teraz z kwiatami przed szkołą razem z żoną! Pierwszy września to dzień rodziny.

...Może nie słyszałam dzwonka? Sprawdzę komórkę...

Nikt nie dzwonił. Telefony komórkowe to bardzo zły wynalazek, rujnujący zdrowie psychiczne narodu. Dawniej zawsze człowiek mógł siedzieć u koleżanki i mieć całkowitą pewność, że tymczasem w domu telefon się urywa. A potem zadzwonić i powiedzieć niedbale: Przekazano mi, że dzwoniłeś. Ach, to nie ty... cóż, i tak nie było mnie w domu...

Latem wszyscy mają wakacje, dorośli też, a pierwszego września zaczyna się prawdziwe życie. I trzeba się inaczej ubierać - zamiast króciutkich spodenek i młodzieżowej koszulki z Mango musiałam się wbić w beżowy kostium. Wyglądałam w nim na własną babkę. Skąd ja go mam? Kupiłam chyba ten ciuch w stanie głębokiego zamroczenia umysłowego, poczuwszy się kobietą po trzydziestce. Jedyne, co mnie pociesza, to nowe buty z długimi, pustymi nosami, jak u dziadka Chottabycza. (Dawniej za ładne uważało się maleńkie stopki, a w tych supertrendy butach mój rozmiar trzydzieści pięć wygląda jak czterdzieści trzy. Tylko że to podobno modne, a więc ładne). Dziwna moda, ale cóż robić, skoro jesteśmy z Murą dwiema modnymi, nowoczesnymi dziewczynami!

Mura popatrzyła na mnie nieprzyjemnie zmrużonymi oczyma.

- Wyglądasz w tych butach jak nieletni punk. - (Wyprostowałam się z zadowoleniem). - Albo jak stary raper.

(Wstrętne dziewczuszyisko, cholera jasna! No, ja jej zaraz pokażę. Żeby porównywać mnie do starego rapera!).

- Mura! Gdzie twój plecak?

- Lew Jewgienjewicz w nocy zwinął z lodówki kielbasę - poskarżyła - a Sawwa Ignatjicz właśnie oprawia rybę pod twoim łóżkiem. - Wszystko jasne, to aluzja, że w porównaniu ze zwierzakami ona, Mura, zachowuje się bardzo przyzwoicie.

Żeby odwrócić moją matczyną uwagę od swojej osoby bez plecaka, Mura umyślnie groźnym głosem krzyknęła na Lwa Jewgienjewicza:

- Ty złodzieju! Kto zwinął kielbasę, pytam się? Nie... nie... nie jesteś już moim psem!

Lew Jewgienjewicz w odpowiedzi podał jej łapę, skromnie i powściągliwie. (Bardzo to kulturalnie z jego strony, że nie zwraca uwagi na krzyki rozmówcy - kto tu mówił o kielbasie, jaka kielbasa, kielbasa to głupstwo, zwyczajna rzecz).

- Murka! Gdzie plecak?!

- O. - Murka pokazała małą torebkę wielkości dłoni, podobną do kosmetyczki.

- A gdzie masz podręczniki albo chociażby zeszyty? Kto chodzi do dziesiątej klasy, ty czy ja?

Murka wyciągnęła z „kosmetyczki” miniaturowy notesik.

- To ma być do wszystkich przedmiotów naraz?! Ty... - wprost zabrakło mi słów. - Ty...

- Chciałabyś pewnie, żebym była prymuską? - odpowiedziała Mura.

Przytaknęłam z ulgą. Tak, właśnie to zamierzałam powiedzieć.

- Ale wtedy będę miała gębę jak czajnik.

- Dlaczego jak czajnik? - spytałam zdumiona.

- Wszystkie prymuski mają gęby jak czajniki - odparła z przekonaniem Mura.

Przyjrzałam się sobie dokładnie w lustrze w przedpokoju. Chyba raczej nie jak czajnik, chociaż zawsze i wszędzie jestem prymuską. Co prawda lustro jest stare, a podobno stare lustra są bardzo pochlebiające... Właśnie postanowiłam szybciotko zamordować Murkę, kiedy

sobie przypomniałam, że wykład zaczyna się nie o dziesiątej, do czego przywykłam, ale o dziewiątej. (To podłość ze strony dziekanatu wyznaczać mi wykład pierwszego września o bladym świecie, chociaż i tak ciężko przeżywam rozpoczęcie nowego roku akademickiego).

Trzasnęły drzwi. Postanowiłam, że zabiję Murkę wieczorem.

...Gdzie moje notatki do wykładów? W szufladzie biurka znalazłam biustonosz Wunderbar, który zniknął - bez śladu w ubiegłym roku. Notatek nie ma. Przymierzyłam ten cudowny stanik, który w jednej chwili zamienia mały biust B w całkiem przyzwoity C albo nawet w bujny D!

Aaa, są moje notatki, od zeszłego roku leżą sobie spokojnie w worku z bielizną do prasowania.

Zadzwoił telefon. Mama. Głos zatroskany, jak zawsze z rana.

- Jest chłodno, piętnaście stopni i wiatr. Obie włóżcie rajstopy.  
- Jesteśmy już i w rajstopach, i w rajtuzach, i w walonkach, tylko nigdzie nie mogę znaleźć swojej uszanki. Na razie, całuję.

- Żadne na razie! Powiedziałam - włóżcie rajstopy!

Szukałam rajstop i w pośpiechu omal nie zapomniałam nakarmić Lwa Jewgienjewicza i Sawwy Ignatjicza. Dobrze, że Sawwa Ignatjicz umie o siebie zadbać - z przejściem drapie pazurami i miauczy tak, jakby go nie karmiono cały rok, a przecież nie dalej jak wczoraj jadł śniadanie. Więc tak, do dużej miski nasypać dużych kulek, do małej małych krążków. Psiakrew, pomyliłam się! No nic, same się połapią, co jest czyje. Inne zwierzaki żyją w gorszych warunkach i dobrze.

Na kłamce znalazłam list: „Mamuśku! Całkiem straciłaś węch! Wzięłaś mój krem! I jeszcze mówisz, że to ja go Ci ukradłam! A tata przywiózł go specjalnie dla mnie! I kto gwizdnął moje perfumy? Nikt mnie już tutaj nie uważa za człowieka! Zabrałaś wszystkie moje patyczki do uszu! Zjadasz je czy co? Ale z Ciebie model! Nie można Cię spuścić z oka. Twoja przywiązana córka Mura”.

Na parterze wpadłam na Pietunię. Boże, jak od niego cuchnie! Jak z beczki skisłego wina. I jeszcze mnie popycha swoim kubłem ze



śmieciami! Ależbym mu przyłożyła! Pomyślałam jednak - a niech sobie żyje. Każdy ma prawo pachnieć, jak chce.

Pietiunia nagle zamarł w progu i mocno przytrzymał mnie za łokieć, owiewając ohydny zapachem. Czy wypada pomachać sobie ręką przed nosem? Boję się, że nie.

- Ja pier... ale jaja... - wykrztusił Pietiunia, obrzucając wzrokiem podwórze. - Przez dwa tygodnie, kurde, nie wychodziłem z domu... byłem zajęty... a tu, kurde, coś takiego...

Rzeczywiście, przez te dwa tygodnie, kiedy Pietiunia był zajęty, na naszym podwórku jak spod ziemi pojawiły się europejskie luksusy: dziedziniec wyłożono płytkami, wejścia do klatek schodowych ozdobiono żeliwnymi daszkami i kratami, a na miejscu śmietnika wyrosła mała fontanna. Tyle że nieczynna.

- Będą nas wysiedlać - wymamrotał z przekonaniem Pietiunia. - Ciebie też wysiedlą. Widać mafia się tu wprowadziła. Nowi Rosjanie. A gdzie jest teraz śmietnik? Może mamy nowym Rosjanom sypać prosto do fontanny?

Machnęłam ręką w kierunku sąsiedniego podwórza i Pietiunia pokuśtykał tam ze swoim kubłem. Jak przyjemnie się oddycha świeżym powietrzem zamiast Pietiunią.

Już z daleka uśmiechnęłam się do swego auta o rozmiarach mikrobusu, zadowolona, że Denis jest taki zapominalski! Na oko jego-mój land-rover wygląda jak prawdziwy džip, nie gorszy niż u innych ludzi. Ma nawet okropnego metalowego kangura, który przypomina wyszczerzone zęby wampira. Tak naprawdę jednak land-rover liczy ze dwieście lat i odrodził się do nowego życia w rękach rosyjskich majstrów emigrantów w nielegalnym warsztacie w Niemczech, a ja miałam nieprawdopodobne szczęście, bo:

1. Denis przyprowadził ten stary wrak do Pitra.
2. Próbował go najpierw sprzedać za dziewięć tysięcy dolarów, stopniowo opuszczał cenę do trzech, a potem się nagle wkurzył i zaczął sprzedawać od nowa za dwanaście.

3. W ogóle nie udało mu się sprzedać tego rżęcha i trzy lata temu chwilowo zapomniał go u mnie na zawsze.

Teraz, kiedy Denis stał się bogatym waźniakiem, na nic mu taki zębaty staruszek, więc land-rover na zawsze został u mnie. Prezentuje się jeszcze bardzo dobrze, mimo że drzwi od strony kierowcy czasem odpadają, a dźwignia biegów jest przymocowana do mojego siedzenia taśmą klejącą. Inni kierowcy nie wiedzą jednak, że to dżip-atrapa, i ustępując drogi, wymyślają mi od nowych Rosjanek na czołgach.

Mój samochód stał wparty nosem w jakiś słupek z łańcuchem. Co za ludzie, całkiem bez wyobraźni. Fontanna, to jeszcze mogę zrozumieć, ale po co te słupki? Tylko przeszkadzają w parkowaniu.

Kto tam stuka mi w okno? Absolutnie nie mogę się rozpraszać, kiedy uruchamiam staruszka. Jest bardzo kapryśny: jak chce, to ruszy, a jak nie, to nie, i muszę najpierw z nim poszeptać. I właśnie pomrukiwałam przypochlebnie: „Tiu-tiu-tiu, pojedziemy jak zwykle, dobrze?”.

A tu pukanie do okna, strasznie niemiłe, jednym zgiętym palcem.

- Zaparkowała pani na moim miejscu!

Niewysoki, łysy facet w spodniach od dresu i dzinsowej koszuli, ściągniętej paskiem, na pasku skórzane futerały - komórka i lichy wie, co jeszcze. Wygląda to jak koalicyjka. Może wojskowy? W stanie spoczynku. Czyżby Pietiunia miał rację - zaczęło się? A tak dobrze nam się żyło na naszym usmolonym podwórku całą naszą usmoloną paczką. Ale przecież dom stoi przy prospeckie Władimirskim, czyli prawie na Newskim... I tak długo się utrzymaliśmy bez - jak to najlepiej określić? Nowych Rosjan?

Nowi Rosjanie... Nie lubię tej nazwy. Jest w niej coś obraźliwego, jakby cała reszta była nikomu niepotrzebną starzyzną. Studentom też zawsze mówię, że pojęcie „nowy Rosjanin” jest z założenia pozytywne, a nie pejoratywne, i pierwotnie oznaczało wcale nie anegdotalnego aferzystę, ale nowy w Rosji typ człowieka, który dużo pracuje i marzy o godnej terażniejszości i przyszłości dla całego kraju

i własnych dzieci. A wszystkie te dowcipy o wyścigach mercedesami, w malinowych marynarkach i złotych łańcuchach, pojawiły się dopiero później, kiedy społeczeństwo zademonstrowało swoje absolutne nieprzygotowanie do demokratycznych przemian... Cholera, znowu puka!

- To moje miejsce! - krzyknął nerwowo Łysy.

Prawie wcale się nie spieszyłam i odparłam:

- Proszę nam wybaczyć, ale zawsze tutaj parkujemy... ja i mój samochód. Już od wielu lat, a na pewno od dwóch. O co chodzi?

- A ja się tu wprowadziłem wczoraj. Latem kupiłem mieszkanie, wyremontowałem. Podwórko przy okazji też. - Łysy z dumą powiodł ręką w stronę fontanny. - I teraz będzie tu płatny parking.

- Ile? - spytałam z rezygnacją, mając nadzieję, że jakieś pięćset rubli miesięcznie (no przecież nie siedemset?).

- Dwieście dolarów miesięcznie. Jak dla pani, sto.

- Niby dlaczego wszyscy mają płacić dwieście, a ja sto? - spytałam z urazą.

- Obejrzałem sobie pani samochód... niech pani uważa, żeby się nie rozsypał przy ruszaniu!...

Zazwyczaj ludzie myślą sobie - oho, dżip, a więc nowa Rosjanka! A Łysy w koalicyjce od razu się połapał, co i jak!

Nawiasem mówiąc, nie wypada przyglądać się tak lekceważąco cudzej, mojej i Denisa, własności. Cóż to, nigdy nie widział dżipa-inwalidy? I tu wreszcie do mnie dotarło, o czym tak naprawdę rozmawiamy. Sto dolarów! Miesięcznie! Za parkowanie!

Miewam zwolnioną reakcję na różnego rodzaju przykrości. To zupełnie naturalne i zrozumiałe - świadomość się wyłącza, by nie dopuścić do siebie tego, co jej się nie podoba. Postanowiłam natychmiast powalczyć o własne interesy! Należy się tylko rozluźnić, przeanalizować wszystkie warianty odpowiedzi, wybrać najlepszy, rozważyć ewentualne następstwa i spokojnie, beznamiętnie przedstawić rozmówcy swoją opinię na temat studolarowej opłaty parkingowej.

- No dobrze, do widzenia, śpieszę się na wykład - powiedziałam, szybko uruchomiłam wóz i wyjechałam z podwórza.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszyscy trąbią. Okazało się, że to na mnie; po prostu nie najlepiej obliczyłam odległość i niezgrabnie skręciłam, w rezultacie czego znalazłam się w samym środku kłębowiska samochodów. Nikt nie mógł przejechać ani za mną, ani przede mną, ani z boku...

Z czarnej wołgi wyskoczył kierowca i rozdarł się na mnie nie-ludzkim głosem. Dlaczego już z samego rana jest taki zdenerwowany?

- Oką powinnaś jeździć, a nie czołgiem! - wrzasnął. - Skręcaj w prawo, teraz w lewo...

Udałam, że starannie kręcę kierownicą w różne strony. W końcu facet musiał sam sięść za kółkiem - moim, nie swoim.

I tu z czarnej wołgi wysiadła żona pocziwego kierowcy, tak na oko czterdziątka i dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, naburmuszona. Nie dygotała, nie ogryzała paznokci, ręce jej się nie trzęsły i nie drgał kącik lewego oka, ale mnie, z moim doświadczeniem, nikt nie nabierze: był to typowy przypadek - klientka z nadwagą. Dzieli się je na dwa typy:

1. Grubaska, zadowolona z siebie.
2. Grubaśnica, niezadowolona z siebie.

Zadanie psychologa (moje) polega właśnie na tym, by doprowadzić Grubaśnicę do przemiany w Grubaskę.

Postanowiłam, w myśl zasady, iż na dobro należy odpowiadać dobrem, że podczas gdy mąż wyprowadza mój wóz z korka, ja w rewanżu za jego uprzejmość zaraz pomogę żonie (szybko nauczę ją, jak oszczędzać siły duchowe, jak zaakceptować swoją nadwagę etc).

- Czy bywa pani czasem smutno? - spytałam serdecznie i nie dopuszczając jej do głosu, natychmiast zadałam następne pytanie: - Czy odczuwa pani napięcie w okolicy karku?

Grubaśnica przytaknęła.

- Jestem psychologiem - oznajmiłam specjalnym tonem, jakim

mówi się: „Jestem lekarzem”. - Ma pani pięć minut, proszę opowiadać.

Grubaśnica rozejrzała się i zaczęła opowiadać, nie zniżając głosu, jako że nikt nas nie słyszał, bo wszyscy wokół krzyczeli, wymyślali sobie i trąbili klaksonami...

- Kiedy mój mąż (jest wojskowym, podpułkownikiem) ma służbę, jestem bardzo zajęta, czytam romanse, dosłownie połykam jedną całą powieść dziennie...

Jakaż to ciekawa rzecz życie, ileż czeka nas w nim niespodzianek! Miałam już przygotowanych kilka porad, jak zaakceptować nadmierną tuszę, ale Grubaśnica okazała się całkiem nowym, nieznanym mi typem klientki z nadwagą, i martwi ją zupełnie co innego!... Naczytała się romansów i żąda od swojego podpułkownika wzniosłych uczuć. Domaga się miłosnych wyznań i żeby mąż czule dyszał jej w uszko po całym dniu ciężkiej podpułkownikowskiej służby! Co mam robić? Takiego problemu nie rozwiążę do końca życia, zwłaszcza na środku jezdni...

- Zapisze mi pani tabletki? - spytała podpułkownikowa.

- Tabletki?... - Właśnie w tej chwili dobry podpułkownik uprzejmie wrzasnął, żebym usiadła za kółkiem i wyniosła się stąd, póki mnie nie zamordował. - To na razie niepotrzebne, lepiej... niech pani zjada przed przyjściem małżonka batonik czekoladowy, a wówczas znajdzie pani w sobie taki zapas czułości, że wystarczy i dla podpułkownika, i dla utrzymania harmonii w małżeństwie... Do widzenia i wszystkiego dobrego!...

(Wiadomo powszechnie, że czekolada podnosi poziom endorfiny w mózgu, a endorfina to narkotyk radości i czułości, tak że nie powiedziałam nic złego).

- Ile batoników, dwa?! - krzyknęła podpułkownikowa, wychylając się z okna samochodu. - Dwa czy trzy?!

Wykład (pierwszy rok, audytorium 226) miał się zacząć pięć minut temu, więc biegłam uniwersyteckim korytarzem, to jest bardzo

chciałam biec, ale musiałam się przedzierać przez tłum studentów jak w metrze w godzinach szczytu.

W gmachu naszej uczelni był kiedyś pałac Sałtykowów, to znaczy na odwrót, nasza uczelnia mieści się w dawnym pałacu. Pałacowe korytarze świetnie nadają się do snucia dworskich intryg, ale dla kilku tysięcy studentów i dla mnie są jak koszarne ucho igielne dla słonia. Za to bywał u nas na balach Mikołaj, zawsze zapominam, który, a Puszkina pokłócił się z d'Anthèsem...

...Uff, nareszcie! Audytorium 226, wyładałam w nim przez cały ubiegły rok.

- Dzień dobry, to znów pani! - powiedziała siedząca w pierwszym rzędzie dziewczyna-okrągłe-okularniki.

Studenci tupali nogami i krzyczeli: „Hura! Psychologia! Niech żyje psychologia!”. Mile zaskoczona, kłaniałam się na wszystkie strony. No proszę - ojczyzna docenia swoich bohaterów. Jeszcze nie znam tych młodych ludzi, a już rozeszły się pogłoski, jak się nazywam i jakie świetne są moje wykłady! Ho, ho!

- No to zaczynamy. Widzę, że już wiecie, że przez cały pierwszy rok będę wam wyładać psychologię, i wiecie nawet, jak się nazywam...

- My jesteśmy z drugiego roku... Pani miała już u nas wykłady - powiedziała dziewczyna-prymuska-okrągłe-okularniki. - Chyba pomyliła pani audytoria...

Opuszczałam audytorium 226 przygarbiona, niezręcznie machając ręką, jak oświetleniowiec, który nie w porę wpakował się na scenę.

Goniły mnie okrzyki:

- Niech pani nie odchodzi! Chcemy mieć psychologię! My panią kochamy!

To miło, kiedy człowieka tak witają. A raczej żegnają. Jak ja się namęczyłam w zeszłym roku! Studenci szeptałi, szeleścili papierkami, cmoktali cukierki, dzwonili telefonami, a w dodatku każdy coś sobie mamrotał pod nosem. Ale płatne nauczanie to sprawa delikatna.

Jeśli przegoni się wszystkich, którzy cmoktają i szeleszczą, można w ogóle zostać bez studentów.

Wreszcie znalazłam właściwe audytorium, numer 302.

O kurczę, jak tu pięknie! Ściany błękitne ze złotym, widok na Nowę. Mieściła się tutaj czyjaś sypialnia, chyba Dolly - wnuczki Kutuzowa.

Powiedziałam wszystko, co należy powiedzieć studentom pierwszego roku, pogratulowałam im i w ogóle. Najważniejsze to nie zapomnieć porozumieć się z nimi w kwestii telefonów komórkowych, w przeciwnym razie będą nieustannie wydzwaniać na różne tony. (Ja sama swojej komórki nie wyłączyłam. Jeszcze czego! A nuż zadzwoni Roman?).

No proszę - na całą salę gruchnęła czyjś *Marsz turecki*.

- Jesteście teraz studentami, dorosłymi ludźmi. Jak wszyscy dorośli ludzie, możecie mieć pilne sprawy, w porównaniu z którymi nasze wykłady... (zastanowiłam się chwilę. Nasze wykłady to co? Pryszyć? O nie, nasze wykłady to nie bagatela!)... mogą się wydawać niezbyt ważne. Dlatego proszę, żebyście przełączali komórki na wibrację, i jeśli wydarzy się coś bardzo pilnego i poczujecie, że drżycie całym ciałem - wyjdźcie cichutko z sali, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

(Sama marzę w tej chwili, żeby cichutko wyjść z sali, nie zwracając na siebie uwagi - muszę, po prostu muszę do toalety. Nie powinnam była pić rano kawy, kawa zawsze działa na mnie jak lek moczopędny). Usiłowałam jakoś wytrzymać, udając, że po prostu bardzo lubię bezustannie spacerować po audytorium tam i z powrotem...

Po jakichś pięciu minutach do sali wpadła parka - chłopak i dziewczyna. Machali do kogoś, kiwali i uśmiechali się niczym długo wyczekiwani spóźnieni goście. A kiedy wreszcie, syci uśmiechów, skierowali się na swoje miejsca, zauważyłam, że chłopak - o matko!... - ma gołą pupę. Z tyłu na džinsach olbrzymie dziury, widać opalone nogi, czerwone majtki i kawałek białej pupy. A dziewczyna nie ma

spódniczki! Albo taką krótką, że jej nie dostrzegłam. Natychmiast obudził się we mnie surowy i zazdrosny o czyjeś długie nogi wykładowca, i powiedziałam:

- Ludzie porozumiewają się ze sobą nie tylko za pomocą słów, gestów, mimiki, ale także w języku odzieży. Zastanówmy się, co komunikujemy innym o sobie swoim strojem?

Audytoryum ożywiło się. Krzyczą - co, co? Postanowiłam nie kontynuować, zrobiło mi się żal tej pary głupków - zaraz staną się pośmiewiskiem całego roku.

Wykład dobiegł końca i już marzyłam, że sobie zapalę, ale miejscowe prymuski-okrągłe-okularniki z pierwszego rzędu strasznie się przejęły - cóż takiego komunikuje o sobie dziewczyna „bez spódniczki”? Wyglądają na poczciwe, pytają nie złośliwie, ale z ciekawości, chcą wszystko wiedzieć.

- Jeżeli kobieta przesadnie podkreśla strojem swoją seksualność, to znaczy, że ma problemy w tej sferze albo w ogóle kompleks niższości. Po co zwracać powszechną uwagę na swoją pupę? Przecież pupa to coś, co ma każdy człowiek.

Co tu dużo gadać - moja praca jest najlepsza na świecie! Nikt, ale to nikt nie może przyjść do audytoryum i powiedzieć: NIEWŁAŚCIWIE wyklada pani psychologię. Albo: nie powinna pani używać w obecności studentów słowa „pupa”. Albo: proszę nadać faks i podać mi kawę do gabinetu, tylko szybko!

Roman na razie nie zadzwonił. To nic, zadzwoni wieczorem. Mieliśmy takie piękne lato, nie jakieś tam zwyczajne, czerwiec-lipiec-sierpień... Lato - to życie w miniaturze, zwłaszcza w naszym klimacie.

Wieczorem zaparkowałam samochód na zwykłym miejscu. Co ja powiem Łysemu, no co? Może by tak wymamrotać żałośnie:

- Proszę pana, jestem samotną kobietą z dzieckiem i cała moja pensja wykładowcy to sto pięćdziesiąt dolarów...



Albo nie, lepiej owionąć go chłodem i pogardą.

- Mieszkam w tym domu całe życie i nie zamierzam nawiązywać z panem kontaktów w sprawie parkingu...

Albo jeszcze lepiej od razu wskazać mu jego miejsce.

- Szanowny panie, to podwórze nie jest pańską własnością...

...Zauważyłam Łysego, ale nie zdążyłam uciec.

- O witam, witam, co dobrego? - Uśmiechnęłam się głupio, starannie machając ręką jak niemowlak, którego właśnie nauczono robić „pa, pa”, i udałam, że bardzo się śpieszę. Potem mu wszystko powiem.

...Roman nie dzwoni, i słusznie, dlaczego miałby to robić w dniu, który spędza się na łonie rodziny? Gdybym była zamężna, pewnie potępiłabym wszystkie kobiety, które tak jak ja mają romans z żonatym Romanem.

...Naprawdę bym potępiła? Wszystkie kobiety w czambuł? A jeśli to miłość?

Dokładnie o wpół do dwunastej rozległ się dzwonek. To Roman!

Okazało się, że to Żeńka. Można według niej regulować zegarek. U nich w Niemczech program „Wriemia” nadają o dwie godziny później niż u nas, Żeńka ogląda wiadomości z ojczyzny, a potem wydzwania.

- Jeszcze trochę i w ogóle nie będziecie mieli żadnej wolności słowa. Ja wiem, to wszystko przez tego waszego Putina.

Żeńka go nie lubi i nastawia mnie przeciwko niemu, a ja lubię swojego Gwaranta Konstytucji. Chodziłam z nim do jednej szkoły. On jest, oczywiście, starszy, ale i tak jesteśmy kolegami, i Putin nawet mi się czasem śni. Myślę, że to bardzo dobrze, kiedy prezydent podoba się kobietom w swoim kraju - to znaczy, że wszystko idzie jak trzeba. Nie to co Breżniew. On też, nawiasem mówiąc, był niezły jako dziadek, ale dziadek to ktoś z samej definicji przedwczorajszy, niedążący wraz z tobą w przyszłość.

Kiedy wybierano Putina po raz pierwszy, prezenter prowadzący

program przedwyborczy zapytał:

- Gdyby musiała pani na cztery lata wyjechać z kraju, z kim zostawiłaby pani swoje dzieci? - I wymienił kilka wariantów odpowiedzi: Putin, Jawliński, Ziuganow.

Putin nie brał udziału w programie, Ziuganow zachęcająco wypiął brzuch, a Jawliński wyprostował się i zaczął się wiercić - ze mną, ze mną!

Zamyśliłam się. Gdybym zostawiła Murkę pod opieką Ziuganowa, to byłaby oczywiście dobrze odżywiona, ale kto wie, czy po powrocie nie powitałaby mnie z poczciwie, po bolszewicku przymrużonymi oczyma? A może nawet cmokałaby językiem w zębie?

Z Jawlińskim bym jej nie zostawiła! W ogóle by się o nią nie troszczył. A Putin byłby w sam raz - powitałaby mnie moja Mura czyściutka, zadbana, w białych podkolanówkach, ucząca się na same piątki, należąca do chóru. Marzenie! I chodziłby regularnie do jej szkoły na wywiadówki. No więc wybrałam - powierzę Murę Putinowi.

Z Żeńką omówiliśmy szybko:

1. Moje nowe buty z nosami w szpic.
2. Mój romans z Romanem (Żeńka uważa, że jeszcze nie wszystko stracone i on dzisiaj zadzwoni).
3. Moją i Żeńki sytuację materialną. Obie są nie najlepsze. Żeńkę właśnie zwolniono ze stanowiska księgowej i jest teraz na zasiłku dla bezrobotnych. Dobrze, że telefony w Niemczech są takie tanie i Żeńka może do mnie dzwonić bez względu na swoją sytuację materialną, a o własnej mam zamiar pomyśleć później.

\*

Znowu dzwonek! To już na pewno Roman! Rzuciłam się na telefon jak Lew Jewgienjewicz do miski na odgłos nasypywanej karmy.

Nic bardziej przykrego niż rzucić się, by odebrać telefon od Romana, i stwierdzić, że dzwoni mama, jak gdybym oprócz niej nikomu

nie była potrzebna. Mama zapytała o oceny Mury. Jakie mogą być oceny pierwszego września, zwłaszcza u Mury?! Pierwsze informacje o jej postępach w nauce napłyną najwcześniej w grudniu - w grudniu zazwyczaj jestem wzywana do szkoły. Powiedziałam mamie, że Murka dostała piątkę z rosyjskiego i czwórkę z historii.

Może Roman jeszcze zadzwoni? Wie przecież, że kładę się późno, czytam.

Zadzwoniła Alona, potem Olga.

Postanowiłam, że będę zapisywała z rozmów z dziewczynami tylko najciekawsze rzeczy, bo inaczej nie starczy mi żadnego dziennika. Albo lepiej po prostu po kolei. Dziś jest kolej Alony.

Ze spraw interesujących - Alona powiedziała, że ukończyli remont nowego mieszkania, zaczynają je meblować i już wkrótce zrobią parapetówkę, ale nie będzie to zwyczajne oblewanie, tylko OKROPNIE WAŻNA PRESTIŻOWA IMPREZA. Mam wielką ochotę pójść na imprezę, szkoda, że odbędzie się nieprędko - Alona i Nikita muszą urządzić pięć pokoi i dwa schowanka.

Poza tym (z rzeczy ważnych) Alona bardzo tajemniczym głosem powiedziała:

- Muszę się cię poradzić jako psychologa... - i urwała.

Przy zastosowaniu spec. metod psych. udało mi się ją zrelaksować i pociągnąć za język.

Okazało się, że chodzi o to, że Nikita już od roku poświęca Alonie bardzo mało uwagi. To znaczy, Alona dopiero teraz uświadomiła sobie, że trwa to już od roku, wcześniej niczego nie dostrzegała - najpierw kupowali nowe mieszkanie, potem robili remont, to, sio, i nawet nie zauważyła, że ich życie seksualne zredukowało się od jednego razu w tygodniu do... w każdym razie nie pamięta już, kiedy to było ostatni raz...

- Kiedy? - spytałam surowo (psycholog, tak jak lekarz, powinien wiedzieć wszystko).

Alona wykręcała się i próbowała obwinić o brak pożycia otocze-

nie, na przykład pudła, który śpi z nimi w łóżku i warczy, kiedy Nikita próbuje jej dotknąć, ale brzmiało to nieprzekonywająco - Nikita wzrostem i tuszą przewyższa szafę, i za nic nie uwierzę, że boi się pudła miniaturki, małego jak słuchawka telefoniczna.

Udzieliłam Alonie profesjonalnej porady, odwołując się zrećnie do literatury specjalistycznej.

Kiedyś przez cały tydzień pasjonowałam się judaizmem i wyczytałam w jakiejś popularnonaukowej pracy, że w Talmudzie są bardzo surowe przepisy dotyczące życia seksualnego. Kobieta ma prawo żądać, żeby mąż spał z nią codziennie. Jeżeli mąż pracuje, żona może liczyć na dwa razy w tygodniu. Ale jeżeli jest na przykład poganiaczem osłów, to wolno mu spać z żoną tylko raz w tygodniu, jeśli zaś poganiaczem wielbłądów, to ma prawo spać z nią raz na miesiąc.

Powiedziałam Alonie, że cały problem polega najwyraźniej na różnicy zapatrywań - Alona widzi w Nikicie poganiacza osłów, podczas gdy sam Nikita postrzega siebie jako poganiacza wielbłądów, a może nawet kogoś gorszego.

Roman nie zadzwonił, położyłam się do łóżka z książkami. Wzięłam od Murki Doncową, a żeby Mura nie zobaczyła, co czytam, podłożyłam pod nią opasy czarny tom *Studiów historycznych* Toynbeeego. Murka wejdzie, a ja - ciach! - Doncową pod koldrę i leżę sobie ze *Studiami historycznymi* jak kulturalny człowiek.

Okazało się jednak, że czytać Doncową to to samo, co zamiast baletu w Teatrze Maryjskim oglądać w telewizji *Gliniarzy* i obżerać się czekoladą, a ja, bądź co bądź, jestem piterską inteligentką z dziada pradziada, drem psych., wykładowcą akademickim.

Przy lekturze angielskiej powieści z serii „Przy kominku” wydało mi się, że jestem:

1. Cudzoziemską staruszką w siwych puklach z połowy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

2. Staruszki często są zwawe, ale ja - raczej ospałą i niewielkiego rozumu, a przy tym strasznie nudziarą.

Nie, więcej nie kupię nic z serii „Przy kominku”. Marzyłam, by zamienić rozłąką starczą powieść na utwory zebrane Doncowej w trzystu tomach.

To miła kobieta (oglądałam ją w telewizji we wszystkich programach) i grafomani też miło. Tkwi sobie człowiek razem z nią w przytulnym świecie, gdzie nikt się nie wymądrza, za to gotuje się kompot ze śliwek i naprawia buty, a poza tym da się ją czytać nawet przez sen (czy można powiedzieć ŚPIĄC?).

Zadzwoił, zadzwonił! O 12.35! Powiedział tak cicho, że ledwie usłyszałam (w domu są żona i teściowa): - Dobrej nocy, kochanie!

...A jak teraz, kiedy lato się skończyło, będą się układać nasze stosunki z Romanem w skomplikowanej sytuacji z żoną i teściową? I co, jeżeli mnie także trafił się poganiacz wielbłądów?

*5 września, piątek*

O drugiej (dziś mam dwa wykłady - dla pierwszego roku i dla piątego) spotykam się z Romanem pod zegarem na uniwersytecie! Nie mamy się gdzie podziać - rano ja wykładam, wieczorem w domu jest Mura, a u niego od rana do wieczora żona i teściowa. To nic, pójdziemy na spacer do Ogrodu Letniego.

Przechadzaliśmy się z Romanem po Ogródzie Letnim. Pocałowaliśmy się pod Nimfą jak para uczniów, a kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam dwóch swoich studentów - przyglądali mi się bardzo uważnie i chichotali. Głupio wyszło.

Obliczyliśmy szybko z Romanem, że skoro wykładam na pierwszym, drugim i piątym roku tłumom studentów (po sto osób w grupie), plus wieczorowi i zaocznemu - zawsze grozi mi niebezpieczeństwo spotkania w mieście pięciuset, sześciuset osób, w których obecności muszę się zachowywać przyzwoicie - nie całować się, nie palić, nie

naruszać zasad ruchu drogowego. Uważam, że to niesprawiedliwe. Cóż to, czyż nie jestem człowiekiem?! Tak w ogóle nie da się żyć!

Już mieliśmy ze smutkiem rozejść się do swych samochodów, kiedy Roman nagle zaproponował:

- Jedźmy nad zatokę.

Przy Romanie zawsze mam takie uczucie, jakby lada moment coś się miało wydarzyć, i strasznie mi się podoba ta jego nieprzewidywalność!

Zostawiliśmy mój samochód pod Ogrodem Letnim i pojechaliśmy do Olgina. Pogoda była zupełnie jak w lecie, pod nogami chrzęścił szary piasek i miało się ochotę przykucnąć w nim z łopatką i foremkami. Z trudem znaleźliśmy miejsce i usiedliśmy wśród papierków po cukierkach, torebek po chipsach i ogryzków.

Roman opowiadał mi o swojej pracy. Ma projekt - pakiet nowych programów, które chce sprzedać różnym kanałom telewizyjnym i do radia. Roman jest producentem, na jego wizytówce widnieje napis: „Centrum Producentkie «Awangarda». Dyrektor generalny”.

Nigdy dotąd nie widziałam prawdziwego producenta, tylko w czołówkach amerykańskich filmów, i zakochałam się w nim dlatego, że należy do zupełnie innego świata. Mimo że z wyglądu wcale nie jest typem, który zazwyczaj mi się podoba.

Ja sama jestem wzrostu uważanego niegdyś za przeciętny, metr sześćdziesiąt pięć (teraz w porównaniu z moimi studentami czuję się jak Calineczka), i bardzo szczupła, to jest, ciągle zapominam - dawniej byłam bardzo szczupła. Mam dziwnie złą pamięć w kwestii swojej wagi i w sklepach najpierw rzucam się radośnie do wieszaka z rozmiarem 42, następnie zdetonowana przechodzę do 44, a dopiero potem do rozmiaru 46, w dodatku zaś producenci odzieży złośliwie usiłują mnie oszukać i szyją rozmiar 46 tak mały, że jestem zmuszona sięgnąć po 48, a to już grozi urazem psychicznym.

A więc, ponieważ jestem byłą Calineczką, zawsze podobali mi się mężczyźni o wzroście minimum metr osiemdziesiąt pięć, w osta-

teczności metr osiemdziesiąt trzy i tacy... potężnie zbudowani, o szerokich barach, dużych dłoniach i wybitnie męskich twarzach. A Roman jest niewysoki, wąski w ramionach, ma subtelne rysy i nosi okulary. Ale za to jest producentem. I, co najważniejsze (nie dla niego, dla mnie), co tydzień ukazuje się na małym ekranie!

Oczywiście, nie są to już lata pięćdziesiąte i telewizja gości teraz w każdym domu, toteż ten jego telewizyjny image podziałał na mnie zupełnie inaczej niż na bohaterkę filmu *Moskwa nie wierzy łzom*, która oddawała się natychmiast pierwszemu lepszemu łajdakowi z telewizji. Ale ja też nigdy nie widziałam na żywo prawdziwego prezentera! Roman prowadzi program „Muzyka i nie tylko”, o muzyce i nie tylko.

Roman powiedział, że jest mu ze mną bardzo dobrze, bo nie tylko po prostu ze sobą śpimy, ale ja interesuję się żywo jego problemami, a żonie jego projekty są całkiem obojętne. Moim marzeniem jest pracować w telewizji i stykać się z tymi wszystkimi interesującymi ludźmi (to pewne, że oni też mają problemy psych. i bardzo bym się im przydała), a żona Romana, jak sędzę, nie chce pracować w telewizji, i w tym cała rzecz.

- Słuchaj, weźmy numer w motelu! - mówi Roman.

O-o! W motelu!... Jak w filmie! Nigdy jeszcze nie wynajmowałam pokoju na godziny w przydrożnym motelu. Bardzo mi się ta propozycja spodobała!

Kiedy dotarliśmy do motelu, przypomniałam sobie nagle, że nie zamierzałam dziś TAK spotykać się z Romanem, myślałam, że po prostu pospacerujemy i już... Co robić? Czyżby teraz, kiedy wreszcie mam wstrząsającą okazję poczuć się jak prostytutka z amerykańskiego filmu, wszystko miało runąć tylko dlatego, że włożyłam rano białe bawełniane majtki?!

Majtki białe, stanik nie pamiętam jaki, może czarny albo nawet beżowy... A co do nóg, to jeszcze nie byłam na depilacji. I bardzo możliwe, że podkolanówki mam różne - jedną czarną, a jedną jasną.

Nie mogłam się upewnić, bo byłam w spodniach i butach ze szpicami.

- Jak ci się wydaje, czy właścicielka motelu myśli, że jesteśmy kochankami prześladowanymi przez cały świat? Czy że wynająłeś mnie na szybki numerek? - spytałam.

Roman powiedział, że sobie pochlebiam i że już dawno wyszłam z wieku, kiedy wynajmuje się babkę na szybki numerek...

W pokoju trochę się na żarty pobiliśmy i pogodziliśmy...

Akurat wczoraj wieczorem Alona spytała: „Dobrze ci z tym twoim Romanem?”. (Alona ostatnio za bardzo przejmuje się seksem). Powiedziałam, że dobrze. Ale przecież wszystko zależy od tego, co to jest dobrze i co to jest źle. Mnie jest dobrze, kiedy ktoś mnie kocha i okazuje mi czułość.

Notabene, wiem od klientek, które specjalnie do mnie przychodzą omawiać swoje życie intymne, że pogłoski o kobiecym orgazmie są mocno przesadzone. Wiele kobiet zaczęło doznawać czegoś w rodzaju przyływu namiętności dopiero po trzydziestce, i nawet wówczas żadna nie miała do końca pewności, że to jest właśnie on - ów zachwalany orgazm. A pewna znana malarka przyznała się w swoich memuarach (memuary były napisane po francusku), że przez jej łóżko przewinęli się niemal wszyscy poeci Srebrnego Wieku, no i co?! Okazało się, że z poetów nie miała żadnego pożytku, a swój pierwszy orgazm przeżyła, mając siedemdziesiąt sześć lat! Dobrze, że od dzieciństwa uczono mnie języków obcych, bo inaczej nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby czytać po francusku, i nie dowiedziałabym się takiej ciekawej, krzepiącej rzeczy.

Roman nawet nie zauważył, że majtki były białe, a stanik czarny, tylko potem powiedział, że bardziej podobają mu się kolorowe komplety. Ale czyż to moja wina?! Niechby Roman spróbował pomieszkać z Murą! Murka strasznie kradnie moje ciuchy, jak kleptomanka, a szczególnie skarpetki i rajstopy! Noszę po prostu to, co zostaje... Są jednak w życiu sprawy, których nie potrafię zrozumieć - na przykład, po co Murce moje majtki, o dwa rozmiary na nią za duże?



A mówiąc uczciwie, o cztery.

Wieczorem uznałam, że dzień był zbyt ciężki, zbyt nasycony emocjonalnie i seksualnie, żeby czytać do poduszki *Studia historyczne*, więc wzięłam Marininą. Zdziwiłam się, że nie pisze już kryminalów, ale wręcz wzruszająco usiłuje być prozaikiem. Tylko dlaczego tak strasznie interesują ją najdrobniejsze szczegóły dnia codziennego - ile razy bohaterka zamieszała barszcz, na co zmiotła śmieci, na szufelkę czy na gazetę? Mimo barszczu i śmieci doczytałam do końca. Skoro ktoś tak się dla nas stara, to my z wdzięczności zawsze jesteśmy gotowi przeczytać.

Przeprowadziłam analizę psych. autorki na podstawie jej tekstu i doszłam do wniosku, że przez całe życie marzyła o tym, by zostać gospodynią domową, a nie prawdziwym pułkownikiem. Chociaż mnie, nie wiem czemu, interesowało, ile razy bohaterka zamieszała barszcz i na co zmiotła śmieci, na szufelkę czy na gazetę.

*10 września, środa*

Wróciłam z uczelni o piątej, marząc o pielmieniach.

Ledwie ulokowałam się na kanapie z pielmieniami (odrobina śmietany, ocet i sos sojowy, pycha), zadzwoniła mama.

Zapytała:

1. Gdzie jest Mura? (Co najmniej pięć razy, a ja udzielałam różnych odpowiedzi, do wyboru).

2. Jakie Mura ma oceny? (Powiedziałam, że piątki i czwórki, jutro dla większego prawdopodobieństwa dorzucę jakąś trójkę).

3. Co mamy na kolację? (Mama chciała usłyszeć szczegółową odpowiedź, więc szczegółowo opisałam różne sosy do pielmieni).

- Mamo, dowiedziałas się o telefony klubów sportowych? Pamiętasz, prosiłam cię rano - przejęłam inicjatywę. Chodzi o to, że zamierzam się zapisać na aerobik, na shaping i na stepowanie. Albo na aquaforming. Ewentualnie na callanetics. Wszystko zależy od tego, w

której z tych dyscyplin nie wymaga się tańczenia na oczach wszystkich, tylko można leżeć w kącie jak foka i przyprochlebnie uśmiechać się do instruktora.

- Czy choć raz zapomniałam o jakiejś twojej prośbie?
- O Boże, skąd, nie to co ja!

Nigdy nie mam pod ręką ani długopisu, ani kartki, za to wszędzie poniewierają się nici, naporstki i nożyczki, jakbym była nie wykładowcą, ale jakąś szwaczką.

- Chwileczkę, mam. Poszukam długopisu w pokoju Mury.

W pokoju Mury człowiek czuje się jak na dnie szafy, bo wszystkie jej ubrania leżą w Kupie na podłodze. Murka zapewnia, że w Kupie panuje zawsze wzorowy porządek. Sięga ręką z łóżka i nie patrząc, wyciąga z Kupy to, co jest jej akurat potrzebne.

Gdzie ten długopis? Swoje stare biurko Murka własnoręcznie porządkowała (moje dziecko to prawdziwa złota rączka) i wywlokła na śmietnik. Jak jej się udaje odrabiać lekcje, leżąc w łóżku? A swoją drogą, o jakich lekcjach mowa?... Na łóżku nie ma nic poza kosmetykami Murki, starą myjką i ogryzkami jabłek. Pod łóżkiem też nic. Nie, coś się znalazło: dzinsy, moja ulubiona biała koszulka, książka *Wszystko o seksie*, skórki z pomarańczy.

- Mamo, zaczekaj jeszcze moment, nie mogę znaleźć długopisu...
- Zamordowałabym ją za taki burdel! Ale przecież ty jej na wszystko pozwalasz!...

A właśnie że nie na wszystko, nie na wszystko! Wezmę i zabiję ją za ten burdel!

...Albo może lepiej nie zabijać? Przecież Murka to właściwie jeszcze małeństwo, a wokół niej taki ogromny świat z takim ogromnym mnóstwem różnych rzeczy... i jak w tej sytuacji mam wymagać, żeby w jej pokoju panował idealny porządek? Zostało naukowo dowiedzione, że przesadnie pedantyczne nastolatki mają coś nie w porządku z psychiką, rozmaite kompleksy i tak dalej...

...Taak, na mojej białej koszulce są pomarańczowe plamy... Teraz rozumiem, dlaczego Murka ją chowa.

Ostatnia nadzieja to szuflada nocnego stolika. Otworzyłam ją, a tam - PREZERWATYWY. Serce uciekło mi w pięty.

- Mamo, oddzwonię do ciebie.

Powiedziałam to widocznie takim złamanym głosem, że mama natychmiast zaczęła histerycznie krzyżeć:

- Co?! Co się stało?! Co?! Co?!

- Noga mi zdrętwiała. Oddzwonię.

Siedziałam i wpatrywałam się tępo w lśniące zielone pakieciki. Na każdym narysowany był olbrzymi dinozaur. Co to ma być, aluzja?

NO TO KONIEC. ZMARNOWAŁAM SWOJE DZIECKO. Powinam była ją karcić, szczypać, bić i maltretować! Mogłam trzepać zwiniętą gazetą - to niebolesne, ale upokarzające. Radzono mi karcić gazetą Lwa Jewgienjewicza, kiedy był mały, ale nie chciałam uwłaczać jego godności.

Płakałam, siedząc na łóżku Mury, i chwilami nawet jęczałam:

- O-o-o! W piętnastym roku życia! Co ja mam teraz robić?!

O-o-o! Piętnaście lat!

Oczyrna duszy ujrzałam moją córkę Murę, nie wiedzieć czemu w łachmanach i z dzieckiem przy piersi. Bez doktoratu, bez magisterium i chyba nawet bez świadectwa dojrzałości. To ja jestem wszystkiemu winna! No bo kto?! Rozwiodłam się z Denisem i dziecko chowa się bez ojca. Gdyby miała ojca, już on by jej pokazał!... Na chwilę przestałam płakać i zadumałam się - ciekawe, co takiego mógłby jej pokazać Denis?...

Trzasnęły drzwi wejściowe. Wróciła Mura! No, spokojnie, jestem przecież psychologiem. Muszę wziąć się w garść i mądrze poprowadzić rozmowę.

Ale jak, jak?! Szlochać i błagać, żeby to się więcej nie powtórzyło? Obiecać, że kupię jej w Mango biały płaszcz, o który suszy mi głowę od lata? Ale ona i tak jest prawdziwą płaszczową maniaczką - ma długi czarny płaszcz w pepitkę, krótki beżowy, różowy midi... A poza tym biały płaszcz jest bardzo niepraktyczny... Co ja mam robić, co?!

- Dlaczego wyjesz na cały dom? To festiwal piosenki czy co? I czemu akurat na mojej Kupie?

W milczeniu, gestem pełnym godności i goryczy, wskazałam zielone pakieciki w otwartej szufladzie stolika.

- A co ci się nie podoba? - zdziwiła się Mura. - Jak chcesz, to też ci dam. Przecież ci ich nie żałuję.

Coś takiego! Nie wierzyłam własnym uszom! Moja córka jest zdeprawowaną nastolatką, a ja matką zbrodniarką! Należy mnie wyrzucić z pracy, nie mam prawa udzielać innym porad psychologicznych...

- Co, u ciebie też są komary? A mówiłaś, że w twoim pokoju komarów nie ma. Sama upchnęłaś dziecko w jednym pokoju z komarami i jeszcze się obrażasz.

Przyjrzałam się kątem oka zielonym pakiecikom. „Raptor. Nowa formuła”. Hura-hura, to naprawdę środek przeciw komarom! Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. A wyglądają wypisz wymaluj jak prezerwatywy! Takie... z owocowym zapachem.

Najważniejsze teraz - to nie stracić głowy.

- Mura! Od tej chwili wprowadzam nową karę! (Brzmi głupawo, jakby w ogóle w naszym domu istniał cały komplet kar - niezbyt surowe, surowe i bardzo surowe). Za nieporządek w pokoju nie rozmawiam z tobą przez godzinę... nie, przez dwadzieścia minut. Za gwizdnięcie białej koszulki nie rozmawiam następnego dwadzieścia minut (razem czterdzieści minut - moim zdaniem, po bożemu).

- A może być pięćdziesiąt minut z przerwą na reklamy? Przy- najmniej spokojnie obejrzę serial. No dobra, mamuś, tylko nie udawaj, że ty to nie ty, ale prawdziwa matka!

Przedzierałam się do wyjścia świeżo wydeptaną ścieżką między dzinsami i swetrami, a Mura kontynuowała lekcję wychowawczą.

- Wszystkie inne matki są jak matki. Popatrz na Irkę Chomika, cud-miód! W długim płaszczu, u góry umalowane usta, u dołu obcasy. - Murka pokazała rękami, gdzie prawdziwe matki mają górę, a gdzie

dół. - A ty! Stoisz tu w wojskowych buciskach i kraciastych portkach do kolan. Pewnie tak poszłaś na uczelnię?

- Nie, to znaczy niezupełnie... - mruknęłam wymijająco. - Ale sama mówiłaś, wredziuchu, że to ekstra portki i wszędzie można w nich pójść!...

- Wszędzie, gdzie nie ma ludzi!

- Muras-gburas.

Czułam się bardzo szczęśliwa - wszystko nam się z Murką świetnie układa, ja mam Romana, a Murka nie ma prezerwatyw!!!

Wieczorem zadzwoniła Olga. Nie rozmawiałyśmy od kilku dni, bo Olga była na dwóch pokazach prasowych, potem robiła reportaż w Lenfilmie, potem odwiedzała Leżącego. Wybiera się na festiwal z ramienia swojego kolorowego tygodnika, cieszy się życiem, mimo że nigdy nie była zameżna!!!

Przyczyny, dla których Olga nie jest zameżna:

1. Bo dziennikarka filmowa chce wyjść za mąż tylko za aktora albo reżysera.

2. Bo wszyscy aktorzy filmowi są palantowaci czy też pedałowaci (Olga wie dokładnie).

3. Bo reżyserów jest mało i dla wszystkich nie starcza. (Niektórzy w ogóle urodzili się pod taką gwiazdą, że lepiej, żeby nie stali w kolejkach. Na przykład kiedyś, dawno, jeszcze na studiach, stałyśmy z Olgą w kolejce po cudowne jugosłowiańskie rajstopy - no i akurat jak doszłyśmy do lady, rajstopy się skończyły, więc co tu mówić o reżyserach! Nie dziwota, że dla Olgi nie starczyło).

Dzisiaj Olga była tak zadowolona z życia, że nawet próbowała naruszyć dwie nasze umowy. Pierwsza - to że nie będzie mi opowiadać obejrzanych filmów, bo ona jest dziennikarką i oglądanie filmów to jej praca, a ja jestem widzem i nie bardzo lubię kino. Druga - to że nie będzie mówić o Leżącym dłużej niż dziesięć minut za jednym zamachem.

No więc Olga znów wyliczała wszystkie zalety pracy w modnym

kolorowym tygodniku i wszystkie zalety swojego Leżącego.

Zalety pracy:

1. Bardzo przyzwoita pensja.
2. Wierszówka.
3. Do redakcji można przychodzić po dwunastej w południe albo nawet wcale nie przychodzić.

Zalety Leżącego:

1. Geniusz (właśnie teraz tworzy genialne dzieło - nowe słowo w dziedzinie literatury, muzyki i geopolityki).

2. Możliwe, że niebawem wstanie (Leżący nie wychodzi z domu już od wielu lat, ponieważ tworzy i ponieważ zawsze znajduje się jakaś idiotka, która przynosi mu do domu jedzenie i papierosy. Zachodzę w głowę, co on może zaproponować w rewanżu. Seks? Ale w tym celu trzeba przynajmniej trochę się unieść z tapczanu... Całkiem niegłupim pomysłem w wypadku Leżącego jest prowadzenie w zamian za artykuły spożywcze i papierosy budujących rozmów: nie wszystkie kobiety potrzebują seksu, za to wszystkie chciałyby, żeby ich ktoś uważnie wysłuchał albo chociaż udał, że słucha).

3. I zaczniesz zarabiać mnóstwo pieniędzy, reżyserując projekty teatralne (nie rozumiem, jak to reżyserując - przecież Leżący nie ukończył żadnych wyższych studiów i zgubił gdzieś świadectwo maturalne).

4. Ma bardzo subtelną duszę, dzięki której wyjątkowo dobrze rozumie Olę.

Jako osoba taktowna nie próbowałam narzucać Oldze swojej opinii o Leżącym, tylko spytałam, co konkretnie dają jej takie dziwne relacje. Może poczucie bezpieczeństwa i pewność jutra? Olga oświadczyła znacząco, że ja nic nie rozumiem i że Leżący daje jej coś INNEGO. Co?

*18 września, czwartek*

Rano obudziłam się z niemiłym uczuciem, że koniecznie powin-

nam załatwić jakąś sprawę domową, żeby już więcej do tego nie wracać. Z trudem przypominałam sobie, co mianowicie - rozwiązać problem pieniędzy. Co mam robić - pracować i zarabiać czy odebrać i podzielić?

1. Pracować i zarabiać. Pracować i zarabiać?

Pensję za wrzesień dostanę dopiero ósmego października, sześć tysięcy rubli.

Co jeszcze w kwestii „pracować i zarabiać”?

Bardzo liczę na konsultacje. Kiedy ludzie zbiorą już plony na swoich działkach letniskowych, spostrzegą, że narosły im różne problemy, i zaczną szukać psychologa, czyli mnie. Tylko niech to będą problemy niezbyt skomplikowane, bo, po pierwsze, z całego serca życzę im wszystkiego najlepszego, a po drugie, boję się, że z trudnymi problemami sobie nie poradzę.

2. Odebrać i podzielić. Odebrać i podzielić?

Odebrać muszę od Denisa i podzielić też między siebie i Denisa. Jesteśmy w cudownej komitywie, dopóki nie mówimy o pieniądzach, to jest o alimentach.

„Alimenty”, cóż to za wstrętne słowo! Może lepiej nazwę te jego dwieście dolarów „wsparciem”.

Długo nie mogłam się dodzwonić do Denisa, a kiedy wreszcie linia się zwolniła, odłożyłam słuchawkę. A nuż telefon odbierze Ała? Jakoś nie mam ochoty z nią rozmawiać, kiedy zamierzam prosić Denisa o pieniądze. W ostatnim okresie, kiedy o nic nie prosiłam, bardzośmy się zaprzyjaźniły.

Ale z drugiej strony, czemu miałabym się jej bać? Jeśli chodzi o pieniądze. Przecież nie proszę o nie dla siebie, a w ogóle to jest jego obowiązek.

Lepiej zadzwonię do Denisa na komórkę.

- Denis, cześć, to ja!

- Słyszysz, że ty. Cześć. - Głos niezbyt radosny. Skąd on wie, że nie dzwonię, żeby po prostu pogadać?

- Zapomniałeś o pieniądzach za lipiec i sierpień. I za wrzesień też by się przydały.

- Dziś jest dopiero osiemnasty.

- Ale za to sierpień już się skończył i lipiec też - przypomniałam nieśmiało.

- Zwracam ci uwagę, że mieszkam w Niemczech, a nie na sąsiedniej ulicy! Za każdym razem muszę kogoś prosić o przekazanie! - Zaraz nonszalancko zacznie mówić o czym innym. - A w ogóle co słyhać? Co u Murki? Samochód dobrze się sprawuje?

Opowiedziałam mu o plecaczku Mury, o nowym podwórzu, o odpadających drzwiach w samochodzie. I przelotnie, jakby mimochodem, przypomniałam:

- Więc nie zapomnij o pieniądzach. Za wrzesień też. - Teraz powinnam podnieść głos. - Denis! Czy ty mnie słuchasz?!

Poczułam, jak pod wpływem mojego krzyku Denis się spręży. Dobrze by było, gdyby utrzymał ten nawyk jeszcze przez jakieś dziesięć lat, dopóki Murka nie zacznie sama na siebie zarabiać. Albo przynajmniej nie zacznie sama go prosić o pieniądze.

- Skąd mam wystraszyć taką sumę? Od razu za trzy miesiące? - zapytał melancholijnie Denis. - Czy ty sobie wyobrażasz, że jestem milionerem? A może myślisz, że mieszkanie w drogiej dzielnicy nic mnie nie kosztuje? Albo dwa mercedesy - co, uważasz, że dostałem je za darmo? No i chyba człowiek ma prawo wypocząć raz do roku w pięciogwiazdkowym hotelu, czy nie?! A wszystkie ubrania moje i Ałły, nawet domowe kapcie, są od Versacego. Czy ty masz pojęcie, ile to kosztuje?!

Kiedy Denis opowiada o swoich strapieniach, mogę myśleć o własnych sprawach. Muszę jedynie pamiętać, by od czasu do czasu wzdychać ze współczuciem. Zapytałam więc tylko:

- A może kapcie nie muszą być od Versacego? Chętnie kupię tu Alle kapcie z owczej wełny, są bardzo ładne... Zawsze to oszczędność...

- Nic nie rozumiesz - wytknął mi Denis z łagodną rezygnacją. -



Koniecznienie musimy z Ałłą mieć kaptcie od Versacego, bo inaczej wszyscy pomysła, że moje interesy słabo idą...

Znowu westchnęłam i powiedziałam, że rozumiem.

- No nic - rzucił Denis z nadzieją w głosie. - Kiedyś Murka skończy naukę, zacznie dużo zarabiać, i to ona będzie mnie utrzymywać.

- Nie chcę cię martwić, ale chyba ma inne plany. - Niemiła część rozmowy dobiegła końca i nabrałam otuchy. - Murka powiedziała, że będzie się uczyć długo, bardzo długo. Po studiach doktorat, potem habilitacja, potem profesura...

Denis westchnął. Wie, że jego córka Mura pójdzie na wszystko, byle nie pracować, nawet na to, żeby jeszcze przez dziesięć lat studiować pierwszą lepszą dyscyplinę.

...Denis wcale nie jest sknerą i kutwą, przeciwnie, to człowiek bardzo szczodry - niczego nie żałuje sobie, a kiedy byliśmy razem, nie żałował niczego mnie. Potrafił wydać ostatnie pieniądze na sweterki dla mnie i natychmiast, absolutnie szczęśliwy, zaczynał wyszukiwać do tych sweterków spódniczki. Ponieważ uważał, że moje nowe sweterki i spódniczki kupuje „dla siebie”. A teraz ma „dla siebie” Ałłę w kaptciach od Versacego. Murę kocha i jest z niej dumny, ale na tym koniec, Mury nie uważa za kogoś „dla siebie”, Mura - to stała pozycja w wydatkach, coś takiego jak rachunki za światło i telefon. Nie ma się ochoty płacić, lecz siedzenie po ciemku bez telefonu to też nie jest rozwiązanie.

Ale przecież ja także bynajmniej nie jestem wzorem szalonej hojności, zmiatającej na swej drodze wszystkie bariery zdrowego rozsądku - na przykład jestem okropnie skąpa, jeśli chodzi o książki. Kiedy ktoś chce ode mnie pożyczyć książkę, najpierw udaję, że nie dosłyszałam, a potem mówię, że jestem pewna, że ta książka mi zginęła. A jeżeli mimo wszystko muszę oddać swoją książkę w obce ręce, natychmiast, lekceważąc wszelkie względy przyzwoitości, zaczynam lamentować: „Tak mi żal mojej książki, tak mi żal!”.

Krótko mówiąc, też straszne ze mnie skąpiradło.

Co Denis winien, że Murka nie jest „dla niego”?... Będę musiała bardzo ładnie prosić. Cóż, przecież jestem matką - poproszę, pobłagam i wyblagam.

Denis jeszcze raz westchnął, szczególnym, intymnym westchnieniem. Zaraz zacznie się uskarżać na Niemcy.

- Jak ja już mam dosyć tych Niemiec! Nudy, żadnego życia towarzyskiego. Postanowiliśmy na mur, że wracamy do Pitra.

Denis i Ała, jak trzy siostry Czechowa, wiecznie jęczą: do Moskwy, do Moskwy (to jest do Pitra)!... Jako że u nas w Pitrze są teatry i w ogóle cała niezbędna im do życia kultura. Na przykład Doncową i Ustinową można kupić, jak tylko się ukazą, a oni muszą czekać, aż ja im przyślę. Żeńka też narzeka, że w Niemczech jest strasznie nudno, a jak jest w dołku, to krzyczy: do diabła z Niemcami, wracam do domu! Żadne z nich nie wróci.

Kiedy Żeńka wyjechała na stałe do Niemiec, postanowiłam też wyjechać i zaczęłam wiercić Denisowi dziurę w brzuchu, że powinniśmy się stąd wynieść, ze względu na dziecko i tak dalej. Powtarzałam wszystko, co się w takich razach mówi, według listy. Denis wykrzykiwał, też według listy, że w jego podeszłym wieku, po trzydziestce, nie miałby czego szukać w obcym kraju i że nie zamierza zaczynać wszystkiego od zera jedynie z powodu moich niezdrowych stosunków z Żeńką. Nie chciał przez to powiedzieć, że jesteśmy lesbijkami, tylko że takie duże dziewczynki jak my mogłyby się już nauczyć żyć w różnych krajach.

A potem w wyniku wielu bardzo skomplikowanych i dramatycznych wydarzeń, których teraz już dokładnie nie pamiętam, Denis wyjechał do Niemiec, a my z Murą zostaliśmy w Pitrze. Denis uważa, że to ja go rzuciłam. Nie chciałam z nim wyjechać czy też odwrotnie, nie chciałam zostać w Pitrze.

Za to w Niemczech rozmowy telefoniczne są tanie i Żeńka dzwoni po kilka razy dziennie - to do mnie, to do Mury. A my z Murą często ją

odwiedzamy i objeżdżyliśmy już tanim mikrobusem wszystkie ościenne kraje. Są takie wycieczki - „Cała Europa w czterdzieści minut”, coś cudownego, jeżeli ktoś ma mało pieniędzy i długi ciekawski nos, który chce wetknąć do każdego napotkanego zamku czy kościoła.

- Pozdrów Ałę. Niech do mnie wieczorem zadzwoni. No to pa, całuję.

Ała dzwoni nawet nieproszona. Poza mną nie ma żadnych przyjaciółek. Od dłuższego czasu mieszka w Niemczech, dawno utraciła wszystkie petersburskie koleżanki, a nowych nie zyskała. Emigracja strasznie szkodzi przyjaźni, bo ludzie dorośli niełatwo się zaprzyjaźniają, za to dziwnie często się kłócą. No i Ała jest zmuszona przyjaźnić się, z kim popadnie, nawet z pierwszą żoną swojego męża. Ja też się z nią przyjaźnię, i całą rodziną - ja, Murka, Denis i Ała - bawiliśmy się w NIELUDZKIM HORRORZE - Disneylandzie...

Właśnie tam, w Disneylandzie, otworzyły mi się oczy - Ała wcale nie jest moją krewną, jak mi się dotychczas zdawało, ale raczej przyjaciółką albo tylko dobrą znajomą...

W Disneylandzie Ała zawlokła mnie do jakiejś pędzącej pod niebo kolejki i podstępem wsadziła do wagonika, mówiąc: nie bój się, to nic strasznego. A ja przecież widzę i czuję - ktoś tu wcześniej wymiotował, i wiem, że muszę się ratować. I nagle wagonik jak nie skoczy w górę i w dół, jak nie ryknie dzikim głosem! Zrozumiałam, że nie mam co krzyżeć - i tak nic nie pomoże - i zaczęłam płakać. Po wylądowaniu Ała musiała wezwać tamtejszego lekarza, żeby mnie wyciągnął z tej diabelskiej karuzeli i namówił do otwarcia oczu.

Czasem sobie myślę (ale tylko w bardzo, bardzo złych chwilach, kiedy mi się wydaje, że zmarnowałam życie), że Ała przyjaźni się ze mną nie dlatego, że jestem taką wspaniałą pierwszą żoną, ale dlatego że rozstałam się z Denisem, i Denis ma teraz dwa mercedesy, mieszkanie w samym środku Europy i Ałę w kapiach od Versacego. Myślałam tak dwa razy.

...A cóż w tym złego, każdy miewa podle myśli, do których wstyd się przyznać! W gruncie rzeczy to nieprawda, i Ała po prostu się ze mną przyjaźni.

*19 września, piątek*

Byliśmy z Romanem w Olginie. Dziś nie było tak podniecająco jak za pierwszym razem (nawet najwspanialsza przygoda kiedyś staje się rutyną). Wcale nie jak w filmie; po prostu dwoje niezbyt młodych ludzi, którzy nie mają gdzie się spotykać, wynajmuje pokój w głupim motelu, a tymczasem powinni siedzieć w swoich domach, popijać herbatkę i oglądać wiadomości telewizyjne...

W drodze do miasta Roman nagle zrobił się strasznie nieszczęśliwy i oznajmił, że wcale nie chce jechać do domu, że ja mam o wiele lepiej, bo moje życie z końcem lata w ogóle się nie zmieniło - nie muszę się raptem przyzwyczajać do tego, że całkowicie obcy człowiek płacze mi się pod nogami.

Wydaje się trochę dziwne, kiedy ktoś nazywa żonę „całkowicie obcym człowiekiem”. Weźmy, na przykład, Denisa. Chociaż to mój były mąż, wcale nie jest dla mnie człowiekiem obcym, raczej bliskim krewnym.

A Roman ma w sobie taki ładunek niewykorzystanej czułości, jakby nie był dorosłym mężczyzną, jakby nie było kiedyś w jego życiu ślubu z obrączkami, welonem i składaniem kwiatów pod Wiecznym Ogniem.

Historia jego małżeństwa jest banalna, taka jak u wszystkich. Studencki romans, pierwsze nieporadne zbliżenie. Zapewne to właśnie miłość, więc trzeba co prędzej się ożenić. Potem dziecko, dalej nagle otrzeźwienie - oj, a gdzież się podziała miłość? Zresztą co to za miłość, nie było żadnej miłości. Zaczęły się kochanki. A teraz ja. Nie kochanka, tylko miłość. (To nie moje zarozumiałstwo, on sam tak powiedział).

A czyż inni przeżywali to inaczej? Na pierwszym roku my, le-

ningradki, rozglądałyśmy się tylko, ostrożnie wysuwając delikatne noski z bezpiecznego dzieciństwa. Na drugim i trzecim roku też. A pod koniec trzeciego roku nagle spostrzegłyśmy, że nasze koleżanki z prowincji zdążyły już powychodzić za mąż, nawiasem mówiąc, za naszych własnych, leningradzkich chłopców. I zaczęłyśmy się denerwować i śpieszyć, bo jak się w wieku dwudziestu lat jeszcze nie wyszło za mąż, to można się już uważać za starą pannę. Zaczęłyśmy więc gorączkowo szukać sobie mężów i wczepiałyśmy się pazurami w pierwszego lepszego, a w rezultacie wszystkie wyszłyśmy na tym tak samo - w wieku dwudziestu lat ślub w welonie i z lalką na masce samochodu, w wieku dwudziestu jeden lat dziecko. A około dwudziestki, kiedy nasi młodzi rodzice zaczynali się już godzić z tym, że są babciami i dziadkami, i gotowi byli niańczyć nasze dzieci, po raz pierwszy w życiu zakochiwałyśmy się.

Zabraliśmy mój wóz spod uniwersytetu i dwoma samochodami ruszyliśmy w stronę mojego domu. Na Newskim przez jakiś czas jechaliśmy dwoma równoległymi pasami, jakbyśmy wciąż jeszcze się kochali, a potem go wyprzedziłam!

Całowaliśmy się długo w samochodzie na podwórzu naprzeciw mojego domu, żeby przypadkiem nie zobaczyła nas Mura, a przy pożegnaniu Roman znów trochę się skarżył na żonę. No bo komu innemu miałby się zwierzać, skoro ja jestem najbliższą mu osobą?!

Jako dyplomowany psycholog wiem, że to niemożliwe, by winę za nieudane małżeństwo ponosiła tylko jego żona i by sam Roman był prawdziwym aniołem, który przypadkiem sfrunął z nieba prosto w moje objęcia. I wiem, że to normalne źle mówić o żonie do kochanki. On przecież nie może mi oświadczyć: „Ach, moja żona to urocza kobieta!”. Ale Roman wyznał mi coś, czego nie wymyśliłby chyba specjalnie, nawet gdyby chciał wzbudzić moje współczucie.

Powiedział, że jego żona jest niesympatyczna, że rozpedziła wszystkich jego kolegów i już od dawna nie chce z nim sypiać. Wszyscy żonaci kochankowie moich przyjaciółek twierdzą, że to oni

nie chcą swoich żon, a jeden posunął się nawet do twierdzenia, że spanie z żoną to jak pielenie grządki koperku: robota żmudna, nudna i niewdzięczna.

Ale Romanowi akurat wierzę! Facetowi bardzo trudno jest się przyznać, że żona nie chce z nim spać!

- Słuchaj, no to skąd w takiej sytuacji wzięło się dziecko?

Roman wzruszył ramionami i powiedział, że nie wie dokładnie. Może udało mu się dosypać jej do herbaty środka nasennego? I dodał, że żona nie rozmawiała z nim prawie przez całą ciążę.

Ależ to okropnie nudne! Ja na przykład przez całe dziewięć miesięcy nadawałam stały program informacyjny o swoim samopoczuciu dla wszystkich, których udało mi się zmusić do słuchania! A lekarz w szpitalu poprosił, żebym się zamknęła przynajmniej na czas porodu.

- Odezwała się dopiero przed wejściem do szpitala. Odwróciła się w drzwiach i powiedziała: „To nie był dobry pomysł” - mruknął z wciąż świeżą urazą Roman.

Dziwne! Dziecko powinno przychodzić na świat w atmosferze radości, a ona - „zły pomysł”! Biedny Roman!

- A poza tym... ona karze naszą córkę.

- To bardzo dobrze! Kara to niezbędny element wychowania - zauważyłam. Powiedział to ktoś mądry, nie pamiętam kto. Makarenko. Pestalozzi. W.I. Lenin? Od dawna marzę, żeby ukarać Murę. Tyle że do dziś nie udało mi się wybrać rodzaju kary, chociaż, nie powiem, spodobał mi się pomysł bicia jej zwiniętą gazetą...

- Ona z nią nie rozmawia. Potrafi się nie odzywać nawet trzy dni. Powiedz mi jako psycholog...

Jako psycholog ja bym ją pogryzła! Po co ludzie sprowadzają na świat dziecko - żeby je kochać i hołubić czy żeby je okrutnie karać?

Szybko przybrałam mentorski ton:

- Wiele kobiet, podświadomie skłonnych do okrucieństwa, stosuje milczenie jako metodę karania mężów i dzieci. A to jest najbardziej niezawodny sposób na przedłużenie konfliktu. Nie rozmawiać z

dziewięcioletnią dziewczynką!!! Nie znam dotkliwszej kary! Powiedz jej, że nie wolno tak postępować z dzieckiem!

Okazuje się, że ona również Romana bardzo surowo karze za każde przewinienie. Tu taryfa jest inna. Za drobne przewinienie - zapomniał kupić chleb lub wszedł do pokoju w butach - jeden dzień milczenia, za duże - na przykład przyjechał na daczę w sobotę zamiast w piątek - do dwóch tygodni. Rekord milczenia to miesiąc.

- Tak? Ale co daje takie milczenie? Ja zawsze miałam ochotę prowadzić awanturę do końca... - powiedziałam z roztargnieniem i zaczęliśmy się żegnać.

Okropnie mi się nie chciało z nim rozstawać, naprawdę! A gdybyśmy tak (przecież wolno człowiekowi pomarzyć!), gdybyśmy... nie ja do siebie, a on do siebie... ale oboje razem poszli do mnie?

Hm, tak z marszu, teraz zaraz - do mnie? W domu nieposprzątanego... A poza tym jestem zmęczona tym nawalem uczuć i chcę po prostu walnąć się na kanapę, nawet nie zdejmując butów.

Ale przecież gdybyśmy mieszkali razem, nie byłoby takiego nawalu uczuć, byłby normalny rodzinny wieczór. Nie czułabym się taka samotna. Teraz na przykład Mury nie ma w domu i jak tylko trochę poleżę na kanapie w butach, mogę się poczuć bardzo samotnie...

A tak spędzimy normalny rodzinny wieczór.

Najpierw Roman będzie chciał zjeść kolację. No właśnie, dziś na kolację mamy ekstra wybór: pielmieni Daria, mielone kotlety Daria, naleśniki z serem Daria. A może on nie przepada za wyrobami tej firmy? Wtedy trzeba będzie ugotować mu zupę. (Obie z Murką w ogóle nie lubimy prawdziwego jedzenia, żywimy się grzankami z kielbasą, pasztetem i żółtym serem. Szczególnie lubimy camembert i wędzone paluszki serowe. A większość mężczyzn chce wieczorem dostać pełny obiad - zupę, drugie i kompot. Muszę sprawdzić, czy w naszym sklepie mają mrożone zupy Daria).

Po obiadokolacji Roman zacznie oglądać telewizję, a telewizor będzie głośno ryczał. (Mężczyźni mają słuch skonstruowany zupełnie inaczej niż kobiety, lubią, żeby było głośno, a ja przy dźwięku nieco

głośniejszym od szeptu momentalnie zamieniam się w psa Baskerville'ów).

Może się też zdarzyć, że powie: „Gadasz przez telefon już dwie godziny?”. Albo: „Przestań czytać w łóżku!”. Będę musiała jakoś dyskretnie wy badać, czy przeszkadza mu światło.

Za to zawsze będziemy razem i nie będę się czuła taka samotna.

I tak nie czuję się samotna. Czuję się normalnie! Od dawna podejrzewałam, że wszystkie te historie o gorzkim życiu samotnych, zapłakanych kobiet są mocno przesadzone. Nie jest ważne, czy masz męża, ważne, czy masz własne życie. Ot, choćby ja - zaraz ugotuję pielmieni, wieczorem pogadam z Murą, potem chwilę porozmawiam przez telefon z mamą.

Z Żeńką. Z Irką, Olgą i Aloną. Potem poczytam nowy kryminał Akunina... to jest *Studia historyczne*. Moje życie jest całkowicie ułożone i omracza je tylko nieodstępny niepokój - czy Roman zadzwoni, żeby mi powiedzieć dobranoc.

## PAŹDZIERNIK

*2 października, poniedziałek*

W poniedziałek zawsze zaczyna się nowe życie, więc twardo postanowiłam, że właśnie dzisiaj powiem Łyseму, że nie zamierzam płacić mu stu dolarów za parking.

Skradałam się przez podwórko do samochodu, rozglądając się na boki, i nagle pochwyciłam potępiające spojrzenie Łysego - zauważył mnie przez okno i co prędzej zbiegł na dół.

Ale ja się nie dam - zaraz uruchomię swój profesjonalny arsenał psychologiczny. Dla uzyskania skutecznego porozumienia należy przede wszystkim prawidłowo nawiązać kontakt. Tymczasem wiele osób kończy porozumienie kłótnią, nie zdążywszy nawet nawiązać kontaktu. Nie to co psychologowie.



Intensywnie patrzyłam Łysemu w oczy i uśmiechałam się.

- Czemu mi się pani tak przygląda? - zapytał podejrzliwie Łyś.

A to dureń, za cholerę nie rozumie, że wchodzę z nim w kontakt wedle wszelkich reguł psychologii.

Aby kontakt był udany, należy przyjąć dokładnie taką samą pozę jak rozmówca, więc szeroko rozstawiłam nogi, wciągnęłam głowę w ramiona, a ręce założyłam za plecy, jakbym tam miała pistolet.

- Co to ma znaczyć? Przedrzeźniasz mnie? - warknął Łyś.

My, psychologowie, z reguły łatwo wyczuwamy emanujące od rozmówcy zagrożenie, toteż cofnęłam się w stronę klatki schodowej, nie przestając się uśmiechać i przesadnie radośnie machać ręką.

Już niedługo rozwiążę problem z Łysym raz na zawsze.

...Chociaż, jeśli się problemów nie rozwiązuje, jakoś rozwiązują się same: albo Łyś się rozmyśli w kwestii płatnego parkingu, albo umrze śmiercią naturalną... nie, Łyś niech sobie żyje, mam na myśli to, że sprawa przyschnie.

Punktualnie o dwunastej, kiedy wystrzeliła armata w Twierdzy Pietropawłowskiej i jak zwykle przeraziłam się, że wybuchła nieoczekiwanie wojna, wszystkich wykładowców ściągnięto z zajęć na zwołane w trybie pilnym zebranie katedry. Kierowniczka katedry była strasznie zmieniona na twarzy, a wykładowcy w podeszłym wieku siedzieli i bali się, że zapadła nagła decyzja o ich zwolnieniu.

Okazało się, że nikogo nie będą zwalniać, ale mamy poważny kłopot. Trzej nasi studenci z drugiego roku zostali aresztowani za rozprowadzanie narkotyków w bardzo dużych ilościach. Podobno grozi za to wyrok do dwudziestu lat. Kiedy padły nazwiska, krzyknęłam na całe audytorium: „To niemożliwe!”. Jednym z dealerów był mój student, strasznie sympatyczny chłopak o rasowej twarzy i czystym spojrzeniu, niewątpliwie z dobrej rodziny. Przez cały semestr siedział w pierwszej ławce i zadawał inteligentne pytania. Podczas poprzedniej sesji, kiedy dostał u mnie na egzaminie czwórkę, bardzo się przejął i przyszedł zdawać jeszcze raz, na piątkę. Czyżby roz-

prowadzenie narkotyków na taką skalę było dla niego czymś tak zwyczajnym jak dorabianie w wolne dni w charakterze kelnera, że w ogóle się nie denerwował i nie bał, i zależało mu tylko na lepszym stopniu z psychologii? Teraz trafi do więzienia. Jak on mógł? To straszne, straszne!

Byłam tak zdenerwowana, że omal nie zapomniałam, że muszę pilnie zrobić pedikiur i depilację. Jutro spotykam się z Romanem, a włosy na nogach rosną szybko, w przeciwieństwie do włosów na głowie, które po za krótkim ostrzyżeniu trzeba potem zapuszczać całymi latami!

W czasie wykładu zupełnie nie mogłam się skoncentrować na psychoanalizie, bo obserwowałam studentów i ciągle się zastanawiałam, ilu spośród tych chłopców i dziewcząt ci trzej usiłowali... wciskać... Miotalam się między rzędami i przyglądałam się podejrzliwie, czy ktoś nie ma mętnych oczu.

- Czy pani źle się czuje? Może musi pani wyjść? - pytali ze współczuciem studenci.

Powiedziałam, że wszystko w porządku, poza jedną nieznaną im okropną sprawą, o której nie mam prawa mówić: trzej nasi studenci rozprawdzali narkotyki, i zagadnęłam wprost:

- Kto z was uważa, że twarde narkotyki są złe, a lekkie to nie straszne?

Połowa audytorium podniosła rękę.

- Głupcy, czyż nie rozumiecie - zaczęłam z przejęciem - że jeśli człowiek zażywa lekkie narkotyki, to już ZROBIŁ PIERWSZY KROK i teraz z łatwością zrobi następny A poza tym zasmakował w byciu na haju i już nigdy nie zapomni, jak błękitne było niebo, kiedy... no, sami wiecie.

Opowiedziałam o sposobach obrony, nie fizycznych, kijem czy pistoletem, ale psychologicznych. Najważniejsze - to odsuwać od siebie nieprzyjemne myśli, tak by obraz stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż zniknie zupełnie...

Strasznie się denerwowałam, chciałam ich przekonać, że jeśli choć

raz zrobi się coś złego, potem o wiele łatwiej popełnić coś jeszcze gorszego! Poprosiłam, by ci, którzy zrozumieli i się ze mną zgadzają, podnieśli ręce. Podniosły ręce dwie osoby. Bardzo mało. Choć z drugiej strony, jeśli to przeliczyć na żywe dusze - dwie dusze to nie tak źle.

Wjechałam na podwórze, rozmyślając, jak by tu porządnie nastraszyć moich studentów i ocalić jeszcze kilka dusz, i tu nagle sobie przypomniałam: Pedikiur! Depilacja!

Przeszłam przez podwórza i niedaleko, na Puszkina, znalazłam salon piękności „Nimfa”. Salon był luksusowy, pedikiur także, postanowiłam wszakże być prawdziwą kobietą, która nie żałuje na siebie pieniędzy. Zawsze robię pedikiur jesienią i zimą, bo bardzo cieszy mnie myśl o kolorowych paciorkach lakieru ukrytych pod rajstopami i botkami. A na manikiurze jakoś mi nie zależy, choć moje ręce z krótkimi jak u pierwszoklasistki paznokciami są ciągle na widoku i w czasie sesji podpisuję nimi po sto zaliczeń dziennie.

Dziewczyna miała na piersi plakietkę „Tatiana - mistrz manikiuru i pedikiuru”. Ach, czemu wszystkie Tatiany są takie pedantyczne? Czyż naprawdę nie można raz-dwa i po wszystkim? Marzyłam, żeby uciec z jedną wypedikiuowaną nogą. Dziewczyna zapytała, czy może wybrać lakier według swego gustu. Lakier według jej gustu okazał się okropny, jaskrawomalinowy.

Tatiana bardzo surowo zaleciła mi także manikiur i pouczyła, jak należy pielęgnować paznokcie. To bardzo proste, trzeba tylko na noc przecierać je tonikiem, balsamem i emulsją, smarować kremem (są kremy i płyny do każdego rodzaju paznokci) i zażywać specjalne witaminy na wzmocnienie i porost paznokci. Wstydziłam się zapytać, po co hodować szpony jak u sępa - przecież nie bronimy się nimi i nie zdobywamy pożywienia - ale w porę się połapałam, że paznokcie to jej zarobek, im więcej paznokci, tym dla niej lepiej.

W rewanżu za poradę kosmetyczną udzieliłam mistrzyni od pedikiuru i manikiuru porady psychologicznej - jak postępować z dziec-

kiem, które łapie same dwóje. Powiedziałam, żeby się nie martwiła - to normalne, że chłopak dostaje dwójki, a nawet bardzo dobrze, niech się cieszy, że jej dziecko wyrasta na prawdziwego mężczyznę - wolnego i niezależnego. Okazało się, że Tatiana ma córkę.

Po pedikiurze zrobiłam depilację, bardzo, ale to bardzo bolesną! Prosiłam kosmetyczkę, żeby zostawiła trochę włosów z tyłu i po bokach, ale się nie zgodziła, bo wszystko trzeba robić jak należy, a nie po łebkach. Żeby nie myślała o bólu, opowiadała mi o różnych sposobach odmłodzenia mnie. (Co, czy ja naprawdę tak staro wyglądam?!).

Masaż twarzy z maseczką witaminową, poprawiający koloryt skóry, liftingujący. Dziesięć zabiegów, jeden zabieg 400 rubli. (Uważa, że jestem tego warta).

Mikroprądy, upiększające i liftingujące. Dziesięć zabiegów, plus masaż, 950 rubli. (Czy naprawdę jestem tego warta?).

Mezoterapia, poprawiająca od razu wszystko, dosłownie w oczach wyrastają nowe długie paznokcie. Okazało się, że jeden zastrzyk kosztuje 2000 rubli, a potrzeba pięciu.

Czyli za jedne 1000 rubli wprowadzą mi do organizmu jakiś kolagen, przy czym nie można wykluczyć ewentualności, że przydarzy mi się to, co naszej sąsiadce Irce.

Chodziłyśmy z Irką do jednej szkoły. Było to technikum chemiczne i ta specjalność odbiła się silnie na samoświadomości Irki. Irka czuje się jak substancja w probówce. Waży się, odparowuje, wytrąca osad, suszy i znów waży suchą pozostałość.

Zeszłej jesieni obiecano Irce, że będzie wyglądać jak Catherine Deneuve, i Irka dała sobie wszyć złote nici. Zimą okazało się, że nici prześwitują i twarz Irki robi się w kratkę. W tym roku zapowiadają ciepłą zimą, więc Irka mniej się denerwuje.

Najsłabszym jednak punktem Irki są bruzdy od nosa do ust, ale nie dlatego, by były jakoś szczególnie głębokie - po prostu tak jej się wydaje. Irka jest zwolenniczką radykalnych rozwiązań, ale pozbyć się problemu bruzd jak na razie jej się nie udało. Tego lata kazała sobie

wstrzyknąć w to miejsce specjalny, bardzo drogi żel, i okropnie się martwiła, że to działa tylko pół roku. Tymczasem żel wziął i przemieścił się dalej, w policzki, zwłaszcza w prawy. Myślałam, że Irka ma zapalenie okostnej, a okazało się, że to żel.

Podobną sytuację miałam w dziesiątej klasie na lekcji chemii. Należało wpuścić do probówki jedną maleńką kropelkę („Tylko jedną!” - krzyczała chemiczka), ja zaś przypadkiem czy umyślnie kapnęłam od razu dużo, z probówki buchnęła dziwna czarna piana, a ja dalej lałam jak w transie, dopóki chemiczka nie złapała mnie za rękę i nie postawiła do kąta. Powiedziała, że mam stać, aż ochłonę po tym doświadczeniu, bo mnie za bardzo poniosło. I tam, w tym kącie, zrozumiałam, że z chemią trzeba bardzo uważać.

Irka jednak nie ma czasu, by postać w kącie i się zastanowić, toteż teraz musi znosić nadane jej przez Murę przezwisko „Irka Kraciasty Chomik”, w skrócie Irka Chomik. Murka jest z nią na zbyt przyjacielskiej stopie. Irka sama ją rozpuściła, pozwala na taką poufałość, i nic się już na to nie poradzi.

U mnie ten kolagen też może popłynąć, gdzie zechce. Na przykład pod oczy! I będę wyglądać jak świnia z zapłyniętymi ślepiami. Albo do nosa - będę miała nos jak biały przerośnięty prawdziwek... A może mi się poszczęści i żel przemieści się w uszy. Będę wtedy nosić swetry z wysokim golfem.

Kosmetyczce też udzieliłam porady psychologicznej. Jej przyjaciel chce jesienią spędzić urlop w Turcji, a ona woli jechać zimą na narty. Poradziłam, żeby pojechali do Turcji zimą: otwarto tam ośrodek narciarski z trasami zjazdowymi na plaży. Jestem prawie pewna, że gdzieś o tym słyszałam.

Nie, chyba nigdy nie rozstanę się z Tatianą, mistrzem od pedikiuru i manikiuru! Zapomniałam u niej pierścionka. Cały salon go szukał, wezwano sprzątaczkę, kierowniczkę, do poszukiwań przyłączyły się ochoczo, wietrząc awanturę, niektóre klientki. Pierścionek wpadł jak

kamień w wodę.

Kierowniczką salonu chciała wzywać milicję, a ja perswadowałam niedbale:

- Ależ dziewczęta, dajcie spokój! Wzywać milicję z powodu byle błyskotki!... Chociaż... bądź co bądź, to pamiątka jak byłam w piątej klasie, kupiłyśmy sobie z koleżanką te pierścionki w sklepie ze sztuczną biżuterią... może milicja go znajdzie...

Pierścionek błyskawicznie, jak w filmie rysunkowym, znalazł się na podłodze. Brylant w oksydowanym srebrze. Brylanty starej obróbki do złudzenia przypominają szkiełka, bo kiedyś nie umiano ich szlifować. Ten pierścionek mama Denisa dała mi po urodzeniu Mury.

Wyjaśniłam kierowniczkę oraz dziewczętom psychologiczne podejście do utraty pierścionka i do życia w ogóle, po czym wręczyłam im swoją wizytówkę: gdyby miały jakieś problemy, zawsze mogą zadzwonić.

*7 października, sobota*

...Tuż przed ósmą wieczorem, kiedy obie z Murą zaczęłyśmy właśnie umierać z głodu, przyszła mama. Przyniosła gołąbki w sosie pomidorowym i szarlotkę. Największe szczęście, jakie może spotkać człowieka - to mieć w zasięgu ręki mamę i gołąbki w sosie pomidorowym!

Zjadłam trzy gołąbki, potem jeszcze jeden malutki i niewielki kawałek szarlotki (dieta rozpoczęła, kiedy pójdę na shaping), Murka - dwa gołąbki i połowę szarlotki.

O wpół do dziewiątej przyszła Irka Kraciasty Chomik z mężem Piotrem Iwanyczem. Ten to ma nosa do gołąbków mojej mamy!

Znamy się od stu lat jak łyse konie, toteż Piotr Iwanycz postanowił opowiedzieć mamie, jak się potoczy życie Irki, kiedy jemu się coś stanie. Piotr Iwanycz ma czterdzieści lat, na nic nie choruje i nie ma powiązań z kryminalnym biznesem, po prostu jest starszy od Irki o trzy lata i uważa, że dokładnie o te trzy lata ona go przeżyje.

Piotr Iwanycz przekonywał mamę, Murę i mnie, że pieniądze należy lokować w banku i nieruchomościach, bo „w razie czego” Irka będzie mogła bez trudu je podjąć, załatwić, ze wszystkim sobie poradzić i tak dalej.

Mama siedziała cała czerwona i patrzyła na mnie z miną „źle się w życiu urządziłaś” i „trzeba myśleć o przyszłości”. Mnie też powoli podgryzał mały, wstrętny robaczek, który pojawia się zawsze, kiedy człowiekowi zaczyna się wydawać, że inni mają wszystko, a on pozostał na marginesie życia. No właśnie, gdzie jest moja karta bankowa? To znaczy, karty w ogóle nie mam, ale gdybym znalazła swój dowód, mogłabym założyć sobie konto i polecić, by przelewano mi na nie pensję.

Chociaż... Znamy z literatury mnóstwo przykładów na to, jak w jednej chwili znikają olbrzymie majątki, a i z własnego doświadczenia wiem, że z wkładami pieniężnymi nie ma lekko... Kiedyś już miałam piękną niebieską kartę bankową. Wpłaciłam na nią wszystkie pieniądze i wyobrażałam sobie, jak będę wszędzie się nią posługiwać - nonszalancko i z lekkim znużeniem, z miną osoby od dawna przyzwyczajonej do operacji bezgotówkowych. Z tą kartą pojechałyśmy z Murą do Żeńki do Niemiec i dopiero po wsunięciu cudownej karty do bankomatu uświadomiłam sobie, że ten kawałek plastiku to za mało, by otrzymać pieniądze - potrzebny jest PIN. A PIN-u właśnie zapomniałam - myślałam, że zapamiętam, nie zapisałam sobie, i wyleciał mi z głowy, każdemu może się zdarzyć. I znalazłyśmy się z Murą za granicą bez grosza, ale za to z kartą. Nie chcę teraz wspominać wszystkich upokorzeń, które musiałyśmy znieść, prosząc o pieniądze najpierw w petersburskim banku przez telefon (uznano tam, że jestem jakąś zwariowaną żebraczką, która skądś wytrzasnęła ich numer telefonu), a potem pożyczając od sąsiadów Żeńki.

Najgorzej było już w Pitrze, kiedy musiałam tłumaczyć w banku, że zapomniałam PIN-u i jednocześnie zgubiłam samą kartę, a i dowód gdzieś mi się zapodział...

Długo, bardzo długo nie mogłam podjąć swoich pieniędzy, a w

dotatku urzędnik do spraw kontaktów z klientami zaproponował, abym na koszt banku zbadala swoją poczytalność...

...Tak że lepiej nie myśleć o przyszłości w aspekcie wkładów pieniężnych, bo nie zawsze udaje się je lekko odzyskać.

O wiele ważniejsza jest przyszłość naszych dzieci, więc postanowiłam, że o przyszłości Mury zacznę myśleć zaraz teraz.

- Zastanówmy się nad dalszym losem Mury - zaproponowałam. - Na jakie studia powinna pójść, skoro nie ma żadnych zainteresowań, umie tylko kłamać, że oni wszyscy mają dwóje i jej własne dwóje na tym tle wyglądają prawie jak trójki?

- Mura ma przed sobą jeszcze rok nauki w szkole, więc dlaczego akurat teraz? - zdziwiła się Irka.

- A kiedy?! - zdziwiłam się z kolei ja i zaczęliśmy omawiać przyszłość Mury.

- Dokąd cię ciągnie, Muroczko? - spytała mama.

- Ciągnie mnie do Benettona, do Mango i do Mexx - odpowiedziała szczerze Mura.

- Tu nie ma o czym dyskutować. - Mama machnęła ręką. - Nasza Muroczka pójdzie na filologię.

Jasne, to najprostsze rozwiązanie. No bo gdzie indziej można posłać dziewczynkę z „dobrego domu”?

Za moich czasów (brzmi to strasznie, jakbym miała co najmniej dwieście lat) dziewczynki bez żadnych zainteresowań rodzice oddawali na uczelnie techniczne, niczym butelki do skupu. Oddawali dziewczynę bez dyplomu i otrzymywali w zamian dziewczynę z dyplomem. I te dziewczyny, o dziwo, nawet przyzwoicie się tam uczyły. Zresztą każdy człowiek o przeciętnych zdolnościach jest w stanie studiować wszystko, nawet metalurgię czy teatrologię. Potem, oczywiście, mogą się pojawić problemy. Na przykład teraz te dziewczyny stały się całym pokoleniem czterdziestolatek niemających własnego miejsca w życiu...

Tak, filologia. W dodatku Mura chodzi do najbardziej prestiżowego liceum humanistycznego w mieście. Tę szkołę skończyły dzieci



wszystkich ważnych osobistości - Sobczaka i Gribienszczikowa, konsulów, aktorów itd. I nasza Mura też zdobywa tam głęboką wiedzę ze wszystkich przedmiotów.

- Tak, tak, na filologię. Zaraz wszyscy razem sprawdzimy jej wiadomości - zaproponowała mama. - Muroczka, kochanie, kto napisał *Burzę!*

- Nie pamiętam.

Mama nerwowo podrapała za uchem Lwa Jewgienjewicza (na co dzień ich stosunki są chłodne, bo mama nie lubi złodziei), ukradkiem zerkając na boki, chociaż oprócz nas, Irki i Piotra Iwanycza nikogo więcej nie było.

- A *Wiśniowy sad*, kto napisał *Wiśniowy sad*, Mura?

- Gribojedow - odrzekła Mura, widząc jednak nasze miny, natychmiast się wycofała: - Nie Gribojedow? A kto?

- Mura, a co napisał Dostojewski? - zapytała mama, bezsilnie odchylając się na oparcie fotela i zamykając oczy.

Mura to dobre dziecko i zawsze stara się zrobić babci przyjemność.

- Wiem! *Biesy i Ojców i dzieci...* - odrzekła skwapliwie. - Nie, nie, tylko mnie nie przekonujcie, że nie Dostojewski! Żabę kroili w *Ojcach i dzieciach*?! I staruszkę też tam kroili! Co, może nie? Za to wiem, że Czechow napisał *Wańkę Żukowa* i dalszy ciąg, jak Wańka był dorosły - *Wujaszka Wanę*.

- Murka! Pomówmy teraz o poezji! Jakich znasz rosyjskich poetów? - zapytała przymilnie mama, i nagle wyczułam w jej tonie agresję.

- Majakowskiego! Majakowski napisał *Obłok w spodniach*. Z rosyjskich poetów znam jeszcze takich: Puszkina, Lermontowa, Błok i Jewtuszonek.

- A kto żył wcześniej, Błok czy Jewtuszonek? - spytała podejrzliwie mama.

Ale Murę niełatwo było zbić z pantafyku.

- Jednocześnie.

Mama sądzi, że Mura się wygłupia, ale ja wiem, że nic podobnego.

No, może troszeczkę - żeby zabawić widownię. Nasza Mura nie ma zielonego pojęcia o literaturze. Trudno powiedzieć, kto tu zawinił - rodzina czy szkoła - ale przecież nie ja i nie moja Mura! Czyli pozostaje szkoła! Ta elitarna szkoła całkowicie zniechęciła Murę do procesu poznania.

Dla mnie nie czytać to to samo co nie jeść, nie pić i w ogóle nie żyć. Czytam bezustannie - rano, zanim wstanę, przy jedzeniu, w samochodzie, stojąc w korkach... Kiedyś, gdy czytałam, stojąc w korku na Fontance, z sąsiedniego samochodu wychylił się kierowca i powiedział: „Pani to dobrze, ma pani autopilota!”.

Tylko raz w życiu nie czytałam przez cały miesiąc. Kiedy zmarł mój tata. Byłam wtedy jeszcze całkiem mała. Miałam trzydzieści dwa lata. Tata wtedy też nie był jeszcze zupełnie dorosły - miał zaledwie pięćdziesiąt cztery. Wieczorem wszyscy razem, z mamą, Murką i Denisem, piliśmy herbatę i śpiewaliśmy nasze ulubione piosenki: *Na Newskim sobie stałem, za kieszeń się trzymałem...* potem *Kurczak pieczony* i *Wiruje ciągle błękitny glob*. I było jakoś szczególnie ciepło i serdecznie, a może potem tak sobie wyobraziłam, w rzeczywistości zaś było zwyczajnie, i nigdy nie zapamiętałabym tego wieczoru, gdyby tamtej nocy tata nie umarł. I gdy stałam nad nim, już martwym, czułam się, jakbym miała pięć lat. I kiedy ktoś pyta mnie o rodziców, mówię: „Mój tata nie żyje”, i natychmiast gdzieś w środku wzbierają we mnie łzy, jakby stało się to wczoraj i jakbym wciąż miała zaledwie pięć czy sześć lat. Właśnie wtedy przez cały miesiąc nie mogłam czytać, brałam książkę do ręki i natychmiast zaczynałam płakać. A poza tym czytam ciągle. I nie rozumiem, jak mogłam wychować tak potwornego nieuka jak Mura.

Murka spostrzegła moją minę i postanowiła się usprawiedliwić.

- Ale za to wiem, kto napisał *Dziennik Bridget Jones*, pierwszy tom... i drugi też - pochwaliła się i umilkła w oczekiwaniu pochwały.

- Brawo, Mura. - Mama uśmiechnęła się smętnie, niby mieszkanka ostatniej wysepki kultury w naszym świecie. - Twoja matka - doktor nauk pedagogicznych - wychowała bardzo trendy dziewczynę! Skąd mama zna słowo „trendy”? Czyta tygodnik „Afisz”?

Mama poszła do domu, a Irka Chomik siedziała i siedziała kamieniem! Skłamałam, że muszę się przygotować do wykładów, ale Irka powiedziała, że wykłady to bzdet.

Wtedy wymyśliłam, że zaraz przyjdzie do mnie w erotycznych zamiarach Roman. Na to Irka rozsiadła się wygodniej i oznajmiła, że zerknie tylko jednym oczkiem i w ogóle nie będzie przeszkadzać...

Nie poddałam się i oświadczyłam, że muszę koniecznie od stóp do głów owinąć się morskimi wodorostami dla poprawy kolorytu twarzy i całego ciała. Ten argument Irka Chomik uznała za istotny i wreszcie się wyniosła, ja zaś zabrałam się do czytania *Studiów historycznych*, a nie nowego kryminału Akunina. Podła Murucha schowała przede mną nowego Akunina w swoim pokoju. Ale zakradliśmy się tam z Lwem Jewgienjewiczem, dokładnie przeryliśmy Kupę i znaleźliśmy wszystko, co chcieliśmy - ja Akunina, a Lew Jewgienjewicz niedojedzoną kanapkę z żółtym serem.

Późnym wieczorem, prawie w nocy, przyszedł mi do głowy w związku z Murą wspaniały, całkiem nowy, rewelacyjny pomysł. Instytut Stosunków Międzynarodowych! Nie mogłam się doczekać rana, obudziłam Murę i spytałam, czy chce zostać ambasadorem.

- To już wolę wyjść za ambasadora i być ambasadorową - odparła Mura.

A więc nie ma nic przeciwko temu! To bardzo dobrze, trzeba lubić swój zawód! Tylko nie pamiętam, czy Mura orientuje się w polityce... Mura powiedziała, że akurat bardzo dobrze się orientuje i że prezydentem Francji jest Jak Cydrak, po czym natychmiast zasnęła.

Jak Cydrak? Prezydentem Francji? Może i tak, ja też skądś znam to nazwisko...

Przypomniałam sobie, skąd je znam: „Byli sobie trzech Japońcy...

Ożenił się Jakcy z Cypą, Jakcy Drakcy z Cypą Drypą...”.

### Lista spraw na jutro

1. Zadzwoić do Denisa i przekonać go, że Mura zostanie ambasadorem, co wymaga sporych nakładów, przede wszystkim na korepetycje...

2. Koniecznie włożyć komplet bordo, majtki i stanik, jutro mam randkę z Romanem, hura, hura, hura!

*9 października, poniedziałek*

Rano.

Byłam już spóźniona na wykład, ubierałam się w pośpiechu, szybko rozdzieliłam Lwa Jewgienjewicza i Sawwę Ignatjicza (pobili się na łóżku Mury o niedojezdzony glazurowany serek), zastanawiając się, czy się nie przyłączyć do walki o serek - nie zdążyłam zjeść śniadania.

Depilacja i pedikiur się nie przydały, bo Roman nie znalazł miejsca, w którym mogłabym je zademonstrować.

Człowiek nigdy nie zna dnia ani godziny, szkoda tylko, że już zrobionych, a niewykorzystanych zabiegów nie można przełożyć na następną okazję. Nieustanne utrzymywanie się w stanie permanentnego zadbania to ciężka praca bez chwili wytchnienia i snu: ledwie zrobisz pedikiur i uznasz, że na jakiś czas masz spokój, kiedy już musisz ufarbować włosy, i tak dalej.

Gdyby tak mężczyźni musieli:

1. Zawsze, ale to zawsze depilować włosy na rękach i nogach, a w dodatku w okolicach bikini.

2. Rzucac się z pęsetą na każdy włoszek na twarzy.

3. I jeszcze regulować brwi - i gdyby strach było pomyśleć, że mogliby się pojawić w miejscu publicznym z wąsami.

Niech tam, do diabła z niepotrzebnie zrobioną depilacją, to nawet

lepiej, że on po prostu chce ze mną być, a nie tylko uprawiać seks! Roman tak czy owak potrafi z każdego spotkania zrobić prawdziwe święto! Przyniósł mi kwiaty - ogromny niebiesko-żółty bukiet.

Nie lubię tych ozdobnych celofanowych opakowań do kwiatów. I kwiatów też nie lubię. Ich delikatne ścięte główki mają w sobie coś niemoralnego, jakby to były dziewczynki w zadartych spódniczkach i koronkowych majteczkach. Ale nie powiem mu tego, bo pomyśli, że jestem niewdzięczna.

- Lubisz sushi? - zapytał Roman, a ja powiedziałam, że tak, lubię.

Tak naprawdę lubię kuchnię włoską - pastę, wszystko jedno jaką, pizzę, też wszystko jedno jaką, najlepiej z szynką, i tłuste desery - tiramisu albo panna cottę... Lubię też lody, najbardziej z konfiturami. Niezła jest też kuchnia amerykańska - hamburger albo stek z frytkami. No i owoce morza, ale tylko krewetki, bo małże, czy co tam jeszcze, pachną jak gnijący jesienią staw. Teraz jednak każdemu idącemu z postępowym człowiekowi wypada lubić sushi, więc nie chciałam, żeby Roman pomyślał, że jestem prymitywnym żarłokiem, który tylko by się opychał makaronem. Poszliśmy do baru sushi na Newskim przy moście Aniczkowski.

Nie wiem, co mi się stało w tym barze sushi; mam doktorat z psychologii, jestem matką Mury, karmicielką Lwa Jewgienjewicza i Sawwy Ignatjicza, wykładowcą, który potrafi stać bez tremy przed setkami studentów, a tu zupełnie straciłam głowę.

Nie potrafiłam niczego zamówić, myszkowałam oczami po jałospisie i mamrotałam coś bez sensu. Z Denisem nie chodziłam do barów sushi, bo było ich wtedy o wiele mniej niż obecnie. Po Denisie wszystkie moje restauracyjne doświadczenia wiązały się z Żeńką, a obie, po pierwsze, zawsze oszczędzamy - wiadomo przecież, że lepiej kupić nową dwudziestą piątą bluzkę niż zjeść głupi obiad w restauracji - a po drugie, Żeńka też woli pizzę i tłuste desery.

Jako osoba po zęby uzbrojona w wiedzę psychologiczną, wiem, że jeśli człowiekowi brakuje pewności siebie, najlepsze wyjście to nie wstydzić się, nie wpadać w kompleksy, ale szczerze powiedzieć: „Nie

umiem tego, pomóżcie mi”. Zazwyczaj na pewności siebie mi nie zbywa, ale tu nie wiem czemu się wystraszyłam, że Roman weźmie mnie za nieobytą idiotkę, i po prostu stuknęłam palcem w jakiś obrazek w menu, mając tylko nadzieję, że nie będzie to olbrzymia porcja dla hipopotama...

Kiedy mi przyniesiono danie olbrzymie jak dla hipopotama, pomyślałam: teraz Roman uzna, że jestem albo żarłokiem, albo sknerą.

Najpierw próbowałam jeść to pałeczkami, ale pałeczki wleciały pod sufit, jakbym była jakimś słynnym żonglerem, tyle że nie udało mi się ich złapać. A Roman posługiwał się nimi tak, jakby chodził w dzieciństwie do japońskiego przedszkola.

- Masz ochotę na wasabi? - zapytał.

- Jasne. Bardzo lubię wasabi - odparłam z miną stałej bywalczyni barów sushi, popatrzyłam, co robi Roman, i też wzięłam sobie trochę jakiejś zielonej pasty z malutkiej miseczki.

Natychmiast oczy wyszły mi z orbit i napełniły się łzami.

- Pycha - zapiszczałam, gdy tylko udało mi się złapać oddech po tej przyprawie dla dzikusów z plemienia pożeraczy ognia.

Wszystko w środku tak strasznie mnie piekło, że z normalnym widelcem też nie mogłam sobie poradzić i najpierw opryskałam biały sweter Romana sosem sojowym, a potem upuściłam na spódnicę kawałek surowej ryby (nie zauważył tego, bo niedbałym gestem strąciłam rybę pod stół, na jego spodnie).

A dokoła mnie wszyscy posługiwali się pałeczkami jak prawdziwi smakosze japońskiej kuchni, i tylko ja byłam wsiową dziewczuchą, która uciera nos rękawem, podczas gdy wszyscy inni od dawna używają chusteczek.

Roman opowiadał mi o swojej pracy, to jest o telewizji. Nie ma zamiaru przez całe życie być prezenterem (dlaczego, moim zdaniem, fajnie być prezenterem, wszyscy marzą, żeby kiedyś znaleźć się na ekranie, a on pojawia się tam w każdą środę o piętnastej), bądź co bądź, jest producentem, tak ma napisane na wizytówce.

A ja myślałam, że producent to taki facet, który daje pieniądze na

projekt, nie wiedziałam, że tacy producenci są tylko w Ameryce. Okazuje się, że jest akurat na odwrót - producent stara się zdobyć pieniądze na swój projekt. No i Roman właśnie przygotowuje kosztorys swojego projektu, ma rewelacyjny pomysł na format. (Strasznie mi się podoba słowo „format”).

I Roman szuka teraz do swojego superprogramu (coś o muzyce, w każdym razie program nosi tytuł „Muzyczne pasje”) kogoś, kto by go sfinansował, i nie może znaleźć, bo, jak się okazuje, jest to najtrudniejsza część pracy producenta.

Doskonale rozumiem kłopoty Romana, bo mnie też będzie bardzo trudno wyciągnąć od Denisa pieniądze na sfinansowanie korepetycji dla Mury (uważam, że mój pomysł dotyczący jej przyszłości jest po prostu wspaniały).

Roman był bardzo przejęty i przedstawił mi szczegółowo swój plan. Najpierw pójdzie do głównego producenta kanału STS (kanał! producent!) i pokaże mu synopsis. Strasznie mi się podoba słowo „synopsis”, jest prawie tak samo urzekające jak „scena”, „antrakt”, „bufet”. Nie wiedziałam tylko, co to znaczy, ale pomyślałam, że nie będę pytać, lepiej sprawdzę później w słowniku.

Roman powiedział, że jego żona zupełnie się nie interesuje jego problemami! Źle robi. Dla mężczyzny najważniejsze jest wcale nie jedzenie czy seks, ale żeby ktoś go wysłuchał i zrozumiał. Mogłaby przecież zaczekać, aż własna opowieść pochłonie go bez reszty, po czym chyłkiem przekraść się do telefonu, wystukać ukradkiem numer najlepszej przyjaciółki i z miną wyrażającą całkowite zrozumienie wyślizgnąć się cichutko do drugiego pokoju.

Jako psycholog zawsze z wielką uwagą wysłuchuję problemów Romana, bo wszystkie one dotyczą telewizji i show-biznesu! Sama też mam pewne związki z show-biznesem - w piątej klasie grałam księżniczkę, ubrana w niebieski szlafrok mamy do samych pięt, z przyszytym kołnierzem ze strzyżonego baranka.

Właśnie chciałam opowiedzieć, jaki sukces odniosłam w barankowym kołnierzu, kiedy Roman oznajmił, że musi iść do domu.

Oj, a ja myślałam, że po barze sushi będę miała okazję zademonstrować mu swoją depilację, bo do następnego razu moje nogi znowu zaczną wyglądać gorzej...

Dobrze, że jestem psychologiem i wiem, że nie należy okazywać żonatemu kochankowi urazy o to, że poświęcił mi mniej uwagi, niż się spodziewałam, bo to poniżające!

- Jak to do domu? Już do domu? - spytałam. - No to i ja muszę do domu, a raczej do Mango, akurat zaczęła się tam wyprzedaż letniej kolekcji.

- Kochanie, Mango to już nie na twoje lata.

- O-o-o... - jęknęłam zaskoczona. Czemu, no, czemu nie na moje lata?

Skąd on wie o Mango? Skąd?! A może ma młodą kochankę? Przecież ja mam już trzydzieści pięć lat, a on zaledwie trzydzieści pięć, a poza tym jestem pewna, że w telewizji aż się roi od młodych dziewcząt. Młoda kochanka Romana kupuje sobie ciuchy w Mango, myślałam ponuro i wyobrażałam sobie, jak Roman stoi obok przy mierzalni, patrzy na dziewczynę z zachwytem i powtarza: „Bardzo ładnie, po prostu ślicznie...”.

- Wymyśliłem dla ciebie zajęcie, żebyś się nie czuła samotna wieczorami - powiedział Roman, by zamydlić mi oczy. - Napisz książkę.

Co mu strzeliło do głowy, że czuję się samotna? Mam na głowie Murę, mamę, Żeńkę, Lwa i Sawwę, Alonę, Olgę, *Studia historyczne*...

- Książkę? Ostatnią rzeczą, jaką pisałam, było wypracowanie na temat „Postać Nataszy Rostowej”. A o czym miałabym pisać? I jaki to miałby być gatunek literacki?

- To bardzo proste. Weźmy takie zdanie: „Wiera patrzyła w niebo”. W różnych gatunkach literackich wygląda to różnie. Na przykład romans z „momentami”: „Wiera patrzyła w niebo, podczas gdy jego ręka niecierpliwie szukała jej majteczek”.

- Przecież nie musiał ich szukać. Co, miała je na nosie?

- Dobra, dobra, nie udawaj. Wyobraź sobie, że masz zadaną



pracę domową, i pisz.

...Prawie nauczyłam się jeść pałeczkami, poza tym odkryłam ich dodatkową funkcję - pałeczki ze względu na swą długość świetnie się nadają do kradzieży! Pod koniec operowałam już nimi tak swobodnie, że zręcznie wyciągnęłam z paczki Romana papierosa i zastanawiałam się nawet, czy nie ściągnąć z sąsiedniego stolika bardzo apetycznego sushi z ogórkiem. Ale Roman musiał już iść.

Powoli sunęłam Newskim moim ulubionym bezpiecznym prawym pasem, nie tracąc jednak czasu - bardzo poważnie obmyślałam temat swego przyszłego utworu.

Wiadomo, że najlepiej sprzedają się kryminały, więc kluczowe zdanie będzie brzmiało następująco: „Wiera patrzyła w niebo i nie zwróciła uwagi, że tuż obok niej popełniono podwójne morderstwo”.

Modne są też thrillery mistyczne, a taki thriller należy rozpocząć od słów: „Wiera patrzyła w niebo i nie spostrzegła, jak zza drzewa wyłonił się wilkołak”. (Wilkołak może być w mundurze albo jeszcze w czymś innym).

A może będzie to prawdziwa historia, wzięta ze współczesności? „Wiera patrzyła w niebo, a tymczasem obok przeszedł absolutnie wolny oligarcha i przywarł do niej silnymi plecami”. Tak, niezłe... Już czuję się pisarką! Ciekawe, ile wyniesie honorarium? Zrobię remont, pojedziemy z Murą do Londynu albo lepiej na jakieś wyspy... mamie kupię futro ze ścinków norek, Sawwie i Lwu Jewgienjewiczowi gumowego koguta.

Ale przecież pisarz musi znać swoich bohaterów, a ja zupełnie nic nie wiem o oligarchach! Wyobraziłam sobie, że wszyscy oligarchowie mieli trudne dzieciństwo, że przylepiali brudne nosy do witryn sklepowych i pożąдали, pożąдали, pożąдали! Niech mój osobisty oligarcha wywodzi się z ludności napływowej. Tylko jak został oligarchą?

No nic, napiszę to w formie zwięzłego szkicu, na przykład tak: „Nędza. Obce miasto. Marmury, brylanty, szyby naftowe. Oligarcha”.

(Całkiem jak u Błoka: „Noc. Ulica. Latarnia. Apteka”).

Kiedy tak pracowałam nad powieścią, jakiś oszalały milicjant leciał Newskim przed moim samochodem i machał do kogoś lizakiem. Przejechałam obok niego bardzo powoli i niechcący wytrąciłam mu lizak z ręki. Okazało się, że biegł za mną i machał też do mnie.

- Panie władzo, jestem pisarką... przepraszam! - powiedziałam. - No i, wie pan, jak to bywa, myślałam o swoich sprawach literackich, a tu nagle pan...

Milicjant okazał się człowiekiem miłym i lubiącym literaturę, nie zażądał ode mnie ani prawa jazdy, ani pieniędzy, i nie wiem czemu, powiedział, że dla psychicznych nie ma miejsca na drogach. Dlaczego?

Kiedy w domu ściągałam spodnie, wypadł z nich na podłogę jakiś czarny kłęb. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś straszliwa i tajemnicza rzecz, ale były to tylko rajstopy, które od wczoraj tkwiły w nogawce. Jak ja mogłam rano wbić się w portki ze zwiniętymi rajstopami i przechodzić tak cały dzień?!

Dobrze, że dziś nie udało nam się spędzić czasu TAK! Wyobrażam sobie, jakby się Roman zdziwił, gdyby zaczął mnie rozbierać i znalazł w środku zapasową sztukę bielizny! Los zawsze wie, co czyni.

*10 października, wtorek*

Umówiłam się z Aloną na rogu Newskiego i Majakowskiego, żeby razem położyć po sklepach (w nawale pracy literackiej nie dałam rady wpaść do Mango).

...Roman nie dzwonił, ale nie martwię się specjalnie - prawdę mówiąc, też mam od cholery własnego życia, na przykład jutro idę z wizytą, na parapetówkę do Alony. Nie będzie to zwykła parapetówka, ale luksusowe przyjęcie, więc zaraz dzisiaj wezmę i kupię sobie na sezonowej wyprzedaży w Mango prawdziwą wieczorową suknię.

W Mango całkiem straciłam głowę i miotałam się między młodzieżowymi ciuchami niczym tłusta, podstarzała hipopotamica. Ojoj! Najmniejszy numer to 46...

Ekspedientki w tym sklepie są okropne. Jedna przyniosła mi spodnie i powiedziała, że to największy rozmiar, po prostu ogromny. I w ten największy, po prostu ogromny rozmiar nie weszłam.

Tragedia. Jak widać, Roman miał rację - wszystkich tych cudownych, króciutkich spodenek i koszulek w moim wieku się nie nosi.

Po przymierzeniu całego sklepu zrozumiałam, że w moim wieku w ogóle nie powinnam się ubierać.

Nigdzie człowiek nie wygląda tak koszmarnie jak w przymierzalni - całe mnóstwo tłustego cielska w sinym kolorze. Cellulitis wszędzie: na udach, na biodrach, chyba nawet na uszach. Człowiek z takim wyglądem w ogóle nie powinien myśleć o ciuchach. Po co mu ciuchy, skoro jest zwyczajnym potworem?

Gdybym była właścicielką sklepu, wszędzie poustawiałabym kabiny z lustrami, w których wszystkie klientki wyglądałyby szczuplej niż w rzeczywistości. I tłuste babska w mgnieniu oka rozdrapałyby cały towar, a ja miałabym niesłychane zyski! Ale nie jestem właścicielką sklepu, tylko zwykłą pisarką...

Kupiłam Murce dwa sweterki i spodnie, co do mnie zaś, to wszystko okazało się za małe, a na dobitkę albo w krataczkę, albo w paseczki, albo z koroneczkami. Alona powiedziała, że w takim stroju nadają się do żłobka.

Przyjaciółka przekonywała mnie, że moja koncepcja ubierania się jest niewłaściwa, że ubieram się, jakbym miała dwanaście lat. Może ma rację i powinnam kupić sobie długą czarną spódnicę, czarny żakiet i biały żabot.

Ale dorosłe ciuchy są drogie, a przecież jeszcze Coco Chanel mówiła, że bardzo drogi strój postarza. A może mówiła, że drogi strój BARDZO postarza?

Z tego wszystkiego postanowiłam w charakterze kreacji wieczorowej kupić nowy czarny sweter.

### Spis swetrów

1. Czarny ściągaczowy sweter, dawniej nazywało się je „futurał” (zbyt młodzieżowy dla mnie?). Odłożyli mi go do 20.00.

2. Czarny sweter z czystej wełny, dawniej zwany „szetlandem” (zbyt poważny dla mnie?). Odłożyli mi go do jutra.

Dziwne, dlaczego tak im zależy, żeby mi sprzedać ten sweter, że nawet zgodzili się go zatrzymać do jutra? Poza tym on kosztuje sto dolarów, to tak czy owak za drogo, i wtedy nie będę mogła kupić spodni, które są mi naprawdę potrzebne.

Człowiek, który tak jak ja ma pensję w wysokości 5650 rubli, może sobie kupować po jednym centymetrze takiego swetra miesięcznie.

3. Czarny sweter, bardzo tani, syntetyka bez domieszki, więc raz-dwa się zdefasonuje.

Podsumowanie: 1. Wszystkie sklepy w całym mieście są zawałone teoretycznie moimi swetrami. 2. Mura ma dużo nowych rzeczy.

Ledwie dojechałam do domu, samochód ciągnął resztkami sił i co chwila usiłował zgasnąć.

Wieczorem opowiadałam Żeńce o trudnościach Romana ze sfinansowaniem jego projektu. Żeńka zauważyła złośliwie, że stałam się kurą, która żyje wyłącznie zainteresowaniami swojego kochanka.

Ciekawe, dlaczego kurę uważa się za symbol oddania, czy kura naprawdę żyje zainteresowaniami koguta, a jeśli tak, to jakimi? Weźmy na przykład wydziobywanie robaków - przecież to wciąż ten sam problem finansowania.

To nieprawda, że żyję tylko jego problemami! A kto szukał dla siebie swetra jak oszalały królik?! I kto jutro idzie na przyjęcie?!

Kiedyśmy z Murą zjadły przy telewizji kolację (kotlety po ki-

jowsku Daria) i zamierzałyśmy posłuchać muzyki i może trochę potańczyć, zadzwoniła Olga.

Miała złe wiadomości, po prostu okropne - zwolnili ją z kolorowego tygodnika. Olga wyliczyła z goryczą, co straciła:

1. Bardzo przyzwoitą pensję.

2. Plus wierszówkę.

3. I, co najważniejsze - to, że do redakcji mogła przychodzić o pierwszej po południu albo nawet wcale nie przychodzić.

Olga powiedziała, że mogłaby się dostać do każdej brukowej gazетки, ale jest prawdziwą profesjonalistką i za nic tam nie pójdzie, woli raczej głodować.

- Ale jak ja mogę głodować, przecież mam Dimoczkę - jęknęła z rozpaczą.

Przemilczałam to taktownie, powiedziałam tylko, że lepiej niech od razu rzuci Leżącego.

- On jest geniuszem, a ty jesteś głupia - odparła Olga bez gniewu.

Fakt - ona sama mogłaby głodować, ale ma na głowie Leżącego, którego trzeba żywić, kupować mu papierosy i ubierać... Dobrze, że Olga niedawno kupiła mu kamerę i Leżący obmyślił właśnie doskonały plan zarabiania na artystycznych filmach wideo...

Przed zaśnięciem miałam straszne wyrzuty sumienia, że tyle wszystkiego chciałam nakupić: i swetry, i spodnie, i koszulki, i nawet jedną marynarkę. Ale z drugiej strony, przecież się nie maluję (a kosmetyki są koszmarnie drogie), nie robię sobie masaży i maseczek w salonach kosmetycznych i nie owijam się tam kosztownymi wodorostami (jak Alona).

Pieniądze wydaję jedynie na książki (i to tylko dlatego, że w księgarni ogarnia mnie zaćmienie umysłu, a to już nie moja wina) i na tanie młodzieżowe ciuchy. Więc o co te pretensje?

Uświadomiłam sobie, że w ogóle nic nie kupiłam, tylko chciałam. Jedyne, co mi jest naprawdę potrzebne, to małe półkozaczki, zamaszowe, na niewysokim obcasiku. Chociaż jestem teraz pisarzem, to

na razie jeszcze nie Lwem Tolstojem, żeby chodzić na bosaka.

Już naprawdę zasypiałam, kiedy mi się przypomniało, że miałam sprawdzić w słowniku, co to jest „synopsis”. Okazało się, że owo strasznie ważne telewizyjne słowo oznacza po prostu krótkie, zaciekawiające streszczenie. (Ja też na początku nudnego wykładu, żeby zainteresować studentów i dodać im zapału, oznajmiam, że będę dziś mówić o miłości itp., a potem opowiadam o teorii poznania itp.).

*14 października, sobota*

W soboty rano zawsze mam dobry nastrój - jestem radosna i ożywiona. Jeśli wiem, że wieczorem idę z wizytą. Nie chodzi o to, że sobie obiecałam, iż w soboty koniecznie będę gdzieś wychodzić: jako osoba samodzielna zawsze mam się czym zająć - mogę poczytać *Studia historyczne* albo przygotować się do wykładów (tym bardziej teraz, kiedy prawie zaczęłam pisać książkę), ale jeżeli nigdzie nie idę, to wieczorem zawsze jakoś ocykam się przed wyłączonym telewizorem, w piżamie w zajączki i z myślą, że gdzieś tam kipi prawdziwe życie z prezentacjami, klubami, koktajlami, balami, spotkaniami u przyjaciół, i że oczywiście kipi beze mnie.

Dziś rano koniecznie muszę pójść do sex shopu.

Koło dziesiątej, kiedy już prawie wyszłam do sex shopu, zadzwoniła Żeńka. Szlochała i zamierzała emigrować z powrotem do Pitra.

- Po-o co ja tutaj przyjechałam! Tu, w Niemczech, w ogóle nie mam gdzie kogoś poznać! Nie to co ty, w Pitrze!... - zawodziła z wyrzutem.

Żeńka myśli, że w Pitrze non stop trwają wyuzdane bachanalie ciekawych znajomości, które tylko na mnie czekają. Ciekawe, gdzie, jej zdaniem, mam te znajomości zawierać - w multikinie „Mirage Cinema”, w salonach samochodowych? Na konferencjach, rozszerzonych forach, w piaskownicy?

- Ta-ak, tobie to dobrze, u was są kluby... - jęczała dalej Żeńka.

Klubów jest u nas dużo, to prawda, ale w klubach elitarnych łatwo się pogubić i trafić do klubu dla gejów, a w tanich dyskotekach bawią się tylko nastolatki.

Po gruntownym zastanowieniu poradziłam Żeńce, żeby wybrała się wieczorem do jakiejś drogiej stylowej kawiarni. Niech tam siedzi melancholijnie przez cały wieczór przy filiżance kawy, a na pewno ktoś, wstrząśnięty jej niezmierną pięknnością, przysiadzie się i... Albo niech poszpera w Internecie... a co, słyszałam, że na Zachodzie wszyscy tak robią.

- A idźże ty!... - warknęła Żeńka, więc chcąc jej pomóc, wysiliłam wszystkie władze umysłowe.

- Podobno fajne znajomości można zawrzeć na cmentarzu - powiedziałam wreszcie i Żeńka z wściekłością rzuciła słuchawkę.

Postanowiłam, że za nic do niej nie zadzwonię. Czy to moja wina, że Żeńka od rana siedzi tam w Niemczech zupełnie sama i wyobraża sobie, jak ja się w tym czasie rozrywam:

1. W kręgielni - na oczach stłoczonych wokół zachwyconych widzów z niebywałą zręcznością rzucam kule.

2. Z papierosem, a jeszcze lepiej z cygarem zwisającym nonszalancko z kącika ust, pokazuję klasę w grze w bilard.

3. W klubie tańca erotycznego wsuwam striptizerowi banknot za gumkę slipków.

4. Bawię się jak dziecko w kasynie, grając w „jednorękiego bandytę”.

5. Wyleguję się w saunie dla VIP-ów, po czym śpiewam karaoke w sali bankietowej.

To chyba już wszystkie rozrywki, jakie proponuje mi megapolis w tygodniku „Afisz”.

Zawróciłam w pół drogi do sex shopu i zadzwoniłam do Żeńki - jak mogłam być taką żmiją, jak?! Zupełnie zapomniałam - przecież ja mam Romana. Romana. Romana!... A Żeńka teraz nie ma nikogo...

Przeprosiłam Żeńkę, uzyskałam przebaczenie, obiecałam do niej zadzwonić, jak tylko wrócę z sex shopu, i w ogóle przez cały dzień być z nią w kontakcie. W soboty ludzie po prostu muszą trzymać się razem dla uniknięcia syndromu nikomu niepotrzebności.

Nareszcie wyruszyłam do sex shopu. Nie jest to moja zwykła sobotnia przechadzka w celu sprawdzenia, czy nie rzucili jakichś nowości - po prostu Alona powiedziała, że mam kupić prezent na osiedliny właśnie w sex shopie, i nawet dała mi adres najbliższego - o pięć minut ode mnie, przy bazarze Kuznieckim.

Tak więc mam wręczyć Nikicie NAJBARDZIEJ SEKSOWNE MAJTECZKI dla Alony, a dla niego - specjalną tabletkę, którą Alona nazajutrz rano po przyjęciu wrzuci mu do owsianki, żeby sto kilogramów żywej wagi Nikity zważyło się na nią dziko jak w noc poślubną piętnaście i pół roku temu.

Nie bardzo miałam ochotę iść do sex shopu, ale Alona oświadczyła, że nabycie majtek, składających się z dwóch miniaturowych trójkącików, i tabletki na potencję to mój obowiązek jako przyjaciółki. Sama Alona nie może kupić tych cholernych majtek i czarodziej-skiej tabletki, ponieważ:

1. Zamierza powiedzieć Nikicie, że te majtki, ha, ha, ha, dostała ode mnie, znanego przygłupa.
2. Umarłaby ze strachu w sex shopie, a dla mnie to pestka.

...Gdzież ta cholerna Alonica wypatrzyła ten sex shop? Tu bazar, naprzeciw sklep z materiałami piśmiennymi, dalej piekarnia...

Sex shop znajdował się obok pieczywa. Należało wejść na piętro, gdzie było dwoje drzwi - jedno do sklepu ze sprzętem wędkarskim, drugie do sex shopu.

To duża wygoda móc kupić wszystko naraz: na bazarze warzywa, potem wpaść po bułeczki z czekoladą i pyszny makowiec... później nabyć nowy wibrator, bo stary całkiem się już zużył, oraz różne drobiazgi, pastylki pobudzające dla siebie i znajomych...



Drzwi do sex shopu były dość odrapane. Jakaż ta Alona taktowna, na pewno pomyślała, że bardziej reprezentacyjny sklep to nie na moją kieszeń.

A więc tak: wejść z niezależną miną i od progu śmiało powiem: „Proszę tylko nie myśleć, że kupuję dla siebie”. Ale przecież ekspedientka natychmiast uzna, że kłamię, a tak naprawdę od rana do wieczora nic nie robię, tylko marzę o sztucznym penisie.

A jeśli tam jest ekspedient?! No to wcale nie wejść!

Rozpatrzmy drugi wariant. Najprościej będzie powiedzieć prawdę:

- Poproszę najbardziej seksowne figi i tabletkę na erekcję dla koleżanki na urodziny.

Najpierwostałam trochę, jakieś dziesięć minut, na pustym podestcie, udając, że stoję tu tak sobie, może na coś czekam. Potem, jeszcze raz rozejrzawszy się lękliwie, czy nikt mnie nie widzi, skrzyknęłam do odrapanych drzwi. I tu, słysząc, że ktoś wchodzi po schodach, rzuciłam się z powrotem na podest i z rozpędu wpadłam do sklepu wędkarskiego.

I ten ktoś wszedł za mną i stanął za moimi plecami.

Wypatrzyłam sobie bardzo sympatyczne miniaturowe rybki. Sprzedawca powiedział, że nazywają się woblerki. Czy żeby złowić woblerkę, potrzeba aż tylu ślicznych, malutkich plastikowych rybek?

Ten ktoś widocznie mocno się mną zainteresował, bo ciągle stał za moimi plecami, nie odstępując ani na krok. Odwróciłam głowę, żeby mu się przyjrzeć, i stwierdziłam, że jestem w błędzie - nie odrywał rozkochanego spojrzenia od woblerów, a zresztą, w ogóle - TACY mężczyźni nie zawierają znajomości w sklepach wędkarskich...

Zdecydowanie męska, znużona twarz, cień wczorajszego zarostu, wysunięty podbródek... jest taki typ, nie piękny jak aktor filmowy, tylko po prostu marzenie wszystkich dziewcząt. Do podobnych facetów ani w szkole, ani na studiach nawet nie próbowałam się zbliżyć. Wiedziałam, że taki przystojniak z pewnością pogardliwie zmruży oczy i powie: „Wolnego, dziewczyno, U MNIE nie masz

żadnych szans”. Więc po co narażać się na upokorzenie, z góry wiedząc, że nie ma co liczyć na miłość, przyjaźń czy nawet zwykłą znajomość?

Niemniej co to za szczęście, że nie wyszłam na jakąś nimfomankę, wchodząc do sex shopu na oczach takiego mężczyzny!

Ale z drugiej strony - komuś się tacy jednak dostają! Na przykład ten konkretny ideał wszystkich dziewcząt, mając te swoje trzydzieści sześć-siedem-osiem lat, nie może być niczyj - to przecież „ona” kupiła mu jakąś specjalną wędkę i specjalną błystkę. Po co? Widać chciała, żeby łowił ryby dla rodziny. Czyli że on ma rodzinę, i to pewnie dużą.

Udałam, że podziwiam miniaturowe rybki, i kątem oka obserwowałam nieogolonego przystojniaka. Przyglądał się uważnie mnie i woblerom i był tak niewiarygodnie przystojny, że musiałam kupić te rybki, sama nie wiem po co.

Czerwonego woblera z długim ogonem i niebieskiego z zielonym łebkiem kupiłam, idąc za radą przystojnego faceta, ale co do żółtego wynikła różnica zdań. Przystojniak powiedział, że ten wobler jest do niczego, a według mnie był śliczny. (Czułam się bardzo, ale to bardzo kobieco, bo facet miał cudownie ochryply, niski głos, bardzo, ale to bardzo męski). Żółtego woblera też kupiłam.

Myślę, że urocze rybki będą świetnym prezentem dla Nikity, który na pewno nie ma nic przeciw wędkowaniu.

Alonie powiem, że nabyłam woblerki w sex shopie (najnowszy wynalazek seksuologów) - wędkowanie jest przecież bez wątpienia bardzo relaksujące i kieruje myśli mężczyzny od ryb do seksu.

Korzystając z tego, że nieogolony przystojniak nie mógł oderwać oczu od woblerów, wyskoczyłam na podest, rozglądając się nerwowo, weszłam jednak do sex shopu i wskazałam palcem pierwsze z brzegu majteczki.

Nieogolony przystojniak włożył wędkę do zaparkowanego pod sklepem czarnego land-rovera, bardzo podobnego do mojego, tylko w jego wozie wszystkie drzwi były całe i zderzak nieoblepiony sko-

czem. Szkoda, że nie znam się na land-roverach, bo mogłabym po samochodzie określić, do jakiej... należy mój nowy znajomy.

Ale do „jakiej” co? Do jakiej klasy? Tylko że u nas nie ma klas, a zwłaszcza średniej. Załóżmy, że ten land-rover jest drogi; co nam to daje? Bardzo męski przystojniak może się okazać po prostu:

1. Bandytą w drogim samochodzie.
2. Dobrze prosperującym handlowcem z bazaru Kuznieckiego.
3. Skromnym oligarchą, który ma mnóstwo innych wozów, a land-rovera pożyczył od swojej gosposi, żeby pojechać po woblery.
4. Polarnikiem albo menedżerem działu sprzedaży.
5. Maniakem wędkarstwa.
6. Kimkolwiek.

Nie, to można określić tylko po twarzy... Albo po ubraniu!

Czarne dżinsy, beżowa kurtka ze skórzanym kołnierzem w stylu „macho” - właśnie taką nosi manekin w witrynie sklepu Camel.

- Hm, hm... może panią podwieźć? - zaproponował nieogolony przystojniak, a ja odparłam, że nie, dziękuję, mamy z woblerami całkiem blisko.

W naszej rodzinie istnieje zasada przekazywana z pokolenia na pokolenie - nie wsiadać do samochodu z nieznanymi. Po co on idzie ze mną prospektem Włodzimirskim? Chce mi zaproponować upojną pogawędkę o woblerach? Po raz pierwszy kroczy obok mnie marzenie wszystkich dziewcząt i mogłabym być absolutnie szczęśliwa, ale dlaczego on milczy i tylko od czasu do czasu chrząka basowo? A ze sprzedawcą na temat wędek i błystek szczebiotał jak ptaszyna!

I tak w milczeniu doszliśmy do mojego domu. To jest, on milczał, ale ktoś przecież musiał mówić. Przeważnie bez trudu znajduję temat do rozmowy z nieznanymi - to nawyk profesjonalny, i osobom, które mają z tym kłopoty, zawsze radzę prowadzić lekką pogawędkę na proste, bliskie rozmówcy tematy, na przykład o polityce, nowościach literackich i kulturze; nigdy nie powinno się zbaczać na sprawy

osobiste, interesujące tylko nas samych. Mówić należy bez nacisku, na luzie, ale z subtelnym podtekstem, ułatwiającym nawiązanie kontaktu.

- Wie pan, dzisiaj Sawwa Ignatjicz nie wrócił na noc, i teraz będę musiała go szukać po wszystkich podwórkach... - zaczęłam światowym tonem.

Przystojniak spojrział na mnie dziko i nie odezwał się.

- A Lew Jewgienjewicz rano zręcznie jak nigdy ukradł mi kaptkę i proszę tylko pomyśleć, co za głupek - schował ją pod moją poduszką...

Przystojniak jakoś dziwnie się wzdrygnął, ale nie wyrzekł ani słowa. Moim zdaniem uznał, że mam dwóch partnerów - jeden włóczy się po nocach, a drugi jest wariatem i złodziejem.

- To zwierzaki - wyjaśniłam nieśmiało.

Ciągle czekałam, czy nie zapyta: zaprosi mnie pani na kawę? I zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Do domu nie wpuszczę go za nic, może to jakiś zboczeniec? W dodatku taki potężny, że sięgam mu zaledwie do ramienia. A jeżeli on chciał kupić w sex shopie kajdanki i bat? Zboczeńcy, jak wiadomo, zawsze udają normalnych ludzi.

Kiedy Mura była mała, postanowiłam kiedyś porządnie ją postraszyć i opowiedziałam jej o niedobrych wujkach; opowieść wypadła tak groźnie, że sama się złąkłam. A Mura spytała: „Wszystko rozumiem, tylko nie wiem, jak ja poznam, że to niedobry wujek? A jeżeli ma dobre oczy?”.

No właśnie, oczy!!! I ja, i nieogolony przystojniak jesteśmy częścią świata zwierząt, a jak to wygląda w świecie zwierząt, wiem doskonale: jeżeli Lew i Sawwa długo patrzą sobie w oczy, to znaczy, że zaraz wywiąże się bójka. To podsunęło mi bardzo ważny dla własnego bezpieczeństwa chwyt psychologiczny - nie patrzeć w oczy nieznanym, bo można sprowokować agresję, to znaczy nieznanomy rzuci się na mnie i ugryzie.

Postanowiłam, że zaraz to sprawdzę - popatrzę mu w oczy. Nie rzucił się. Oczy szare, uważne spojrzenie.

- Cóż... e-e... no to do widzenia, hm, hm...

- Nie napiłby się pan kawy? - Powiedziałam to nie dlatego, że chciałam go zwabić do domu i bliżej poznać, i nie dlatego, że wyzbyłam się podejrzeń, ale po prostu bardzo się wystraszyłam, że on się zorientował, jakie myśli chodzą mi po głowie.

- Nie, dzięki, hm, hm... śpieszę się.

Przystojniak w milczeniu odprowadził mnie do bramy i nie poprosił o telefon.

- Proszę kiedyś zadzwonić - rzuciłam niedbale, z czystej uprzejmości, i zapisałam swój numer na jego paczce papierosów Davidoff.

- Miłego dnia - powiedział przystojniak.

Bardzo, bardzo sympatyczny facet. Paczkę można przypadkiem wyrzucić... Wszystko tak jak w szkole, tak jak na studiach - tacy chłopy nie dla mnie.

Najpierw Murka kolejno przynosiła mi ze swojej Kupy coś błyszcząco-pasiasto-kraciastego z riuszkami, wielkimi kokardami i guziczkami ze strasów, ale po krótkiej burzliwej awanturze mimo wszystko włożyłam czarne spodnie i mały czarny sweterek.

- Wyglądasz jak nietoperz - burknęła z niezadowoleniem Mura.

No i dobrze! Zamiast być przesadnie wystrojonym nietoperzem w kokardach i riuszkach, wolę być czarnym nietoperzem, skromnym, ale pewnym siebie.

Ubierać się nauczyła mnie moja przyjaciółka Francuzka (może źle, ale mnie i jej się podoba). Lucille pisała pracę dyplomową na temat „Synonimy słowa «wypić» w języku rosyjskim” i w związku z tym włączyła się z przyjęcia na przyjęcie i zbierała materiały. Pewnego razu, kiedy wybierałyśmy się na kolejną popijawę, Lucille wstąpiła po mnie odziana w bezkształtny wór i zapytała ze swoim cudownym francuskim akcentem: „Nie jestem zbyt elegancko ubrana?”.

A miała na sobie jakiś nędzny łaćh! Francuzki wiedzą najlepiej ze wszystkich, jak się zachować, ubrać i tak dalej, więc teraz zawsze

dbam o to, by nie być zbyt wystrojoną.

Alona urządza dziś pierwsze przyjęcie w nowym mieszkaniu - parapetówkę, ale nie dla bliskich przyjaciół, tylko dla nowych znajomych. Z bliskich przyjaciół zaprosiła tylko mnie i Olgę.

Jeszcze ani razu nie byliśmy u Alony po remoncie, toteż to i owo nas zaskoczyło (przedpokój przypominał nieco czerwony salon w Pałacu Zimowym), a to i owo wydało nam się niezrozumiałe (tablica pamiątkowa na drzwiach wejściowych).

Na białej marmurowej płycie wyryte były jakieś cyfry.

- Na czym cześć jest ta tablica? - spytała z przestrachem Olga, wskazując na drzwi. - Czy ktoś zmarł?

- To po prostu nasze szczęśliwe pamiętne daty: data kupna mieszkania i data ukończenia remontu - wyjaśnił Nikita.

- Ale tu nie ma wszystkiego! A gdzie daty podpisania aktu u notariusza i ukończenia prac przy instalacjach hydraulicznych? - Olga zachichotała i trąciła mnie łokciem, a ktoś złośliwy w moim wnętrzu też trącił mnie łokciem i zachichotał.

- Jesteś dżipem? - zapytała głośno Alona, jak gdybym każdego rana wybierała ze swego parku maszynowego coś nowego: to dżipa, to mercedesa, to wołgę. A w dodatku Alona świetnie wie, że mój staruszek nawalił i stoi na podwórku.

Olga skrzywiła się i uszczypnęła mnie.

- Alona specjalnie to powiedziała, chce, żeby jej goście wiedzieli, że masz dżipa!

Olga wcale nie jest złośliwa, po prostu lubi plotkować ze mną o Alonie. Cała rzecz w tym, że moje przyjaciółki bardzo się od siebie różnią. Olga jest drobną, czarna, nosi długie spódnice i srebrne łańcuszki, a Alona to duża, tęgawa blondynka w szpilkach, z upodobaniem do różowych torebek ze strasami. Alona trafiła mi się w szkole, w drugiej ławce przy oknie, a Olga na uniwersytecie, no i zmuszone były zostać bliskimi przyjaciółkami, chociaż różnice w

podejściu do życia pulchnej, różowolicej blondynki i mizernej, bledziutkiej brunetki stale dają o sobie znać.

Pochwaliłyśmy wystrój przedpokoju oraz tablicę pamiątkową i wyruszyłyśmy na zwiedzanie mieszkania. Wszystko było nowe, pięknie błyszczało i migotało jak w katalogach, i wszędzie były rozstawione pamiątki przywiezione przez Alonę i Nikitę z różnych krajów. Alona pracowała dawniej w biurze turystycznym, sprzedawała skierowania na wycieczki zagraniczne, i najwyraźniej wytworzył się w niej kompleks człowieka, który wszystkich odprowadza: klienci odlatują i odlatują w siną dal, a on nic, tylko stoi i stoi, i macha chusteczką... Dlatego Alona bardzo często jeździ po świecie, ale, trzeba jej oddać sprawiedliwość, wycieczki wykupuje zawsze w swojej dawnej firmie.

Kiedyś wszystkie trzy miałyśmy taką samą sytuację materialną - dżinsy kupowałyśmy, oszczędzając na kefirze i kielbasie. Co prawda, Alona z Nikitą długo mieszkali w komunałce, a Olga odziedziczyła po babci mieszkanie na Rzewce, ona pierwsza też zaczęła jeździć za granicę, delegowana przez różne pisma na festiwale.

A potem wszystko się zmieniło. Alona z Nikitą twardo ruszyli w stronę bogactwa (Nikita najpierw miał jeden sklep spożywczy, potem dwa, a teraz nie wiem ile), a Olga stopniowo zmierzała w stronę biedy, ale przecież zarówno bogactwo Alony, jak i bieda Olgi z punktu widzenia rewolucji światowej są całkowicie umowne, i wszystkie zawsze mawiałyśmy dumnie, że tylko na zdziczałym Zachodzie ludzie dobierają przyjaciół według stopnia zamożności (bogaci z biednymi W OGÓLE się nie przyjaźnią), a dla nas, osób uduchowionych, nie ma żadnego znaczenia, kto już był na Malediwach czy Seszelach (to Alona, a nie ja i Olga), a kto nie. Dziś jednak, w tych nowych luksusach Alony, poczułyśmy się trochę niezręcznie (to nic, zaraz przywykniemy i wszystko znów wróci do normy).

W salonie wisiał obraz z wizerunkiem jesionu czy dębu. Okazało się, że ten jesion czy dąb to drzewo genealogiczne Nikity, który

zamówił je specjalnie na osiedliny u jakiegoś malarza.

Skąd się to drzewo wzięło? Dawniej nic takiego nie było, byli po prostu Ludmiła Iwanowna i Siergiej Nikołaicz. Oboje zazwyczaj aż do nadejścia zimy mieszkają na daczycy w Mszyńskiej, mają tam ogród. Ludmiły Iwanowny i Siergieja Nikołaicza dzisiaj nie było, ale za to było drzewo, i ogórki, i pomidory, i wspaniała czerwona papryka. Synowie Alony też zostali zaznaczeni tylko na drzewie. Nikita wysłał ich razem z pudłem na weekend do Mszyńskiej po ziemniaki i marchew.

Olga donośnym, dość napiętym głosem spytała Alonę, czemu ta nie zaprosiła swoich koleżanek z biura turystycznego, z którymi przepracowała prawie dziesięć lat. Alona zaczerwieniła się lekko i niewyraźnie, pośpiesznie odparła, że zaprosi koleżanki oddzielnie, po czym szepnęła do mnie i do Olgi:

- Wyobrażacie sobie, jak one się poczują, kiedy tu przyjdą? A zresztą... One bardzo się różnią od wszystkich, to całkiem inne kręgi...

Olga z triumfem zasyczała mi do ucha:

- Dzisiaj Alona po raz pierwszy zaakceptowała historyczną koncepcję o podziale na biednych i bogatych. Ty akurat pasujesz do jej nowego punktu widzenia, jesteś przecież nową Rosjanką z dżipem i mieszkaniem prawie na Newskim, a w dodatku masz dyplom psychologa.

- Aha, a ciebie zaprosiła dlatego, że jesteś dziennikarką filmową i możesz zabawić towarzystwo opowieściami o aktorach - odparłam ironicznie. Olga jest po prostu zła, że ją wywalili z tygodnika, i dlatego czepia się Alony: proszę, proszę, drzewo genealogiczne, proszę, proszę, nie zaprosiła koleżanek z pracy...

- Alona strasznie się zmienia - burczała Olga. - Dawniej stale powtarzała: „To bardzo drogie”, a teraz: „To całkiem niedrogie”.

Poszperałam w pamięci i uświadomiłam sobie, że to prawda - Alona ciągle strasznie się cieszy, że kilogram oczyszczonych królewskich krewetek kosztuje tak tanio i torebka od Gucciego też. Przeprowadziłam szybką analizę psych. jej osobowości i zrozumia-



łam: Alona po prostu się bała, że chociaż jej sytuacja materialna bardzo się poprawiła, to kilo krewetek i torebka od Gucciego są dla niej na razie trochę za drogie, a teraz się cieszy, że jednak nie!

Alona oznajmiła, że będą dziś potrawy kuchni hiszpańskiej, bo całe przyjęcie jest hiszpańskie, ponieważ właśnie wrócili z Nikitą z Hiszpanii, a Hiszpania to piękny kraj, i znaleźli tam całkiem niedrogi dom. I tu COŚ się we mnie poruszyło.

Zdenerwowałam się nieco, zrozumiawszy, że owo COŚ to robaczek zazdrości, i spytałam go, czy istotnie jest zazdrosny. Odparł, że tak, że on też chce mieć dom w Hiszpanii (morze, słońce, wino...).

Być psychologiem to jednak bardzo wygodne - zawsze mogę udzielić samej sobie pilnej psych. pomocy i wsparcia. A więc tak... Podoba mi się Alony torebka od Gucciego, nowe wazoniki też mi się podobają, szczególnie ten z wzorem w listki... podoba mi się również sypialnia Alony, wspaniała, na wysoki połysk, co z tego, że zbyt bogata, sypialnia powinna być trochę wulgarna, z różową koronkową kapą i szlafmycą pod poduszką...

Tylko za nic bym nie chciała dostać jako dodatku do torebki i krewetek grubego i grymaśnego Nikity, który, jak tylko coś nie idzie po jego myśli, ordynarnie drze się na Alonę.

Po udzieleniu sobie pilnej pomocy psych. wyciągnęłam Olgę do kuchni na papierosa i wepchnąwszy ją między bar a lodówkę, oznajmiłam:

- Obie zazdrościmy Alonie i z naukowego punktu widzenia mamy całkowitą rację.

- Ja zazdroszczę?! - oburzyła się Olga.

- Ponieważ zazdrość to porównywanie siebie z otoczeniem, a ludzki mózg, zwłaszcza tak wysoko rozwinięty jak mój czy twój, dokonuje tej operacji nieustannie. Ale... powiedz szczerze, czy chcesz, żeby Alonie odebrano natychmiast torebkę od Gucciego i kilogram królewskich krewetek? - zapytałam.

- Nie, za nic! - przeraziła się Olga. - Niech ma! Przecież przez

całe dzieciństwo gnieździła się z bratem w jednym pokoiku, a Nikita też doszedł do wszystkiego sam i nikomu nie zrobił nic złego, niech się chełpi swoim drzewem! A ty proponujesz, żeby jej odebrać krewetki?

- Zgłupiałaś czy co? - odparłam z ulgą i ucieszyłam się: ani ja, ani Olga nie jesteśmy zawistnymi potworami, hura, hura!

Jak zawsze marzyłam przede wszystkim o deserze, wsadziłam więc nos do piekarnika i krzyknęłam do Alony do salonu:

- Hej, Alona, co masz na deser - merengi?!

- Nie, to alpuharskie soplillos. Z białek, cukru i migdałów! - krzyknęła w odpowiedzi Alona.

I wróciłyśmy do salonu całkowicie pogodzone z Aloninym bogactwem.

Muszę pamiętać, żeby opowiedzieć Żeńce, że danie główne nazywało się paella mariscada. Alona podała je według wszelkich prawideł, na dużej płaskiej patelni (specjalna patelnia paellera). Ryż, z wierzchu krewetki, ślimaki, małże, kalmary i jeszcze coś zielonego. Osobno smażyła kurczaka na oliwie z oliwek, osobno cebulę, czosnek i pietruszkę, też na oliwie. Potem dodała pomidory, groszek i krewetki i zmieszała z zawartością pierwszej patelni. Poza tym oddzielnie usmażyła kalmary, małże i dodała ryż. Ryż także dusiła osobno, z papryką i szafranem. W Hiszpanii wiele razy zamawialiśmy z Żeńką paellę w nadziei, że kiedyś nie będzie obrzydliwa, ale zawsze była wstrętna, a mariscada Alony okazała się bardzo smaczna.

Gości było trzy pary oraz dwie samotne dziewczyny na oko w wieku od dwudziestu pięciu lat do czterdziestu. Wszystkich widziałyśmy po raz pierwszy.

Jeden gruby facio (grubszy od Nikity) bardzo śmiesznie opowiadał o swojej podróży do Francji.

- Przyjechaliśmy do Wersalu i postanowiliśmy, skoro już tu jesteśmy, popływać łódką po stawie. A w stawie były lilie. Aleśmy dali

czadu! Lilie stanęły dęba O TAK!

Dziwne, zupełnie nie pamiętam lili w wersalskim stawie!

Pewnie patrzyłyśmy z Żeńką na co innego, na przykład na posąg Ludwika XIV.

Przyglądałam się ukradkiem samotnej blondynce. Właśnie wypiliśmy toast za jej nowy samochód, białego mercedesa. Blondynka była pewnie jakimś menedżerem wyższego szczebla, bo co chwila wtrącała do rozmowy angielskie słowa. Bardzo chciałam poznać ją bliżej, jako że jest to zupełnie nowy, nieznany mi typ kobiety - cała lśniąca, wypielęgnowana, dumna, żywe ucieleśnienie tygodnika „Top Manager”. Blondynka jednak spoglądała tak surowo i zimno, że strach było do niej podejść. Ale dlaczego brakuje jej jednego zęba z boku, ciekawe dlaczego? Pewnie po prostu nie ma kiedy pójść do dentysty.

Blondynka oznajmiła, że zaraz jak tylko spróbuje paelli mariscady, rusza swoim białym mercedesem na przyjęcie do Helsinek. Do Helsinek jedzie się ze cztery godziny... To jest dopiero kobieta! Nawet nie skosztuje alpuharskich soplillos?

Postanowiłam zapoznać się bliżej z drugą dziewczyną, Stellą; ta wydawała się bardziej przystępna.

Stella opowiedziała mi szczegółowo o hotelu, który buduje na Wyspie Wasiljewskiej, a ja z oddaniem patrzyłam jej w oczy i przytakiwałam.

Hotel na Wyspie Wasiljewskiej należy do niej, sąsiedni budynek też jest jej, i jeszcze coś tam też jest jej. Stella załatwiła dokumentację budowlaną, kontrakt, dead-line i właściwe warunki termiczne przechowywania cegieł na budowę hotelu.

Poczułam, że zaczynam wprost wielbić Stellę - jak ona to zrobiła, że wszystko jest JEJ: i dokumentacja budowlana, i kontrakt, i dead-line, i właściwe warunki termiczne?

Stella rozmawiała ze mną godzinę dwadzieścia minut i niemal wpadłam w trans - głowa kołysała mi się w takt jej słów, a uśmiech

zamienił się w bolesny, wyszczerzony grymas - to moja skaza zawodowa. A ta Stella nie ma sumienia.

Przecież nie jestem teraz w pracy!

Przy deserze Menedżer Wyższego Szczebla i Stella rozmawiały o sportach ekstremalnych. Stella walczy z policją podatkową, a Menedżer umie pilotować samolot i prowadzić kuter. Bardzo chciałam poznać lepiej Menedżer, postanowiłam więc wziąć udział w rozmowie.

- À propos sportów ekstremalnych - wtrąciłam światowym tonem. - Pewna moja znajoma chciała kiedyś poderwać instruktora skoków spadochronowych, więc wybrała się na przejażdżkę helikopterem i skoczyła z tego helikoptera ze spadochronem. I wyobraźcie sobie państwo, w locie się posikała, żeby nie powiedzieć gorzej...

Podkreśliwszy w ten sposób, że ja też mam coś wspólnego ze sportami ekstremalnymi, poczułam się równa Menedżer i już chciałam kontynuować rozmowę, kiedy Alona wywołała mnie na korytarz.

- Wiesz, chociaż Menedżer i Stella mają forsy i mercedesy, to obie są okropnie nieszczęśliwe - ani rodziny, ani dzieci.

- Oszalałaś! - oburzyłam się. - Mówię ci jako psycholog: są absolutnie szczęśliwe i samowystarczalne. Pomyśl, ile się dzieje w ich życiu - przyjęcie w Helsinkach, samolot, kuter i w ogóle...

Alona uparcie uważa, że takie kobiety pod maską sukcesu ukrywają rozpaczliwy smutek, podejrzewam jednak, że myśli tak dlatego, że sama nie osiągnęła żadnego sukcesu, ma tylko Nikitę i chłopców.

Pod koniec wieczoru wszyscy byliśmy już naprawdę zaprzyjaźnieni. Zapytałam Menedżer, jak jej się udaje utrzymać tak nieludzko zgrabną figurę.

- Przeżyłam straszną historię! Nikomu czegoś takiego nie życzę! - odrzekła Menedżer i wpiła się we mnie oczyma z niepokojącą poządlivością.

„Nie! Tylko nie to!” - krzyknęłam, ale tylko w duchu, a głośno powiedziałam:

- Kawa na ławę, opowiedz mi (byłyśmy już na ty) wszystko dokładnie, bardzo mnie interesuje twoja historia, której nikomu nie zyczysz...

Może mam początki deformacji zawodowej? To taka przypadłość, kiedy prokurator oskarża nie tylko w sądzie, ale i w domu. Albo pułkownik na przystanku tramwajowym krzyczy do tłumu pasażerów: „Bacność, w dwuszeregu zbiórka!”. Albo nauczycielka młodszych klas spogląda na dorosłych czule i surowo jak na debilów. A ja najwyraźniej przybieram specjalną psychologiczną minę, która zachęca - proszę, opowiadajcie mi wszystko, co tylko chcecie.

W rezultacie cudownie spędziłam czas na przyjęciu:

a) przez godzinę dwadzieścia minut słuchałam o tym, co nurtuje Stellę,

b) przez godzinę czterdzieści osiem minut słuchałam o tym, jak od Menedżer odszedł mąż. A mąż odszedł dziwnie, jak w jakimś dowcipie, myślałam, że takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Wyszedł do sklepu i zadzwonił do Menedżer po miesiącu, mówiąc, że muszą jak najszybciej podzielić mieszkanie. Okazało się, że podczas pobytu męża w sklepie urodziło mu się dziecko. Dowiedział się o tym i nie wrócił do domu, tylko poszedł zobaczyć dziecko, a dziecko musi mieć mieszkanie, to akurat jest jasne. No i zadzwonił.

Wątpię, czy Menedżer kłamie - taka poważna osoba, która zna słowo „biznesplan”, nie mogłaby wymyślić równie trywialnej babskiej historii. Menedżer oznajmiła rzeczowo, że w związku z odejściem męża nakreśliła sobie dead-line poszukiwań partnera, to jest wszystkie swoje talenty organizatorskie skierowała na pilne poszukiwania mężczyzny i już przeanalizowała kilka kandydatur.

Może Alona ma rację, może świetnie prosperująca Menedżer ukrywa pod maską sukcesu samotność i smutek? Niekiedy dyletant okazuje się bardziej przenikliwy niż profesjonalista i nieoczekiwanie odkrywa całkiem nowe prawidłowości, hipotezy, teorie czy coś w tym guście.

W kwestii poszukiwań mężczyzny poradziłam Menedżer, by zwróciła większą uwagę na świat zwierząt. Jesteśmy wszak nieodłączną częścią natury, a to przecież natura zrzędziła, że wszystkie samiczki mają bardzo skromne upierzenie czy umaszczenie i w dodatku usiłują ukryć się przed samcem, a w każdym razie udają, że się kryją. Pojęcia nie mam, dlaczego tak się dzieje (no bo jak wobec tego go przywabić?), ale to naukowo stwierdzony fakt. (Poradziłam Menedżer, żeby się wybrała do zoo i sama się o tym przekonała). No i pewien badacz przeprowadził eksperyment i sprawił, że ryby samiczki nie umykały przed samcami jak zwykle, ale mrugając zalotnie, wypływały swoim samcom naprzeciw.

- Zgadnij, co się stało z rybami samcami! O co zakład, że nie zgadniesz?

Menedżer nie potrafiła zgadnąć.

- Poddajesz się? - spytałam z triumfem. - Otóż wszystkie samce bez wyjątku stały się impotentami.

Menedżer wszystko świetnie rozumiała i zakłęła się, że w najbliższym czasie przybierze skromny wygląd, jak przystało samiczce, i będzie spokojnie czekać, aż samce same do niej przyplyną.

Olga pojechała do Leżącego, a mnie obiecała podwieźć Stella - mieszka niedaleko ode mnie, na Żukowskiego.

- No dobra, ja jadę dalej prosto, a ty możesz pójść Fontanką - powiedziała i wysadziła mnie ogłupiałą z samochodu o dwie minuty jazdy od mojego domu. Dziwne, wystarczyłoby przecież, żeby dowiozła mnie do Włodimirskiego, zawróciła i po trzech minutach byłaby już pod swoim domem na rogu prospektu Litiejnego i Żukowskiego. Widocznie Stella ma dead-line powrotów do domu.

Biegłam ciemną Fontanką, dygocząc i oglądając się na straszne bramy. Ale kiedy tak biegłam, rozumiałam bardzo dobrze, dlaczego Stella ma kontrakt, właściwe warunki termiczne przechowywania cegieł i hotel na Wyspie Wasilewskiej.

Zaspiając, rozmyślałam o przyszłości mojej córki Mury. Może Mura powinna pójść na marketing i zarządzanie? Kierunek bardzo modny i prestiżowy! Tylko czym Murka będzie zarządzać... Trudno sobie wyobrazić taką dziedzinę działalności, w której niezbędne byłoby zarządzanie Murki. A może, aby osiągać sukcesy w zarządzaniu, trzeba umieć, tak jak Stella, wysadzić człowieka z auta o dwie minuty jazdy od jego domu?...

Po co Murka miałaby z kimś współzawodniczyć? Ona tylko na pozór jest asertywna, w głębi duszy zaś miękka, łagodna i absolutnie nieprzystosowana do walki o miejsce pod słońcem. Moja Mura tylko się uśmiechnie, usunie na bok i uda, że i tak jest jej fajnie, a będzie jej niefajnie, dobrze wiem... będzie się zamartwiać, że inni zostali menedżerami wyższego szczebla, a ona - średniego albo nawet niższego.

Już zupełnie przez sen bardzo się litowałam nad Menedżer i Stellą i dziękowałam Bogu, że ja mam Murkę, a Żeńka Katkę.

*15 października, niedziela*

Rano zadzwoniła z płaczem Alona - majtki nie zadziałały i pigułka pobudzająca też. Alona powiedziała, że woli myśleć, że to pigułka jest do niczego, a nie Nikita.

- To po prostu skandal! - przytaknęłam. - Dlaczego nie produkuje się pigułek obliczonych na wagę ciała Nikity, złożymy skargę...

Postanowiłyśmy:

1. Pilnie kupić Alonie książkę *Wszystko, co chcieliście wiedzieć o seksie, ale baliście się zapytać*.

2. Nie mówić Oldze (to miło, że jestem Alonie bliższa niż Olga), że majtki nie podziały, powiedzieć tylko, że zawiodła pigułka.

*23 października, poniedziałek*

Wieczorem spotykam się z Romanem, bardzo liczę na poprawę

mojego złego, wręcz okropnego nastroju (zły nastrój mam prawie od tygodnia, bo moje życie jest nieudane). Ale dziś wieczorem znów poczułem, że życie jest piękne, ponieważ mam bliskiego człowieka, który interesuje się wszystkim, co mnie dotyczy, dosłownie każdym drobiazgiem (bardzo, bardzo bliscy ludzie istnieją właśnie po to, żeby podtrzymywać się wzajem na duchu w tym obcym i nieżyczliwym świecie).

Spis przykrości, które spowodowały mój zły nastrój:

1. Samochód nie chce zapalić (a jest to kwestia nie tylko mojego czasu, zmarnowanego na naprawę, ale i pieniędzy, ile?).

2. Mało, że muszę chodzić piechotą i zostawiać staruszka na podwórzu zupełnie samego, to jeszcze Łysy się wścieka, że utrudniam prace przy modernizacji podwórza. (Łysy się rozbestwił i chce zbudować jeszcze jedną fontannę, na prawo od śmietnika). Po jaką cholere mu jeszcze jedna nieczynna fontanna? Może Łysy pozazdrościł sławy Peterhofowi?

3. I gdzież ma się podziąć mój rzęch, skoro nie chce zapalić i nie mogę go usunąć z podwórka na czas prac budowlanych?

4. Mura ma dwójkę z fizyki, a razem cztery (cztery dwójki).

5. I różne drobiazgi, na przykład nie widziałam się z Romanem przeszło tydzień; no dobra, ja jestem osobą całkowicie samowystarczalną, ale ciekawe, jak on sobie radzi beze mnie.

Zapisuję przed snem.

Spotkaliśmy się z Romanem w mieszkaniu jego kolegi. Kolega wypożyczył Romanowi mieszkanie od osiemnastej do dziewiętnastej trzydzieści, ale Roman powiedział:

- Lepiej, jak wyjdziemy o dziewiętnastej dwadzieścia, i musimy pamiętać, żeby dokładnie sprzątnąć.

Seks był jakiś smętny, ale szybki. Albo szybki, ale smętny.

...Człowiek bez ubrania, jeśli popatrzeć nań obiektywnym okiem, jest bardzo śmieszny. Dlaczego pośrodku ma taki zabawny tułów, po bokach cztery łapy, a u każdej łapy jeszcze po pięć malutkich wy-



rostków? U góry sterczy szyja, na szyi głowa, a z głowy wyrastają uszy - no nie, jeśli spojrzeć obiektywnym okiem?! I dlaczego ten stwór z łapami i uszami nie rozumie, że fizjologiczna reakcja na seks jest różna u mężczyzny i kobiety? I reakcja psychologiczna też jest różna!

No i co z tego, nie można przecież żądać od mężczyzny, żeby zawsze stawał na wysokości zadania (wcale nie mam na myśli bezsensownych, nikomu niepotrzebnych głupot, którymi mężczyźni usiłują określić jakość seksu, w rodzaju ile razy itp., mam na myśli tylko jego zaangażowanie, czułość itp.).

Poza tym jest rzeczą niedopuszczalną domaganie się za każdym razem jakichś niesamowitych orgazmów... I w ogóle orgazmów. Jest to w końcu pretensja, którą można mieć jedynie do własnego organizmu, a nie do cudzego!...

Przykre, ale nic się na to nie poradzi - dla mężczyzny wszystko kończy się wraz z faktycznym końcem, a kobieta chciałaby jeszcze czegoś, na przykład pogadać o tym, że ma dziś kiepski nastrój...

Roman był pogrążony we własnych myślach i poirytowany. Ma kłopoty - bardzo liczył na kanał petersburski, ale tam mu powiedziano, że jego program nie pasuje do ich formatu. (Strasznie mnie podnieca słowo „format”).

Format to coś takiego jak rozmiar, kolor i fason (w odniesieniu, powiedzmy, do sukienki) razem wzięte. Na przykład nasza dziekan uważa, że moje ulubione kraciaste spodnie do kolan to nie mój format, bo nie pasują do mnie z uwagi na wiek, stanowisko i wzrost, to znaczy powinny być długie. A my z Murą uważamy, że te kraciaste spodnie to akurat mój format.

To jeszcze nie był koniec nieprzyjemności Romana. Powiedziano mu również: „Twój program nie nadaje się dla naszego docelowego audytorium”. Co do audytorium, to mniej więcej rozumiem: studentom studiów dziennych opowiadam szczegółowo o psychoanalizie, wieczorowym w ramach kulturalnej walki z analfabetyzmem oznajmiam, że każdy z nich posiada podświadomość, bulgocący kocioł

wrodzonych instynktów, no a zaocznym po prostu pokazuję przyniesiony ze sobą portret Zygmunta Freuda.

Bardzo chciałam opowiedzieć Romanowi o zepsutym samochodzie i dwójkach Mury Jako że świetnie znam główną zasadę obcowania z ludźmi - jeśli ktoś opowiada ci o swoich kłopotach, musisz w odpowiedzi szybciotko opowiedzieć mu o swoich, żeby nie myślał, że tylko jemu jednemu się nie wiedzie.

- A mnie nawalił samochód i Mura też - powiedziałam, ale okazało się, że w innej stacji telewizyjnej powiedziano Romanowi, że jego projekt to projekt ich marzeń, że są wprost wstrząśnięci jego geniuszem w dziedzinie formatu, audytorium i synopsisu, i że teraz pozostaje tylko znaleźć sponsora. Czemu się martwi, skoro go tak chwalili? Widocznie nie znam się na razie zbyt dobrze na telewizji i show-biznesie.

Na koniec Roman zażyczył sobie jeszcze raz omówić ze mną format programu i docelowe audytorium, więc postanowiłam nie obarczać go swoimi duperelami, żeby nie wyszło na to, że jego sprawy to betka, a moje są bardzo ważne (zwłaszcza że w kwestii samochodu mogę się poradzić Denisa).

Może to i lepiej, bo literatura sugeruje zupełnie inne, wręcz odwrotne podejście do obcowania z ludźmi - jeśli człowiek opowiada ci o swoich kłopotach, za nic nie opowiadaj mu w rewanżu o swoich, żeby się mógł ucieszyć, że twoje sprawy układają się świetnie.

Od za dziesiątą siódma Roman zaczął dyskretnie spoglądać na zegarek i postanowiłam skłamać, że też się śpieszę (wieczorny wykład), ale nie zdążyłam.

- Przepraszam, kotku, ale na mnie już czas - powiedział Roman punktualnie o siódmej i wyszliśmy.

Zupełnie zapomniałam umyć filiżanki i poprawić narzutę na wersalce, ale czajnik chyba wyłączyłam. A może nie?

Dobrze, że nie opowiedziałam Romanowi o zepsutym samochodzie i dwójkach Murki. Jeszcze by pomyślał, że oczekuję od niego pomocy przy naprawie albo przy lekcjach i głupio by wyszło. Tym

bardziej że dwójek i zepsutego staruszka nie da się w ogóle porównać z programem, formatem i docelowym audytorium.

## LISTOPAD

*2 listopada, czwartek*

Pogodziłam się z nieustannymi ciosami (samochód zepsuty, Murka dostała jeszcze dwie dwójki z fizyki) i nabrałam nieco otuchy (Amerykanie płacą straszne pieniądze, żeby móc się choć trochę przejść po specjalnie do tego przeznaczonych miejscach, a ja mogę wszędzie pójść pieszo absolutnie za darmo; Mura wyrwała z dzieniczka kartkę z dwójkami i obie poczułyśmy się spokojniejsze).

No więc, jak tylko nabrałam trochę ducha i poprawił mi się nastrój, nagle, ni z tego, ni z owego, okropnie mnie obraziła nasza prorektor (poczułam się przez nią całkowicie bezbronna w tym obcym, niezyczliwym świecie).

Szłam do jej gabinetu przekonana, że ona zawsze z przyjemnością mnie widzi. Pani prorektor lubi pogadać ze mną o modzie, o losie kobiet, a zwłaszcza o swoim życiu. Spodziewając się radosnego powitania, jak zwykle zajrzałam do jej gabinetu z wesolutkim uśmiechem: „Oto jestem”, a tymczasem w środku całkiem nieoczekiwanie powitała mnie mina: „Ja pani zaraz pokażę”. Prorektor wystawiła na mnie rogi i szpony, i jak nie wrzaśnie:

- Na co pani sobie pozwala!... Przychodzić do mnie!... Kiedy jestem zajęta!... A pani!...

Zaskoczona, błyskawicznie wyskoczyłam z gabinetu i przez cały dzień strasznie się gryzłam, że nie potrafiłam z godnością utrzymać jej nosa. Czym zawiniłam, że mnie wyrzuciła? I dlaczego jeden człowiek może wyrzucić drugiego? Tylko dlatego, że SIEDZI W GABINE-CIE? I JEST SZEFEM? Ale przecież to nie ja zachowałam się niegrzecznie, wręcz gburowato, więc czemu właśnie mnie jest tak

przykro?

\*

Widziałam się z Romanem, chciałam mu opowiedzieć, jak mnie potraktował prorektor, ale nie zdążyłam, i teraz jest mi bardzo, bardzo smutno. Dlaczego? Jako psycholog wiem, że jeśli człowiek ma nieuzasadniony zły nastrój, potrzebna mu jest czekolada. Jeśli nie ma pod ręką czekoladki i nie chce mu się iść do sklepu, może zastosować inne metody, na przykład wygadać się albo zapisać swoje myśli.

Na wszelki wypadek zrobiłam i jedno, i drugie, i trzecie - zjadłam duży baton Vispa, napisałam *Traktat o chamstwie*, a potem odczytywałam go wszystkim przez telefon.

### Traktat o chamstwie

Co właściwie najbardziej nas boli, jeśli zostaliśmy potraktowani po chamsku? Przecież to nie my zachowaliśmy się źle, ale ktoś inny. I co on nas obchodzi?

A zatem rzecz nie w samym fakcie, ale w tym, że nie potrafiliśmy należycie odpowiedzieć na chamstwo.

Ale: należycie odpowiedzieć na chamstwo jest rzeczą z definicji niemożliwą. A skoro tak, to nie ma co się tym gryźć.

Dodatkowo przeprowadziłam ankietę socjologiczną na temat: „Jak pan/pani reaguje na chamstwo?”.

1. Alona:

- Natychmiast odpowiadam też po chamsku.

(Odpada, bo ja nie umiem tak szybko się zdobyć na odpowiednie w danej sytuacji chamstwo. Pomysł chamskiej odpowiedzi przychodzi mi do głowy dopiero po paru minutach, kiedy jest już na nic).

2. Olga, Żeńka, mama:

Natychmiast tracą głowę i prezentują obrażającemu zakłopotane spojrzenie i tak stropioną minę, jakby im w tę minę dopiero co ktoś napluł.

Dzieli się na dwa podgatunki. Pierwszy (Żeńka, mama) potrzebuje od dziesięciu minut do miesiąca na znalezienie należytej odpowiedzi, co zresztą nie ma żadnego znaczenia, bo i tak jest już za późno. Drugi (Olga), zamiast szukać odpowiedzi, płacze, upija się, labidzi albo składa wymówienie.

Wnioski:

- Nie spodziewamy się, że ktoś na nas po chamsku naskoczy, ponieważ naszą zasadą w stosunkach z ludźmi jest pokój, przyjaźń, słodycz.

- Mama, Olga, Żeńka (i Alona, ona tylko po prostu nabrała rutyny przez lata pracy w kobiecym zespole) oraz ja jesteśmy bardzo miłymi aniołami, wnoszącymi w życie dobroć, miłość i współczucie.

3. Inni (sekretarka naszego wydziału):

Bez przerwy są w stanie podwyższonej gotowości bojowej, toteż nikomu nie przychodzi do głowy traktować ich po chamsku. Tacy ludzie zawsze mają zbyt zaczerwienione policzki, czujne spojrzenie, podbródek wysunięty naprzód, a w oczach ostre igły.

(Odpada z przyczyn estetycznych).

Zalecenia:

- Udać się do lekarza w sprawie dolegliwości żołądkowych i częściej uprawiać seks. Seks pomoże nam się zrelaksować i ugruntuje w nas przekonanie, że cały świat za nami przepada, a nie że wiecznie usiłuje nam dokuczyć.

Dziś był dzień kłótni, przykrości i konfliktów. Murka też ma konflikt, z historykiem.

Murka mówi, że historyk to „przyg-łup”. Ma dwadzieścia dwa lata i po studiach przyszedł pracować w szkole za półtora tysiąca rubli.

- Może ma powołanie - podsunęłam.

- Co to za powołanie dostawać półtora tysiąca rubli? - zaopnowała Mura. - Uważamy z dziewczynami, że mężczyzna powinien dobrze zarabiać, bo inaczej nie jest dziany i seksowny.

...Hm, Mura z dziewczynami uważają, że historyk jest niesek-

sowny...

Przed zaśnięciem pomyślałam, że powinnam zrugać Murę i dziewczyny za to, że uważają historyka za nieseksownego.

Z drugiej strony, akurat dzisiaj opowiadałam pierwszemu rokowi, że ludzie mają różne temperamenty i że niektóre temperamenty zupełnie do siebie nie pasują. Na przykład cholerykowi i melancholikowi bardzo trudno się ze sobą zgodzić. Choleryk jest zawsze tak pobudzony i tak nieznośnie szarpie i drażni melancholika (moralnie, nie dosłownie), że ten ma bardzo ciężkie życie.

I nagle jedna ze studentek podniosła rękę i powiedziała, że temperament to kompletny pic, to, za przeproszeniem, bzdura, bo najważniejsze, żeby partner dobrze zarabiał, a wtedy temperament można... chyba powiedziała „olać”, a potem się poprawiła. Tu mnóstwo osób zaczęło krzyczeć - racja, racja, najważniejsze to dużo zarabiać!

I wyobraziłam sobie taką scenę: przychodzi wesoły Choleryk do domu i widzi, że Melancholik siedzi w kąciku i płacze. Choleryk szczypliwie Melancholika, łaskocze, drażni, a ten ciągle płacze i płacze. Wtedy Choleryk mówi kusząco: „A ja mam dużo forsy...”, więc Melancholik uśmiecha się smutno i powiada przez łzy: „Pokaż, co mi przyniosłeś?”. Coś zupełnie nowego, ostatnie słowo w nauce!

Ale skoro to „pokolenie pepsi” tak czy owak nie jest równie uduchowione jak nasze, skoro Murka i jej koleżanki są nastawione tak merkantylnie, to czemu Mura nie miałaby zostać stomatologiem, przecież powszechnie wiadomo, że stomatolodzy świetnie zarabiają. Co prawda moi znajomi lekarze w kółko powtarzają, że stomatolog to nie jest prawdziwy lekarz, i mają nawet powiedzonko: „Kto mówi, że leczy zęby, robi cholewę z gęby!”. Ale za to Mura będzie mogła utrzymywać na starość Denisa, a przy okazji zrobi Żeńce porządną górną jędynkę, bo teraz jest trochę krzywa.

Na medycynę zdaje się z chemii i biologii, a akurat z chemii Murka nie stoi tak źle jak z fizyki.

Nie mogłam się doczekać rana, żeby podzielić się tymi myślami z

mamą, Murą i Żeńką.

*4 listopada, sobota*

Rano sprawdziłam wiadomości Mury z chemii. Pamiętam ze szkoły, że w tej całej chemii wszystko jest bardzo proste, trzeba tylko pamiętać, że kwasy zaczynają się na H, a alkohole kończą na grupę OH.

- No, Mura, powiedz mi szybko, na co kończą się alkohole?
- Alkohole? - powtórzyła Mura. - Alkohole kończą się na "e".

Niektórzy politycy też niezbyt dobrze się uczyli w naszej szkole, a proszę, jakie porobili kariery! Z moją Murą będzie tak samo - korepetytorzy nauczą ją odróżniać żabę od baby i załatwione! Za to jaki zawód - czyściutko, w białym fartuchu, a w razie czego wyleczy całą rodzinę! I zawsze zarobi na kawałek chleba.

Jakoś źle się dziś czuję: niedobrze mi i kręci się w głowie. I gardło mnie boli.

- Mura, mdli mnie i mam zawroty głowy. Co to ma znaczyć? Powiedz mi jako przyszedł lekarz!

- Masz próchnicę - odparła Mura i pognęła do szkoły.

A wyprowadzić Lwa Jewgienjewicza jak zawsze muszę ja... a i tak mi jest niedobrze...

I tu nagle wszystko w środku mi zlodowaciało i zadygotało, a ręka sama się wyciągnęła, żeby wybrać numer Żeńki.

W Niemczech jest siódma rano, ale ja mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Żeńka, nieszczęście! Mam mdłości i okres mi się spóźnia.
- Głupia jesteś, nie spóźnia ci się, tylko masz klimakterium! - powiedziała Żeńka.

- Nie, spóźnia się, spóźnia! - wrzasnęłam. Żeńka pewnie jest zaspana i po prostu nie załapała.

Jakie klimakterium niewiele po trzydziestce?!

Żeńka rozbudziła się całkowicie i zareagowała na mój komunikat

jak rasowy ginekolog. Zaczęła mi zadawać pytania naprowadzające - kiedy ostatni raz było to, kiedy ostatni raz było sio...

- Kup sobie test ciążowy - poradziła.

Nie rozumiem, po co mi test. Dorosłym doświadczonym kobietom niepotrzebne żadne testy, i tak jasne, wszystko wskazuje na ciążę - mdli mnie i boli gardło.

Prawdę mówiąc, mdli już nie do wytrzymania, dobrze, że mam dziś tylko wykłady dla wieczorowych... Będę musiała pogadać w dziekanacie, żeby mi zmienili rozkład zajęć, kobiety w ciąży powinny dużo spać.

- O żadnej ciąży nawet nie może być mowy. Zrobię zabieg - powiedziałam.

- Słusznie - pochwaliła Żeńka.

- Za nic nie zrobię skrobanki - oznajmiłam niekonsekwentnie. Wstyd by mi było przyznać się lekarzowi, że w tym wieku nie potrafię się zabezpieczyć, a poza tym jestem zdecydowaną przeciwniczką aborcji. Dawniej wszyscy usuwali ciążę, ale teraz, kiedy staliśmy się jakoś bliżsi wszystkim religii naraz, za nic nie chcemy, żeby nas potępiały Kościoły, do których nie należymy.

Nie uważam, że aborcja to zabójstwo, bo skąd mam to wiedzieć? Po prostu jeżeli ktoś ma już Murkę czy Katkę, aborcja to to samo co... krótko mówiąc, to niemożliwe.

Okropnie boję się mamy.

- Wyobrażam sobie, co powie twoja mama - zachichotała Żeńka.

Ja też sobie wyobrażam. No dobrze, wiem, jak rozwiązać problem z mamą - niech sama zobaczy, że jestem w ciąży, jak dziecko już się urodzi.

Słabym głosem powiedziałam Żeńce, że nie mogę z nią dłużej rozmawiać, bo przed wyjściem na wykłady muszę sobie utrzc marchewkę.

Trzcę marchewki mi się nie chciało, postanowiłam zamiast tego zawiadomić wszystkich o nowinie.

Olga przeprowadzała wywiad z kimś bardzo ważnym i nawet nie



mogła ze mną porządnie pogadać. Obiecała, że będzie spacerować z dzieckiem dwa razy w tygodniu. Łże, nie dotrzyma słowa! Ciągłe ma a to przeglądy filmowe, a to pokazy prasowe.

Odłożyłam słuchawkę i wyobraziłam sobie, jak idę z wózkiem prospektem Włodimirskim, sama. I co pięć minut dzikim wzrokiem popatruję na zegarek, sprawdzając, czy nie minęły już dwie godziny, przeznaczone na spacer. Albo ze znudzoną miną stoję nad piaskownicą. Albo prowadzę dziecko za rączkę do przedszkola, też sama. A potem najgorsze - pierwsza klasa i znowu wszystko od początku - dwójki, wywiadówki...

...A Romana jakoś gdzie nie widać, pewnie jest w pracy.

Alona powiedziała, że chętnie zaraz wszystko ze mną szczegółowo obgada i że akurat wczoraj widziała śliczne koronkowe beciki, niedrogo, za jedne dwieście dolarów.

Odłożyłam słuchawkę i pomyślałam: Alona zacznie jeździć za granicę, Olga robić karierę zawodową, wszystkie będą chodzić na przyjęcia, do teatrów i na bowling, a ja się będę cieszyć, patrząc, jak rośnie moje dziecko.

Urodzenie dziecka w trzydziestym szóstym roku życia to rzecz bardzo niebezpieczna - co będzie, jeśli za dwanaście lat wszyscy zaczną mnie brać za jego babkę?

Oddzwoniła Żenka i kazała mi się przestawić na pozytywne myślenie za pomocą autotreningu. Autotrening to rzecz bardzo prosta, trzeba się tylko położyć, zamknąć oczy, rozluźnić ręce, nogi i głowę i powtarzać głośno grobowym głosem, jednocześnie rozluźniając szczęki: „Jestem bardzo szczęśliwa, ale to bardzo, i Mura też się ucieszy, a szczególnie ucieszy się Lew Jewgienjewicz (uwielbia zabierać dzieciom piłeczki i bawić się nimi sam)”.

Nie wiadomo kiedy zasnęłam, a gdy się obudziłam, okazało się, że autotrening ogromnie mi pomógł - jestem absolutnie szczęśliwa i

zaraz zadzwonię do Romana.

- Spotkajmy się wieczorem. Mam wykład o ósmej, więc umówmy się w Ogrodzie Letnim o wpół do siódmej - powiedziałam. - Nie, nie, nic się nie stało (po co człowieka straszyc!), po prostu musimy BARDZO PILNIE porozmawiać o pewnej BARDZO WAŻNEJ SPRAWIE, nie denerwuj się.

Do trudnej rozmowy zawsze należy się wcześniej przygotować, więc bardzo starannie obmyśliłam cały przebieg spotkania. Istnieje kilka wariantów takiej rozmowy; dla ułatwienia rozpatrzmy je w punktach.

### Wariant pierwszy

1. Niby przypadkiem spotykamy Alonę.

- Och, jakaż z was piękna para! A jakie będziecie mieli śliczne dzieci! - mówi Alona z rozczeniem i jakby mimochodem.

Przypuszczalna reakcja Romana: cieszy się, natychmiast chce mieć śliczne dzieci.

Uwaga. Nie zapomnieć namówić Alonę.

2. Niby przypadkiem zaprowadzić Romana do apteki i poradzić się go, jaki test ciążowy wybrać. Kupić test.

Przypuszczalna reakcja: pełen radosnej niecierpliwości Roman chce co prędzej poznać wynik testu.

Uwaga. Nie zapomnieć wstąpić do apteki. I gdzie w Ogrodzie Letnim będą mogła użyć testu?

3. Po nabyciu testu kokieteryjnie zwrócić się do Romana „tatusiu”.

Przewidywana reakcja: rozczenie.

Uwaga. Od czasu do czasu można mówić do niego „tatulku”.

### Wariant drugi (po prostu rozmowa)

#### Krótkie tezy rozmowy

1. Będę miała dziecko.

Przypuszczalna odpowiedź Romana: „Nie ty, tylko my!”.

2. Jestem samodzielną kobietą i wychowam dziecko sama.

Przypuszczalna odpowiedź: „Będziemy wychowywać nasze dziecko razem”.

3. Nie chcę wychodzić za ciebie za męża, bo już jesteś żonaty.

Przypuszczalna odpowiedź: nie potrafię sobie wyobrazić, co on powie. To bardzo dobrze, ponieważ każdy plan powinien zawierać element nieokreśloności.

4. Pomóż mi znaleźć lekarza! (Uwaga. Nie zapomnieć włożyć czarnego berecika i przysiąc na ławce).

Przypuszczalna odpowiedź: „No proszę, całkiem jak w filmie - ona spodziewa się dziecka, a on go nie chce, on jest draniem, a ona świętą”. (Uwaga. A jeżeli on nie zna tekstu z mojego ulubionego filmu *Moskwa nie wierzy łzom?*).

Spacerowaliśmy w Ogrodzie Letnim od wpół do siódmej do za dziesięć ósma. Rozmowa była bardzo smutna. Roman po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha (mężczyźni starają się unikać owych cudownych słów „kocham cię”, i możliwe, że mają rację, bo te słowa pozostawiają w duszy dziwną ciszę i smutek, jakby coś uleciało na zawsze), że przez lato stałam się dlań najbliższym człowiekiem, że jestem niezwykła (hura!) i on za nic nie chciałby się ze mną rozstać. Co do tego rozstania, nie bardzo rozumiem, bo chyba nic o tym nie mówiłam.

- Muszę pomyśleć, jak teraz żyć - powiedział Roman mężnie i odpowiedzialnie. Ale z drugiej strony, podkreślił, nie zna jeszcze mojej córki (to prawda, z zasady nie zapoznaję Mury, Lwa Jewgienjewicza i Sawwy Ignatjicza z mężczyznami, z którymi mam romans), czeka nas bardzo dużo komplikacji, a po cóż nam te komplikacje...

Byłam równie szlachetna jak on i przedstawiłam mu punkty 1,2 i 3. Przy punkcie 3 („Nie chcę wychodzić za ciebie za męża, bo już jesteś żonaty”) Roman kiwał głową i mówił: „Tak, tak, oczywiście”.

Okropnie mi go żal! To taka skomplikowana sytuacja...

Załóżmy, że Roman mnie kocha i chce, żebyśmy mieli dziecko. A żony nie kocha, ale już ma z nią dziecko. Gdyby i tak zamierzał od nich odejść, wszystko by się ułożyło, ale przed dzisiejszą rozmową nawet nie myślał o odejściu. Z tego wynika, że interesy jego nowego dziecka jakby przekreślają interesy starego dziecka, i to jest złe, tak się nie godzi.

Pocieszałam Romana, powiedziałam, żeby się nie martwił, że jakoś to będzie, musimy to traktować jak największą radość na świecie, i ta nasza radość na pewno nie obróci się w podłość wobec jego żony i dziecka.

Na pożegnanie Roman opowiedział mi, co nowego z jego projektem. Chciał pójść do generalnego producenta pewnej stacji telewizyjnej (tam jeszcze nie był), ale osoby dobrze poinformowane powiedziały mu, że producent jest na wylocie. Wobec tego Roman poszedł do jego zastępcy, ale ten o niczym nie decyduje, i teraz trzeba będzie szukać dojść przez dyrektora artystycznego. Roman bardzo się denerwuje, mówi, że kiedy on będzie tak chodził, ktoś ukradnie jego pomysł i zrobi taki sam program.

Zapewniałam Romana, że do tego nie dojdzie i wszystko będzie dobrze.

Roman niezwykle czule przytulił mnie na pożegnanie (obdarzył mnie tą dodatkową czułością jako matkę swego przyszłego dziecka) i powiedział:

- Na razie, wkrótce się zobaczymy, najdalej w piątek, zadzwonię!

Przyszłam na wykład tak zmęczona problemami i nadmiarem uczuć, że ledwie się wdrapałam na drugie piętro - ciąża daje się we znaki.

Nie rozumiałam, dlaczego studentki z pierwszych rzędów robią do mnie takie straszne miny. Po wykładzie otoczyły mnie w milczeniu i milcząc, cierpiały. Myślałam, że przytrafiło im się coś straszego.

- Bardzo przepraszam, ale ma pani... - wykrztusiła wreszcie

jedna z dziewczyn i strzeliła oczami w bok, w moją stronę.

Spróbowałam obejrzeć siebie z tyłu. O Boże! Czerwona plama!

O mało nie umarłam ze wstydu.

Powiedziałam dziewczętom, że jeśli nagle przytrafi im się w miejscu publicznym coś okropnego i nieprzyjemnego, niech w żadnym razie nie panikują, nie przepraszają, niech potraktują całą sprawę z humorem - cóż, każdemu może się zdarzyć.

Z ubikacji zadzwoniłam do mamy. Zawsze dzwonię do mamy, kiedy mam jakieś przykrości, jeżeli tylko nie dotyczy to Mury i nie jest związane z pieniędzmi, pracą, moimi romansami itp.

- Stało się coś strasznego - szeptałam w kołnierz swetra, żeby nikt nie usłyszał. - Najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić człowiekowi, który stoi przy tablicy na oczach stu osób. Nie, nie zgadłaś, nie posikałam się. Podpowiem ci: jeżeli ten człowiek jest kobietą w jasnych spodniach...

Postanowiłam, że odtąd w dniach krytycznych będę ubierać się na wykłady w coś nieprzemakalnego, na przykład kupiony w Disneylandzie długi czerwony deszczowiec z kapturem...

\*

Wieczorem zadzwoniła Żeńka. Kupiła specjalne witaminy dla starych ciężarnych (nie ma w tym nic obraźliwego, bo za stare ciężarne uważa się wszystkie kobiety powyżej dwudziestu pięciu lat) i piękny śliniaczek z małpką. Musiałam się przyznać, że pomyliłam daty.

- A mówiłam, że klimakterium - podsumowała zupełnie nielogicznie Żeńka. - Nic nie szkodzi, śliniaczek z małpką jeszcze ci się przyda. Cierpisz na całkowitą utratę pamięci i demencję.

Roman nie zadzwonił. Dziwne, on przecież nie wie, że szczególna czułość z uwagi na ciążę jest już niepotrzebna, a jednak nie zadzwonił

Dlaczego?

*8 listopada, środa*

HURA, HURA, bardzo szczęśliwy dzień! Opowiem wszystko po kolei.

Rano Łysy usiłował pokłócić się ze mną raz na zawsze.

- Pani kot śpi na moim mercedesie. A jeżeli on na niego... (nie mogę wymówić tego słowa, nawet napisać nie mogę). I potem nigdy nie domyję tego smrodu!

- Sawwa Ignatjicz? Śpi? Powiem mu i więcej się to nie powtórzy...

Łysy spojrzał na mnie dzikim wzrokiem i oświadczył, że ponieważ osobiście bardzo mu zależy na nowej fontannie, jest gotów zawieźć mnie na tym... jak to się nazywa... no, zaciągnąć mnie na sznurku do warsztatu samochodowego!

Jak to miło z jego strony!!!

...A może Łysy uknuł podstępny plan - wywabi mnie i gdzieś porzuci razem z moim samochodem, a sam zajmie wreszcie miejsce mego staruszka na podwórku? I wzniesie tam wieżę strażniczą?

- Po co pani bierze ze sobą psa? - zapytał Łysy.

- Lew Jewgienjewicz bardzo lubi długie podróże. Poza tym chcę, żeby zaczął w serwisie, aż naprawią wóz, i sam odprowadził go do domu. Bo się strasznie rozpuścił i nie ma z niego żadnego pożytku...

Łysy upewnił się chyba ostatecznie, że jestem wariatką, bo o nic więcej już nie spytał, tylko przywiązał mnie do siebie sznurkiem i pojechaliśmy do serwisu.

Jechaliśmy długo, bardzo długo, ponieważ strasznie się bałam:

1. Że się urwę od mercedesa.
2. Że wjadę mercedesowi w kuper.
3. Wszystkiego.

Łysy wychylał się z okna i ryczał: „Co z tobą, umarłaś, jedź szybciej!”.

Spędziłam trzy niezapomniane godziny na stacji obsługi w szczerym polu. Nie było tam nawet kawiarni, jednak los kobiety jest ba-ardzo ciężki... a Łysy nie wiem czemu siedział ze mną. Łysy ma na imię Marat.

Poradziłam mu, żeby zamiast budować fontannę, zajął się dobroczynnością, ale powiedział, że dobroczynność jest niepotrzebna, bo wkrótce w naszym kraju wcale nie będzie ubogich.

Jak to nie będzie ubogich? Przecież wszyscy mają strasznie nędzne emerytury, a nauczyciele i lekarze zarabiają tyle co nic!

Najpierw się przestraszyłam, że Łysy zna tajne plany naszego rządu, mające na celu całkowite uwolnienie się od biedaków, na przykład przez wywiezienie gdzieś wszystkich emerytów, nauczycieli i lekarzy, okazało się jednak, że go nie zrozumiałam, że rząd ma zupełnie inny plan. Otóż cały dobrobyt dla biednych weźmie się z jakiegoś PKB. Łysy powiedział, że PKB to produkt krajowy brutto. Nie zrozumiałam, co to takiego, ale wstydziłam się zapytać, żeby Łysy nie pomyślał sobie, że jestem nieuświadomioną ekonomicznie idiotką. Bardzo się cieszę, że rząd ma tak dużo tego PKB, i liczę na to, że wystarczy dla wszystkich.

W przeciwieństwie do mnie Lew Jewgienjewicz nie dyskutował na temat gospodarki i finansów, ale w upojeniu biegał po całej stacji obsługi, żebrząc o jedzenie. Majstrowie wrzeszczeli: niech pani zabierze tego psa, jest niebezpieczny (bokser miałby być niebezpieczny, a to tchórze!), i na wszelki wypadek częstowali Lwa Jewgienjewicza kanapkami.

Roman nie dzwonił, pewnie decydują się losy jego programu.

*10 listopada, sobota*

Jeszcze jeden bardzo szczęśliwy dzień!!! Bo szczęście zawsze chodzi stadami!!! A przynajmniej parami.

Ledwie wróciłam z uniwersytetu, kiedy zadzwonił telefon. Myślałam, że to Roman, tymczasem dzwonił z salonu piękności

„Nimfa”. Chcą otworzyć w salonie małą poradnię psychologiczną, złożoną ze mnie jednej, i właśnie mi to zaproponowali! (Nie na darmo udzielałam tam na prawo i lewo porad psychologicznych).

Uznali, że psycholog w salonie piękności to niezły pomysł. I zadzwonili do mnie!

Uważam, że poradnia w salonie piękności to świetna myśl! Klientka, siedząc w wałkach na głowie, zobaczy tabliczkę „Porady psychologa” i na pewno sobie przypomni, że zdradza ją mąż. Albo podstawia kopyta pod pedikiur i zacznie się zastanawiać, jak rozwinąć w sobie zdolności przywódcze i czemu by nie zacząć od razu - proszę, jest tabliczka „Porady psychologa”. Albo będzie miała inne nierozwiązane problemy.

Tym bardziej że nasze społeczeństwo jest dziwnie uprzedzone do porad psychologicznych. Każdemu się wydaje, że wszystkie problemy dadzą się rozwiązać z przyjaciółmi w kuchni, a jeśli już ktoś zwraca się do psychologa, to znaczy, że po prostu wstydzi się pójść do psychiatry. No a w salonie piękności to zupełnie inna sprawa: zajrzeć między strzyżeniem a pedikiurem do gabinetu psychologa - czemu nie, nikt nawet nie zauważy, a i samej delikwentce będzie się zdawało, że to nie na serio, lecz tak sobie, dla kaprysu.

Jestem przekonana, że przez lato nie straciłam kwalifikacji i doskonale mi pójdzie.

Wizyta będzie kosztować trzysta rubli - taniej niż pedikiur. Z drugiej strony, czemu manipulacje przy cudzych paznokciach mają kosztować taniej niż manipulacje z cudzą duszą? Wobec tego kryminał powinien kosztować mniej niż książka filozoficzna, a tak nie jest.

...A w dodatku połowę zabiera salon... Mniejsza z tym, rynek sam mi powie, ile jestem warta.

Przed zaśnięciem nic nie czytałam, tylko przejrzałam *Psychoterapię praktyczną* Victora Frankla, żeby odświeżyć swoją wiedzę. W przedmowie napisano, że Victor Frankl w czasie wojny przebywał w obozie koncentracyjnym i tam stworzył tę książkę o sensie życia i



wartości istnienia.

Dalej (po przedmowie) na razie nie czytałam. Czy ja potrafiłabym w obozie koncentracyjnym rozmyślać o sensie życia? Sądzę, że nie. Bałabym się tylko, marzyła o jedzeniu i starała się wymigać od roboty. To dlatego, że jestem kobietą, a kobiety nie mają skłonności do rozważań filozoficznych, myślą raczej o tym, jak przeżyć.

Długo nie mogłam zasnąć, usiłując sobie przypomnieć, czy były jakieś kobiety filozofki, czy któraś z nich mieszkała w beczce jak Diogenes, albo w pieczarze, i czy żywiły się robaczkami jak nie pamiętam już kto. Chyba nie...

Roman nie dzwoni, a przecież mogłabym mu poradzić, żeby nie przejmował się tak programem, tylko zaczął myśleć o sensie życia i wartości istnienia. Postanowiłam ćwiczyć siłę woli - nie będę pisała dziennika, dopóki Roman nie zadzwoni.

Ale DLACZEGO ON NIE DZWONI??? CO JA ZŁEGO ZROBIŁAM (poza tym, że nie jestem w ciąży, ale on przecież jeszcze o tym nie wie)???

*12 listopada, niedziela*

Wreszcie zadzwonił Roman, bardzo smutny i czuły, pytając z poczuciem winy, jak się miewam.

Odpowiedziałam słabym głosem, że na razie nieźle.

Nie potrafię wyjaśnić mojego dziwnego zachowania nikomu, nawet sobie i Żeńce, ale NIE CHCĘ się przyznać, że miałam ciążę urojoną.

*14 listopada, wtorek*

Dzwonił Roman, bardzo smętny i tkliwy, pytając nieśmiało, jak się czuję.

Oznajmiłam nonszalancko-mężnym głosem, że nieźle, co prawda mam mdłości, ale to nic. Nie rozumiem, czemu się tak zachowuję.

*17 listopada, piątek*

Dzwonił Roman.

W pierwszej chwili pomyślałam, że najwyższy czas powiedzieć prawdę, bo takie oszustwo może mnie zaprowadzić za daleko.

W następnej chwili się rozmyśliłam - nie przyznam się za nic w świecie!

Pod koniec rozmowy postanowiłam przyznać się za jakieś sześć, siedem miesięcy.

Dlaczego zupełnie nie potrafię rozstać się z myślą, że mogłabym mieć to absolutnie nielegalne dziecko? Pewnie to coś tkwiącego bardzo głęboko w podświadomości, nie mam pojęcia co.

Pytałam wszystkich, dlaczego się tak dziwnie zachowuję - jak wytrawna szantażystka.

Alona oznajmiła lekceważąco, że w głębi duszy bardzo chcę mieć prawdziwą rodzinę z mężem i jeszcze jednym dzieckiem. Uważam, że to brednie, bzdury, głupota, która z nas jest psychologiem, ona czy ja? A poza tym nie mówi się „w głębi duszy”, tylko „podświadomie”.

Olga jest zadowolona, że nie będzie musiała przychodzić i zabierać dziecka na spacer dwa razy w tygodniu.

Żeńka powiedziała: „Odczep się, głupia”. Uważam, że to niegrzeczne - Żeńka nie ma zrozumienia dla mojej subtelnej kompleksji duchowej.

Denis niepokoi się, jak narodziny dziecka odbiją się na Murze (dobrze, że się z nim rozwiodłam, to potworny egoista, nawet nie próbuje zrozumieć, że moja ciąża jest wirtualna, czysto duchowa).

Wieczorem przypadkowo znalazłam na dnie szafy pierwsze buciczki Mury.

*24 listopada, piątek*

Idę dzisiaj do salonu „Nimfa” na piątą. Salon jest czynny do dziewiątej wieczorem, więc zdążę przyjąć z pięć, sześć osób. A może

nawet siedem.

Ósma. Już trzy godziny siedzę w gabinecie sama (jak głupia). No dlaczego, dlaczego paznokcie i włosy wydają im się ważniejsze od własnej duszy? Czyż naprawdę nikt nie przyjdzie?! A tak tu u mnie przytulnie. Przyniosłam z domu lampę z zielonym abażurem (zielony kolor uspokaja) i czerwoną serwetę (czerwony pobudza).

Ojej, ktoś stuka! Muszę szybko schować książkę i przybrać poważną psychologiczną minę „Zaraz pani pomogę”!

Wchodzi dama około czterdziestki, ubrana kosztownie i nieciekawie, od góry czarna marynarka i od dołu też coś w rodzaju czarnej marynarki. Zbliży się do mnie z taką miną, jakby zaraz miała mnie przegonić od stolika i usiąść przy nim sama. Mam tu w szafce przygotowane filizanki oraz kawę i herbatę dla rozluźnienia klientek.

- Napije się pani kawy? Albo herbaty? - pytam serdecznie.

- Nie mam czasu na wysiadywanie przy herbacie. Jestem główną księgową w dużej firmie. Przyszłam się uczesać i zajrzałam tu po prostu... z ciekawości. Inaczej za nic bym do pani nie przyszła, bo sama potrafię sobie radzić ze swoimi problemami.

Ale ja rozumiem: skoro przyszła, to znaczy, że ma się z czego zwierzać. Żeby tylko szybko zaczęła, a nie odwróciła się i wyszła, bo moja kariera w salonie kompromitująco się zakończy jeszcze przed rozpoczęciem.

Ze strachu milczę. Ona też milczy. Sama przyszła do psychoterapeuty i teraz mnie za to nienawidzi. Zapytam, jak jej na imię. Dla człowieka nie ma nic miłszego niż dźwięk własnego imienia. (Przy każdym konflikcie, nawet w czasie awantury w tramwaju, należy koniecznie zapytać o imię rozmówcy).

Główna księgowka chyba postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zaraportowała sucho: jest mężatką od dwudziestu lat, z pracy wraca późno.

- Mam wszystko pod kontrolą. Mąż zawsze na mnie czeka, w domu panuje idealny porządek.

Za nic bym nie chciała być jej mężem. Musiałabym rzucać oglądanie meczu w telewizji i stawać na baczność w przedpokoju do uroczystego powitania.

Co ja mam dalej robić, no co?! Aha, ciekawe, co to za typ ten jej mąż? Zapytam w jakiś zawołany sposób, żeby się nie zorientowała.

- A jaki jest pani mąż?

- Cóż, mój mąż jest człowiekiem słabym, niepewnym siebie, nie to co ja... ciężko przeżywa nawet drobne niepowodzenia...

Jaki problem może mieć taka władcza baba? Myślę, że zahukany do całkowitej utraty męskości mąż wyślizgnął się spod jej pantofla w jedyny możliwy sposób - zdradził ją! Ja też bym ją cichcem zdradzała.

- Cóż, krótko mówiąc, podejrzewam, że mąż nie jest mi wierny.

Hura, hura! A jednak jestem genialnym psychologiem! Rozgryzam ludzi jak orzeszki! Co prawda, to akurat łatwy przypadek, przecież ta żelazna lady nie mogłaby sama poderwać sobie kochanka, ha, ha! Jestem pewna, że poza mężem nigdy nikogo nie miała, a i z mężem sypia ściśle według harmonogramu!

- Nie jest wierny? - pytam. To mój ulubiony chwyt: jeśli nie wiem, co powiedzieć, powtarzam jak echo, rozmówca na pewno jeszcze coś doda, a ja w tym czasie zdążę się zastanowić.

Świetnie, podziała! Teraz opowieść płynie jak rzeka. Główna Księżowa zdradza wszystkie klasyczne objawy: w pracy rozmyśla, co teraz robi mąż, w domu podsłuchuje jego rozmowy telefoniczne, otworzyła jakieś adresowane do niego listy - co prawda okazało się, że to reklamy. Słucham niezbyt uważnie, bo jeszcze nie wiem, jak poprowadzić rozmowę dalej.

- A co dla pani oznacza zdrada?

- Jak to co? To co dla wszystkich.

Wyjaśniam jej, że zdrada dla każdego oznacza co innego. Dla jednych zdrada fizyczna nie jest tak istotna jak zakochanie się bez żadnych podtekstów seksualnych, a dla innych bardzo bolesna jest właśnie niewierność fizyczna, nie potrafią tego wybaczyć i już.

Bywają ludzie bardzo zazdrośni i bywają nawet zazdrosne owady - takie żuki zazdrośniki po zbliżeniu ze swą samiczką jeszcze długo dla pewności na niej siedzą, żeby się nie napatoczył inny samiec. Moim zdaniem to bardzo interesująca informacja, ale Głównej Księżowej jakoś nie przemówiła do przekonania.

- Co tu mają do rzeczy owady? Bogu dzięki, nie jesteśmy żukami! A zdrada jest zdradą, i niech pani nie opowiada głupstw.

Całkowita klęska! NIE WIEM, co dalej robić!

- A czy pani sama zdradziła kiedyś męża?

No, teraz baba się zabierze i pójdzie! Ale to mi się wyrwało niechcący, daję słowo!...

Nagle Główna Księżowa wyprostowała się, pochyliła do mnie i oznajmiła:

- Zdradziłam męża dwudziestego sierpnia o dziewiętnastej piętnaście. Dokładnie trzy miesiące temu. Ale to się stało zupełnie przypadkowo, w pracy...

O kurczę, tego się po niej zupełnie nie spodziewałam; w pracy! No trudno, każdy się może pomylić.

- Od dawna się pani wydaje, że mąż panią zdradza?

Zamyśliła się.

- Nie... od jakichś dwóch tygodni... ale jestem już tak udręczona!

Milczę. A więc specjalnie wprowadza mnie w błąd! W głowie mi się kręci i nie wiem już, kto kogo zdradził. Zaraz powiem: przepraszam, nie potrafię pani pomóc, do widzenia... I pójdę do domu, żeby już nigdy tu nie wrócić. Na pedikiur będę chodzić gdzie indziej.

- Chce pani powiedzieć, że na złodzieju czapka gore? Że podejrzewam go, żebym to nie ja była winna, tylko on? - pyta Główna Księżowa.

Zupełnie się nie spodziewałam, że tak trafnie zinterpretuje swój problem, zuch baba.

- Może powinnam mu się przyznać? - Księżowa wzdycha z ulgą.

Biedna, czyżby naprawdę zdręczała się tym, że przestała być cnotliwą żoną, której mąż wszystko zawdzięcza?

- Czy jest pani pewna, że jeśli przyzna mu się pani do tej przypadkowej przygody, zdoła mu pani potem przywrócić spokój? Sama pani mówiła, że on przy każdym głupstwie wpada w panikę. Może lepiej będzie go chronić. Przecież to typowy melancholik, żyje odwrócony nosem do ściany.

- Tak, tak! On by tego nie przeżył, gdybyśmy mu się przyznali!

Szybciotko ustalamy, że mąż jej nie zdradził, że wszystko to sama wymyśliła, żeby nie czuć się winną, przyznać się zaś w żadnym razie Księgowej nie wolno.

A może ja też powinnam jej się zwierzyć, skoro ona tak szczerze wszystko mi opowiedziała? Mogłabym w rewanżu opowiedzieć babusowi coś o sobie... Nie, lepiej nie, bo jeszcze uzna, że jestem niemoralna i powinno mi się odebrać prawo wykonywania zawodu. Raczej powiem jej na ostatek coś miłego:

- Jest pani wyjątkowo silną kobietą! Tylko pani może zapewnić szczęście i spokój mężowi! Wszystko, jak zawsze, jest w pani rękach!

Przytakuje z zadowoleniem. Lubi mieć sprawy pod kontrolą.

Kobieta wychodzi z gabinetu z surową miną, zapominając, że dopiero co byłyśmy sobie bardzo bliskie, ale w drzwiach odwraca się i rzuca przez zęby:

- Dziękuję.

- Proszę - mówię. - Niech pani jeszcze wpadnie.

Myślę, że poszło mi całkiem niezle...

Wróciłam do domu taka zmęczona, że nie miałam siły gadać z Murą.

- Jak było w salonie piękności? - spytała Murka.

- W porządku, rutynowe sprawy... Kosmetyczka mnie namawiała, żebym przyszła do niej na specjalny antycellulitisowy masaż pupy.

Mura bardzo się ożywiła i powiedziała, że ona też pójdzie na masaż.

- Figę z makiem! Ty jeszcze nie masz cellulitisu.

- I tak pójdę. Położę się obok ciebie, będę cię odpychać i podstawiać własną pupę.

Ze zmęczenia prawie nie mogłam rozmawiać przez telefon, tylko krótko opowiedziałam Żeńce o Głównej Księżowej ze wszystkimi szczegółami i profesjonalnym komentarzem. Położyłam się spać w dziurawej flanelowej piżamie, w której sypiała Mura od dziesiątego do dwunastego roku życia. Ta piżama usuwa zmęczenie.

Takie konsultacje są straszliwie wyczerpujące! Bo człowiek przejmuje na siebie cudze problemy! A gdybym miała dzisiaj pięć klientek albo choćby dwie? Zасыpiając, myślałam o Głównej Księżowej (typowe dla profesjonalnych psychoanalityków) i wyobrażałam sobie jej męża: pewnie jest niewysoki, łysy, w okularach, poczciwina.

*25 listopada, sobota*

O wpół do dwunastej przed południem na całego rozhulał się we mnie sobotni syndrom nikomuniepotrzebności.

A wszystko dlatego, że niektórzy (dzwoniła Olga, idzie dziś wieczorem na koktajl) na złość mnie w soboty prowadzą światowe życie na przyjęciach, prezentacjach, w bufetach i kuluarach.

To niesprawiedliwe, że możliwości sobotnich rozrywek często zależą od miejsca pracy. Praca Olgi - to napisać o bankiecie z okazji wręczenia nagrody takiej albo o koktajlu z okazji wręczenia nagrody owakiej, a ja w soboty często miewam wykłady.

Za piętnaście dwunasta zadzwonił Roman i zapytał mnie ostrożnie, jak chorą:

- No jak tam? W porządku?
- Dzisiaj wspaniale.
- Kochanie... - Roman zamilkł na tak długo, że się złąkłam, iż popadł w głębokie omdlenie i za chwilę półprzytomny palnie coś

takiego, po czym będę musiała źle o nim myśleć, a ja nie chcę źle o nim myśleć, chcę myśleć tak, jak jest - że ROMAN JEST MIŁY I MNIE KOCHA.

Zapiekły mnie oczy.

- Już nie jestem w ciąży, nie zapisałam się do poradni i nie wybrałam wózka - wymamrotałam łamiącym się głosem.

Cóż robić... Jako dypl. psycholog doskonale zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, w tym także, co się dzieje w Romanie. Kiedy w jednym człowieku szaleje tak skomplikowana gama uczuć (miłość do mnie, obowiązek wobec żony, chęć pójścia wieczorem do restauracji „Tadž Mahal”), to ten człowiek po prostu nie ma odwagi powiedzieć od razu prawdy - jak bardzo chce mieć ze mną dziecko! To normalne. (Nie uważam, że mężczyźni powinni zawsze, bez wytchnienia, być bohaterami, są przecież ludźmi i też mają prawo się bać).

Ale akurat Roman w tej trudnej sytuacji z ciążą zachował się po bohatersku, mógł mi przecież powiedzieć, żebym sama rozwiązała swój problem i co tam jeszcze w takich wypadkach mówią żonaci mężczyźni, a on tego nie zrobił!

- Wybierzemy się wieczorem do „Tadž Mahal”? - zaproponował, zapominając, że dopiero co przestałam być w ciąży i nie mam głowy do rozrywek. - Posłuchamy bluesa.

Bardzo, ale to bardzo chcę iść do knajpy! Chociaż nie lubię bluesa, wręcz nienawidzę! Ale do knajpy pójdę-pójdę-pójdę!

- „Tadž Mahal”? A-a, wiem... tam jest chyba kuchnia orientalna? - rzekłam przeciągle.

Nigdy nie słyszałam o tej knajpie (każdy może się domyślić, że w lokalu o nazwie „Tadž Mahal” nie podają barszczu, racuchów i siwuchy). Nie rozumiem, dlaczego udaję, że jestem stałą bywalczynią eleganckich lokali. Szczerze mówiąc, całe to nowe knajpiane życie toczy się poza mną. Z Denisem zażywaliśmy rozrywek studenckich - były to popijawy w kuchni z przyjaciółmi, szaszłyki na daczach i urodziny dzieciaków.



Do za kwadrans dwunasta nie miałam żadnych szans na światowe życie oprócz rozpoznawczej wyprawy z Aloną do butików, a teraz czeka mnie prawdziwe wejście w świat!!! Co prawda w czasie wy-cieczki po butikach mogłabym się do woli nagadać z Aloną, z którą rozmawiałam przez telefon dwa razy wczoraj wieczorem i raz dziś rano.

Po drugiej postanowiłam przygotować się porządnie na wieczór i wysmarowałam twarz bardzo dobrą na cerę niebieską glinką.

O trzeciej spotkałam się z Aloną w galerii butików Nowy Pasaż; Murka uparła się, że też z nami pójdzie (ja w jej wieku po szkole prowadziłam dziennik własnych obserwacji przyrody, czytałam po francusku i po niemiecku, pisałam poezje białym wierszem, a Mura ma zupełnie inny krąg zainteresowań: pasjonuje ją chodzenie po sklepach oraz moje przyjaciółki).

Przed wejściem Murka przyhamowała i obejrzała mnie krytycznie.

- Wyrzucą nas stąd jako menelki - oznajmiła z przekonaniem. - I co ty masz na twarzy? Jesteś jakaś szaroniebieska, szczególnie na nosie.

Wystraszyłam się okropnie - jakie to przykre, że właśnie dziś tak źle wyglądam, ale szybko się połapałam, że zapomniałam zmyć z twarzy odmładzającą niebieską glinkę. Ale mnie można taką rzecz wybaczyć, jestem doktorem, a wszyscy naukowcy są roztargnieni. U nas na uczelni jedna pani docent przyszła na wykład bez spódnicy. W audytorium zdjęła płaszcz, rzuciła go na pierwszą ławkę i przypadkiem spojrzała w dół... Patrzy - a tu nie ma spódnicy! Na szczęście nie włożyła podartych rajstop, wszak różnie to bywa, a potem człowiek pali się ze wstydu...

Przejrzałam się w witrynie. Ładna jak malowanie - długi czarny płaszcz, pod nim dzinsy, nie widać, że stare, a poniżej dzinsów supermodne buty ze szpicami!

Snułyśmy się po marmurowym gmachu, tu rzeczy seksowne, tam wytworne, a wszystkie koszmarnie drogie. Moim zdaniem w galerii drogich butików powinno być przytulnie i uroczo, i powinno się tam

sprzedawać dużo atrakcyjnych i niedrogich drobiazgów - szale, chustki, bibelotki. A ten nasz pasaż przypomina marmurowy klozet w pięciogwiazdkowym hotelu - pięknie i imponująco, ale jeśli nie chce ci się siku, nie masz tam nic do roboty.

Murka zamierzała wstąpić do Escady, ale stchórzyła. Przekonywała mnie, że wszyscy normalni ludzie boją się wchodzić do drogiego sklepu.

- Naprawdę się nie boisz? Ekspedientki przecież od razu wiedzą, że ty tu niczego nie kupisz.

- A co mnie to obchodzi? One same też nie kupią, a poza tym ja nie jestem ekspedientką - odparłam z roztargnieniem i zobaczyłam przy stojaku z wieszakami Alonę. A na wieszakach WSZYSTKO TAKIE PIĘKNE, w koronkach, strasach i paciorkach!

Pomacałam różową marynarkę z piórami jak u pawia.

- Marynarka Ungaro, z wiodącej kolekcji - oznajmiła z dumą sprzedawczyni. - Cena dwa tysiące dolarów. (Co to jest „wiodąca kolekcja”, coś najlepszego?).

Czy ktoś w ogóle może nosić to upierzenie i nie czuć się pawiem? Przyzwoity człowiek powinien być zawsze ubrany ze smakiem w dzinsy (najlepiej stare) i czarny sweter.

- Te marynarki są w promocji - ciągnęła sprzedawczyni. - Bonifikata dziewięćdziesiąt procent!

Aha! Ależ mam fart! Promocja! Natychmiast kupię sobie ten różowy ogon! Ledwie dysząc z podniecenia, wyszeptalam do Alony:

- Co... tylko dwieście dolarów? Nie wierzę własnemu szczęściu! Dwieście dolarów w porównaniu z dwoma tysiącami to po prostu darmo! Poza tym różowe upierzenie jest piękne i będzie mi w nim do twarzy, nie to co w starych dzinsach i czarnym swetrze!

Z przejęcia całkiem zapomniałam, że nie mam dwustu dolarów na natychmiastowy zakup.

- Koniecznie muszę mieć tę marynareczkę! No, sama powiedz, gdzie ja dostanę „Ungarokolekcjawiiodącazadwieście dolarów”?

Alona i Mura chórem wyrzaskiwały do mnie obelgi - co za nie-

takt.

- Będiesz w tym różowym ogonie wyglądać jak oszalały bażant! Gdzie ty go ubierzesz? (Mura).

- Wszędzie, wszędzie!... I nie ubierzesz, ale włożysz, ile razy mam ci powtarzać! Dzisiaj go włożę, do klubu „Tadż Mahal”!

- Ten różowy ogon jest na ciebie za mały! (Alona).

Ze złości zapomniałam, że jestem w butiku, złapałam Alonę za ramię i potrząsnęłam.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się awanturowałam, różowe upierzenie w ogóle na mnie nie weszło, to znaczy prawie by weszło, gdybym wciągnęła brzuch i nie wkładała rąk w rękawy.

...Przez Murkę i Alonę nigdy nie będę miała różowego ogona „Ungarowiodącaliniadzawieściedolarów”... A tak by było fajnie - z dziewięćdziesięcioprocentową bonifikatą...

Dalej wyprawa przebiegała tak sobie. Murka zachorowała na sztruksowy kostiumik z falbankami, ukradkiem gładziła go po spodnicze i przymierzała się do niego. Alona była zła i całkiem jak w dawnych, jeszcze niebogatych czasach co chwila powtarzała z urazą, że wszystko tu jest bardzo drogie.

W kawiarni „Aurora” wypiliśmy kawę z bardzo smacznymi ciastkami (zjadłam dwa i wzięłam gryza od Alony, Alona też zjadła dwa plus dwa gryzy ode mnie i od Murki), pożegnałyśmy się z Aloną i wtedy zauważyłam, że Murka jest nadąsana i o mało nie płacze.

- Powiedz mi, dla kogo jest to wszystko?

Nie od razu się zorientowałam, co Mura ma na myśli... Hm, godzinna przebieżka po luksusowym życiu nie wyszła jej na korzyść. Zapytała jak pięcioletnie dziecko: jak ona, Mura, wygląda na tle butików - na bardzo biedną czy po prostu na biedną?

Miałam jeszcze parę godzin do spotkania z Romanem, więc szybko wytłumaczyłam dziecku, że Armani, Versace, Escada, Sonia Rykiel - wszystko to jest bardzo piękne, ale przeznaczone dla tak cieniutkiej warstwy ludzi, że nawet jej nie widać. A większość ludzi,

w Rosji i innych krajach, ubiera się w normalnych sklepach, jeździ niedrogimi samochodami i raz do roku bawi się w Disneylandzie albo nawet na daczach w Mszyńskiej. I tym właśnie jesteśmy Mura i ja - klasą średnią, nadzieją i podporą społeczeństwa.

- Tylko nie rób mi teraz wykładu o nowych Rosjanach, którzy pragną świetlanej przyszłości - powiedziała kłótliwie Mura. - Ja chcę móc sobie pozwolić na ten konkretny kostiumik z falbankami i już! Co tam zresztą ja, dlaczego ty nie mogłaś sobie kupić tej pierzastej marynarki? Tobie to już na pewno należy się wszystko, co najlepsze!

- To już jest pytanie filozoficzne, Mura - dlaczego jeden rodzi się księciem, a drugi żebrakiem, i wszystkim żyje się nieźle niezależnie od dochodów...

Nie byłam jakoś szczególnie zła na Murę. Uważam, że każdy człowiek w jej wieku ma prawo kiedyś się zdziwić: dlaczego nie należę do mnie CAŁY ŚWIAT?

Zatruta butikowymi strasami i paciorkami Mura zaczęła mnie wychowywać.

- Masz trzydzieści siedem lat...

- Mam trzydzieści sześć!...

- Wkrótce skończysz trzydzieści siedem. A nawet nie umiesz chodzić na obcasach. Jakby jutro wypadło ci jakieś przyjęcie, to nie masz w czym pójść, nie masz ani pantofli, ani wieczorowej sukni. Tylko fajansiarskie oldskulowe kamasze, dzinsy i czarny sweter.

Co znowu za przyjęcie? Chociaż... a nuż?!

Murka ma rację, nie spełniłam się jako kobieta. Kosmetyków też nie mam, tylko jedną szminkę, którą mi dała Irka Chomik. Szminka była jej niepotrzebna, bo Irka pomalowała sobie usta na malinowo na trzy lata (nazywa się to makijaż permanentny i robi się go igłami, bardzo bolesny zabieg). Irka Chomik bynajmniej nie jest skąpa, ale będzie jej przyjemnie dostać ode mnie po trzech latach własną niekniętą szminkę.

- Mura? Wiesz, czego jeszcze nie mamy? - powiedziałam tragicznym tonem. - Nie mamy tchórzofretki. Absolutnie nie mamy

tchórzofretki, córeczko...

Trzymanie tchórzofretki jest teraz w modzie. Piotr Iwanycz podarował Irce tchórzofretkę z okazji poprzedniego Nowego Roku. Tchórzofretka pogryzła Irce wszystko, co mogła - najpierw próbowała uwić sobie gniazdo w szafie, potem w sprężynach kanapy. Jak już się przewierciła do środka, stwierdziła, że to nie to, i zaczęła się przewiercać w innych miejscach.

Zapytałam Murę, jak się czuje, zwiedzając Ermitaż, w porządku? Czy nie zaczyna natychmiast marzyć, że fajnie byłoby spać na takich sofach, jeść na takich serwisach... Ja sama często mam ochotę mieszkać w Pałacu Zimowym, marzę zwłaszcza o tym, by sypiać w Sali Malachitowej...

Siedziałyśmy z Murą na ławce w parku, ja paliłam i myślałam o niczym, a Mura dyskutowała sama ze sobą o tym, kto z naszych znajomych jest biedny, a kto bogaty. Nagle uszczypnęła mnie i powiedziała:

- Hej, już wiem! Bieda i bogactwo nie zależą od tego, ile człowiek ma pieniędzy, po prostu są człowiekowi dane raz na zawsze, jak kolor oczu. Jeżeli nie mam sztruksowego kostiumiku, ale go wcale nie chcę, to znaczy, że nie jestem biedna. A jeżeli mam kostiumik, ale wpadam w kompleksy i chcę mieć jeszcze jeden, to znaczy, że jestem biedna. Czyli człowiek jest biedny nie dlatego, że ma mało pieniędzy, ale dlatego, że jest biedny! I my, mamo, nie jesteśmy biedne, wcale nie!

Myślę, że moja Mura sformułowała nowe prawo natury.

Pewna nasza amerykańska znajoma zawsze narzeka na straszny brak pieniędzy, bo musi płacić za drogi dom, drogi samochód, drogą opiekunkę do dzieci i już nic jej nie zostaje dla siebie, a mnie i Murze zawsze zostaje.

Dziś zostało nam na stanik dla Mury.

- Daj na cel dobroczynny - rzekła Mura, wyciągając chwytną łapkę. - Muszę mieć bulkający stanik.

Obmacaliśmy wszystkie biustonosze w Gościennym Dworze. Ekspedientka wzięła nas pewnie za fetyszystki, a myśmy po prostu sprawdzały, czy staniki bulkają, czy nie.

Jadłyśmy z Murą cheeseburgery w McDonalddie na rogu Newskiego i Rubinsteina i śmiałyśmy się.

Nie widzieliśmy się z Romanem od czasu mojej niefortunnej ciąży, toteż schadzka w mieszkaniu jego kolegi odbyła się bardzo burzliwie, i nie zdążyłam powiedzieć Romanowi, że w moim życiu zaszły ogromne zmiany i udzielam porad psychologicznych w salonie piękności.

I oto jesteśmy już w klubie „Tadź Mahal”. Jestem w czarnych džinsach, w małym czarnym sweterku i w euforii - dokoła dekolty, strasy i boa - prawdziwe światowe życie!

Blues był jakiś elektroniczny i jadowity, strasznie nadymione, kuchnię orientalną reprezentowały szaszłyki z baraniny. Nienawidzę zapachu baraniny i jeśli to ma być światowe życie, to chcę do łóżka, i to zaraz.

Roman za nic nie płacił, bo w tym klubie ma barter za reklamę. Udałam, że rozumiem - widocznie wyświadczył tej knajpie coś dobrego, a oni za to pozwalają mu bezpłatnie udręczać mnie szaszłykami.

Romana zna mnóstwo osób, a mnie nie. To przykre, kiedy wszyscy ze wszystkimi się witają, a ze mną nikt, jakbym była człowiekiem z innego świata. Postanowiłam udać, że się odkląniam komuś w przeciwnym kącie sali. Machałam ręką i uśmiechałam się. Poszło świetnie i po kilku minutach jeszcze raz pomachałam do jakiegoś faceta z kolczykiem w wardze.

- Kto to jest? - zapytał Roman. - Ten z włosami do ramion i kolczykiem w wardze?

- To? A-a, to jest... jeden nasz profesor z wydziału ekonomii.

Wszyscy wokół mnie rozmawiają o muzyce, a ja nie znam żadnego zespołu i żadnego nazwiska.

- Wolę muzykę symfoniczną - powiedziałam do sąsiada naprzeciw, po prostu dlatego, że milczałam już ponad godzinę.

Popatrzył na mnie jak na gadającą papugę (papuga wprawdzie gada, ale któż by jej odpowiadał!).

Dobrze, że można przynajmniej w milczeniu palić i udawać, że się tu przyszło właśnie po to - że po prostu lubię sobie popalić w miejscu publicznym.

Roman rozmawiał z różnymi ludźmi.

- Weź sobie trzy minuty czasu reklamowego i przynieś gotowy program...

- On chce mi wcisnąć nie trzy minuty, ale całe dziesięć, z których siedem to džinsowe...

- Rating, gallop... (Co to jest?).

- A u niego nie wiadomo, czy to jest program, czy džins...

Kiedy w starych radzieckich filmach o wojnie były sceny z dialogami po niemiecku, u dołu ekranu pojawiał się napis: „Rozmowa w obcym języku”. Z obcego języka znałam (od Romana) tylko słowo „dżins” - jest to materiał opłacony, kryptoreklama. To tak, jakbym przypadkiem napisała podręcznik i zapłaciła wszystkim wykładowcom, żeby mówili, że mój podręcznik najlepiej ujmuje zagadnienie, i wykładali tylko według tego mojego podręcznika (dobrze by było, gdybym napisała podręcznik, a wykładowcy...).

Wypaliłam już wytwornie pół paczki papierosów i zamierzałam przystąpić do drugiej połowy, kiedy wreszcie przedstawiono mi normalnego człowieka, podobnego do mnie. Jest szefem komory celnej, nie interesuje się gallopem, ratingiem i džinsem, postanowiłam więc porozmawiać z nim o czymś bliskim nam obojgu.

- Nie bardzo lubię bluesa, po prostu go nienawidzę - wyznałam. - Lubię muzykę klasyczną, a pan? Lubi pan Brahmsa?

- Brahmsa? Najbardziej lubię przyrodę - odparł celnik. - Trochę słońca, zimną wodę...

Bardzo się ożywił, usłyszawszy, że jestem psychologiem - ma do

mnie pytanko dotyczące jego własnych problemów psychologicznych.

- Wczoraj nawalił mi wóz i jechałem do domu tramwajem linii czternaście - powiedział i popadł w zamyślenie. - No więc jadę, patrzę na ludzi i myślę: co też oni mają w torbach?

Na wszelki wypadek przyciągnęłam do siebie swoją torebkę. W żadnym razie nie mogę jej dać do kontroli celnikowi - mam tam straszny bałagan: zeszlóroczne programy teatralne, tampony, pustą paczkę po papierosach, papierki od cukierków...

Aby odwrócić jego uwagę od swojej torebki, opowiedziałam mu straszną historię o naszych studentach, przyłapanych na rozprowadzaniu narkotyków. Celnik doradził, żeby wystawić posterunek przy wejściu do audytorium i przed wykładem sprawdzać studentom kieszenie.

Szybko udzieliłam mu konsultacji psychologicznej - powiedziałam, że to wielkie szczęście, kiedy człowiek tak kocha swoją pracę.

\*

Wczoraj (piątek - potwornie ciężki dzień!) po trzech wykładach dla studentów dziennych i dwóch dla wieczorowych miałam wrażenie, że ze zmęczenia jestem w środku zupełnie pusta i lekka i zaraz wzbiję się w niebo. A w tym całym „Tadž Mahalu” (jest już druga w nocy!) zrobiłam się ciężka i dziwnie stłamszona, jakby wszystkie te spotkania z ciekawymi ludźmi odbywały się bezpośrednio na mnie, a w dodatku jakby mnie zmuszono do zjedzenia całej paczki papierosów.

Moja dusza jest pełna dziwnych sprzeczności - jedna jej część marzy o nocnym życiu, bankietach i restauracjach (ALE NIE DO TAKIEGO STOPNIA), a druga jest WIECZNIE ZMĘCZONA i wzdycha do własnego domu i własnego łóżka (w którym mogę zjeść jabłko albo cukierka i poczytać książkę).

Nie cierpiałam na próżno (baranina, blues, brak cukierków itd.).



Ten wieczór okazał się nie wieczorem moich udręek, ale WIECZOREM BARDZO POŻYTECZNYM - Roman prawie się dogadał co do swojego programu, hura!

Po takim burzliwym światowym życiu każdy człowiek koniecznie powinien położyć się spać w starej flanelowej piżamie w zajęczki.

## GRUDZIEN

*2 grudnia, sobota*

Rano zadzwoniła Alona - Stella pilnie potrzebuje porady i manikiuru. Po co porada psychologiczna komuś, kto i tak ma tyle wszystkiego - hotel i całą resztę? Zapisałam Stellę na trzecią na manikiur, a na czwartą do siebie.

\*

Stella była zupełnie spokojna, tylko cały czas przebierała palcami i drgał jej lewy kącik ust. Albo prawy, zawsze mi się myli lewa i prawa strona, kiedy prowadzę auto i kiedy człowiek siedzi naprzeciw mnie.

Okazało się, że Stella nie jest główną właścicielką fabryk, gazet, statków, tylko zastępcą niejakiego Pietrowa. Powiedziała, że nie będzie mówić o żadnych „realiach”, ale nie wiadomo czemu ciągle powtarzała „my z Pietrowem”, „Pietrow polegał na mnie we wszystkim”. (Czy Pietrow zalicza się do realiów, czy nie?).

- Wszystko było cudownie, og-gromna forsa - oznajmiła Stella z przydechem, pochylając się do mnie - po prostu strach powiedzieć jaka!

Na chwilę oderwałam się myślami od rozmowy, zastanawiając się, co bym kupiła, gdybym miała „strach powiedzieć, jaką forszę”. Więc tak: najpierw poleciałabym do Mexx; już dawno upatrzyłam tam sobie garniturek - zamszową kurtkę i spodnie z kieszeniami na kolanach. Do tego torebka... Zaraz, co tam mówi Stella?...

- To taki interesujący człowiek, ma taką aurę! Pietrow to prawdziwie charyzmatyczna osobowość!

Co ona ma na myśli? Charyzmatyczna osobowość - coś jak Jezus Chrystus i Jelcyn? A biedny Gorbaczow nie miał żadnej charyzmy i dlatego naród go nie pokochał...

- Pracowałam dla Pietrowa nawet za darmo... Przy nim jest zupełnie inne życie!

- A jakie jest życie bez Pietrowa?

Stella tylko machnęła ręką - widać w ogóle nie wyobrażała sobie życia bez Pietrowa. Chciałabym go zobaczyć...

- No więc wszystko było wspaniale, dopóki miesiąc temu nie zaatakowała nas konkurencja. Zwaliła się na nas kontrola podatkowa. Rewizja, położyli areszt na dokumentach. Dobrze, że się w porę zorientowałam i wyniosłam schowane przy sobie niektóre papiery.

No proszę, jaka dzielna, czysty Stirlitz w łapach Mullera.

- A tydzień temu (o Boże, ona płacze, co robić?!)... - Stella rozmazywała łzy po policzkach - ...tydzień temu mnie aresztowali! Chociaż Pietrow nic tu nie zawinił! To wszystko przez konkurencję!

Podalam Stelli chusteczkę jednorazową. Zawsze mam w szufladzie chusteczki dla klientek, a niekiedy sama w nie płaczę. To bardzo nieprofesjonalne, dlatego teraz nie będę płakać, tym bardziej że nie mam pojęcia o biznesie hotelowym.

Stella wysmarkała nos i zaczęła opowiadać dalej. Nie przypuszczała, że coś takiego może się zdarzyć, niemniej nękały ją pewne obawy - w biznesie różnie bywa. Kiedyś mieli już z Pietrowem kłopoty ze spłatą podatku i Stella rano, po wzięciu prysznicu, włożyła ciepłą bieliznę, po prostu na wszelki wypadek, gdyby ją zatrzymano na ulicy.

- Włożyłam rajstopy 70 den, skarpety, podkoszulek z długim rękawem i dwa swetry, cienki i gruby...

Skąd ona wie, że w celi jest zimno?

- A do torebki wzięłam zapasowe majtki.

Byłam wprost wstrząśnięta opowieścią Stelli! Jaka to trudna rzecz

- biznes! Żyłam sobie beztrąsko, o niczym nie myśląc, i nie wiedziałam, że kobiety biznesu wszędzie chodzą z zapasowymi majtkami...

- Podeszli na ulicy i zabrali mnie do aresztu, a Pietrow do wieczora nie wiedział, gdzie jestem...

Stella zużyła już wszystkie moje chusteczki, dla mnie nic nie zostało, a jestem już bliska łez...

- No a kiedy Pietrow się dowiedział? Na pewno pośpieszył pani z pomocą? Przyprowadził adwokata czy co tam się jeszcze robi w takich wypadkach...

Tu Stella popadła w stupor i wymamrotała pod nosem:

- A Pietrow natychmiast wyjechał w podróż służbową za granicę... I zostałam zupełnie sama, z konkurencją, policją podatkową... a Guriewicz wyjechał...

- Przepraszam, poplątało mi się. Kto to jest Guriewicz?

- No przecież on, Pietrow!

Stella otarła łzy i opowiedziała mi historię Pietrowa. Otóż biznesmen Pietrow w czasach radzieckich robił zwyczajną radziecką karierę, to jest pisał rozprawę naukową i nosił wówczas nazwisko Guriewicz. I jako Guriewicz ożenił się, ale przyjął nazwisko żony - Pietrow. Notabene, rozwiódł się niebawem z towarzyszką Pietrową, ale NIE Z NAZWISKIEM PIETROW.

Ach, więc to tak! Uduśiłabym tego Pietrowa własnymi rękami!

Zdarzają się w życiu przedziwne zbiegi okoliczności - niektórzy ludzie wiecznie mają kłopoty z nazwiskami. Miałam w szkole bliskiego kumpla nazwiskiem Saszka Kacenenbogen. Saszka mówił o sobie „połówka”, bo jego tatą był Żyd Kacenenbogen, a matką Rosjanka Kałmykowa. Kiedy w dziesiątej klasie załatwialiśmy sobie dowody osobiste, Saszka pokłócił się strasznie z rodzicami i nawet odszedł na zawsze z domu do mnie na gołąbki mojej mamy, a wszystko dlatego, że jego rodzice chcieli, żeby mu wpisano w dowodzie „narodowość rosyjska”, a przy okazji zmieniono nazwisko.

Mama i tata Saszki przyszli po niego do nas, jedli gołąbki i przekonywali syna, że to po prostu rozsądne zabezpieczenie, profilak-

tyczny środek ostrożności. Ponieważ oni, rodzice, nie chcą, żeby ich dziecko przez całe życie cierpiało i było Żydem. Tym bardziej że sprawa jest uczciwa, po prostu wybór między tatą a mamą. Przy czwartym gołąbku Saszka się poddał i zgodził na narodowość rosyjską, ale o rodowe nazwisko ojca walczył jak lew i nie zgadzał się na żadne kompromisy. I tym sposobem ma w dowodzie Kacenenbogen po ojcu i narodowość rosyjską po mamie.

Ale przecież jeśli ten Guriewicz dojrzał już do pracy naukowej i zeniaczki, to po jakiego grzyba miałby się zamieniać w Pietrowa?!

Ciekawe, czy istnieje organizacja, która wyklucza spośród Żydów? Uważam, że nowego Pietrowa powinno się wykluczyć spośród Żydów raz na zawsze, i żeby już nigdy nie miał tam wstępu!

- Wyobraża sobie pani coś takiego? Przesiedziałam w celi całe dwie doby!... - chlpała Stella.

Wyobraziłam sobie, jak wypielęgnowana Stella maszeruje w szeregu aresztantek i słyszy: numer sześć, podnieść głowę...

Wszyscy wiedzą, że „więzienie też jest dla ludzi”, ale jednocześnie każdy myśli, że jemu coś TAKIEGO nie może się przytrafić: i Chodorkowski tak myślał, i Stella. Jakież to musiało być straszne dla takiej kobiety sukcesu nagle znaleźć się w klatce!

Czy naprawdę to była prawdziwa cela, z kibelem, jak w literaturze?

- Teraz niech mnie nawet skażą, najważniejsze dla mnie to nie zawieść Pietrowa!

A Pietrow ją porzucił, ukrywa się. Jednak kobiety mają w sobie jakiś heroizm.

- Boję się wychodzić na ulicę, wyobrażam sobie, że znów do mnie podejda - niemal szepcze Stella.

- Stello, będzie pani musiała trochę do mnie poprzychodzić. Jest pani w silnym stresie i w czasie jednego seansu nie zdołam pani uwolnić od strachu.

Co mogę dla niej zrobić już teraz? Mam w torbie przepiękny komplet, różowy staniczek z wiśniowymi koronkami i wiśniowe

majteczki z różowymi koronkami. Może dać jej te rzeczy w prezencie? To ją ucieszy. Chociaż co też ja? Będą dla niej za małe.

- A co robić z Pietrowem?... Tęsknię za nim...

I tu dopiero mnie olśniło. Ależ ona jest zakochana w tym swoim Pietrowie! I udaje sama przed sobą, że to wcale nie miłość, tylko on ma taką biznesową charyzmę itede... Ona wcale nie potrzebuje hotelu i całej reszty! Gryzie się, że on ją opuścił w nieszczęściu - jako mężczyzna, a nie jako partner w interesach. Gdybym była mężczyzną (choć też psychologiem), po prostu powiedziałabym sobie w duchu: „Baba to zawsze baba!”. A tak, co mam zrobić?

- Pani Stello, myślę, że na dzisiaj skończymy. A następnym razem popracujemy nad zupełnie innym problemem.

Mam w kieszeni kurtki dwa zachomikowane batoniki. Postanowiłam zjeść jeden, a drugi zostawić na później albo też zjeść.

*3 grudnia, niedziela*

Rano pojechałyśmy na dworzec po ciocię Wierę. Za każdym razem, kiedy ciocia przyjeżdża ze swego maleńkiego uralskiego miasteczka, mama cofa się do lat dziecięcych, bo ciocia Wiera jest od mamy starsza o dziesięć lat i mówi o niej „moja mała siostrzyczka”. Ciocia Wiera to bohaterka.

W czasie wojny została z moją czteromiesięczną mamą sama i zastąpiła jej matkę, chociaż jedenastoletnia wówczas ciocia Wiera sama bardzo jeszcze potrzebowała mamy. Ja na przykład mam trzydzieści sześć lat, a co bym poczęła bez mamy?

Zawiozłyśmy ciocię Wierę do domu, żeby odpoczęła, a mnie po długich targach udało się zaciągnąć Murę do Muzeum Rosyjskiego (Mura ofiarowała mi godzinę w muzeum, a ja jej obiecałam jakąś przyjemność, na przykład podwójną pizzę w pizzerii).

W westybulu muzeum Mura z wielką dezaprobatą rozejrzała się na wszystkie strony i powiedziała:

- No tak - uważasz się za kulturalną kobietę, a twoje dziecko ani razu nie było w Muzeum Rosyjskim!

To okropnie krzywdzące z jej strony - kiedy była mała, przed samym tylko obrazem *Ostatnie dni Pompei* spędziłyśmy w sumie dwa dni, a może i więcej.

- Mura, a osiołek, ten osiołek, który zawsze wodził za tobą wzrokiem? Naprawdę nie pamiętasz?

Jak zwykle dłuższy czas spędziłyśmy przed osiołkiem. Obserwuje nas, gdziekolwiek byśmy stanęły, obserwuje!!!

Mura pędziła mnie po salach, jakbyśmy były dwoma oszalałymi królikami, umykającymi przed lisem, i po czterdziestu minutach sztuki piękne miałyśmy już zaliczone. Za przyzwoite zachowanie w muzeum postawiłam Murze pizzę.

Potem zabrałyśmy mamę i ciocię Wierę i wyruszyłyśmy do Pawłowska. Złota jesień, listki itede już się skończyły, ale kawiarnia w pałacu jest urocza o każdej porze roku.

- Po raz pierwszy w życiu czuję się jak człowiek: byłam na spacerze i siedzę w kawiarni - powiedziała ciocia Wiera.

Do diabła! Do diabła! Do diabła! Strasznie mi żal cioci Wiery! Wiem, że Bóg nie ma czasu zajmować się takimi głupstwami, ale powinien przecież być jakiś Organizator. Menedżer do spraw Personelu, Niebiański Dyspozytor czy ktoś w tym guście, kto by pilnował, żeby wszystko w naszym życiu rozdzielone było sprawiedliwie.

Ciocia Wiera jest lekarzem, ginekologiem położnikiem, nie, nie lekarzem, jest DOKTOREM. W swoim mieście przyjęła kilka pokoleń uralskich dzieci. Przez ponad trzydzieści lat przyjmowała porody... Jakiś czas temu przeszła na emeryturę, a jedna z jej córek jest dyrektorem szkoły, przewodniczącą Dumy miejskiej i w ogóle posłanką do Dumy Państwowej. Pani poseł za swoją pensję żywiłaby się wraz z rodziną samym makaronem, a dzięki emeryturze cioci Wiery może posypywać makaron tartym serem.

Ciocię Wierę wszyscy pamiętają jako najlepszego, najserdecz-

niejszego doktora. Więc pytam - GDZIE SPRAWIEDLIWOŚĆ?! JEŻELI NIE ONA, TO KTO MA CHODZIĆ DO KAWIARNI?! A MA JUŻ SIEDEMDZIESIĄT LAT!!!

\*

Wieczorem przedstawiłam Romanowi przez telefon swoje poglądy na sprawiedliwość społeczną, a on zapytał jakoś tak zjadliwie:

- A co, uważasz, że każdy powinien otrzymywać według zasług?

Nie miałam zamiaru wszczynać dysputy teologicznej i zastanawiać się, JAK Bóg może się zorientować, że przeoczył sprawę cioci Wiery, po prostu chciałam się nad nią użalić i ponarzekać na złe urządzenie tego świata, ale czyż mężczyźni są w stanie to zrozumieć?...

Roman przytoczył kolejny przykład niedopatrzeń w dziedzinie sprawiedliwości: jeden z facetów, z którymi tak się męczyłam przy stole w „Tadź Mahal”, ukradł mu pomysł programu. Właśnie wyeemitowano podobną audycję... Roman mówi, że to koniec, ma przechlapanie...

Biedak jest zupełnie przybity, ale trzyma się dzielnie. Rozumiem go, na mnie też spadł niedawno taki sam cios - upatrzyłam sobie płaszcz w pewnym sklepie na Suworowa, no i podczas kiedy biłam się z myślami i chodziłam ten płaszcz odwiedzać, ktoś go kupił - i utraciłam go na zawsze.

W czasie mojej rozmowy z Romanem mama i ciocia Wiera przeprowadziły drobiazgową kontrolę naszego gospodarstwa, czepiając się wszystkiego. Była okropna awantura, zostałam obrzucona różnymi nieprzyjemnymi epitetami: flejtuch, zły przykład dla Mury... dalej nawet nie chce mi się wyliczać.

Uważam, że to krzywdzące, jestem przecież zajęta od rana do wieczora. Rano wykłady, w ciągu dnia i wieczorem konsultacje psych., no i cała reszta życia zawodowego i osobistego (naukowego - zamierzam napisać artykuł na bardzo ciekawy temat, mam już pewne

pomysły. Literackiego - kto pisze książkę i już prawie obmyślił fabułę? No kto?!).

To strasznie przykre, kiedy karzą człowieka niesprawiedliwie, nie wiadomo za co.

*4 grudnia, poniedziałek*

Mama i ciocia Wiera mają absolutną rację - Tak Dalej Życ Nie Można. Dom jest okropnie zapuszczony. W lodówce nieprzyjemny zapach, kuchenka w brudnych zaciekach, na posłaniu Lwa Jewgienjewicza wszystko, co nakradł przez ostatnie sto lat - opakowania, pudełeczka, papierki po cukierkach. Sawwa Ignatjicz urządził sobie w kącie przedpokoju własną kupę, nie mniejszą niż Kupa Mury, zebrał tam wszystkie niezbędne mu sprzęty gospodarstwa domowego (to i owo znalazł w domu, to i owo na podwórzu). Mura i ja przeszliśmy całkowicie na wyroby firmy „Daria”, zwłaszcza na kotlety de volaille, bardzo smaczne, w sosie grzybowym. Nie rozumiem, czemu nie można się żywić półproduktami?

A dlaczego to wszystko? Dlaczego kuchenka jest brudna, dlaczego kotlety de volaille, dlaczego zwierzaki się rozbestwiły? Odpowiedź jest prosta - dlatego, że na dobrych specjalistów zawsze jest popyt i w salonie piękności mam co najmniej trzy zapisy dziennie.

Poradziłam się dziewczyn, co gotować i jak odszorować kuchenkę.

Żeńka powiedziała: „Spadaj”. Nieźle mnie zna! Uważam, że Żeńka nie ma racji, człowiekowi zawsze trzeba dać szansę poprawy: umycia kuchenki i doprowadzenia swego życia do porządku.

Olga powiedziała, że może poprosić Wasię, żeby obejrzał lodówkę, chociaż jest na niego zła, bo nie wiedział, co to jest archetyp.

- Niewykluczone, że będę ci mogła wypożyczyć Wasię w przyszły piątek do trzeciej, o trzeciej przychodzi do mnie hydraulik i musi go przyjąć Wasia, a potem jedziemy kupować nową szafkę kuchenną - powiedziała Olga. - Ale wiesz, mam takie mętne przeczucie, gdzieś w



głębi... Boję się, że Wasia nie tylko nie wie, co to jest archetyp, ale też co to jest artefakt...

Jedyną sensowną radę uzyskałam od Alony: poradziła, żebym zatrudniła pomoc domową. Ja też udzieliłam rady Alonie (ciągle jeszcze dręczą ją problemy rodzinne).

Nie, Alona z Nikitą mają absolutnie wspaniałe mieszkanie i rodzinę, i może nawet będą mieli dom w Hiszpanii. Jedyne rozdzźwięk między nimi to problemy seksualne Alony. Alona uważa, że seks raz na tydzień to za mało jak na prawdziwego mężczyznę, i niedawno napomknęła, że skoro Nikita nie znajduje w tym już przyjemności, to niech sobie przypomni słowa „obowiązek małżeński” i niech go spełnia w środy i soboty.

Poradziłam Alonie (skoro nie udało się z tabletką), żeby kupiła *Książkę o smakowitym i zdrowym seksie* albo *Wszystko, czego nie wiedzieliście o seksie i wstydziliście się zapytać* i metodycznie przeobraziła wszystko według poradnika, strona po stronie. A dziś wieczorem (póki jeszcze nie ma książki) niech zrobi Nikicie petting, a potem niech zadzwoni i powiadomi mnie o rezultatach.

Pomysł z gospożą jest niezwykle kuszący, tym bardziej że teraz DUŻO zarabiam. Alona powiedziała, że mogę opłacić dniówkę gospozi dwiema, trzema konsultacjami, a dwie, trzy konsultacje mam teraz codziennie... No więc niech gospościa przychodzi do mnie raz w tygodniu - posprzątać, poprasować, a przede wszystkim ugotować obiad na dwa dni albo lepiej na trzy, cztery. Niektóre potrawy, na przykład gołąbki, można jeść cały tydzień, a pielmieni nawet cały miesiąc.

Oddzwoniła Alona. Po wysłuchaniu mojej rady wysłała chłopców do kina (bardzo się zdziwili, czemu nagle mają iść do kina, zamiast odrabiać lekcje), wystroiła się i od razu w przedpokoju zaczęła ścierać Nikicie buty (Alona oceniła swoje działanie jako wyuzdany petting, a on - jako chęć ulżenia jego zmęczonym stopom). Nikita bosy poszedł do kuchni i włożył fartuszek Alony z portretem Mickeya

Rourke. (Bardzo lubi sam smażyć mięso - Nikita, nie Mickey Rourke. Dlaczego? Na jego miejscu za nic bym tego nie robiła - Alona i tak wszystko podstawiła mu pod nos). Ona podkraśniała się z tyłu, rozwiązała fartuszek i pogładziła Nikitę po obnażonych spodniach.

Są razem już wiele lat i przez te lata świetnie poznali swoje nawyki gry wstępnej, toteż Nikita energicznie zawiązał troczki fartucha i otwarcie przedstawił swoje stanowisko w tej kwestii:

1. Alonie nie udało się nakłonić go do Spełniania Obowiązków Mażeńskich w dni powszednie.

2. O środzie i sobocie nawet nie może być mowy.

3. W dodatku pudel cały czas przeszkadza mu w zaspokojeniu jego, Nikity, namiętności i wciska się między niego a obiekt jego namiętności w najbardziej niepożądanych momentach. Co się tyczy obowiązków, to on i tak utrzymuje Alonę, mieszkanie, dwa samochody i daczę, i uważa, że to zupełnie wystarczy, by żona raz na zawsze zwolniła go ze śród i zostawiła tylko soboty.

4. A teraz ma nadzieję, że w tym domu uda mu się wreszcie spokojnie usmażyć kawałek mięsa.

Przed zaśnięciem czytałam Arbatową. Jej bohaterka, czterdziestopięciolatka, śpi z każdym, kto jej się nawinie - w pracy, na ulicy, w sklepie, w Internecie. Takie sex-road-movie. Nikt poza nią nie opowiada na cały kraj o swoich kompleksach. Myślę, że Masza Arbatowa w ogóle nigdy z nikim nie spała, ani razu, a dzieci ma z niepokalanego poczęcia. Bo inaczej dlaczego udowadniałaby z takim naciskiem, że seks to dobrze, a brak seksu - źle?!

A zresztą ma rację. Co do seksu.

*6 grudnia, środa*

Mam dwie godziny i kwadrans między wykładami a konsultacjami w salonie piękności i zamierzam w tym czasie prowadzić dom. W związku z tym wybrałam się do specjalnej agencji obok teatru Len-

sowietu, żeby zaangażować gosposię. Alona poszła ze mną jako specjalistka od spraw gospodarstwa domowego, Olga dlatego, że już nie pracuje w swoim kolorowym tygodniku, a Murę wzięliśmy ze sobą specjalnie, jako że jest dużą dziewczynką i najwyższy czas, żeby zaczęła się uczyć prowadzenia domu.

Okropnie niezręczna sytuacja. Nie spodziewałam się, że agencja przeprowadzi dla mnie casting na gosposię, przedstawiając aż cztery kandydatki! To straszne, że muszę wybierać! Mam wybrać jedną, a innym odmówić? Kimże ja jestem, żeby powiedzieć kobiecie: „Nie jest pani dość dobra na to, by sprzątać moje mieszkanie i gotować mi obiad”?!

Uspokajałam się myślą, że tak właśnie powinno być - jeden wyklada i udziela porad od rana do wieczora, a drugi myje jego kuchenkę i gotuje mu zupę, i jest to normalny kapitalizm.

- Musi pani porozmawiać z każdą kandydatką osobno w mojej obecności - powiedziała bardzo poważna młoda menedżer.

- O czym mam z nimi rozmawiać?

Pierwsza weszła zażywna dama w skromnym, eleganckim kostiumie. Milczałam.

- Potrafię zrobić w domu wszystko, absolutnie wszystko - przemówiła dama - tylko nie lubię sprzątać. Gotować też nie lubię.

- No to jak pani... tego... chce być pomocą domową? - zapytała Mura. Te dzisiejsze dzieci nie mają wstydu ani sumienia; żeby tak po prostu palnąć „pomocą domową”! Co za nietakt!

- U mnie w domu gotuje mąż, a sprząta syn. Ja tylko kontroluję.

Następna była niewysoka dziewczyna w dżinsach, o średniostaticznie przyjemnej twarzy. Odetchnęłam z ulgą - ta dziewczyna na pewno się nada, będziemy się mogły zaprzyjaźnić, rankami popijać sobie kawę...

- Kandydatka ukończyła kurs lokajów - oznajmiła uroczyście menedżer. - Proszę zadawać pytania.

Lokaj to jest właśnie to, czego nam trzeba. Mura i ja koniecznie

musimy mieć lokaja i majordomusa. A Lew Jewgienjewicz i Sawwa Ignatjicz - kamerdynera i ordynansa.

- Proszę mi powiedzieć, ile pani ma rzeczy z jedwabiu? - zapytała Kandydatka. - Jedwabna bielizna, bluzki, peniuary? Wymagają bardzo pracochłonnego prasowania. Mogę się zgodzić pod warunkiem, że nie będę musiała prasować więcej niż trzy jedwabne rzeczy dziennie.

- W ogóle nie mam niczego z jedwabiu... - odparłam zawstydzona. - Noszę prostą, wygodną odzież. Dżinsy, swetry... czarne... (do podartej piżamy nie przyznam się za żadne skarby!).

- A co z podawaniem do stołu? - spytała Kandydatka. - No, obiad i kolacja to zrozumiałe - obsługa zgodnie z etykietą. A śniadanie też serwować?

- Wie pani, zwykle jadamy w łóżku z misek, ale czasem może pani serwować na gazecie - oznajmiła słodkim głosem Mura.

Kandydatka wyszła; nie spodobałyśmy się jej.

- Nie ma pani nikogo zwyczajniejszego? - zwróciłam się do menedżer. - Kto by umył kuchenkę, czasem pozamiatał, ugotował rosół... Z kury, z makaronem...

- Nie - odparła z pogardą menedżer. - To powinna pani robić sama. Należy się trzysta rubli za przegląd kandydatek.

\*

- Wpadnijmy chociaż do jakiejś kawiarni, skoro już nie mamy gosposi - zaproponowała Murka.

Przeszłyśmy wszystkie na drugą stronę i znalazłyśmy się w „Idealnej Filizance”.

Mura piła gorącą czekoladę i gadała sama ze sobą, my z Aloną jadłyśmy ciastka, a Olga piła espresso ze szczególnym wyrazem twarzy, który miał nam uzmysłwić, kto dziś stanowi pierwszy punkt porządku dziennego z uwagi na niestabilny zawód i niestabilizowane życie osobiste.

- Etnu nikt mi nie proponuje, piszę recenzje dla różnych maga-

zynów jak wściekły królik, płacą mało - oznajmiła tragicznym tonem - a muszę koniecznie kupić Dimoczce nowy aparat, bo chce się zająć fotografią...

- Nie okłamuj przyjaciół - powiedziała Mura.

Mura często odbywa z Olgą długie rozmowy telefoniczne, a potem z tajemniczą miną przewraca oczami i udaje, że rozmawiała z chłopakiem.

- Nie kłam - powtórzyła. - zaproponowali ci posadę redaktora w gazecie, więc się zgódź, będziesz miała stałą pensję.

- Coś ty!!! - zapieniła się Olga. - Nie chcę siedzieć w redakcji cały dzień, jestem zmęczona, na skraju załamania nerwowego. Już dwie noce nie śpię - tak strasznie nie chcę tam iść ...i w ogóle to już odmówiłam, pocieszcie mnie. Dobrze zrobiłam?

- Dobrze. Skoro praca cię wnerwia, to po co masz się męczyć - przytaknęła Mura i Olga natychmiast się uspokoiła.

Teraz Olga zacznie truć o swoim życiu osobistym. Wszystkie problemy Olgi biorą się stąd, że w jej życiu jest dwóch mężczyzn - Dimoczka Leżący i kierowca Wasia Abonament. Olga bynajmniej nie jest taka płocha, po prostu jej życie osobiste pozostaje w bezpośredniej zależności od sytuacji zawodowej. Jeżeli z pracą i pieniędzmi jest w porządku, Olga po całych nocach omawia z Leżącym filozoficzne problemy jego egzystencji, a gdy następuje dołek i nie ma stałego zajęcia i forsy, nadchodzi pora Wasi Abonamenta. (Obraziłaby się, gdyby się dowiedziała, że nazywamy jej Wasię „Abonament”).

Olga jest bardzo niezadowolona z Wasi, ponieważ ten:

1. Nigdy nie stworzył nic genialnego.
2. Nie prowadzi z nią długich szczerych rozmów o stanie swej duszy.
3. Nie potrafi ukryć tego, że nie wie, co to jest apartheid czy kulebiak. I naiwnie się do tego przyznaje w każdym towarzystwie, w jakim się w danej chwili znajduje.

Kiedyś Olga wystroiła Wasię w ekstrasweter i apaszkę i zabrała ze sobą na jakąś swoją filmową imprezkę (dziennikarze, aktorzy, reży-

serzy, ja też bym chciała pójść), i tam Wasia zadzwonił do kogoś z komórki (zdawałoby się, zwykła rzecz, ale co było dalej!).

- Abonament czasowo niedostępny - ze zdziwieniem oznajmił Wasia dziennikarzom, aktorom i reżyserom.

Od tej pory nazywamy go w tajemnicy „Abonament”, a Olga zaczęła bywać w świecie sama, pozwalając Wasi pałętać się w tle swego życia osobistego (przestawić, naprawić, przywieźć, poczekać na hydraulika etc.).

Tylko Olga jest przeciw Wasi, my z Murką jesteśmy za, bo Wasia jest dobry i poczciwy, Alona zaś sama nie wie, czego chce, ale skłania się bardziej na stronę Leżącego, bo jej samej też trochę brakuje romantyczno-intelektualnych rozmów z Nikitą do szóstej rano przy puszcze szprotek i spodeczku z niedopałkami.

- Mówię mu rano: Dimoczka, nie chce mi się iść do redakcji. W redakcji trzeba do wszystkich dzwonić, wszystkich organizować, denerwować się. To nie dla mnie.

Zaraz Alona zacznie lobbować na rzecz Leżącego. Niekiedy zachowuje się jak prawdziwa blondynka - bardzo prymitywnie. Czyżby naprawdę uważała, że to taki prosty mechaniczny proces: raz - Olę wyrzucili z pracy, dwa - Olga natychmiast wybiera Wasię, a wszystko tylko dlatego, że Wasia jest troskliwym, mocno stojącym na ziemi kierowcą i kupuje jej smaczną kielbasę?! Ja jako psych. dypl. wiem, że miłość tak kulturalnej osoby jak Olga podświadomie domaga się szacunku i nawet zachwyty, więc Alona niepotrzebnie się denerwuje - Oldze to nawet przez myśl nie przejdzie, Olga pozostanie z Leżącym.

- Aha, no widzisz! Z Dimoczką możesz się podzielić wszystkimi swoimi przeżyciami, nie to co z Wasią! - przekonywała z naciskiem Alona, czując się z pewnością bardzo przebiegłym, profesjonalnym psychologiem, który w try miga naprowadzi człowieka na korzystną dlań decyzję. - Wasia to nie jest para dla ciebie, żadnej subtelności, żadnego zrozumienia!

- Wasia uważa, że Prus to skrót od Prousta... - bąknęła bezradnie

Olga.

- Za to twój Dimoczka nie chce brać na siebie żadnej odpowiedzialności. I w ogóle on nie ma pojęcia, co to jest prawdziwy mężczyzna! Nie to co Wasia! - wtrąciła się Mura.

Olga podchwyciła z zapalem:

- Masz rację, Mura, masz świętą rację! Powiem Dimoczce tak: „Skoro nie rozumiesz, jaka jestem słaba i zmęczona, to rozstańmy się... na jakiś czas”. A Wasia może jest nieokrzesany, ale za to można na nim polegać.

- Czyli Wasia nie jest taki znowu zły - zręcznie ciągnęła swoje Mura.

- Tak. Nie taki znowu - zgodziła się w zamyśleniu Olga i Mura uśmiechnęła się z zadowoleniem, całkiem jak Sawwa Ignatjicz do kawałka kielbasy.

Trzepocąc się niby ważka, która leciutko przysiadła na kwiatku; Olga zabrała się do moich i Alony ciastek, uskubując trochę z każdego po kolei.

- Zostaw, zostaw mi jeszcze gryza! - zakrzyknęła nerwowo Alona, wpychając sobie do ust resztki babeczki z kremem, i dodała smętnie: - Szczęściara z ciebie, Olga, zażerasz się ciastkami, a i tak wyglądasz jak podłotek...

Westchnęła demonstracyjnie, ściągając na siebie naszą uwagę. Ostatnio nurtują ją tylko dwie sprawy: seks i pudel, ale teraz nie może poruszyć żadnego z tych tematów.

Z jednej strony uważa, że to niepedagogicznie omawiać przy Murze swoje szwankujące życie seksualne, bo dziecko może jeszcze pomyśleć, że w małżeństwie zdarza się seks. Z drugiej strony sądzi, że nietaktem byłoby omawianie przy Oldze zdrowia pudła, bo Olga się obraża i mówi, że w porównaniu z Leżącym pudel ma się całkiem nieźle. Tyle że pudel jest stworzeniem pełnym radości życia, a Leżący pozycjonuje się jako trzy ćwierci do śmierci. A to wczoraj bolała go głowa, a to jutro zacznie się katar...

- Pudel dziwnie się zachowuje. Kardiolog kazał mu zrobić echo

serca, rentgen i EKG - zaryzykowała jednak Alona.

- Pies... - znacząco wymówiła Olga. (Wieczny spór, kto jest bardziej chory - pudel czy Leżący, plus aluzja do tego, że pies to nie człowiek).

- Mój pudel nie jest gorszy od twojego Dimoczki - nie wytrzymała Alona. (Kłamie; tak naprawdę uważa, że jest lepszy).

Jako psycholog momentalnie zdusiłam rodzący się konflikt, oznajmiając z namaszczeniem, że Olga i Alona nie powinny podważać cudzych wartości i autorytetów, jako że Dimoczka nie jest gorszy od pudła, ale i pudel nie jest lepszy od Dimoczki (tu trochę się zaplątałam), a w ogóle to ludzie przecież sami wybierają tego, komu chcą oddać swą duszę, Dimoczce czy pudlowi.

Kiedyśmy tak popijały sobie kawkę i gawędziły, dokoła nas dzwoniły telefony komórkowe - 40 symfonia Mozarta - a ja myślałam, czemu wszyscy dzwonią do nich, a do mnie nikt, i oto w mojej kieszeni też zagrało „ta-ra-ram, ta-ra-ram, ta-ra-ram”, i chwyciłam swoją komórkę.

- Gdzie jesteś? Jadę Władimirskim, chciałbym się z tobą napić kawy - powiedział Roman.

- A ja już piję kawę w „Filizance” - odparłam machinalnie, rozłączyłam się i zaczęłam w panice myśleć - co robić?

Rzecz w tym, że mama nie pozwala mi poznawać Mury z żadnym z moich „romansów”, a ja zawsze słucham mamy. Dlatego też, nie tracąc głowy, zastanowiłam się szybko, co będzie w tej sytuacji mądrzejsze:

1. Błagać Murę, żeby natychmiast poszła do domu odrabiać lekcje, co wywoła awanturę, która może wybuchnąć właśnie tu, w „Idealnej Filizance”, na oczach Romana.

2. Przesiąść się zρέcznie do innego stolika i udawać, że nie znam swoich najbliższych przyjaciółek i swojej osobistej córki Mury.

Wnioski: jedno głupsze od drugiego.

Tak się złożyło, że musiałam odstąpić od maminych zasad i poznać Romana z Murą. Ale przecież mama nie pozwala mi przyprowadzać



go do domu, a o kawiarni nic nie mówiła.

Od dawna zastanawiam się nad pewną kwestią i nawet chcę napisać artykuł naukowy - dlaczego nawet najbardziej wartościowe i samowystarczalne kobiety, takie jak Alona i Olga, całkowicie się przeobrażają w obecności mężczyzn?

Kiedy Roman wszedł do „Filiżanki” i usiadł przy naszym stoliku, wszystkie panie (oprócz mnie) momentalnie się zmieniły. Alona zaczerwieniła się (niedobrze być blondynką o jasnej cerze) i wpatrzyła się w Romana surowo jak w dwójkowicza, który przyszedł do nas do kawiarni pisać poprawkową klasówkę. Olga wyprostowała się i przybrała niezależną minę, i tylko ja poprawiłam fryzurę, upudrowałam się i zapaliłam, zachowując się jak gdyby nigdy nic.

Wszystko przebiegło bardzo miło, chociaż mocno się denerwowałam - chciałam, żeby Olga i Alona zauważyły, jak poważnie jesteśmy z Romanem związani, i żeby Murka się nie zorientowała, że Roman nie jest jakimś moim przypadkowym znajomym.

Głupia Alona, zapomniawszy o zasadach dobrego tonu, powiedziała:

- Ach, to pan jest ten Roman! Tyle o panu słyszałyśmy! Już dawno powinniśmy się poznać. (To jest właśnie nieszczęście wszystkich kobiet niepracujących - tracą najprostsze nawyki obcowania z ludźmi!).

- Nie mogę sobie przypomnieć, kim jest ten Roman: głównym menedżerem, właścicielem stacji obsługi czy lotnikiem? - teatralnym szeptem na całą kawiarnię spytała Olga, usiłując jakoś ratować sytuację i dać Romanowi do zrozumienia, że nie jest jedyny i że ona, Olga, zupełnie się zaplątała w mężczyznach, którzy uwijają się wokół mnie całymi stadami.

Olga, w przeciwieństwie do Alony, z racji swego zawodu ma wiele obycia towarzyskiego, toteż natychmiast oznajmiła Romanowi, o którym rzekomo nigdy nic nie wie, że wiele słyszała ode mnie o projekcie jego wspaniałego programu.

I od razu zaczęły oboje szczebiotać na bliskie im tematy: program Romana, dawny tygodnik Olgi, reklama w prasie i telewizji.

Alona, straciwszy kontrolę nad sytuacją, nadąsała się i zaczęła myszkować oczami po stole w poszukiwaniu tematu do konwersacji.

- Szukałam stołu do nowego mieszkania... mamy czterdziestometrowy salon, a niedługo być może dom w Hiszpanii. No więc potrzebuję dużego stołu. I pytam, dlaczego w reklamie mebli nie mogą napisać „Stół jadalny na dwanaście osób, bardzo wygodny, rozkładany”, tylko piszą: „Ten stół to niewiarygodna symfonia dobrego smaku”?

Tak w ogóle to Alona ma rację - bardzo trudno doszukać się sensu w tym ptasim świergocie modnych sztamp, ale jej słowa zabrzmiały jakoś całkiem nieświatowo, zupełnie jakby ktoś w drogiej restauracji poprosił o piwo Bałtyk 3. Może Alona od czasu, kiedy rzuciła pracę, zaczęła się bać obcych i broni się przed nimi swoim nowym mieszkaniem i domem w Hiszpanii?

Murka podejrzanie długo nie brała udziału w rozmowie i już miałam dotknąć jej czoła i sprawdzić gardło, kiedy bardzo uprzejmie zwróciła się do wszystkich obecnych tonem osoby przeprowadzającej badania rynku:

- Proszę mi powiedzieć, czy robią państwo do siebie miny przed lustrem, a jeżeli tak, to kiedy - rano, wieczorem, w ciągu dnia?

Okazało się, że Roman, Olga i Alona nie robią min w ogóle, ja czasami, tylko rano, a Mura jest w tej konkurencji czempionką - robi miny przez cały dzień. Następnie moja córka, warcząc i miaucząc, zademonstrowała swoje najulubieńsze miny, i Roman obiecał, że kiedyś zabierze ją do telewizji. Wcale mnie nie zdziwiło, że Mura tak szybko oczarowała Romana; jest wyjątkowo uroczą dziewczynką.

- Na mnie już czas - powiedział Roman.

Nie zdążył odejść od naszego stolika, kiedy Olga zamruczała zmysłowo:

- Szkoda, że to cudo jest żonate...

I tu Roman zawrócił, podszedł do nas i ostatecznie zdemaskował

mnie przed Murą:

- Czy mama i córka chcą pojechać na weekend do Finlandii? Jeśli tak, to wyruszamy jutro wieczorem.

Chciałyśmy, bardzo chciałyśmy.

Kiedy wracałam do domu z salonu piękności, przydarzyło mi się coś strasznego. W naszej klatce schodowej, na podeście pierwszego piętra, siedział mężczyzna w łachmanach. Trudno było stwierdzić, w jakim wieku. Jakie to smutne: teraz nie wiadomo, skąd wzięło się takie mnóstwo nieszczęśliwych ludzi, nie to, co za czasów naszego radzieckiego dzieciństwa. A właśnie, gdzie wtedy byli ci nieszczęśliwi ludzie, a może wszyscy mieli owo mityczne stałe miejsce zamieszkania?

Już miałam się rozzalić, że ten człowiek siedzi tu całkiem sam, kiedy nagle podniósł głowę i zobaczyłam TWARZ - takie twarze mają na obrazach święci albo pustelnicy ze szlacheckich rodów. Spozregł, że zamarłam, i powiedział pięknym dźwięcznym głosem z wymową inteligenta od dziesięciu pokoleń:

- Niechże się pani nie dziwi, każdy może się znaleźć w mojej sytuacji, i proszę się tak nie przejmować...

Co mu się przydarzyło, co?! Może wrócił ze stalinowskich łagrów? Który mamy rok? Nie, to niemożliwe, wszyscy już dawno wrócili...

W domu trochę popłakałam i zaczęłam się zastanawiać, jak mu pomóc - nie wypada przecież wynieść komuś z taką TWARZĄ jedzenia albo starej odzieży, a nowej nie mam, zresztą jedzenia też nie mam... Potem zesłam na dół, nie wiem po co, ale on już zniknął. Kto to był? Żyd Wieczny Tułacz?

Wieczorem rozmawiałam poważnie z Murą. Mura się domyśliła, że Roman to nie zwykły znajomy, ale poważny romans.

Omawiałyśmy wycieczkę do Finlandii. Wszystko składa się świetnie: Lwa Jewgienjewicza będzie wyprowadzała Irka Chomik, Sawwa Ignatjicz tylko się ucieszy, że na parę dni zostanie sam na

gospodarstwie, a wizy mamy zawsze. Denis wyrabia nam roczne wizy schengenowskie, żeby zawsze można było wywieźć Murę z kraju. Jakby co. Denis sam nie wie co: pożar, powódź, rewolucja październikowa, ale oboje z Alłą tak tęsknią za Pitrem, że myślą z rozkoszą: przecież siedzimy tu nie na darmo, jakby co - to my jesteśmy w Niemczech!

...Jest jeden, nie, dwa problemy. Po pierwsze, jak z pieniędzmi? Tu w restauracjach zawsze płaci Roman, tym bardziej że zazwyczaj chodzimy w takie miejsca, gdzie nie płaci (to się nazywa barter za reklamę), i wobec tego nasuwa się trudne i drażliwe pytanie, kto powinien opłacić pokój dla Mury? Drugi problem: co będzie, jeżeli w drodze zachce mi się siusiu? Wstydę się powiedzieć. Opracuję z Murą umowny znak - w razie czego niech ona prosi o postój, a ja pójdę z nią.

Przed zaśnięciem myślałam o tym, że w życiu zawsze istnieją obok siebie zjawiska piękne (jutro jedziemy do Finlandii!) i straszne (gdzie on teraz jest, Żyd Wieczny Tułacz?).

*8 grudnia, piątek*

O ósmej rano zadzwoniła mama.

- Znalazłam wam pomoc domową, tylko błagam, nie nazywajcie jej tak! To Irina Andriejewna, była w naszym instytucie bibliotekarką.

Powiedziałam mamie, że dzisiaj pomoc domowa nie jest nam potrzebna, bo wieczorem wyjeżdżamy do Finlandii.

- Ależ nie ma mowy! Musicie sprzątnąć mieszkanie przed jej przyjściem!

O dziesiątej zadzwonił Roman i powiedział, że na razie nic z tego i może pojedziemy do Finlandii w następnym weekend. No i bardzo dobrze, posprzątam dzisiaj mieszkanie, bo byłoby mi głupio wobec pomocy domowej.

Dziesięć po dziesiątej zadzwoniła Alona i powiedziała, że, ale tylko między nami, wydaje się jej, iż ostatnio odstała trochę od wszystkiego, co nie jest związane z zakupem i remontem nieruchomości, i oto teraz przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł: zacznie urządzić żurfiksy - będzie zapraszać do siebie różnych interesujących ludzi, na przykład zespół muzyki dawnej. I Nikita będzie bardzo zadowolony, widząc po przyjściu do domu Alonę w otoczeniu ciekawych ludzi i mogąc porozmawiać o pięknych rzeczach, a i dla ich pożycia seksualnego będzie to nie gorsze niż tabletki czy petting. Nie w tym sensie, że tabletki i petting nie podziałały, ale w innym - że będzie to z korzyścią dla życia seksualnego. Powiedziała, że ja to mam dobrze, łączy mnie z Romanem i seks, i rozmowy o rzeczach pięknych, na przykład o jego programie...

O wpół do jedenastej zadzwoniła Olga i wciągnęła mnie w długą rozmowę o różnych mężczyznach. Rozmowa przypominała raczej monolog.

- Wasia zrobił mi w domu generalne porządki i nakupił jedzenia na cały tydzień... Jednak prosty kierowca jest lepszy niż geniusz...

- Lepszy.

- Ta-ak, ale za to Wasia nabrał okropnego zwyczaju odpowiadania na każdą wypowiedź pytaniem. Mówię mu: „Czytam Szekspira”, a on na to: „Co za Szekspira?”. A Dimoczka powiedział, że jak będę miała pieniądze, zaczniemy się oboje uczyć flamenco, co doda ekspresji jego wewnętrznemu odczuwaniu świata... Nie, jednak geniusz jest lepszy niż prosty człowiek...

- Lepszy.

- Tobie to dobrze, masz z Romanem i seks, i rozmowy o rzeczach pięknych, na przykład o jego programie...

Dziesięć minut później Olga zadzwoniła ponownie i powiedziała:

- Nie, jednak geniusz jest lepszy niż zwykły kierowca...

- Przecież tobie samej bardziej się podobają zakupy na cały tydzień niż tańczenie flamenco na pusty żołądek - odparłam, i rzeczywiście tak uważam.

- Nie dolewaj oliwy do ognia - powiedziała Olga i rozłączyła się.  
Czyż naprawdę wszystko to są skutki jednego małego spotkania z Romanem?

\*

Miałam szczerzy zamiar posprzątać mieszkanie, ale nie zdążyłam, bo jeszcze trochę pogadałam przez telefon, a potem postanowiłam poczytać *Sagę rodu Forsyte'ów*, a przecież wiadomo, że jest to książka bardzo gruba, pomoc domowa zaś, czyli bibliotekarka, przyszła dość wcześnie - o drugiej po południu.

Otworzyłam drzwi i... o zgrozo! Stała przede mną Irina Andriejewna, pani lat pięćdziesięciu, nobliwa, w okularach i kapelusiku z woalką. Czyż naprawdę będę musiała jej polecać surowym tonem chlebodawczyni: „Proszę posprzątać, jeśli to pani nie zrobi kłopotu, i bardzo bym prosiła, żeby pani ugotowała rosół, gdyby była pani akurat w nastroju”?

Irina Andriejewna zgodziła się pobyć dziś do wieczora, stanowczo odmówiła nazywania Lwa Jewgienjewicza i Sawwy Ignatjicza imieniem i patronimikiem, wykryła, dlaczego w lodówce brzydko pachnie (okazuje się, że tam w środku jest ciepły wiosenny dzień z temperaturą plus osiemnaście stopni), obiecała ugotować rosół, udusić kurczaka i usmażyć racuchy. Wysłałam, mam dzisiaj ciężki dzień - wykłady i dwie konsultacje, o czwartej i o piątej, potem godzina przerwy i jeszcze trzy zapisy na wieczór. Już z góry jestem zmęczona.

...Wpadłam do domu przed wieczornymi konsultacjami. Jednak nieustanne przebywanie wśród ludzi jest bardzo uciążliwe, zwłaszcza że w dodatku udzielam porad. Dziś miałam jakieś klientki wampirzyce. Najpierw chciały ze mnie wyssać do imentu, co moje, a potem obarczyć mnie wszystkimi swoimi kłopotami, i poczułam, że jeśli nie poleżę choć trochę z głową pod kocem, to sama zacznę potrzebować psychologa, a nawet psychiatry.

Nastawiłam budzik i położyłam się do łóżka w ubraniu - na wszelki wypadek, a nuż zaśpię i będę musiała pędzić do salonu na złamanie karku. Jakie to szczęście nie musieć z nikim rozmawiać.

- Usmażyłam racuchy. Chce pani?

O cholera, Irina Andriejewna! Czy wypada jej powiedzieć, żeby pukała? A jeśli pomyśli, że to dlatego, że ona jest pomocą domową, a mama przecież prosiła, żeby w żadnym wypadku nie dawać jej tego odczuć...

- Dziękuję, Irino Andriejewno, bardzo dziękuję, wolę sobie położyć, mam tylko pół godziny... Serdecznie dziękuję - powiedziałam cieniutkim, nieśmiałym głosem Bardzo Grzecznej Dziewczynki.

- Są naprawdę smaczne! Zaraz przyniosę!

Przyniosła. O Boże, co robić?! Nie chcę żadnych racuchów, sprawia mi po prostu ból fizyczny to, że ona nade mną stoi. Ale z łóżka nie wyleżę, nic z tego, bo jeszcze zobaczy, że leżę w spodniach i swetrze, i mnie skrzyczy.

Irina Andriejewna stała nade mną z miną nadzorcy.

- No jak, dobre?

Kiwnęłam głową, z trudem przełykając duże kęsy. Bezsprzecznie, są to racuchy, ale nie lekkie i puszyste, jak u mamy, tylko absolutnie gumowe. Chociaż z drugiej strony, może i gumowe, ale bądź co bądź racuchy...

- No, jedz sobie, jedz, a ja na ciebie popatrzę. - Irina Andriejewna rozsiadła się w fotelu naprzeciw mojego łóżka. A ja jak głupia leżałam i dławiłam się pod jej okiem racuchami, podczas gdy ona opowiadała mi całe swoje życie.

Koszmarne ciężki dzień zakończył się powtórnią wizytą jednej z klientek. Tydzień temu była już u mnie ta dziewczyna o bezkresnych, tęsknych nogach. Gdyby ją położyć na Newskim Prospekcie, jej nogi zaczynałyby się przy Admiralicji, a kończyły przy placu Powstania... A kolana byłyby przy moście Aniczkowskiem!

Zanotuję krótko.

Problem dziewczyny: jak skłonić jej chłopaka, żeby się z nią oze-

nił.

Reklamacja: starała się zrobić wszystko tak, jak zaleciłam jej poprzednim razem, a on się nie zdeklarował, przeciwnie, rzucił ją.

#### Zalecenia

1. Nie domagać się od niego wyznań miłosnych.
2. Przynieść do jego mieszkania coś, co by mu o niej przypominało.
3. Po akcie seksualnym być smutną, a jeśli on spyta: „Czy coś nie tak?” - uśmiechnąć się smętnie i powiedzieć: „Wszystko w porządku”.
4. Będąc u niego, nosić coś z jego odzieży, na przykład koszulę albo
5. Zapomnieć u niego jakiegoś drobnego fragment stroju, na przykład szalika czy apaszki etc. krawat.
5. Zapomniała u niego stanika, a facet okazał się żonaty.

#### Realizacja

1. Mówiła: „Kocham cię, ale ty nic nie mów, i tak wiem, co czujesz”.
2. Przyniosła kwiat doniczkowy i powiedziała, że jeśli kwiat umrze, umrze również to, co ich łączy. Codziennie wpraszała się do niego, żeby podlać kwiat, ale młody człowiek jej nie wpuścił.
3. Po akcie seksualnym płakała, a następnym razem płakała w czasie aktu.
4. Zabrała do domu jego dwa ulubione swetry.



Musiałam zostać dłużej o dwadzieścia minut. Pocieszając dziewczynę i zapewniając ją, że jeszcze nie wszystko stracone, ułożyłam następujące porzekadło: „Nóg długi, a rozum krótki”.

Dzień okazał się do przesady psychologiczny - w domu musiałam tłumaczyć Murze, że u dorosłych Romanów mogą wyniknąć sprawy ważniejsze niż wycieczka do Finlandii.

- I co, ty z nim na poważnie? Może nawet wyjdiesz za mąż?
- Może i wyjdę - odparłam, ze zmęczenia nie myśląc o tym, co mówię.
- To niech on mnie zabierze do telewizji - zażądała kłótniwie Mura.

Zasypiając, pomyślałam: muszę pamiętać, żeby poprosić Romana - niech zabierze Murę na casting modelek albo jakiś inny talk-show... Śpię...

Obudził mnie dzwonek telefonu - to Denis wręcz wyszarpnął mnie ze snu; przylatuje pojutrze. Poprosił do aparatu Murę i zapytał, co jej przywieźć. Murka poprosiła o czerwoną spódniczkę, niebieski sweterek i koniecznie kraciatą czapkę. Albo niebieską spódniczkę, kraciaty sweterek... śpię...

*9 grudnia, sobota*

Dziś wybory do Dumy i w związku z tym przeprowadziłam własny sondaż elektoratu wśród naszego uczelnianego ochroniarza. Ochroniarz będzie głosował na komunistów, bo Ziuganow to jego ziomek, też pochodzi z Orła.

A wszyscy nasi wykładowcy głosują na prawicę.

Kiedy wychodziłam po zajęcia, stała się rzecz straszna, krew w żyłach mroząca! Ochroniarz przytrzymał mnie w drzwiach za torebkę i intymnie przyparł w kącik.

- Musimy się bliżej poznać! - oznajmił i wetknął mi w ręce jakiś świstek.

Świstek okazał się zeszłoroczną ulotką wyborczą, z której wynikało, że ochroniarz w ubiegłym roku kandydował do Dumy z ramienia prawicy.

Na wypadek, gdyby go wybrano, nasz ochroniarz proponował, żeby:

1. Poprawić warunki mieszkaniowe w lokalach komunalnych (jak on zamierzał tego dokonać?).

2. Bronić praw emerytów (no, to już ewidentne kłamstwo; sama widziałam, jak nie chciał wpuścić do budynku najstarszej lektorki z katedry języków obcych, bo ta zapomniała przepustki).

3. Wzmocnić ochronę praworządności (to mógłby zrobić, ma kaburę, chociaż cała uczelnia wie, że jest pusta).

No, coś podobnego! Najpierw nasz ochroniarz kandydował z ramienia prawicy, a potem uznał, że Jawliński to ciepłe kluchy, i przerzucił się do komunistów! Czyli ochroniarzowi wszystko wolno, a mnie nie wolno głosować na „Jedną Rosję”?! Uważam, że to skandal i łamanie moich praw.

A tak chciałam głosować na „Jedną Rosję”. Podobają mi się ci podtatusiali panowie w dobrych garniturach, o gładko wygolonych twarzach, z wyjątkiem jednego ministra o twarzy psychopaty, i lubię się identyfikować z silną władzą. Nie przyznam się nikomu, że w głębi duszy marzę o silnej ręce (męskiej). Muszę jednak głosować na prawicę, bo mama i in. wykreśliliby mnie spośród sił liberalnych.

Bardzo mi smutno. Studentów wybory nic nie obchodzą, i poza ochroniarzem nie znam na uczelni nikogo, kto chciałby głosować na „Jedną Rosję” oprócz mnie samej - skrytej wielbicielki Putina, idei mocarstwowej i dobrze uszytych garniturów...

...Poza tym Gwarant Konstytucji na uroczystości ukończenia szkoły nosił mnie na rękach po naszej sali aktowej na trzecim piętrze, a ja dzwoniłam dzwonkiem... No i co z tego, że tak nie było, ale

przecież mogło być?!

Przedziwna mieszanina całkowitej obojętności młodzieży i ogromnego zaangażowania starszych na moim własnym terytorium.

Do trzeciej w nocy oglądaliśmy wybory w dziwnym towarzystwie - mama, Alona z Nikitą, Olga z Wasią (wciąż jeszcze trwa okres Wasi), Irka Chomik z Piotrem Iwanyszem i Łysy, który wpadł nie wiem po co.

Po jednej stronie stołu (w pobliżu gołąbków) rozlokowały się siły liberalne, do których zaliczają się mama, Olga i Piotr Iwanysz. Siły liberalne były pogrążone w smutku z powodu haniebnej klęski prawicy.

Bez przerwy dzwonili krewni oraz koledzy z uniwersytetu i mówili grobowymi głosami: „Przeegraliśmy”, „państwo policyjne”, „Duma kontraktowa”. Koszmar, hańba! To przeze mnie prawica nie zdobyła wymaganej liczby głosów i nie dostała się do Dumy...

Po drugiej stronie stołu (obok czekoladek „Miszka na Północy” i konfitur z truskawek) siedzieli zwolennicy partii „Jedna Rosja”:

1. Wasia.
2. Wszyscy pozostali.

Ja byłam po stronie gołąbków, bo zaliczam się do sił lib., ale chwilami przechodziłam na stronę konfitur.

Uważam, że prawica dostała za swoje - DLACZEGO nie troszczą się o naród, tylko się upajają własnym intelektem i wysunęli na centralne miejsce w wyborach Czubajsa, znienawidzonego przez społeczeństwo jeszcze od czasów prywatyzacji, na której nie wszyscy się obłowili?

Wiem, co mi odpowiedzą siły lib. - że oni mają na uwadze inny elektorat, konkretnie mnie. Dobra, ja jestem z nimi, po stronie gołąbków, ale gdzie zgubili resztę swego elektoratu? Gdzie się podział, czemu nie głosuje na Hakamadę i Czubajsa, Jawlińskiego i Niemcowa?

Pakuje walizki, bojąc się nacierającego faszyzmu? A może jeździ

na nartach (studenci mi mówili, że wczoraj odbyło się otwarcie sezonu w Korobicynie) albo świętuje w Londynie urodziny żony, albo rozwalony przed telewizorem ogląda na wideo nowy film akcji lub nową produkcję Art House? Czy też zabrał dzieci do Ermitażu, potem wpadł gdzieś na pączki czy pasztet z gęsich wątróbek, a następnie zasiadł przed telewizorem, żeby zobaczyć, jak prawica przegrywa?

*12 grudnia, wtorek*

...Hura, hura, przyjechał Denis z Ałłą! Stęskniłam się za nimi. Wpadli tylko na kilka dni, będą mieszkać w „Europejskim”, bo to nie jest zwykła podróż, tylko biznesowa, i w związku z tym biznesem mają bardzo dużo spraw do załatwienia.

Odebrałyśmy ich z Murą z lotniska i przywieźliśmy do nas. Wybierali się do restauracji i Ałła zmieniła oszałamiający kostium podróżny na zupełnie niesamowitą wieczorową suknię z głębokim dekoltem i czerwoną futrzaną szyjką.

Denis komenderował Murą - otwórz walizkę, zamknij walizkę, przynieś herbatę i szyjkę...

Murka spełniała polecenia, ale mówiła przy tym jakimś nienaturalnym głosem, uwijała się, błaznowała i wyraźnie też wybierała się do restauracji, wystrojona w różowe spodnie i błyszczącą bluzkę bez szyjki. I robiła takie miny, jakby miała pięć lat i jakby Denis i Ałła wcale nie byli jej tatą i Ałłą, ale Dziadkiem Mrozem i Śnieżynką.

Kiedy Mura, podrygując radośnie, zaczęła wkładać w przedpokoju botki, Denis zmieszał się trochę i powiedział, że dzisiaj absolutnie nie może z nimi pójść, ale za to następnym razem na pewno...

Murka wydała odgłos pośredni między szlochem a chichotem i natychmiast, starając się nie rozplakać, dziecinnym piskliwym głosem, jakby siedziała na nocniku, spytała, gdzie wobec tego są jej prezenty, a konkretnie spódniczka i czapeczka. Nie rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowała?

Dziadek Mróz okazał się lipny, bo nie tylko nie przywiózł żadnych

prezentów, ale w dodatku nie rozumiał, że Murka po prostu nie wie, jak ukryć zawód i urazę, i pyta o czapeczkę i spódniczkę po prostu ze zmieszania.

Przez cały ten czas my z Ałłą nie przestawałyśmy się cieszyć, miotać i witać, i nie od razu zauważyłam, że Murka i Denis już się zdążyli na siebie obrazić. Denis, gniewnie sapiąc, powiedział, że Murce zależy tylko na prezentach, i od razu widać, że chciała zobaczyć nie ojca, ale kraciatą czapeczkę, a tymczasem ojciec jest zmęczony podróżą i denerwuje się przed spotkaniem biznesowym. I oczekuje od swojej dorosłej córki Mury zrozumienia dla jego trudnej sytuacji życiowej: to nic przyjemnego gnać prosto z samolotu do restauracji!

I zamiast spódniczki i czapeczki kupili z Ałłą w sklepie wolnocłowym na lotnisku bombonierkę czekoladek i perfumy Coco Chanel dla mamy (czyli dla mnie). Na pewno mama (czyli ja) odda Murce te perfumy, a wtedy Mura będzie miała od razu dwa prezenty - czekoladki i perfumy.

Wyjaśniwszy to wszystko Murce, Denis poprosił swoją dorosłą córkę, żeby mu oczyściła szczotką płaszcz, i ruszył do wyjścia.

- Potem namówimy tatę, żeby nas zabrał do kawiarni - powiedziała Ałła głosem dworskiego spiskowca, knującego skomplikowaną intrygę. - Albo poprosimy tatę o pieniądze i same pójdziemy do kawiarni...

Ałła jest bardzo miła, lubi Murę i zawsze bawi się z nią w taką grę, że niby one obie są córeczkami tatusia - Ałła ukochaną i młodszą, a Mura starszą. W takim układzie ich wspólny tatuś rozpieszcza i psuje Ałłę, a Murce dostaje się figa z makiem, ale za to wymaga się od niej zrozumienia, wsparcia moralnego i umiejętności bycia prawdziwym kumplem.

Kiedy Denis z Ałłą wyruszyli do restauracji na swoje biznesowe spotkanie, Murka oklapła w oczach jak przekłuty balonik i wylatując do swego pokoju, burknęła:

- Wcale mi nie zależy na czerwonej spódniczce i niebieskim sweterku, chociaż kraciasta czapeczka akurat jest mi potrzebna, ale tu nie chodzi nawet o czapczkę... Dlaczego tata zrobił nieprzyjemną minę i powiedział, że kompletnie nie miał kiedy pójść do sklepu? Ten sklep, Benetton, jest w sąsiednim budynku...

Ale Benetton jest i u nas w sąsiednim budynku, na Newskim. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Mura prosiła Denisa, żeby oderwał na chwilę myśli od biznesu, specjalnie przypomniał sobie o córce, poszedł do sklepu i oczyma wyobraźni widział, jak uroczo będzie wyglądać jego córka Mura w kraciastej czapeczce? Dlaczego Murka nie chce po prostu pójść na Newski i sama kupić czapki, nie zwracając głowy ojcu? - Ała ciągle powtarza: „My, my, my...”. I kiedy ja mam pobyć z własnym tatą, skoro ona ani na sekundę go od siebie nie puszcza?! - poskarżyła się Mura.

Murka nigdy długo się nie martwi i po kilku minutach buzię już miała jak nową - z wyraźnym przedsmakiem jutrzejszych przyjemności. Jutro pójdą i na spacer, i do restauracji, i do sklepu, i do teatru - i w ogóle oboje z tatą przez wszystkie te dni będą walczyć w walcu wzajemnej miłości i uroczych rozrywek.

*15 grudnia, piątek*

Denis z Ałą ciągle jeszcze mieszkają u nas, bo z „Europejskim” coś nie wyszło - czy to z przyczyn biznesowych, czy dlatego, że hotel jest zamknięty z powodu remontu.

Z opowieści Denisa wynioskowałam, że biznes naszych ludzi, mieszkających za granicą, z naszymi ludźmi, mieszkającymi w Rosji, to sprawa ogromnie delikatna. Między byłymi naszymi i po prostu naszymi wytworzyły się bardzo skomplikowane relacje, ponieważ byli nasi chcą korzystnie wymienić ładne zagraniczne paciorki na bogactwa naturalne, a po prostu nasi miotają się pomiędzy zwyczajowym szacunkiem dla cudzoziemców a nieufnością wobec byłych

naszych, jako że ci nie są prawdziwymi cudzoziemcami. Byli nasi chcą wykazać, że są wręcz bardzo prawdziwi, o wiele prawdziwsi od reszty, ubierają się w najdroższe ciuchy i udają, że zapomnieli, „jak to będzie po rosyjsku”. Denis nie jest taki, jest strasznie miły, a musi cierpieć i nie mieszkać w „Europejskim” właśnie z powodu tej trudnej sytuacji.

Denis codziennie jest tak zdenerwowany z powodu biznesu, że pół dnia pije herbatę w kuchni, a kiedy Mura wraca ze szkoły, wyjeżdża załatwiać sprawy. W związku z tym dziś rano, przed wyjściem na uniwersytet, postanowiłam w zaufaniu, „między nami dziewczynkami”, pogadać z Ałłą - powiedzieć jej, że Denis lekceważy Murkę i że ona, Ałła, powinna interweniować. Będzie jej miło, kiedy poczuje się ważnym, o wszystkim decydującym i wszystkich godzącym członkiem rodziny.

- Moim zdaniem Murka jest przygnębiona - zaczęłam ogródkami.

W odpowiedzi Ałła opowiedziała, jakie pyszne mięso podano im wczoraj w restauracji.

- Wyobrażasz sobie, dwaj kelnerzy polali je spirytusem koniakovym... - rozmarzyła się.

- Mnie też wczoraj polali sokiem w stołówce uniwersyteckiej - odparłam i poszłam szukać Denisa.

Przylapałam go przypadkiem w połowie drogi między łazienką a kuchnią i zimnym głosem Królowej Śniegu przypomniałam, że ma córkę.

Denis natychmiast sobie przypomniał - tak, rzeczywiście, ma córkę Murę.

- Przez cały dzień będę jeździł w interesach - oznajmił.

- I Mura będzie przez cały dzień jeździła w interesach z tobą. A Ałła niech dziś odwiedzi swoich krewniaków starsuszków, na pewno ich ma - powiedziała twardo i wyszłam zadowolona, że tak zręcznie zorganizowałam Murze życie osobiste z ojcem i że w naszej rodzinie

znów panuje pokój, przyjaźń i błogość.

\*

Miałam wykład na okropnie nudny i zupełnie nieprzydatny temat - o postrzeganiu zewnętrznym i wewnętrznym. Przy zdaniu „Rezultatem doznania jest powstanie obrazu zmysłowego” zaraziłam się od studentów ziewaniem. Ziewałam i ziewałam, i zupełnie nie mogłam przestać. Zastanowiłam się chwilę i zaczęłam opowiadać o odczuciach niemowląt. Przecież wszyscy studenci kiedyś będą mieli dzieci, więc warto, żeby wiedzieli, że dzieci trzeba od rana do wieczora pieścić i głaskać, bo inaczej mogą wyrosnąć na osobników agresywnych, a nawet zostać w przyszłości prawdziwymi bandytami. O obrazie zmysłowym kazałam im przeczytać w domu, jak będą w nastroju.

Denis z Ałłą i Murą wrócili do domu o dwunastej w nocy. Murka z podejrzanym hardym, bezczelnym uśmiechem złapała z barku butelkę martini i oddała ją wraz z nią do swego pokoju, skąd natychmiast usłyszeliśmy płacz.

Denis z Ałłą siedzieli w kuchni jak dwie Bardzo Cichutkie Myszkki, a ja miotalam się pod drzwiami Mury. Co robić?! Wzywać karetkę, straż pożarną, pogotowie psychologiczne, dzwonić do mamy? JAK POSTĄPIĆ Z DZIECKIEM?! Czy będę musiała wejść do Murki bez pozwolenia?

Wreszcie Mura wybelkotała „wejdz” i wtargnęliśmy z Lwem Jewgienjewiczem do jej pokoju. Mury nie było.

W panice podbiegłam do okna i zaczęłam szarpać za kłamekę, próbując je otworzyć. (Mówiłam przecież Irinie Andriejewnie, że uszczelnianie okien planuję na maj, a ona mimo to poupychała w szparach stare rajstopy, jakbyśmy żyli w epoce kamienia łupanego. I teraz muszę je wyrywać...). Okazało się, że nie jest tak groźnie, jak



myślałam - Mura po prostu zagrzebała się w stercie ciuchów, i kiedy ja usiłowałam zamknąć okno (na dworze mróz), Lew Jewgienjewicz Murkę odkopał. Porządnie pociągnąwszy z butelki, Mura przemówiła wreszcie żalonym głosem.

Biedna Murka, naprawdę miała dzisiaj za swoje.

1. Dwie godziny i trzydzieści minut Murka jak samochodowa maskotka spędziła na tylnym siedzeniu auta. Obok taty siedział jego partner w interesach, graby facio w dresie i lakierowanych półbutach. Murze nie udało się wtrącić do ich rozmowy ani słówka.

- A tata gdzie? - zaniepokoiła się Murka. - Jeszcze powie, że poleciałam na skargę...

- Nie denerwuj się, tata podsłuchuje pod drzwiami - uspokoiłam córkę.

- Ten facio w lakierkach to był bardzo ważny kontrahent! - krzyknął zza drzwi Denis...

2. Przyjechali do jakiejś firmy na Niekrasowa i tata powiedział: „Posiedź tu chwilkę na skwerku”. I zostawił ją na skwerku na godzinę i szesnaście minut.

- Wcałe nie na godzinę i szesnaście minut! Najwyżej na godzinę, nie dłużej... - wtrącił Denis, nadal antyszambруюc pod drzwiami.

3. Pojechali dalej w interesach i tata wysadził Murę pod McDonal-dem - musiała iść do toalety. Jak wyszła, po samochodzie z tatą i jego partnerem nie było nawet śladu.

- No i cóż wielkiego?! Tatuś zagadał się z kontrahentem, a w tym czasie zapaliło się zielone światło i tatuś niechcący odjechał! Przecież tatuś się obejrzał po półgodzinie! A Mury nie ma! Dorosła córka powinna uprzedzić, że nie ma jej w samochodzie! - wyłócał się Denis pod drzwiami.

A Mura tymczasem stała na ulicy i denerwowała się, że tatę porwali kosmici. I liczyła na to, że jeśli przybysze z kosmosu tatę

oddadzą, to pójdą sobie we dwójkę gdzieś do kawiarni albo nawet i nie do kawiarni, tylko po prostu tata odwróci się do niej z nareszcie ludzką twarzą i zobaczy, że to ona - Mura. I zapyta: Co u ciebie, córko moja Muro? I może nawet uda się zaciągnąć go do sklepu, i Mura będzie się przed nim obracać w czerwonej spódniczce i kraciastej czapeczce, a on powie: Ślicznie ci w tej czapeczce, córko moja Muro!

Ale na nieśmiałą aluzję Murki Denis odpowiedział, że już mu się kończą rosyjskie pieniądze, a Alle trzeba koniecznie kupić kapcie z owczej wełny, w Niemczech takich nie ma.

- Wszystkiego mi żałuje - szlochała Mura, rozmazując po twarzy łzy brudnawymi łapkami o obgryzionych paznokciach.

- Mura, ubieraj się raz-dwa, pójdziemy ci kupić tę czapczkę i spódniczkę też! - powiedział płaczącym głosem Denis.

Murka smutno pokręciła głową - nie chcę... niczego nie potrzebuję... a zresztą sklepy już są zamknięte...

Wypchnęłam Denisa z powrotem do kuchni i zaczęłam pocieszać Murę.

- Murka, to nieprawda! Tata cię kocha, po prostu nie widuje cię na co dzień i się odzwyczaił. Zrozum, on już taki jest - dobry człowiek, ale na wiele rzeczy nie zwraca uwagi... Kocha cię, jak potrafi. Od każdego można otrzymać tylko to, na co go stać.

Mura ze zdziwieniem pociągnęła nosem i zamyśliła się, a wtedy ja, uskrzydłona sukcesem, w pedagogicznym zapale zaczęłam przytaczać przykłady z literatury.

- Pamiętajsz, już Czechow powiedział, że jeśli nalano nam kawy, nie powinniśmy w niej szukać piwa. Albo jakiegoś innego trunku. A propos trunków, ja też się napiję martini.

Ale Mura nie pamiętała Czechowa.

- I Ała wcale nie ma żadnego chytrego planu, żeby odciągać cię od taty, po prostu chce z tobą pobyc, bo cię kocha!...

Kiedy powtórzyłam słowo „kocha” w różnych konfiguracjach ze dwieście razy, Murka uspokoiła się i nawet poweselała, a może była

już trochę podpita.

A potem był wprost cudowny wieczór: całą rodziną, z Denisem, Ałłą, Lwem Jewgienjewiczem i Sawwą Ignatjiczem, ulokowaliśmy się na łóżku Murki i Murka opowiadała nam, jaki nieludzki koszmar przydarzył się jej na szkolnym wieczorku w ubiegłą sobotę; nie chciała o tym mówić, ale skoro już wszyscy razem zebraliśmy się na jej łóżku...

Przetrawiając swoją historię, Mura zaskomliła cieniutko, zupełnie jak Lew Jewgienjewicz w szczenięcych latach, kiedy, właśnie przytulnie umoszczonego pod czyjaś poduszką, brutalnie go wypędzano - wynocha!

- Co się stało, Mura, co takiego? - spytałam tragicznie, maminy głosem.

Pojękując i nie zapominając pociągać z butelki, Mura oznajmiła, że była w zeszlą sobotę na szkolnej dyskotecie. I że na tej dyskotecie pewien chłopak, na którym Murze niesamowicie zależy, na złość jej tańczył ze wszystkimi innymi dziewczynami, tylko nie z nią. A może on kocha właśnie mnie, tylko jest nieśmiały, pomyślała Mura i zaprosiła go do białego tańca. A chłopak jej odmówił!... Odmówił na oczach wszystkich, a szczególnie tej zołzy Tanki Cwietkowej!

Chciałam powiedzieć, że dziewczyna powinna mieć swoją dumę, ale nie wiem czemu o mało się nie rozplakałam. Wyobraziłam sobie, jak MOJA KOCHANA MURA, cała czerwona ze wstydu, stoi przed jakimś wyrostkiem (wstrętnym, pryszczatym!), a on wzgardliwie kręci głową - nie zatańczę z tobą... MOJA MURA!

- Tak, tak, to wspaniale, że już chodzisz na dyskoteki - skomentował z roztargnieniem Denis.

I w tym momencie podjęłam chłodną, przemyślaną decyzję - najpierw zabiję Denisa, a potem mu powiem, żeby zniknął na zawsze z naszego życia, zwłaszcza z życia Mury, i nie dam mu przygotowanych dwudziestu kilogramów kryminałów, a szczególnie Doncowej!

...Albo może jednak dać kryminały? Miałam dwadzieścia lat,

kiedy urodziła się Mura, a Denis był wtedy o wiele starszy ode mnie, miał już dwadzieścia dwa... A teraz ja mam już trzydzieści sześć, a on dopiero trzydzieści osiem.

- Coś wam powiem! Będziemy mieli dziecko! - oznajmiła Ała. - Byłam dzisiaj u lekarza, bo niemieccy lekarze nic nie rozumieją, a rosyjski lekarz tak właśnie mi powiedział - że będziemy mieli dziecko! Już wypatrzyłam czapczkę od Versacego.

Bardzo się ucieszyliśmy, szczególnie Mura. Oświadczyła, że wołałaby braciszka, bo dziewczynka w rodzinie już jest, a tak przy okazji, dziewczynki należy kochać bardziej.

- Mura, jesteś głuptas, a twój tata cię ubóstwia - powiedziałam.

Mura zgodziła się, że jej ojciec to bardzo zajęty interesami anioł, i jeszcze długo siedzieliśmy na jej łóżku, ale już nic takiego nie mówiła, po prostu wszyscy (oprócz Ały) kolejno pociągaliśmy po łyku martini i śmialiśmy się.

Jeżeli mama się dowie, że Murka razem z nami piła martini, to mnie zabije!

Murka usnęła, Ała też poszła spać, a ja postanowiłam się skoncentrować i wyobrazić sobie, że mam do czynienia nie z Denisem, ale z klientem, który przyszedł do mnie po poradę, i cichym psychologicznym głosem wyjaśnić mu wreszcie wszystko, co dotyczy jego córki. Że czapczka, której się domagała, to tylko na pierwszy rzut oka czapczka, a w rzeczywistości symbol miłości. Aha, myśli Murka, skoro szkoda mu kasy na czapczkę, to znaczy, że mnie nie kocha! I koniecznie chce dostać czapkę jako dowód ojcowskiej miłości.

- Rozumiesz, co mówię? - zapytałam przymilnie.

- Nie jestem psycholem, a ty nie jesteś lekarzem w domu wariatów! - wybuchnął Denis, ja zaś, natychmiast potwierdzając, że nie jestem psycholem, to jest lekarzem, zaczęłam wrzeszczeć: „A ty... ty... ty...!”.

Co prawda, wrzeszczałam szeptem, bo Murka jutro musi iść do

szkoły, a Ała w jej stanie potrzebuje długiego, spokojnego snu.

- I żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Żeby dziecko więcej nie czuło się zranione! - zakończyłam groźnie, wykrzyczawszy się do woli.

Denis kiwnął głową. Tak jest zawsze między bliskimi ludźmi: nieważne, że ktoś ostatecznie przestał nad sobą panować i wykrzykuje obelgi - kiedy ten ktoś zmęczy się krzykiem, można się z nim znowu przyjaźnić. No i nieważne, że ten ktoś to zawsze ja.

Po porządnej awanturze rozmowa o opłacaniu korepetytorów Murki przebiegła lekko. Denis uciekał wzrokiem, krzyczał rutynowo, że nie ma pieniędzy, ale było jasne, że już się z tym pogodził i marzy, by ujrzeć Murę z bormaszyną gotową do strzału.

Bardzo zręcznie przeszedł od Mury do własnych problemów - skarżył się na partnerów w interesach, na brak odpowiedniego kręgu towarzyskiego, na Niemcy (w ogóle nie da się tam żyć), na Piter (nie udało się kupić dla Ały kapci z owczej wełny), i natychmiast zaczęłam mu współczuć. Szczególnie dlatego, że jest zbyt dużym mężczyzną w zestawieniu z jego chłopięcymi ambicjami i stale marzy o tym, żeby schudnąć, a nie może żyć bez lodów z konfiturami.

A jednak to dziwne, że Denis jest teraz z Ałą. Nie byłam przekonana, że nadal marzy o mnie po nocach, po prostu przywykłam do myśli, że jestem wielką miłością jego życia. A jeśli nie jestem już wielką miłością, tylko dawną miłością? Trudno, tak czy owak mamy coś wspólnego - Murę, młodość itd. Kiedy tata umarł, Denis był przy mnie, potem umarła jego mama, i ja byłam przy nim.

\*

Długo nie mogłam usnąć, bo wszystkich mi było żal. Mury za to, że brak jej pewności siebie. Mamy... zawsze znajdzie się coś, za co można żałować mamy. Ały - że nie udało jej się dostać owczych kapci. Siebie - no, siebie było mi żal strasznie, aż do łez...

Jestem, bądź co bądź, psychologiem i wiem, że jeśli człowiekowi

jest źle, powinien stanąć przed lustrem i powiedzieć na głos: „Jestem piękna i wszystko świetnie mi się układa!”. Wyliczyć, co mianowicie, a przede wszystkim - uśmiechać się, uśmiechać!

Zasadniczo należy to robić rano, przed wyjściem z domu, ale nic, zrobię to przed snem, tak będzie nawet lepiej.

Stałam w piżamie przed lustrem, popatrzyłam na swoją zaryzowaną, opuchniętą twarz i głośno, wyraźnie powiedziałam:

- Jestem piękna. (Nie wierzę!).
- Wszystko świetnie mi się układa! Murka jest najlepszą dziewczynką na świecie! Pryszczaty chłopak to kretyn. Denis ma się nieźle nawet bez Murki. Alle kupię owcze kapcie.

Nic z tego nie wyszło, ryczałam i było mi jeszcze bardziej żal wszystkich, a zwłaszcza siebie.

*16 grudnia, sobota*

Ranek przynosi mi zawsze dwie wiadomości, jedną złą - że trzeba wstawać, i jedną dobrą - że wszystkie wczorajsze przykrości rano wydają się różowe i piękne! Tym bardziej że dziś mam wolny dzień, tylko dwie konsultacje i jeden wykład wieczorem. A w dodatku przyszła Irina Andriejewna i ostatecznie pogodziła mnie z życiem.

Czym różni się życie z Iriną Andriejewną od życia bez niej (jeżeli nie trzeba z samego rana lecieć na wykład)?

1. Bez Iriny Andriejewny: muszę wstać rano, z wściekłą, niewyspaną twarzą wyprowadzić Lwa Jewgienjewicza. (Nie wiem, które z nas rankiem bardziej przypomina zwierzę, ja czy on). Po drodze kupić tygodnik „Miasto”, w domu dać Murze i zwierzakom śniadanie i wreszcie mogę się na chwilę położyć z filiżanką kawy i tygodnikiem „Miasto”.

2. Z Iriną Andriejewną: podczas gdy Irina Andriejewna z Lwem Jewgienjewiczem są na spacerze (a lubią spacerować długo!), mogę zaparzyć sobie kawę. Potem wyrwać Irinie Andriejewnie z rąk kupiony tygodnik „Miasto” i natychmiast pognać z powrotem do

łóżka.

Uwaga. Przyjemność psuje mi nieco krępująca myśl, że ja leżę w łóżku, a ona nie, ale mogę spróbować spojrzeć na ten problem z drugiej strony:

1. We wszystkich epokach życia na Ziemi zawsze ktoś chodził po tygodnik „Miasto”, a ktoś go czytał.

2. Irina Andriejewna nie potrafi robić nic innego, ja zaś daję jej możliwość zarobienia tym, co umie robić, a mianowicie smażeniem gumowych racuchów.

3. Nie jestem nierobem, od rana do wieczora rozsiewam wartości rozumne, dobre, wieczne.

4. Chyba wolno mi w jeden jedyny, przypadkowy wolny dzień z dwiema konsultacjami i wieczornym wykładem powylegiwać się w łóżku z filiżanką kawy, ale bez wyrzutów sumienia?! Tym bardziej że zaraz wstanę.

5. A i tak czuję się jakoś głupio.

Wstałam z łóżka, nie przeczytawszy „Miasta”. Te wyrzuty sumienia to idiotyczna spuścizna czasów radzieckich, kiedy uważano, że im staranniej szorujesz podłogę, tym bardziej zasługujesz na szacunek. Nawet jeśli jesteś profesorem czy doktorem, to i tak w czasie wolnym od zajęć powinieneś myć podłogi itede. W szkole również stosowano wychowanie przez pracę - kiedy byłam dyżurną, musiałam zostawać po lekcjach i szorować podłogę na korytarzu. Teraz nie wyobrażam sobie, co mogłoby mnie zmusić, żebym wzięła do ręki ohydny, śmierdzący szkolny mop.

\*

Irina Andriejewna okazała się osobą bardzo taktowną - sprząta mieszkanie, a ja nie słyszę żadnych nieprzyjemnych dźwięków, jak choćby wycia odkurzacza. Znalazłam ją w kuchni, siedziała cichutko i czytała Jane Austen. Uniosła głowę znad książki, pochwaliła moją bibliotekę i znów zabrała się do lektury.

Przed wyjściem porozmawiałam z nią chwilę o literaturze. Jane Austen to jej ulubiona autorka. Tak, jeśli chodzi o pomoc domową, miałam szczęście. Nieczęsto zdarza mi się spotkać kogoś, kto przepada za Jane Austen tak samo jak ja. Zgodziłyśmy się co do tego, że jej proza jest doskonała, idealna, niezwykła, zwłaszcza *Duma i uprzedzenie* z Colinem Firthem w roli głównej.

Najadłszy się gumowych racuchów pod surowym wzrokiem Iriny Andriejewny, wyruszyłam na wieczorny wykład. Podchodząc do drzwi audytorium (byłam troszkę spóźniona), usłyszałam, jak studenci krzyczą w korytarzu:

- Chodźmy na psychologię, babina niekiepsko wyklada, a później urwiemy się do domu!

Hm, „babina” - to ja...

Po wykładzie specjalnie obserwowałam - rzeczywiście sporo osób poszło. Niedobrze - znaczy, że wagarują z następnego wykładu. Znaczy, że przychodzą posłuchać właśnie mnie, hura, hura!!! Ha, ha, ha, ho, ho, ho! Jestem bardzo szczęśliwa.

W domu okazało się, że Mura też miała dziś szczęśliwy dzień - najpierw szkołę ewakuowano z powodu telefonu o bombie, a w dodatku - jak się już szczęści, to się szczęści - właśnie w naszym mieszkaniu zgasło światło. Lew Jewgienjewicz pod osłoną ciemności zjadł karmę Sawwy Ignatjicza, a Murka nie odrobiła lekcji, splądrowała moją szafę i zabrała mój ulubiony czarny sweter. Potem obie z Murką śpiewałyśmy przy świecach piosenki.

*17 grudnia, niedziela*

O szóstej rano odwiozłyśmy Denisa z Ałłą na lotnisko. Przed wyjściem z domu, uśmiechając się mile do Ałły, boleśnie uszczypnęłam Denisa i podetknęłam mu reklamówkę ze spódniczką i czapkę, żeby wręczył ją Murce.



Z lotniska jechałyśmy w milczeniu. Murka drzemała, a ja rozmyślałam - czy naprawdę mężczyzna mniej kocha dziecko, które z nim nie mieszka?

Postanowiłam rozpatrzeć dla przykładu różnych swoich znajomych.

Nr 1. Nie widział swojego dziecka już rok, a mieszka od niego o kilka przystanków metrem. Ma uzasadniony powód - była żona powiedziała, że nie chce go więcej widzieć i znajdzie dziecku lepszego tatusia.

Nr 2. W pierwszym okresie po rozwodzie zawsze chodził na wizyty ze swoim synkiem, a potem nagle przestał. Ma uzasadniony powód - była żona powiedziała, że jest nieudacznikiem i zmarnował życie jej i dziecku.

Nr 3. Ani razu nie zapłacił alimentów. Ma uzasadniony powód - była żona powiedziała, że on mało zarabia i obejdą się bez jego żalonych kopiejek.

I wszyscy oni to nie żadne stado wampirów, ale przyzwoici ludzie, inteligenci, średnio obraźliwi...

Z tego wniosek, że mężczyźni kochają swoje dzieci, ale mogą ich długo nie widywać i całkiem nieźle się z tym czują... Za nic nie chcę uwierzyć w taką prawdę, więc zamknę oczy (w wyobraźni, bądź co bądź prowadzę samochód) i będę myśleć, że ta prawda to nieprawda.

Kiedy tylko w myślach zamknęłam oczy, natychmiast olśniło mnie psychologiczne odkrycie (wielu uczonych dokonało swoich odkryć we śnie, pod drzewem albo w jakimś innym nierealnym miejscu), Superważne Odkrycie w naszej epoce powszechnych rozwodów! Może to odkrycie ocali świat przed całkowitym zapomnieniem przez ojców o własnych dzieciach.

Odkrycie: skoro mężczyźni mają taką złą pamięć w kwestii dzieci, należy zobowiązać byłe żony, żeby się przyjaźniły ze swymi byłymi mężami! I żeby powtarzały byłym mężom: twój syn jest taki zdolny, cały ty, a za to córka... też cały ty, bardzo ładna...

I żeby koniecznie podkreślały, że dzieci są bardzo udane.

Mnie moja córka Mura podoba się zawsze, nawet jeśli łapie dwóje i chuligani, a Denisowi - nie: on musi mieć pewność, że Mura jest ładna i inteligentna, bo inaczej przestałaby mu się podobać. Takie jest prawo natury, nic się na to nie poradzi.

Na Szosie Podmiejskiej, przy Pięciu Kątach, spróbowałam sobie przypomnieć, co takiego strasznie przykrego powiedziała mi Mura, co mnie okropnie zabołało, ale postanowiłam, że pomyślę o tym później...

Przypomniałam sobie dopiero pod samym domem. Mura powiedziała, że brak jej pewności siebie. Że nie wie, czy ktoś ją naprawdę pokocha, nie jest pewna, czy zasługuje na czyjąś miłość. Wchodząc po schodach, myślałam: o Boże, Boże, dlaczego? Tak się przecież starałam!

W odróżnieniu od Mury ja już od przedszkola byłam typową głupią prymuską. Niezawodną, obowiązkową. Jeżeli powiedziałam, że przyjdę o dziesiątej, to już za minutę dziesiąta pętałam się w pobliżu. I mój wygląd obcy oceniali bardzo pozytywnie, często nawet mówili, że jestem ładna. Zdawałoby się, że mama spokojnie mogła być ze mnie dumna.

No nie, mama oczywiście zawsze była ze mnie zadowolona, tylko że... ja pragnęłam nie spokojnego zadowolenia z moich sukcesów, ale dzikiego, nieokiełznanego zachwytu, zmiatającego wszystko na swojej drodze.

Mama miała przyjaciółkę, z której córką wychowywałyśmy się razem niby papużki nierozłączki. No i ta mamy przyjaciółka zawsze w zachwycie mówiła: „Spójrzcie tylko na moją Wierę, jaka jest śliczna i mądra!”. I wszyscy przytakiwali. Bo co mieli robić? A tak naprawdę Wiera była całkiem nieciekawa i marnie się uczyła.

Moja osobista mama zaś była zdania, że wychwalanie dziewczynki za urodę jest niepedagogiczne.. W rezultacie wszyscy zachwycali się urodą Wiery, a moją nigdy, nigdy też mnie nie chwalono za wzorowe

zachowanie i dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Jak nie mogłam popaść w kompleksy, że jestem brzydka i niekochana, ale po prostu miałam dużo szczęścia: kiedy wszyscy zaczęli się zakochiwać, tak się złożyło, że zakochała się we mnie cała piąta B, a potem piąta C. I zdołałam się wyrwać spod wpływu mamy, i uświadomić sobie, że ja też jestem całkiem całkiem, nie tylko Wiera! Która, nawiasem mówiąc, przez całe życie miała tylko jednego chłopaka i wyszła za niego za mąż. A ja miałam... niejednego.

Pamiętam swoje trudne dzieciństwo i zawsze powtarzam Murce: „Jesteś niewiarygodnie ładna, po prostu prześliczna”, żeby nie wpadła w żadne kompleksy. I zapewniam ją nawet, że bardzo dobrze się uczy. Moim zdaniem Mura podejrzewa, że jestem jakaś ślepa i nie potrafię odróżnić piątki od dwójki, ale to jest mój sposób rozwijania w niej wiary w siebie.

Więc chyba nie ja tu zawiniłam.

...Piłam kawę i zastanawiałam się - a może Murce brakuje miłości? My wszyscy - mama, ja, Lew Jewgienjewicz. i Sawwa Ignatjicz, uważamy, że nasza Mura jest najwspanialszą Murą na świecie. Denis też zawsze spoglądał na nią z zachwytem. Kiedy biła się w piaskownicy o babkę z piasku. A teraz zawsze jest zajęty - i biznes, i restauracje, i nie ma czasu się Murą zachwycać, a zresztą odzwyczaił się. Raczej spogląda na nią z obawą - co to za osoba, na oko już dorosła, i o co go tym razem poprosi?

No dobrze, to Denis, myślę. Ale dla Murki jest TATA. I myślę też, że Denis wciąż jeszcze nie wydorósł, lecz dla Murki jest MEŻ-CZYŻNĄ.

A gdyby Denis był zawsze blisko i patrzył na nią z zachwytem, Mura w każdym momencie miałaby świadomość, że jej osobisty ojciec ją ubóstwia.

Może wtedy nie powiedziałaby, że brak jej pewności siebie?

...Mura poszła do szkoły, a ja zjadłam talerz owsianki i na pożegnanie kanapkę z żółtym serem. Postanowiłam zacząć się odchudzać;

bo Ała wygląda świetnie - jest bardzo zgrabna, o wiele szczuplejsza ode mnie. Nosi rozmiar czterdzieści cztery, a ja czterdzieści osiem, no więc postanowiłam, że schudnę do gabarytów Ały za pomocą specjalnej diety - bardzo łatwej, trzeba po prostu jeść tylko kaszę. Bardzo lubię owsiankę z masłem i cukrem, więc zjadłam jeszcze jeden talerz. Wygoda stosowania tej diety polega także na tym, że kaszy można jeść, ile się chce.

W ciągu dnia, na uczelni, jeszcze raz pomyślałam o tym, jaka zgrabna jest Ała, i postanowiłam przejść na dietę bardziej radykalną. Zjadłam w stołówce uniwersyteckiej udko kurczaka z majonezem i ciastko z kremem (bardzo modna na Zachodzie dieta Atkinsa, można jeść same tłuste rzeczy, im tłuszciej, tym lepiej).

Wieczorem w ramach odchudzania przeszłam na żywienie rozdzielne - to bardzo łatwe, je się osobno to, osobno tamto... Nie wolno jeść pielmieni, bo to ciasto z mięsem. Ale pierogi ruskie można - to ciasto z ziemniakami. I oddzielnie trochę konfitur z truskawek. Po godzinie kawałek wędzonego sera, trochę kielbasy, pomarańcza, wszystko osobno.

Dzwonił Roman, bardzo za mną tęsknił, kiedy zajmowałam się sprawami rodzinnymi. Powiedział, że Mura może wziąć udział w konkursie - jakaś stacja telewizyjna wybiera uczestników reality show. Pomyśl programu jest jakiś mętny - chcą umieścić wszystkich w ciemnym pokoju i niech tam nawiązują stosunki.

- Jakie stosunki? - spytałam, a Roman odparł:
- Różne, jakie zechcą.

Dodał, żeby Mura przyniosła wyniki badań. Ci w telewizji pomyśleli, że uczestnicy mogą po ciemku nawiązać realne stosunki i pozarażać się nawzajem różnymi chorobami, a wtedy zamiast reality show zrobi się realny skandal, tak że wszyscy zakwalifikowani muszą przynieść badania. Więc niech Mura od razu przyjdzie z buteleczką, żeby mieć fory przed innymi kandydatami bez analiz.

Myślę, że nie pozwolę Murze uczestniczyć w reality show. Po-  
wiem jej, że Roman na razie nie może niczego załatwić - na jakiś czas  
zamknięto program, kanał i telewizję.

*31 grudnia, niedziela*

Nowy Rok to najpiękniejsze święto. Omracza je tylko konieczność  
„przyjemnego spędzenia sylwestra”.

Warianty spędzenia sylwestra:

1. Z mamą i Murka.

Plusy - pyszne jedzenie, nie trzeba samej nic szykować. Można  
oglądać telewizję, leżąc na kanapie w ciepłe i miłej atmosferze.

Minusy - nieprzyjemna świadomość zmarnowanych okazji: kiedy  
ja leżę na kanapie, wszyscy inni szampańsko się bawią.

Na pytanie: „Jak spędziłaś sylwestra?”, będę musiała odpowie-  
dzieć: „Z mamą”, jakbym nikomu nie była potrzebna i jakby mama  
nie pozwoliła mi nigdzie iść.

2. Zaprosić gości do siebie.

Plusy - goście przyniosą mnóstwo pysznych jedzonek i nie będę  
musiała sama nic szykować. Goście pójdą, a jedzenie zostanie i będę  
mogła zjeść pyszne śniadanko w łóżku, w ciepłe i spokoju.

Minusy - sprzątać po gościach pierwszego stycznia to to samo co  
siedzieć w pace, podczas kiedy inni się bawią.

Zwłaszcza że wszyscy będą z mężami albo z Wasią, a ja sama.

3. Samej pójść w gości.

Plusy - oczywiście.

Minusy - nie mogę sobie przypomnieć żadnego miejsca, gdzie  
chciałabym pójść.

Spędziliśmy sylwestra w domu w kostiumach karnawałowych.

Ja - kostium Ogórka (duży zielony worek z wycięciami na ręce i  
nogi). Murka - kostium Goryla (Alony futro z nutrii, Alony czapka z  
nutrii, maskę kupiliśmy w Gościńnym Dworze, ogon przyszyliśmy

same). Mama - broda z kasztanowej treski.

Wszyscy pozostali byli bez kostiumów, ale z sylwestrowym jeżdzeniem.

Alona z Nikitą i chłopcami - sałatka z krewetek, sałatka z kurczaka i winogron, gęś z jabłkami, tort wiśniowy. Olga z Wasią (Leżący nie może wyjść z domu nawet w sylwestra) - kasety z nowym filmem, pierogi z serem i kapustą (pierogi zrobił Wasia). Irka Chomik z Piotrem Iwanyszem, znajomi Alony, znajomi Olgi, dwie moje koleżanki z uczelni z mężami - cała reszta.

Wręczaliśmy sobie nawzajem prezenty, tańczyliśmy wokół choinki, bawiliśmy się w chowanego (schowałam się w szafie, długo nie mogli mnie znaleźć i o mało nie zasnęłam) i graliśmy w różne gry. Było niesamowicie wesoło, Roman zadzwonił z życzeniami o pierwszej czterdzieści osiem. Odpalaliśmy petardy na podwórzu razem z towarzystwem Łysego. Nasze były lepsze.

## STYCZEŃ

*11 stycznia, czwartek*

Rano obudził mnie telefon. O takiej porze może dzwonić tylko mama.

- Z kurtki twojej córki wypadła mała buteleczka campari - oznajmiła mama tragicznym głosem.

Dlaczego kiedy Mura coś zbroi, natychmiast staje się „twoją córką”? A jeśli Mura zostanie alkoholiczką? Czy wtedy mama naprawdę wyrzeknie się wnuczki?

Murka zaklinała się, że nie ma zielonego pojęcia, skąd buteleczka znalazła się w jej kurtce, ale wie na pewno, że upuścił ją przechodzący obok Pietiunia i flaszka przypadkiem wpadła do jej kieszeni.

Dziwne - czemu Pietiunia nagle przeszedł na campari?...

- Za to mam dwie wiadomości, dobrą i złą - terkotała zaczer-

wieniona Mura, odwracając oczy. - Zła to, że wzywają cię do szkoły, bo rozpyliłam w szatni gaz paraliżujący, a dobra, że już więcej nie będę, bo pojemnik się wyczerpał.

- Kupiłam ci gaz do obrony, a nie do chuligańskich wybryków - powiedziałam, ale Murka była już w drzwiach; jakoś wcześniej niż zwykle wyleciała do szkoły.

Ledwie drzwi zatrzęsnęły się za Murą, zadzwonił telefon. Myślałam, że to mama - pewnie chce zimnym głosem zrobić mi wykład o alkoholizmie dziecięcym.

Może udać, że nie ma mnie w domu? A jeżeli to dzwoni kierowniczka katedry z prośbą o jakieś pilne zastępstwo?

- Nie jest pani przyzwoitą kobietą - rozległ się w słuchawce ochryply głos, a zaraz potem dały się słyszeć buczki.

Zdumiona wpatrzyłam się w aparat. Kto to był? Mama, Żeńka, kierowniczka katedry? Ale dlaczego nie jestem przyzwoitą kobietą? Jeżeli źle się zachowuję, mama nigdy nie mówi, że nie jestem przyzwoitą kobietą, tylko „TyZupełnieNieMaszSumienia”. Żeńka nazywa mnie brzydkim słowem (...), a kierowniczka katedry w ogóle nie ma powodu, by nie uważać mnie za przyzwoitą kobietę, bo nigdy nie odmawiam wygłoszenia wykładu w zastępstwie chorych kolegów. To na pewno pomyłka.

Znowu dzwonek.

- Halo? - ten sam ochryply głos. - Ja... ten... jestem teściową Romana.

Poczułam się nagle, jakbym miała piętnaście lat i była w domu u chłopaka, i jakby nagle wrócili z pracy jego rodzice i zaczęli na nas krzyczeć, że nie odrabiamy lekcji, tylko po ciemku oglądamy telewizję.

Teściowa Romana sapała w milczeniu.

- Ja... ten... otóż... - i nagle stanowczo: - Pani, ten... chcę powiedzieć...

- Jak pani godność?

- Nieważne - z nieoczekiwaniem dramatyczną intonacją przemówiła teściowa. - Czy... pani... spotyka się z Romanem? Czy to na poważnie?

Odpowiedziałam uczciwie:

- Nie. Widziałam się z Romanem kilka dni temu i nie mówił mi, że to na poważnie.

- Pani musi z nim zerwać!

Koszmar! Tylko tego mi na starość brakowało - prawdziwej życiowej psychodramy! A więc tak, należy zachować spokój i rozpatrzyć sytuację we wszystkich aspektach.

Miałam ochotę wleźć pod kanapę i stamtąd rozpatrywać sytuację.

- Co, zamierza pani wyjść za niego za męża?...

- Ależ nie, skąd! Mam już rodzinę, dziękuję. - Dlaczego skłamałam? Ze strachu? Ale ja naprawdę mam rodzinę: Murę, mamę, Lwa Jewgienjewicza, Sawwę Ignatjicza.

- Niech mi pani obieca, że nic pani nie powie temu... Romanowi! Bo... on mnie zabije, jak się dowie!

Przysięgam zachować tajemnicę i teściowa odłożyła słuchawkę.

Jak to nieprzyjemnie być dla kogoś wrogiem, nawet dla ochryplego głosu. O wiele bardziej wolę być lubiana.

A to dopiero! Czy istotnie Roman kocha mnie aż tak, że powie o tym teściowej? Kocha mnie, kocha, kocha!

Oczywiście jest to dla mnie bardzo przyjemne. I muszę przyznać, że współczucie dla jego żony też sprawia mi przyjemność. Wszystko razem przypomina jajko w koszulce - z wierzchu wiotkie, szlachetne współczucie, a w środku żółciutka satysfakcja.

Ale ja niczego od niego nie chciałam! Po prostu było nam dobrze razem. Sprawiało mi przyjemność, że on też mnie kocha. I wiedziałam, że jest żonaty, ale... czułam się jakoś tak... że naprawdę żyję... jakbym miała w sobie mnóstwo radości i jakby ta radość biegła ze mną na wyścigi... Bardzo mnie urządza romans z Romanem, ale jako o mężu jeszcze o nim nie myślałam. Chociaż czemu by nie pomyśleć



właśnie teraz? Bo różnie może być - „nadejdzie smutna starość i znikną wielbicielę”...

Kocha mnie, kocha, kocha! Czy naprawdę będziemy żyć razem? Niech on wtedy wyprowadza Lwa Jewgienjewicza, rano i wieczorem.

Mimo wszystko jednak - dlaczego nie jestem przyzwoitą kobietą, dlaczego?!

A może to prawda, nie jestem? Co za cholerny nawyk rozpatrywania każdej sytuacji z różnych stron! Jakby wszystkie kobiety dzieliły się na dwie armie - w jednej żony, a w drugiej te nieprzyzwoite. Taka Teściowa też uważa, że winna jestem ja, a nie Roman. Jakby Roman był jakimś towarem na półce i mógł go wziąć każdy, kto zechce.

Strasznie mnie zdenerwowała rozmowa z Teściową, a kiedy człowiek jest w stresie, powinien uprawiać ćwiczenia fizyczne - jeździć na nartach, tańczyć, sprzątać mieszkanie. Posprzątam mieszkanie.

Nie wzięłam się do sprzątanía, tylko zamiast tego zadzwoniłam do Żenki i Alony. Obie powiedziały, że w żadnym razie nie powinnam mówić o tych telefonach Romanowi, żeby nie zaognić sytuacji. Wcale nie miałam takiego zamiaru, obiecałam przecież Teściowej, że to będzie nasz sekret.

Nie wiedzie mi się dzisiaj od samego rana...

Dlaczego Irina Andriejewna tak się zachowuje? Umawiałyśmy się przecież, że przychodzi raz w tygodniu, kiedy mam wolne przedpołudnie, na cały dzień. Cały dzień to, moim zdaniem, od dziesiątej do piątej. A ona przychodzi to o dwunastej, to o pierwszej, a wychodzi o czwartej. Postanowiłam zrobić z tym porządek.

O proszę, dziesięć po pierwszej, a ona dopiero się zjawia. Nie można na coś takiego patrzeć przez palce! Zaraz wszystko jej powiem!

Otworzyłam drzwi z gniewną miną.

- Irino Andriejewno! Jestem bardzo zła. Proszę zobaczyć, która

godzina!

- Co, jesteś zła, że tak wcześnie przyszedłam?

No nie, tego już za wiele! Chciałam włożyć mój ulubiony czarny sweter z białym pasem na piersi. Okazuje się, że Irina Andriejewna go uprała i teraz to nie jest sweter, tylko miniaturowe ubranko dla lalki.

- Irino Andriejewno! O... sweter...

- A co? Bardzo porządny sweter. Taki grubiotki.

- Proszę, żeby pani nie prała więcej moich rzeczy, sama to zrobię...

A potem Irina Andriejewna straszliwym głosem krzyczała:

- To nie ja, on sam się zbiegł!

Prosiłam o przebaczenie, na zgodę i na znak wiecznej przyjaźni podarowałam swojej gosposi nowy komplet bielizny pościelowej, długo piłam z nią herbatę i wysłuchiwałam historii z jej życia. Ofiarowałam jej też nowe wydanie *Dumy i uprzedzenia*, bo egzemplarz Iriny Andriejewnej się rozsypuje.

Poczułam, że w tak ekstremalnej sytuacji, kiedy koniecznie muszę wszystko przemyśleć, absolutnie nie mogę iść na uczelnię, tym bardziej że dziś nie mam wykładów, tylko zebranie katedry.

Zadzwoiłam na uczelnię i wykwękałam, zatykając nos chusteczką:

- Brzebrażab, nie bogę brzyjdzdź na zebranie, bab katar.

Odłożyłam słuchawkę, padłam na łóżko i zachichotałam najpierw basem, a potem cieniutko - chi, chi, chi! To reakcja na szok, stres i wykrzycie przez Teściową naszych stosunków z Romanem.

Tak w ogóle to nie jesteśmy z Iriną Andriejewną kłamczuchami, po prostu zadziałał u nas zdrowy instynkt samozachowawczy: w chwili zagrożenia zachowałyśmy się obie jednakowo - kłamałyśmy, aż się kurzyło. Ona nie prała swetra, a ja nie spotykam się z Romanem i wymigałam się od zebrania katedry.

Rzeczą najbardziej zgubną dla mego ludzkiego organizmu jest to,

że zawsze wszędzie muszę być na określonej porę - na przykład zajęcia zaczynają się o dwunastej dziesięć albo o trzynastej dwadzieścia, na konsultacje w salonie piękności też nie mogę się spóźnić. W związku z tym nie mogę w dowolnym momencie, kiedy akurat mam ochotę, popatrzeć na rozgwieżdżone niebo, na wodną gładź, posłuchać szmeru strumienia, i cała ta sytuacja stanowi poważny powód do stresu.

Postanowiłam wyjść na spacer, żeby się poczuć częścią wszechświata, a przy okazji przemyśleć sprawę z Teściową, no i proszę - czyhał na mnie Łysy z bardzo przykrą niespodzianką. Szarpnął się i zaangażował konsjerżkę.

W holu na dole siedziała na krześle gruba kobieta w chustach: jedna na głowie, druga przewiązana na spodniach od dresu. Okazało się, że ta okręcona chustami sportsmenka to właśnie nasza konsjerżka. Łysy polecił jej pytać każdego, do kogo idzie i po co. Następnie konsjerżka ma się udać na górę do mieszkania i zapytać, czy chce widzieć przybyłego.

A ja mogę odpowiedzieć: „Dziś nie przyjmujemy” albo „Nie wpuszczać!”.

- Dlaczego miałabym nie wpuszczać? - zdziwiłam się.

- No, różni mogą przychodzić... - odparł zagadkowo Łysy. - Jacyś partnerzy albo jeszcze ktoś... Będziemy teraz nie gorsi niż inni nowi Rosjanie - cieszył się jak dziecko.

Ja - nowa Rosjanka. Ja - nowa Rosjanka?...

Mój wirtualny dług wobec Łysego za możliwość czucia się nową Rosjanką wzrósł już do dwustu dolarów miesięcznie - sto za parkowanie mojego starego dzipa i sto za okręconą chustami babę. Koszmar!

Chodziłam bezmyślnie tam i z powrotem po Władimirskim, próbując dostrzec sine dale, usłyszeć szmer wody i rozwinąć w sobie filozoficzne podejście do Teściowej. Kupiłam sekretarkę automatyczną - jeśli Teściowa jeszcze zadzwoni, nie podniosę słuchawki.

Wstąpiłam do księgarni i tam, pośród kryminałów, nagle doznałam olśnienia - a jednak będę pisała książkę! Podeszłam do tego z naukowego punktu widzenia (przed napisaniem pracy naukowej zawsze należy dokonać przeglądu istniejącej już literatury przedmiotu) i nabyłam kilka przykładowych książek z najbardziej popularnych gatunków - kryminały i romanse.

W domu okazało się, że co do sekretarki, to się przeliczyłam - w moim mieszkaniu z długim przedpokojem można korzystać tylko ze słuchawki, a sekretarka jest stacjonarna, nie będę słyszała, co się nagrywa. Na razie schowałam ją do szafy razem z telefonem.

Zabrałam się do studiowania literatury przedmiotu - z naukowego punktu widzenia. Postanowiłam wypisać sobie wszystkie wątki fabularne, jak w dziecięcej zabawie, kiedy przekazuje się kolejno kartkę, na której każdy pisze odpowiedź na pytanie, a potem odczytuje się, co z tego wyszło, i wszyscy się śmieją.

1. Ona - podstarzała gruba dziewczina (w podartym biustonoszu, w okularach, ze zwiotczalymi rękami).

2. On - oligarcha o grubych nogach. Kiedyś w żłobku zabrano mu landrynkę, i usiłując odzyskać, co mu odebrano, został oligarchą.

3. Gdzie - w zwyczajnych, dostępnych dla wszystkich miejscach (w tramwaju, na sąsiedniej posesji, wszędzie, gdzie zazwyczaj kręca się oligarchowie).

4. Co robili - między dziewczicą i oligarchą nieoczekiwanie wydarza się TO. Oligarcha, natrafiając palcem na dziurkę w biustonoszu, nagle zaczyna rozumieć, że osiągnął zaawansowany wiek i nawet nie wiedział, że TO może być TAK.

5. Kto to zobaczył - morderca (chce zabić oligarchę albo dziewczicę, która nie wie, że jest w posiadaniu bardzo ważnej tajemnicy wojskowej albo handlowej).

6. Jak się to skończyło - dziewczica zastrzeliła mordercę, oligarcha ocalił dziewczicę. Wesele, nowy biustonosz, soczewki kontaktowe zamiast okularów.

Każdy powinien pisać o tym, co dobrze zna. Oczywiście, autor dobrze wie, że TO bywa właśnie TAK...

A jednak pisarze są bardzo nieostrożni! W ogóle się nie obawiają psychologów, którzy na podstawie ich utworów z łatwością mogą sporządzić portret psychologiczny autora!

Na przykład książki o grubych babach najwyraźniej pisze ktoś z kompleksem Kopciuszka - był sobie Kopciuszek, cały w popiele, i nagle...

Ja będę mądrzejsza - nie chcę, żeby czytelnicy wiedzieli o moich intymnych sprawach... Napiszę powieść o czymś zupełnie oderwanym - na przykład o tym, jak samotna kobieta po trzydziestce, z dorastającą córką, psem i kotem, żyje sobie w wielkim mieście, powiedzmy, w Pitrze, i nagle... spotyka wielką miłość, i okazuje się ona miłością na całe życie!

Powieść będzie niewielka, raczej krótka, żeby szybciej ją zakończyć.

Naszpicowałam fabułę - jak bohaterowie spotkali się i pokochali, potem się na krótko rozstali i znów się spotkali po to, by się już więcej nigdy nie rozdzielać. A co, moim zdaniem niezłe. Pozostaje tylko jakoś to zakończyć, na razie nie wiem jak. Najtrudniej jest wymyślić zakończenie. Już dawno zauważyłam, że w powieściach pisanych przez kobiety zakończenie jest zawsze jakieś niewyraźne i nasuwa się myśl, że nie wiadomo po co to wszystko w ogóle napisano.

Mam nadzieję, że moja powieść okaże się bestsellerem i dostanę duże honorarium! Za honorarium zrobię remont albo chociaż kawałek remontu. Zacznę od przedpokoju, bo przedpokój to oblicze mieszkania, a moje oblicze, to jest nie moje, tylko mieszkania, jest mocno sterane, jak u pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który dorabia sobie przewozami i już dawno machnął na siebie ręką.

Już dwie godziny nie myślę o Teściowej - całkowicie pograżyłam się w twórczości.

Wyobrażałam sobie, jak będę siedzieć w telewizorze, wypowiadać

się na różne tematy, o sytuacji międzynarodowej, o oświacie, UFO i tym... PKB. Z psim show nie będę miała problemów - Lew Jewgienjewicz zna dwie komendy: „Leżeć!” i „Proś!”.

Ale z kulinarnym już gorzej... Co ja będę gotować, przecież nie pielmieni Daria? Poproszę Alonę o przepis na hiszpańskie merengi i zrobię furorę!

I nagle z szafy rozległ się okropny, grobowy głos: „Dzwoni numer 585-33-97”. Przez jakieś dziesięć minut siedziałam sparaliżowana grozą, póki nie dotarło do mnie, że to nie Marsjanin, który uwił sobie gniazdko w mojej szafie, ale cholerna sekretarka automatyczna.

W ciągu wieczoru Teściowa zadzwoniła do mnie do szafy pięć razy. Jak to dobrze, że nie muszę podnosić słuchawki, a numeru mojej komórki baba nie zna. Postanowiłam poświęcić jeszcze trochę czasu na twórczość i telefonicznie omówić treść książki z Aloną, mamą i Olgą. Olga powiedziała, że dobrze by było, żeby według mojej powieści nakręcili film albo jeszcze lepiej serial, wtedy pewnego pięknego poranka obudziłabym się sławna i bogata. Brzmi kusząco, muszę się bardzo postarać.

Wieczorem byliśmy u mamy pożegnać się z ciocią Wierą, która jutro wyjeżdża. Ciocia Wiera zrobiła krokiety z kapustą i bułeczki na parze, z kremem. Nie rozumiem, po co przez cały wieczór stała przy kuchni - lepiej by było, gdybyśmy po prostu siadły i pogadały, ale z jedzeniem tak już jest: miałyśmy uczucie, jakby w tych krokietach i bułeczkach mieściła się cała miłość do nas.

Zostałam całkiem sama, bez dorosłych. Mama się nie liczy, ona się tak strasznie denerwuje z tylu powodów, że nie pozostaje mi nic innego jak kłamać, że mamy z Murką same piątki ze wszystkich przedmiotów.

Rozkleiłam się i chciałam zalizać swoje duchowe rany we śnie, ale nie mogę się położyć spać, dopóki nie zadzwoni Żeńka. Dlaczego ona nie dzwoni? A, nareszcie.

Omawialiśmy moją książkę i trochę się pokłóciłyśmy. Żeńka powiedziała, żebym się nie ważyła iść na psi show bez jej pozwolenia (kiedy już będę znakomitością). Ona sama dopilnuje, żebym się przyzwoicie ubrała, a nie poszła do telewizji w ohydnych butach.

- Masz na myśli te brązowe buty, przecierane na zielono? Dlaczego nie nadają się do telewizji? Ze szpicami, na grubej podeszwie, wszyscy teraz takie noszą...

- Jacy wszyscy?! Zajrzyj do swojego dowodu, idiotko - powiedziała Żeńka.

Uważam, że nie ma racji - człowiek nosi takie buty, na ile lat się czuje.

Przed zaśnieciem zastanawiałam się, czy rzeczywiście wyrosłyśmy już z młodzieżowej mody. Uznałam, że nie. A do dowodu nie mogę zajrzeć, bo mi zginął.

*12 stycznia, piątek*

Dwa razy dzwoniła Teściowa. Oba razy na komórkę, w czasie wykładu.

Nie umiem się posługiwać komórką, nie znam jej różnych sprytnych funkcji, potrafię tylko dzwonić. W przerwie studenci ponaciskali mi jakieś klawisze i numer Teściowej teraz nie przejdzie, to jest ona może sobie dzwonić, ale dzwonka nie słychać.

Po wykładzie sprawdziłam: dziesięć nieodebranych połączeń z jednego numeru! Dziesięć!!!

Jako psycholog poradziłabym jej, żeby przestała dzwonić, żeby nie zaostrzała sytuacji. Żeby nie prowokowała ludzi do nieprzemyślanych postępów, do których mogą się posunąć pod wpływem emocji. Dziesięć telefonów! Zdaje mi się, że ta cała Teściowa dzwoni pod niewłaściwy numer, powinna zatelefonować nie do psychologa.

Dziś miałam trzy klientki w salonie, i wszystkie, jakby umyślnie, to kobiety zdradzane przez mężów.

Kiedy przychodzą do mnie zdradzane żony, zawsze przypomina mi się moja ciocia Wiera. Ach, jak ona kochała swego męża, wujka Igora, prawdziwy filmowy melodramat. No, ale był tego wart - wysoki, sympatyczny, dowcipny, plus to wszystko, co kiedyś określano mianem „człowiek przez duże C”. Zbudował fabrykę gdzieś na Północy, został dyrektorem, kawalerem orderów. No i ciocia Wiera tak go kochała, że poza nim i pracą nie dostrzegała niczego, nawet własnych dwojga dzieci. Dzieci pałętały się gdzieś na drugim planie życia. Wychowywało je przedszkole i organizacja pionierska.

Ciocia i jej mąż byli ludźmi starej radzieckiej produkcji. W najlepszym tego słowa znaczeniu, jak ze starych radzieckich filmów. Ciocia Wiera była przede wszystkim lekarzem, a nie przede wszystkim także lekarzem.

No więc wujek Igor był bardzo przystojnym mężczyzną. I w dodatku dyrektorem fabryki, czyli w ich maleńkim miasteczku pierwszym po Bogu. I oczywiście często miewał skoki w bok. Ale ciocia Wiera uważała, że Igorowi należy się wszystko, czego zapagnie, i niech robi, co chce, byle tylko był szczęśliwy. Tym bardziej że wszystkie te kobiety nie były na serio.

Ale nagle wujek Igor wpakował się w romans! Byli oboje wtedy nieco po trzydziestce, najbardziej „romansowy” wiek, kiedy pierwsze uczucie już przybladło, a ma się w sobie jeszcze ogromne pokłady miłości. I mój wujek Igor zakochał się w innej kobiecie, i powiedział cioci Wierze, że jako człowiek uczciwy z pewnością od niej odejdzie, ale nie od razu, przed odejściem zastanowi się jeszcze, jak ma postąpić. A ciocia Wiera będzie musiała poczekać na jego decyzję, a czy długo, czy krótko, on sam jeszcze nie wie.

No i ciocia Wiera zaczęła czekać. A on był dla niej nie po prostu mężem, ojcem dwojga dzieci i żywicielem rodziny - był jej MIŁOŚCIĄ. Więc czekała. Pół roku, czyli sześć miesięcy. Bez głupich pytań typu, czy już coś zdecydowałeś, a jeśli tak, to czy można wiedzieć co. Bez krzywych spojrzeń i wyrzutów. A już zwłaszcza bez żadnego „mamy przecież dzieci”. Po prostu kochała go jak dawniej.



Tak, oczywiście, płakała, ale tylko wtedy, gdy on zasnął, bardzo cicho, żeby go nie obudzić, nie wywołać współczucia i nie wpłynąć przypadkiem na jego decyzję. I po trzech miesiącach mąż powiedział do ciotki Wierzy: „Nie mogę się z tobą rozstać. Chciałem, ale za nic nie mogę”.

Znamienne, nie z dziećmi, ale z nią. Z nią, z nią!!! Hura!

I przeżyli razem jeszcze dwadzieścia pięć lat. Kiedy wujek umarł, ciocia Wiera na moje pytanie, czy czuje się bardzo samotna wieczorami, odrzekła ze zdziwieniem: „Nie jestem przecież sama, jestem z Igorem”. Tak...

...Każdy by chciał mieć jedną wielką miłość na całe życie i umrzeć jednego dnia z ukochanym, i w ogóle...

Dzwoniła Alona. Kardiolog wykrył u pudła „wadę zastawki dwudzielnej” i zapisał zastrzyki dożylnie. Powiedziała, że pudel zachowuje się normalnie, jest wesoły, ugryzł Nikitę przy próbie molestowania seksualnego (ze strony Alony).

Przed wzięciem prysznicza pobiliśmy się z Murką, spraliśmy ją ręcznikiem po pupie. (Już dawno nie zaglądałam do jej dzienniczka. Coś strasznego! Cały jest zapisany uwagami wychowawczynie. I dwójce z fizyki).

Poskarżyłam się Żeńce, że fizyczka nie lubi Murki.

- A dlaczego nauczyciele mieliby lubić uczniów? - zdziwiła się Żeńka. - Lubią nowe buty.

(Kiedy Żeńka mieszkała jeszcze w Pitrze, nauczycielka Katki przysłała jej kiedyś następujący liścik: „Mój rozmiar: sandałki z zakrytymi palcami - 38, sandałki bez palców - 38,5”).

- Zanieś jej podliz! - poradziła Żeńka. - Mogą to być czekoladki, perfumy lub inne tego rodzaju drobiazgi.

Postanowiłam, że za żadne skarby! Mura jest już dużą dziewczynką, niech sama zanoszą podliz.

*15 stycznia, poniedziałek*

Rano pogałam z czekoladkami do szkoły, nawet się porządnie nie ubierając, włożyłam długi płaszcz na pizamę. Mam nadzieję, że nie każą mi się rozebrać. Zamierzam stanowczo wskazać wychowawczynie (fizycze) jej miejsce.

- Dlaczego pani ciągle broni swojej córki? - zapytała surowo fizyczka.

- Dlatego, że pani ciągle ją atakuje - odrzekłam szczerze i natychmiast wzięłam ogon pod siebie, uśmiechając się do niej fałszywym uśmiechem. - Przepraszam, przepraszam, błagam, niech mi pani wybaczy - zapiszczałam, składając ręce. - Ja rozumiem, jak trudna jest pani praca... (w duchu myślałam: A niech cię diabli!).

Fizyczka nachyliła się do mnie. Nogi jak słupki, niemrugające oczy, ostre zęby...

- Córka pani jest bardzo niezdyscyplinowana...

- Tak, tak (a niech cię diabli!).

Kiwałam głową i patrzyłam na fizyczkę bezdennie smutnym wzrokiem - nauczyłam się tego od Lwa Jewgienjewicza, z taką miną zwykł siedzieć przed lodówką.

Wychowawczynie mówiła, że dziewczynkę należy przyzwyczajać do trudności. Wszystkich innych też, ale dziewczęta szczególnie, a moją Murę - bezwzględnie.

Nie zrozumiałam, czemu właśnie dziewczynki należy wychowywać na nieszczęśnice i przygotowywać do wielkiej figi z makiem, którą, zdaniem fizyczki, bez wątpienia uczęstuje je życie.

- Wezmę się do niej, i to zaraz. Wracam do domu i natychmiast zaczynam ją wdrażać do trudności! - przysięgłam, ostatkiem sił udając dorosłą, matkę „córki pani”.

Nagle fizyczka nachyliła się do mnie i powiedziała niskim, pufnym głosem:

- Coś pani powiem... (Takim głosem lis w bajce wabi kogucika: „Koguciku, koguciku, wyjrzyj przez okienko”, toteż postanowiłam się

nie poddawać!). - Obie jesteśmy kobietami samotnymi - ciągnęła fizyczka.

„Oj! - pomyślałam. - Oj-oj-oj! Ja nie jestem samotna, mam mamę, Murę, Lwa i Sawwę, Romana, dziewczyny, mam też studentów... „„

A potem nagle zrobiło mi się strasznie, aż do łez, żal fizyczki.

1. Ja mam Romana, a fizyczka pewnie nie.

2. Murka odejdzie, rozpocznie własne życie, a ona zostanie.

3. A poza tym... po wielu uczniów przyjeżdżają rodzice drogimi samochodami, dzieciaki w bufecie rozmieniają pięćsetrubłówki, ona zaś ma bardzo małą pensję, prawie taką jak ja. I uczniowie w wypracowaniach „Jak spędziłem lato” piszą, że byli w Anglii, Szwajcarii i na Kanarach, a ona nigdy nie była za granicą, tylko dawno, w epoce radzieckiej, na wczasach w Bułgarii...

*16 stycznia, wtorek*

Dziś wieczorem miałam Bardzo Ważną Bezpłatną Konsultację.

- Larysa Siergiejewna prosiła, żeby pani na chwilę została - powiedziała mi kierowniczką tuż przed zamknięciem salonu, kiedy po ostatniej konsultacji sprzątałam chusteczki (dzisiaj się nie przydały, nikt nie płakał), filiżanki (potem pozmywam) i papierki po cukierkach (zjadłam kilka, niewiele, pięć).

- A kto to jest? - zdziwiłam się, ale natychmiast z twarzy kierowniczką wyczytałam, że wspomniana dama jest bardzo ważną osobą.

- Larysa Siergiejewna jest naszą właścicielką! - odrzekła kierowniczką z lekkim wyrzutem. - Dawniej siedziała w naszym salonie, ale teraz otwiera drugi i stale jest tam. Bardzo energiczna, wszystko sama... Chce panią sprawdzić.

Byłam przerażona. A nuż rozczaruję Larysę Siergiejewną i... i co? Nie wiem CO, ale i tak się boję. I jak mianowicie ona zamierza mnie sprawdzać?

Kiedy tylko Larysa Siergiejewna weszła do gabinetu, od razu przestałam się jej bać (oto co znaczy profesjonalna umiejętność panowania nad sobą), ponieważ spostrzegłam, że ma grubą pupę. Nie to, żebym była złośliwym potworem i cieszyła się z defektów urody innych kobiet, ale czuję się jakoś pewniej, kiedy mam do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem w rodzaju mnie samej, a ludzie piękni i pozbawieni wad onieśmialają mnie i obniżają moją samoocenę.

Co do całej reszty, to poza pupą właścicielka salonu okazała się bardzo przystojną osobą. Dokładnie tak wyobrażałam sobie właścicielkę salonu piękności. Apetyczna różowa blondynka w obcisłym kostiumiku, kostiumik niby nic szczególnego, ale od razu widać, że strasznie drogi. Życzliwa, uśmiechnięta, pewna siebie, głos donośny.

Podobają mi się takie kobiety, choć nie rozumiem, jak im się udaje osiągnąć tak nieludzką perfekcję w makijażu. U mnie na przykład zawsze coś jest nie tak: albo umaluję jedno oko, a o drugim zapomnę, albo umyję głowę, ale nie zdążam wysuszyć, bo już muszę lecieć...

Larysa Siergiejewna rozsiadła się władczo naprzeciw mnie z taką miną, jakby miała zaraz zapytać: „No cóż, jakie ma pani problemy?“, i już byłam gotowa o wszystkim jej opowiedzieć.

Zwykłemu śmiertelnikowi, nie psychologowi, Larysa Siergiejewna mogłaby się wydać zbyt pewna siebie. Jest taki typ kobiet - zawsze i wszędzie szefowe, ale ja (dypl. psycholog) momentalnie się zorientowałam, że pod jej obcesowymi manierami kryje się miła, delikatna kobieta.

Larysa Siergiejewna wzięła ze stolika listę moich dzisiejszych klientek i zaczęła rysować na niej kwadraciki. Rysowała i zakreskowywała, rysowała i zakreskowywała.

- Chcę w drugim salonie też posadzić psychologa, jeśli mi się spodoba - oznajmiła.

Jeśli CO jej się spodoba?

I tu zaczęła oficjalnie uprzejmym tonem opowiadać o sobie, i wkrótce już wiedziałam, że jest strasznie zmęczona, że w drugim

salonie dogląda wszystkiego sama, i nawet sama prowadzi całą księgowość, a pracownice trafiły się jej jakieś niemrawe, w dodatku zaś ma dziś nieprzyjemne pieczenie w gardle i trochę ją mdli, wczoraj się ostrzygła (dotychczas miała długie włosy)... i jak mi się podoba jej fryzura?

Ja tylko kiwałam głową, doceniając jej sukcesy w biznesie, zwłaszcza w porównaniu z moimi, oraz współczując, że ją mdli, i aprobując nową fryzurę.

- Proszę mi mówić po prostu Larysa - poleciała (rezultat mistrzowskiego zastosowania przeze mnie szeregu bardzo skomplikowanych chwytów psych., kiwania głową itede).

Ciągnęła dalej szczegółową opowieść o swoich sprawach i wkrótce zaczęło mi się wydawać, że jesteśmy z Larysą starymi przyjaciółkami, i już jęłam podrygiwać z niecierpliwości - za chwilę przyjdzie moja kolej, by opowiedzieć, że wczoraj wieczorem bolał mnie brzuch, Lew Jewgienjewicz znów otworzył lodówkę, a Murka dostała kolejną dwójkę z fizyki.

Nie udało mi się jednak wstawić ani słowa o brzuchu, lodówce albo chociaż o Murce, ponieważ Larysa mnie uprzedziła - poskarżyła się na swój personel, który zupełnie nie potrafi z nią współpracować.

Larysa, do zeszłego roku wicedyrektor szkoły średniej w dzielnicy Moskiewskiej, sama mogłaby bez trudu nauczyć ich, jak się z nią obchodzić, jako że sporo wie o psychologii, ponieważ uczyła geografii. A jeśli czegoś nie wie, to z przyjemnością się nauczy - jako była nauczycielką bardzo lubi się uczyć.

- Czy mogłaby pani udzielić mi kilku lekcji? - Larysa wbiła we mnie nieruchome spojrzenie.

Ponieważ nawiązałyśmy już przyjazny, zażyły kontakt, odpowiedziałam szczerze: za żadne skarby, lepiej jak się czasem spotkamy i pogadamy przy kawie. W odpowiedzi Larysa oświadczyła, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy pogadały już teraz.

- Tylko żeby to nie trwało dłużej niż godzinę, bo już późno i jestem zmęczona.

Czy wypada powiedzieć nowej przyjaciółce, że ja też jestem zmęczona, chętnie już bym się z nią rozstała i że czas psychologa kosztuje?

- Ja... e-e... muszę do domu... - pisałam, i tu Larysa spojrzała na mnie tak nieprzyjaźnie, jakbym była jej debetem i jeżeli natychmiast się nie wyrównam, to biada mi.

Kiedy dwie osoby się przyjaźnią, to jedna zawsze usiłuje pobyc z drugą trochę dłużej, niż chciałyby ta druga... i wtedy druga musi czekać, aż pierwsza będzie jej miała dość... A poza tym zawsze miło spotkać człowieka opanowanego żądzą wiedzy psychologicznej.

W związku z tym postanowiłam, że opowiem jej o technikach komunikowania się z ludźmi, a wtedy ona mnie puści.

- Cóż... istnieją różne techniki komunikacji, niektóre całkiem proste - zaczęłam pouczająco - na przykład nigdy nie wolno mówić: „Czy mogłaby pani dać mi to a to?”. Zamiast tego należy mówić: „Proszę mi to dać”.

- Oo! A czy można zmusić człowieka, żeby postąpił tak, jak się chce?

- Zmusić raczej nie, ale można subtelnie naprowadzić go na odpowiedź „tak”. Chociaż zamierzał powiedzieć „nie”...

- W jaki sposób? - zapaliła się dociekliwa Larysa.

Opowiedziałam jej o zasadzie trzech „tak”. (To bardzo proste: trzeba tylko zadać człowiekowi trzy pytania, na które z pewnością odpowie twierdząco, a następnie zadać to pytanie, w związku z którym rozpoczęliśmy całą rozmowę).

Porozmawiałyśmy jeszcze trochę o różnych naukowych sposobach, które pomogłyby mojej nowej przyjaciółce w osiągnięciu celu, i Larysa zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Mieszka pani w Petersburgu? - spytała już w drzwiach.

- Tak - odrzekłam zdziwiona. Chce mnie odwiedzić i boi się, że dojeżdżam do pracy z Moskwy?

- Jest pani kobietą?

- Tak... - Dziwne pytanie, co ona ma na myśli, niemożliwe, że-

by...

- Jest pani naprawdę profesjonalnym psychologiem?
- Tak. - Następnym razem pokażę jej swój dyplom, przyniosę też wszystkie zaświadczenia o różnych kursach...

- Będzie mi pani udzielać lekcji dwa razy w tygodniu?
- E-e... tak - bąknęłam zaskoczona.

Larysa bardzo się ucieszyła.

- Mogłaby pani w sobotę?... Nie, to nieprofesjonalne... A więc spotykamy się w sobotę! - zakończyła ze szczerą sympatią.

Bardzo Dobry Nauczyciel zawsze ma powód do dumy - Jednego Bardzo Zdolnego Ucznia. Moja nowa przyjaciółka to osoba o niezwykłym talencie psychologicznym.

Przed zaśnięciem oglądałam w telewizji *Biurowy romans*. Przypadkiem włączyłam w połowie i już nie mogłam się oderwać. Niewątpliwie w ten film wmontowano specjalny hipnotyzujący program, który przykuwa uwagę znających go na pamięć ludzi i sprawia, że wyglądają jak roztkliwieni idioci, szczególnie kiedy... Nie, chyba przez cały film.

W każdej chwili mogę obejrzeć go na kasecie, ale to zupełnie co innego niż oglądać go w telewizji razem ze wszystkimi.

*17 stycznia, środa*

Rano próbowałam włączyć sekretarkę.

Nie mogę sobie z nią poradzić: piszczy, miga i powtarza sama sobie: „Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu długiego sygnału...”.

Po przestudiowaniu instrukcji pogodziłam się z tym, że sekretarka żyje własnym życiem, i zaczęłam się bać, że zadzwoni Teściowa. Ale przecież nie mogę przestać odbierać telefonów!

Wpół do jedenastej rozległ się dzwonek. Nie chciałam podnosić

słuchawki, ale dobrze, że jednak zwalczyłam strach - dzwoniła Olga, bardzo zadowolona. Jej życie zawodowe pomału zaczyna się układać, kłopoty pieniężne też się kończą - dużo pisze do różnych pism internetowych.

Bardzo się cieszę z życia zawodowego Olgi i z jej sytuacji finansowej, ale w beczce miodu zawsze musi być łyżka dziegciu - podejrzewam, że Wasia Abonament poszedł w odstawkę, a wszak to jeden z niewielu mężczyzn, którego możemy z Olgą poprosić, żeby podniósł, przyniósł, przesunął, i w ogóle jest miły!

- Mam przecucie, że za honoraria z ostatniego miesiąca będę mogła kupić Dimoczce lornetkę. Wyobraź sobie, Dima wysunął nową hipotezę astronomiczną!

- Gdzie wysunął?

- Dimoczka mówi, że kiedy rozsuwa zasłony i patrzy z kanapy w niebo, lepiej przebiega mu proces autoidentyfikacji - odparła Olga i dodała z tryumfem: - No? Czy nie geniusz?

Dotychczas nie miałam pewności, ale o jedenastej zero pięć życie mnie nauczyło, że nigdy nie należy się bać. Jeżeli się czegoś boisz, to coś na pewno nastąpi. Jednym słowem, zadzwoniła Teściowa.

- Muszę wiedzieć! - zachrypiała. - Wybiera się pani za mąż czy nie?

Kompletnie oszołomiona tak burzliwym rozwojem wydarzeń, nie wiedziałam, co odrzec. Przecież takie decyzje ludzie powinni podejmować we dwójkę. Jest bardzo dużo zainteresowanych stron - my z Romanem, Roman z żoną, żona z Teściową. A z naszej strony ja z Murą i Lew Jewgienjewicz z Sawwą; oni też mają prawo mieszkać z tymi, których kochają i którzy nie zamykają przed nimi lodówki.

Teściowa odchrząknęła i podjęła:

- Jak pani myśli? Jeżeli człowieka łączy z kimś miłość, to ten człowiek wierzy, że druga strona go nie zdradzi, prawda?

- To trudne pytanie, muszę się zastanowić...

Zaproponowałam Teściowej, by rozpatrzyła sytuację z innego



punktu widzenia. Młoda kobieta źle żyje z mężem, nie daje mu ani ciepła, ani co tam jeszcze powinno się dawać, a jeżeli on pokocha kogoś innego, bardzo się dziwi i czuje się zdradzona. Pies ogrodnika! Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć!

- A jeżeli człowiek drugiemu człowiekowi... no, tego... wyznał miłość... a został oszukany...

- W dzisiejszych czasach co drugie małżeństwo kończy się rozwodem, więc, jak widać, to się zdarza... niestety - powiedziałam.

- Moja mama mówiła, że rozwodzą się tylko ludzie, których źle wychowano! - zahuczała Teściowa.

- Pani mama mówiła to bez wątpienia bardzo dawno - wyjaśniłam. - To pogląd bardzo patriarchalny - dodałam, ale dało mi to do myślenia: jednak dawniej ludzie byli jacyś czystszy, mniej cyniczni i bliższy właściwego rozumienia więzów rodzinnych... A jeżeli mama Teściowej miała rację? Czy to znaczy, że ja zostałam źle wychowana?

...Nieprzyjemne uczucie, jakby wpisano mi uwagę do dzienniczka. (Najwyższy czas wyżyć się kompleksu grzecznej dziewczynki, prymuski, tatusinej córeczki, którą wszyscy lubią i chwają...). Kiedy zmarł tata i przestałam być tatusiną córeczką, nabrałam odwagi i w porywie niezależności rozwiodłam się z Denisem. I najbardziej dręczyła mnie wtedy myśl, że grzeczne dziewczynki tak nie postępują... A teraz proszę - doświadczenia poprzednich pokoleń potwierdzają, że jestem niegrzeczną dziewczynką...

- Jeżeli jeden człowiek oszukał, drugi też może go zdradzić.

- O nie, tylko nie to! - krzyknęłam.

- A to dlaczego? - oburzyła się Teściowa.

Przedstawiłam jej swój punkt widzenia - uważam, że skok w bok niekiedy może ożywić monotonne życie, ale zdrada na złość partnerowi nie sprawi zdradzającemu żadnej satysfakcji, tylko pogorszy wzajemne stosunki.

- Muszę iść na wykład, do widzenia.

- Do widzenia, jeszcze zadzwonię - odparła Teściowa schrypniętym głosem palaczki.

Chyba zaczynam z nią nawiązywać właściwe partnerskie relacje, oparte na zrozumieniu, obopólnym szacunku i wzajemnym zainteresowaniu problemami drugiej strony.

*18 stycznia, czwartek*

Czwartek to okropny dzień, prawie taki jak sobota (nie każda sobota, ale kiedy budzisz się rano i nie wiesz, gdzie spędzić sobotni wieczór - nie ma nic gorszego, chyba tylko czwartek). W czwartek pierwszy wykład mam o ósmej trzydzieści, a wiadomo przecież, że to prawdziwe bestialstwo.

Niektórym ludziom (mnie i in.) należy zabronić rannego wstawania i siłą przytrzymywać ich pod kołdrą, gdyby chcieli wstać z łóżka przed dziesiątą, a nawet przed wpół do jedenastej. Dlatego o siódmej rano budziłam się z takim strachem i niechęcią, jakbym się miała na nowo narodzić.

Zapomniałam w domu komórki i postanowiłam wrócić (może zadzwonić Roman, a i Teściowa jest ze mną w stałym kontakcie).

Zawracałam na prospekcie Władimirskim. Zgodzić się z krytyką własnych braków jest o wiele łatwiej niż udowodniać swoją słuszność, toteż chybabym nie zaprzeczała, gdyby ktoś stwierdził, że „zawracałam” to za wiele powiedziane i że po prostu jak wielki, wolnobieżny żuk spelzałam z torów tramwajowych, usiłując zmienić kierunek jazdy na przeciwny.

Oczywiście za kierownicą nie jestem najszybszą gazelą Petersburga, ale mam ku temu istotne powody:

1. Mój starszy nie chce jeździć szybko, boi się stracić drzwi i zderzak.
2. Ja sama jeżdżę szybko, ale nie ryzykownie - najwyżej czterdzieści kilometrów na godzinę, bo w przeliczeniu na mile jest to całkiem przyzwoita prędkość.
3. Zawracając, obmyślałam fabułę mojej książki, cała we władzy

natchnienia.

4. Zawracając, myślałam o tym, że Roman nie dzwonił wczoraj i przedwczoraj, i jak to wpływa na moją poranną samoocenę. Otóż źle; samoocena wypadła fatalnie, w głębi duszy zaś kompletnie nie rozumiem mężczyzn - jak można nie zadzwonić, skoro się obiecało, przecież na przykład ja obiecałam przyjść dziś na wykład, no i jadę, dotrzymuję obietnicy. I oczekuję od innych, że też będą dotrzymywać obietnic. Naiwna!

I w tym właśnie momencie, kiedy powiedziałam głośno „Naiwna!” i zaśmiałam się sarkastycznie z siebie samej, nagle poczułam gwałtowny wstrząs i stuknęłam głową w przednią szybę. (Nie wiem, czy coś takiego może się zdarzyć NIE nagle, po prostu tak się mówi: „nagle poczułam wstrząs”).

Z prawej czy lewej strony, o kilka metrów od siebie, ujrzałam dość niepokojącą scenę - z granatowej mazdy powoli wyłaził facet. Wreszcie i mnie się poszczęściło - spotkałam prawdziwego psychopata. Już wcześniej wyobrażałam sobie psychopata dokładnie tak, jak wyglądał mój nowy znajomy - drapieżne oczy, drapieżny nos i drapieżne uszy - a teraz go zobaczyłam.

Postanowiłam podnieść szybę, zablokować drzwi i zamknąć oczy. Nie wiem dokładnie, ile czasu tak przesiedziałam, wreszcie, przypomniawszy sobie o wykładzie, otworzyłam jednak oczy w nadziei, że jakoś mi się upiekło, ale nic z tego. Naokoło roilo się od milicjantów i musiałam wysiąść z auta i zawrzeć znajomość z psychopata, w którego niechcący wjechałam.

- Jest mi pani winna dwa tysiące dolarów - zaszeptał mi do ucha psychopata.

Zagapiłam się na niego i przez to niezbyt uważnie słuchałam milicjantów, którzy zadawali mi pytania niemające tu nic do rzeczy: ile metrów jest ode mnie do czegoś tam, z jaką prędkością jechałam i gdzie jest droga hamowania od torów tramwajowych.

- Tory tramwajowe są o, tu - zdziwiłam się, że sami nie widzą - a gdzie droga hamowania, nie wiem...

- Jechała pani z niedozwoloną szybkością - powiedział wysoki, tęgi milicjant. Miał na pagonach jedną czy dwie gwiazdki i zrozumiałam, że to nie zwykły gliniarz, ale generał drogówki.

- Myślę, że jakieś pięć, może sześć kilometrów - odparłam. - A co, trzeba jeszcze wolniej?

- Proszę podpisać protokół zajścia - polecił generał drogówki po pewnym namyśle i już miałam złożyć podpis, kiedy ktoś z tyłu wyrwał mi długopis i zawarczał w ucho:

- Niech się pani nie waży nic podpisywać!

Obejrzałam się i zamarłam w osłupieniu: to był Nieogolony Przystojniak z sex shopu, czyli ze sklepu wędkarskiego.

- Jestem świadkiem - gniewnie zwrócił się Przystojniak do generała. - Ta pani niczego nie podpisze i domaga się zbadania kierowcy mazdy. A nawiasem mówiąc, ta mazda jest służbowa. Kogo my tam mamy za kierownicą? Szofera czy Samego (nie dosłyszałam, kogo mianowicie, ale chodziło o Bardzo Ważnego Urzędnika z merostwa albo z rządu).

Czyli psychopata, którego stuknęłam, to wcale nie psychopata, tylko jakiś dygnitarz. Szkoda, bo wygląda na kompletnego psychopatę... To dlatego jest tutaj tyle milicji i nawet sam generał drogówki. Ale po co mi badanie i badanie czego? Przecież Bardzo Ważny Urzędnik nie może być pijany o wpół do dziewiątej rano w dzień powszedni! Czy też może?

... A studenci tymczasem już przyszli na wykład i tęsknią za mną, zupełnie samiuteńcy w audytorium...

- Czemu był pan taki ostry? - szepnęłam do Przystojniaka. - To przecież generał.

Nieogolony Przystojniak popatrzył na mnie z politowaniem, jak na zapóźnioną w rozwoju.

- A dlaczego pani stała na środku ulicy? - spytał. - Zasnęła pani?

- Dlaczego zaraz „zasnęła”? Zawracałam - odparłam.

- I nie zauważyła pani, jak on przeleciał po przeciwnym pasie i zajechał pani drogę? - warknął ze złością Przystojniak. - Wydaje się

takiemu, że wszystko mu ujdzie na sucho! Ale nic z tego!

Wyjaśniłam, że byłam po prostu zamyślona, i poprosiłam Nieogolonego Przystojniaka (dziś był ogolony, ale przyzwyczaiłam się już tak go nazywać) oraz generała, żeby mnie puścili na wykład, ale nie zgodzili się i zabrali mnie na specjalny komisariat dla takich jak ja piratów drogowych.

Ruszyliśmy piękną kawalkadą: na czele generał drogowki, potem ja w starym czarnym dżipie, a za mną Nieogolony Przystojniak w nowym czarnym land-roverze.

Po raz pierwszy znalazłam się w komisariacie, bo dotychczas byłam niekarana, i wszystko to wydało mi się bardzo interesujące. Na wszelki wypadek udawałam aktorkę Renatę Litwinowa, przewracałam oczami i mówiłam śpiewnie, z dziecięcą intonacją (bardzo wygodny image):

- Z jaką prędkością? Jechałam? Kto, ja? Nie-e wie-em... A dokąd jechałam?

Mimo że świetnie mi to wyszło, i tak zmuszono mnie do napisania wyjaśnienia.

„Stojąc w miejscu w poruszającym się pojeździe... nie, nie tak... Siedząc w samojezdnym środku transportu...”.

Generał na mnie pokrzykiwał i czułam się zmieszana i bezbronna: tak się zapewne czują wszyscy, którzy złamali prawo.

- Proszę wypełnić rubrykę „Miejsce pracy” i jest pani wolna - powiedział generał.

„Miejsce pracy”, „Stanowisko”... Po chwili zastanowienia wpisałam szybko „Śpiewaczka” i oddaliłam się wraz ze swoim świadkiem.

Paliliśmy na milicyjnym dziedzińcu jak prawdziwi przestępcy. Mój świadek ma na imię Andriej.

- Zabawne imię - skomentowałam uprzejmie. - Miałam w dzieciństwie naguska, którego sprzedawano w niebieskim waciaku z etykietką na plecach: „Lalka Andriusza w palcie”.

Andriej odrzekł, że ja też mam bardzo piękne imię, w dodatku rzadkie.

- Pędzę na wykład, dziękuję panu za wszystko - powiedziałam i nagle sobie przypomniałam: - Oj, a ten... VIP, mówił pan, że jechał służbowym wozem... dlaczego on mnie poprosił o dwa tysiące dolarów... pewnie żartował... albo chciał je przekazać na skarb państwa.

- Ach tak! - Andriej sposepniał. - No to musimy omówić strategię. Nie dopuszczę, żeby temu... (niewyraźnie) wszystko się upiekło. Rzeczywiście mogą panią obciążyć odszkodowaniem na parę tysięcy.

Jęknęłam.

Nie mogę uwierzyć, że drogówka mogłaby mnie potraktować tak niesprawiedliwie!

- Bardzo panu dziękuję za pomoc, jest mi głupio, że traci pan czas...

- Cóż, ktoś przecież musi pani pomóc - zauważył słusznie Andriej. - Zwłaszcza że pani... no, ci przyjaciele, z którymi pani mieszka... Sądząc ze wszystkiego, nie są dla pani oparciem...

Przypomniało mi się, że przecież opowiadałam mu, jak to Lew Jewgienjewicz ukradł mi kanapkę, a Sawwa Ignatjicz włóczy się po śmietnikach, i postanowiłam wyjaśnić sytuację: ,

- Przecież panu mówiłam, że to zwierzęta, prawdziwe zwierzęta!

- No i właśnie o to mi chodzi, że nie można na nich liczyć...

Andriej mimo wszystko był jednak przekonany, że mieszkam z typami z marginesu - złodziejem i włóczęgą. No to nie będę nic więcej tłumaczyć - mężczyzna zawsze lubi się czuć jedynym obrońcą słabej kobiety, która źle urządziła się w życiu.

Miałam wielką ochotę wypić z Andriejem kawę, ale musiałam lecieć. Zaprosiłam go, żeby wpadł wieczorem. (Nie boję się mamy, bo są to kontakty czysto praktyczne, mające na celu utarcie nosa aroganckiej władzy. Można nawet rzec, że polityczne. No a Lew i Sawwa też dobrzy, tak się rozpuścili, że nie mogą nawet świadczyć w sądzie).

Andriej nie odpowiedział, tylko w milczeniu promieniał swą niewiarygodną urodą: duży prosty nos, oczy szare, nieco wysunięty

podbródek, bardzo dobrze ostrzyżone włosy (tak samo jak trzy tygodnie temu), więc szybko nabazgrałam mu adres na paczce papierosów i pobiegłam.

Wieczorem opowiedziałam Murze o stłuczce w nadziei, że mnie pożałuje i sama zrobi kolację: ugotuje pielmieni albo co... Ale czekaj tatka latka! Mura tylko przyjrzała mi się krytycznie i poradziła:

- Teraz powinnaś zacząć bardziej dbać o swój wygląd. Pamiętaj, nie wkładaj więcej tych oldskulowych kraciastych portek, bo cię zgarną na ulicy... Jeszcze jedno zatrzymanie i będziesz notowana.

...Dziwne, a ja myślałam, że te spodnie, czarne w żółtą kratkę, akurat bardzo mnie odmładzają...

*19 stycznia, piątek*

- A przecież ona dla niego... ten... poświęciła całe życie - powiedziała Teściowa. - Prała, sprzątała, gotowała zupę, drugie, deser i kompot...

(Biedna kobieta! Nie jestem osobą krwiożerczą, ale gdyby ktoś mnie związał i kazał zrobić pranie, posprzątać i ugotować obiad z trzech dań, toby dopiero pożałował! W dodatku z kompotem, to już jest znęcanie się! A herbaty to nie łaska? Chociaż może niektóre kobiety lubią najpierw poświęcić życie, a potem wypominać, że mogły zostać kosmonautkami i pogromczyniami lwów, a tymczasem siedzą i gotują kompot?).

- Skoro kompot też, to oczywiście... Pozwoli pani coś sobie doradzić? Proszę jakoś taktownie powiedzieć córce, żeby nie robiła mężowi wymówek. Wytykanie człowiekowi, że zjadł na obiad czyjeś życie, tylko go rozdrażni, bo nikt nie lubi mieć poczucia winy.

- To co, uważa pani, że już nawet nie wolno nic powiedzieć?

- Uważam, że lepiej samemu się zastanowić, co zrobić ze swoim życiem, zamiast obwiniać męża. Jest tyle ciekawych rzeczy na świecie! Ja na przykład od dawna marzę, żeby się nauczyć grać na

saksofonie, ale nie mam czasu...

- Albo jeździć na skuterze... - rzekła w rozmarzeniu Teściowa. - Oczywiście w kasku.

Andriej nie przyszedł i nie zadzwonił, pewnie zgubił paczkę z moim telefonem. Za to zadzwonił Roman. Uważa, że milicja zachowała się skandalicznie, ale cóż można na to poradzić?

*20 stycznia, sobota*

O ósmej wieczorem do salonu niczym nieodwracalny wyrok losu wkroczyła Larysa i z miejsca zaczęła ze mną dyskusję o psychoanalizie. To znaczy o psychoanalizie Larysa nie ma zielonego pojęcia, ale chciała to pojęcie zdobyć, jako że psychoanaliza to bardzo światowy temat, a jej zdarza się uczestniczyć w rozmowach na tematy kulturalne.

Larysa strasznie się zdziwiła, usłyszawszy, że według Freuda najważniejsza jest podświadomość, świadomość zaś to głupstwo, zaledwie maleńka wysepka w rozszalałym oceanie niezbyt sympatycznych instynktów - agresji i libido, czyli pociągu seksualnego.

- No ta-ak, ludzie to są - tylko by się bili albo spali, z kim popadnie - podsumowała z ubolewaniem.

Powiedziałam Larysie, że według Freuda jej psychika dzieli się na trzy wrogie sobie poziomy: ego, superego i id.

- Przykład! — zażądała Larysa.

- No, powiedzmy, że pani id zgłodniało i chce ukraść bułkę w supermarkecie - powiedziałam.

- No i co?

Wy tłumaczyłam, że superego występujące w świadomości Larysy pod postacią milicjanta oraz innych uwarunkowań (sumienie i itede), nie pozwala jej ukraść bułki...

- A ego, gdzie moje ego?! - krzyknęła Larysa, podejrzewając, że oszukuję ją w kwestii ego.



- Ego też jest w akcji - ma wyrzuty sumienia - wyjaśniłam.
- Jakoś nie mam zaufania do tego Freuda - powiedziała z powątpiewaniem Larysa i oznajmiła, że życzy sobie poznać własną nieświadomość. Tak to ujęła.

Musiałam przejść z nią do gabinetu masażu i ułożyć ją na leżance.

- Zaraz pani pozna swoją nieświadomość - obiecałam i nakryłam Larysę prześcieradłem (dla podświadomości nie miało to żadnego znaczenia, po prostu w gabinecie było chłodno).

Larysa ułożyła się wygodnie i zamknęła oczy, ale nagle podparła się na łokciu i poprosiła o swoją torebkę, po czym wyjęła szminkę, puder i zaczęła się malować.

- Chcę być w porządku przed spotkaniem z nieświadomością - wyjaśniła, zlizując z warg nadmiar szminki.

Oto prawdziwa kobieta - nawet do głowy jej nie przyjdzie, że nieświadomości jest wszystko jedno, czy ona ma umalowane usta, czy nie, Larysa po prostu chce się jej spodobać i już.

- Proszę zamknąć oczy, przez pięć minut leżeć spokojnie i myśleć o czymś pięknym, a ja tymczasem zapalę i zjem jabłko - poleciłam.

Larysa oddychała miarowo, oczy miała zamknięte; uznałam, że już czas.

- Zaczynamy - powiedziałam. - Ja wymienię jakieś słowo, a pani szybko poda mi skojarzenie. Uwaga, zaczynamy... Praca.

- Pieniądze! - wykrzyknęła Larysa, nie otwierając oczu.

- Szczęście.

- Salon piękności, drugi salon, potem trzeci... - zamruczała rozmarzona Larysa.

- Mąż - ciągnęłam nieubłaganie.

- Szmata.

- Masz ci los! - zawołałam nieprofesjonalnie.

- To niechcący! - krzyknęła Larysa. - Niechcący!

Uspokoiliłam ją, że to jej nieświadomość nazwała męża szmatą, a

ona sama nie ma z tym nic wspólnego.

- Za co?! - lamentowała Larysa. - Z tego wniosek, że moja nieświadomość wcale go nie kocha...

Obiecałam Larysie, że okiełznam jej nieświadomość. No bo rzeczywiście, mogłaby się zachowywać przyzwoicie i nie obrażać jej męża.

Tak w ogóle to nie bardzo lubię psychoanalizę, chociaż nigdy się do tego nie przyznaję w kręgach zawodowych, bo koledzy przestaliby mnie uważać za porządnego psychologa. Głównym powodem, dla którego nie lubię psychoanalizy, jest to, że psychoanalitycy nie podobają mi się jako mężczyźni. Wszyscy moi znajomi psychoanalitycy są do siebie podobni - przygarbieni, ze smutnym spojrzeniem i gorzko zaciśniętymi ustami. Poza tym wszyscy jak jeden mąż lekko pokastują, jakby stale mieli stan podgorączkowy. Tak że zawsze mówię uprzejmie: „Ach, cóż to za wspaniała rzecz ta wasza psychoanaliza!”, ale w duchu surowo potępiam ich metody - dogrzebują się do podświadomości dorosłego faceta (na przykład dowiadują się, że w dzieciństwie ktoś mu zabrał w piaskownicy łopatkę), a potem dopóty rozdrapują ranę, dopóki facet nie zacznie rozpaczać - łopatka była taka ładna, czerwona, bez tej łopatki nie ma dla mnie życia! Aha, zacierają ręce psychoanalitycy, znaleźliśmy pański słaby punkt, hura! I zaczynają rozwlekle i drogo (dla pacjenta) klarować facetowi, w jak straszny sposób ta łopatka odbiła się na całym jego późniejszym życiu.

Ja jako psycholog staram się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by klienci wychodzili ode mnie nieszczęśliwi. W ogóle po co ludzie mają się czuć nieszczęśliwi, kiedy mogą powiedzieć sobie po prostu: „No i co z tego?”.

„Jestem samotny!” - „No i co z tego? Za to jestem sam sobie panem”; „Moja mama mnie nie kochała!” - „No i co z tego? Za to ja ją kochałem!” - i można od razu zacząć myśleć o czymś przyjemnym. Nie, nie twierdzę, że życie jest zawsze pogodne i łatwe - oczywiście

zdarzają się bardzo poważne problemy, których nie da się zignorować. Na przykład mój problem z nadwagą. Bardzo szybko przybieram na wadze. Od lata przybyło mi dwa kilogramy trzysta dwadzieścia gramów, a marzę o rozmiarze czterdzieści dwa, który nosiłam, gdy miałam dwadzieścia lat - jem i marzę, jem i marzę...

- ...Czy ja rzeczywiście wcale go nie kocham? - denerwowała się Larysa i ja też się zdenerwowałam. Bądź co bądź nie jest dla mnie zwykłą klientką, tylko prawie przyjaciółką.

- Zbadamy to - oznajmiłam autorytatywnie. - Lepsze byłyby oczywiście skojarzenia mąż - miłość czy mąż - seks, ale popracujemy z tym, co mamy.

Byłam już bardzo zmęczona i chciało mi się jeść, więc zmobilizowałam wszystkie swoje umiejętności psychologiczne i bez trudu przekonałam Larysę, że jej podświadomości wcale nie chodziło o to, że mąż jest szmatą w sensie słabości charakteru, ale po prostu nasunęło jej się takie skojarzenie: mąż - rodzina - dom - sprząatanie - szmata.

- To co, do widzenia? - zapytałam z nadzieją.

- Do zobaczenia! - odrzekła groźnym tonem Larysa. - ...Tak... o co to ja chciałam zapytać... Czy naprawdę instynkt seksualny jest najważniejszy? To jakieś takie mało wytworne...

W imieniu Freuda zapewniłam ją, że owszem, mało wytworne, ale nic się na to nie poradzi. Pewnie, że lepiej, gdyby najważniejszy był jakiś inny instynkt, na przykład żądza wiedzy albo umiłowanie piękna...

W domu Mura oznajmiła radośnie:

- Tańcz, dostałaś list!

Byłam bardzo zmęczona, ale strasznie chciałam dostać list, więc musiałam zatańczyć walca (sama, bo Lew Jewgienjewicz skakał obok nie do taktu) oraz tango (z Murą).

Ciekawe, kto mógł do mnie napisać? Otrzymywanie listów zawsze jest bardzo podniecające. Nie mogłam spokojnie otworzyć koperty, z niecierpliwości rozdarłam ją razem z listem. No, więc od kogo to?

Zapraszamy Panią na szydełkowanie 21 stycznia.

Adres: ul. Puszkina 15 m. 8.

Co to ma znaczyć? To skandal, żeby tak wprost, bez żadnych wstępów!... Ciekawe, kto tam mieszka? Na Puszkina 15 m. 8?

Ale Murka powiedziała, że to list nie do mnie, tylko do Lwa Jewgienjewicza. Nadawcą był „Klub Hodowców Psów Rejonu Centralnego m. Sankt Petersburga”.

*22 stycznia, poniedziałek*

Godzina piętnasta, zebranie katedry.

Pracownicy podzielili się na dwie grupy z wyraźnie zaznaczoną granicą - młodzi bliżej wyjścia, starszkwowie i osoby w średnim wieku, ale starej daty - w pierwszych rzędach.

Młodzi siedzieli gotowi do startu, popatrywali na zegarki i dygotali z niecierpliwości tak, że podrygiwały ławki. Wszyscy oni, a szczególnie ja, marzyli o tym, by jak najszybciej się urwać i popędzić zarabiać pieniądze: udzielać konsultacji, prowadzić treningi korporacyjne, uczyć ludzi sprzedawać, negocjować i podnosić własną samoocenę. A ja śpieszyłam się do Domu Książki, jako że dzisiaj płacili pensję.

Starsze panie przyszły odświętnie ubrane, z przygotowanymi wcześniej smętnymi sprawozdaniami o postępach w nauce. Odczytywały te sprawozdania i opowiadały ze szczegółami, jakie dziewczęta i jacy chłopcy studiują w ich grupach.

Następnie przeszliśmy do wręcz alarmującej frekwencji. Szczególnie rzadko uczęszcza na zajęcia Andriusza ze Swierdłowska.

Dziekan powiedziała, że wczoraj dzwoniła do niej mama Andriuszy.

- Posyłamy Andriuszy dwadzieścia tysięcy miesięcznie; jak pani sądzi, czy to mu wystarcza?

- Proszę mu wysłać tysiąc miesięcznie, może wtedy będziemy mieli okazję ujrzeć go na uczelni, bo tak, mając dwadzieścia tysięcy, obraca się w całkiem innych kręgach - odpowiedziała mamie Andriuszy dziekan.

Zdrzemnąłam się kapkę, a przebudziwszy się, stwierdziłam, że kogoś sztorcują. Okazało się, że mnie!

Najpierw się złękłam, a potem nabrałam otuchy, ponieważ sztorcowano nie tylko mnie (nie jestem jakoś szczególnie złośliwa, po prostu zawsze wolę być w towarzystwie).

Krytykowano młodego adiunkta, który przynosi na zajęcia gitarę, śpiewa ze studentami piosenki, tańczy i gra w rozmaite gry, i wszyscy studenci pchają się do jego grupy. Staruszki domagały się, by zabroniono mu tańczyć.

- A pani - zwróciła się do mnie dziekan (skuliłam się, mając nadzieję, że „pani” to nie ja, ale to byłam ja). - A pani, chociaż na razie nie tańczy (choć, prawdę mówiąc, nie wiem, czego mam się po pani spodziewać w najbliższym czasie), ale wyśpiewuje na swoich wykładach nie wiadomo co dla zdobycia taniej popularności.

Wiem, o co chodzi. Wszystko przez to, że ostatnio mój wykład zastąpiono wykładem z historii i połowa studentów związała. To krzywdzące ze strony pani dziekan mówić, że zaskarbiam sobie tanią popularność, opowiadając studentom o prostych i potrzebnych rzeczach, takich jak miłość i tak dalej. I moja popularność wcale nie jest tania, ale całkiem zwyczajna - przecież studenci zapłacili za moje wykłady tyle samo co za pozostałe.

Postanowiłam stanowczo zabrać głos i powiedzieć coś na swoją obronę, ale po namyśle zadecydowałam, że lepiej posiedzę sobie cichutko - tak czy owak zebranie wkrótce się skończy, a ja w dobrym humorze wyruszę do Domu Książki.

W Domu Książki od wielu lat pracuje Inna Igoriewna. Inna Igoriewna to prawdziwa petersburska osobliwość; wie wszystko o życiu literackim Pitra, a życie literackie Pitra też dobrze zna Innę Igoriewnę.

Pochlebiam mi, że sławna Inna Igoriewna uważa mnie za prawdziwą intelektualistkę, toteż jak zwykle posłusznie wzięłam wszystkie książki, które mi poleciła. Ale kiedy się odwróciła, zrećcznie złapałam dwie żółte książeczki Doncowej i ukrywając je za plecami, niczym zając pokicałam przez księgarnię jak najdalej od Inny Igoriewny.

- Niech pani weźmie jeszcze tę, to bardzo wnikliwa analiza współczesnego procesu literackiego. - Inna Igoriewna dogoniła mnie i wręczyła mi dość grubą czarną książkę.

Ale nie straciłam głowy i odczekawszy na odpowiedni moment, wstawiłam „bardzo wnikliwą analizę” z powrotem na półkę.

Potem obie z Doncową schowałyśmy się przed Inną Igoriewną za regałem z literaturą filozoficzną i myślałyśmy, że nas tam nie znajdzie, ale nic z tego.

- A cóż pani tu ma? - zapytała z obrzydzeniem Inna Igoriewna, pogardliwie zaciskając usta i wskazując na żółte tomiki.

- To?... Kupiłam to dla drugiej żony mojego męża, ona mieszka w Niemczech, i właśnie... czyta... - tłumaczyłam się, czule przyciskając do piersi Doncową.

- A... no to w porządku! Dla kogoś takiego można - zezwoliła Inna Igoriewna (czy ci, którzy mieszkają w Niemczech, są opóźnieni w rozwoju?).

A może by tak odrzucić konwenanse, machnąć ręką na to, że jestem osobą kulturalną, i ukazać Innie Igoriewnie moją prawdziwą twarz? Przypuśćmy, że teraz powiem: KOCHAM KRYMINAŁY!

Inna Igoriewna wręczyła mi znajomy czarny wolumin.

- To ta analiza, zapomniała jej pani.

A ja myślałam, że tak zrećcznie się od tej książki uwolniłam... Musiałam ją kupić.

A więc kupiłam dwa kilogramy Doncowej (dla Ałły, nie dla sie-

bie), analizę współczesnego procesu literackiego (dla Inny Igoriewny) i coś tam jeszcze, niewiele, kilku współczesnych autorów zagranicznych (osiem grubych tomików i dwa cienkie).

Wydałam pewną część swojej pensji, mam nadzieję, że mniejszą, ale lepiej nie sprawdzać.

Wieczorem zadzwoniła mama.

- Wzięłaś pensję? Byłaś w Domu Książki? Co kupiłaś? A dasz mi? Dasz od razu dwie? To zaraz przychodzę.

Mama przybiegła po dziesięciu minutach (jak to wygodnie mieszkać blisko siebie) i pożądliwie zaczęła wertować nowe książki.

- Jak myślisz, może najpierw przeczytam TO, a potem TO? - pytała, kolejno tuląc książki do piersi. - Albo może najpierw TO, a potem TAMTO? ...Słuchaj, możesz mi pożyczyć od razu trzy, nie, cztery?

I nagle, z miną osoby całkowicie zdeterminowanej i nietroszczącej się o żadne zasady przyzwoitości, rzuciła:

- A mogę wziąć WSZYSTKIE?

*23 stycznia, wtorek*

Larysa poskarżyła się, że marnie dziś spała. Zrewanżowałam się jej tym samym - w niedzielę spałam do obiadu i jeszcze godzinę po kolacji, a w nocy nie wiem czemu przewracałam się z boku na bok i nie mogłam zasnąć.

Znam pewien bardzo skuteczny naukowy sposób na szybkie zasypianie, toteż z przyjemnością podzieliłam się nim z Larysą.

- Jeżeli nie mogę zasnąć, biorę książkę i czytam do rana. Jak się człowiek tak zaczyta, bezsenność mija, jak ręką odjął, i już akurat czas wstawać...

Larysa powiedziała, że chyba coś mi się pomyliło i jest to sposób na to, by właśnie nie zasnąć.

- Trzeba się uspokoić, żadnych rozmów przed nocą, a tym bar-

dziej żadnego czytania - oznajmiła z przekonaniem, po czym wyraziła niejaki zdziwienie, że chociaż psycholog, jestem taka niepozbita, podczas gdy ona, Larysa, wszędzie ma porządek - i w salonie, i w domu.

Przez kilka lat gromadziłam bieliznę pościelową, nie w sensie kolekcjonowania, chciałam po prostu zbierać większą ilość i zanieść do pralni... i co z tego wynikło?! Zapomniałam ją z pralni odebrać, a tego nie da się już naprawić - działo się to dwa lata temu...

A moje ulubione czarne spodnie, które na zawsze zostały w pralni, a zgubiony dowód... Gdyby Larysa była moim mężem, we wszystkim miałabym porządek.

\*

- Chcę dziś porozmawiać o życiu rodzinnym, na przykład moim - powiedziała Larysa. - Udawajmy, że jestem pani klientką i przyszedłam po poradę.

- Nie wiem, czy pani wie, Laryso, ale bezpłatne porady psychologiczne zazwyczaj nie dają żadnych rezultatów - zasugerowałam.

- Nie szkodzi - machnęła ręką Larysa. - To przecież nie będzie naprawdę, tylko taka niby-zabawa.

- No więc bawmy się - powiedziałam - tylko niezbyt długo (za godzinę spotykam się z Romanem, hura, hura!).

- Powiem szybko! - ucieszyła się Larysa. - Wszystko, ale to wszystko załatwiam sama, i w pracy, i w domu! Mąż odziedziczył po babce mieszkanie i ja sama je sprzedałam, i za te pieniądze sama otworzyłam salon... Teraz jesteśmy z mężem związani na zawsze - no bo co, czy w razie rozwodu mamy sprzedać salon i podzielić pieniądze?! W ten sposób oboje zbiedniejemy o połowę salonu. Dlatego zawsze będziemy razem i umrzemy jednocześnie, tego samego dnia...

- No więc w czym problem, pani Laryso? - Ukradkiem zerknęłam na zegarek.

Larysa popatrzyła na mnie z wyrzutem.



- Nie rozumie pani? To co z pani za psycholog?

Zamilkła urażona, ale widząc, że postukuję ołówkiem w stolik i spoglądam na zegarek, postanowiła nie marnować czasu.

- Powtarza pani za Freudem: instynkt seksualny, jakieś tam libido... Jak się dowiedziałam, że libido jest najważniejsze, wszystko zaczęło mi lecieć z rąk! Zrobiłam błąd w wykazie, a wczoraj całe mleko mi wykipiło... Wie pani, obcemu psychologowi za nic bym się nie przyznała, ale pani u mnie pracuje... no, w każdym razie z tym całym libido nie jest u mnie najlepiej od jakichś trzech lat...

- Analogiczny przypadek miał miejsce u nas w Uriupińsku - powiedziałam, mając na myśli Nikitę Alony (uważam, że Alona niepotrzebnie się zgrywa na taką namiętą, wymagającą kobietę, powinna się czymś zająć, a wtedy jej seksualność znajdzie ujście gdzieś indziej, poza Nikitą, na przykład w pływaniu w krytym basenie albo we florystyce etc).

- Pani jest z Uriupińska? - zdziwiła się Larysa.

- Nie, urodziłam się w Leningradzie. Chodziło mi o to, że moim znajomym i mnie też się to zdarza...

Gdyby to była prawdziwa konsultacja, za nic nie opowiedziałabym Larysie o swoich problemach. Tego robić nie wolno, choć mam wątpliwości, czy to słuszne. Zawsze trochę się krępują lekarzy i nie opowiadam im o wszystkich objawach, ale gdyby lekarz mi powiedział, że dziś też boli go głowa i miał stolec nie za bardzo, przestałabym się wstydzić tego niedostępnego bóstwa - lekarza - i poczułabym się z nim jak równa z równym.

Ale rozmowa z Larysą to nie była płatna konsultacja, tylko zwierzenia dwóch świeżo upieczonych przyjaciółek. Wobec tego oznajmiłam, że mam dla niej jeszcze dziesięć minut i że w ostatnich latach małżeństwa moje libido też było takie sobie, można by nawet powiedzieć, że całkiem do niczego.

Czując, że niezbyt pocieszyłam Larysę swoim przykładem, zaczęłam szybko przypominać sobie wszystko, co zazwyczaj doradza się w takich wypadkach (do końca konsultacji pozostawało sześć

minut).

- Pani Laryso, proszę wziąć notes i zapisać plan działania dla poprawy libido - poleciłam i zaczęłam dyktować:

1. Przed seksem dla stworzenia bliskości emocjonalnej porozmawiać z mężem o czymś przyjemnym.

- Czyli o czym? - spytała Larysa, nie odrywając się od notesu.

- No... niech pani mu opowie o nowym salonie.

Larysa zapisała.

2. Poza tym... co tam jeszcze? Aha, seksowna bielizna.

Larysa popatrzyła na mnie ze zdumieniem i pogardą, i zrozumiałam, że się chyba wygłupiłam. Wątpliwe, by taka kobieta sypiała w starej flanelowej piżamie, z pewnością ma mnóstwo peniuarów - czerwony, czarny, różowy...

- Ja też kiedyś na pewno kupię sobie peniuar z piórami, koronką i strasami! - powiedziałam. - Niech pani to zapisze dla mnie.

Larysa zapisała, wyrwała kartkę z notesu i oddała mnie.

3. Przed seksem przypomnieć sobie swoją ulubioną fantazję erotyczną, której bohaterem koniecznie powinien być mąż, a nie Mel Gibson czy DiCaprio.

- A pani ma takie... fantazje? - spytała Larysa (nie jest klientką, tylko przyjaciółką, a zatem ma prawo do tak osobistych pytań).

Z udręką pokręciłam głową. Rzeczywiście, dlaczego nie mam w zapasie żadnej erotycznej fantazji? Chociaż... akurat wczoraj miałam erotyczny sen. Że idę przez podwórze z reklamówką, a tu podchodzi do mnie Łysy i oznajmia, że Sawwa Ignatjicz jest w ciąży. Czy ten sen oznacza, że mam nieokiełznany podświadomy pociąg do Łysego, czy do Sawwy Ignatjicza? A w reklamówce były ogórki i melon. Ogórek to symbol falliczny. Będę się musiała skonsultować z psychoanalitykiem.

Boże, co by tu jeszcze wymyślić?... Hura, hura! Przypomniałam sobie pewną bardzo prostą radę z książki *Jak być zniewalającą*

4. Musi pani sobie powiedzieć, że pani seksualność jest unikatowa, a następnie całkowicie zapomnieć o sobie i skoncentrować się

na unikatowej seksualności partnera.

- Jakoś nie bardzo rozumiem, jak to ma być. - Larysa podniosła głowę znad notesu i patrzyła na mnie z przejęciem pierwszej uczenicy; no, jeżeli nawet ona nie rozumie, to co dopiero inni!...

- Cóż, to akurat jest bardzo proste - oświadczyłam wymijająco, po czym stanowczo wstałam i wzięłam torebkę. - Koniec zabawy, do widzenia. Muszę lecieć!

- Do zobaczenia! - krzyknęła za mną Larysa.

*24 stycznia, środa*

- Umówmy się tak: pani mi obieca, że nie wyjdzie za mąż za Romana - nalegała basem Teściowa, utrwalając swój sukces, odniesiony w ostatniej rozmowie.

- Kto wie, jak się życie potoczy - odparłam uczciwie - ale pani córka musi koniecznie uporządkować relacje z mężem, bo przyczyną naszego romansu nie jestem ja, tylko właśnie one. Wie pani, co pani powiem? Roman i jego żona mają za mało rytuałów.

- Czego?

Opowiedziałam Teściowej (żeby przekazała żonie Romana), że w życiu rodzinnym bardzo ważne są rytuały: można na przykład śpiewać chórem wieczorami, zapraszać gości z byle okazji, chodzić razem na ryby, grzyby albo w ostateczności spokojnie razem posiedzieć, oddychając unisono. Dlatego że właśnie w takich chwilach następują niedostrzegalne jednoczesne drgania dusz. (U Alony i Nikity też nie zawsze było gładko, ale zbliżyli się bardzo w czasie remontu mieszkania, zwłaszcza przy wybieraniu kafelków do ubikacji i tapet do przedpokoju).

- Jeżeli nie będzie jednoczesnych drgań, to Roman tak czy owak będzie miał rozmaite związki pozamałżeńskie, zagrażające rodzinie i zdrowiu.

- Zdrowiu?! Jak to zdrowiu?! - ożywiła się Teściowa. - Nie wie pani przypadkiem, czy przy użyciu... no tej... oj, wie pani czego, jest

pewność, że się człowiek nie zarazi? Bo grasuje AIDS i w ogóle...

Czyżby Teściowa miała jakieś życie pozamałżeńskie? A z drugiej strony, co w tym dziwnego? Ninon de Lanclos miała kochanków do osiemdziesiątki, a teraz Teściowa, kolejny przykład nieprzemijającej kobiecości!

- Chcę powiedzieć jeszcze jedno... jak pani myśli, co czują dzieci, których rodzice się rozwiedli? - spytała z wyrzutem Teściowa. Rozumiem ją, martwi się o swoją wnuczkę...

Usłyszałam przy drzwiach kroki Mury i szybkoitko pożegnałam się z Teściową. Najbardziej się boję, że Mura w jakiś sposób dowie się o tej całej historii!

- Uwaga, żółw! - rozdarła się od drzwi Murka. W rękę rzeczywiście miała żółwia.

Śmiertelnie się boję tych stawonogów czy jak się tam one nazywają...

- Dostałam w szkole.

A oczy rozbiegane. Mnie nie tak łatwo oszukać - od kiedy to w szkole rozdaje się bezpłatnie zwierzaki? To musi być jakiś przekręt Murki; na pewno wymieniła na żółwia dwie klasówki z matmy albo wymyśliła jeszcze inny numer...

Sawwa Ignatjicz nie zainteresował się żółwiem, a Lew Jewgienjewicz powąchał go i odszedł rozczarowany. Pomyślał pewnie: przynieśli do domu jakieś świństwo - ani to zjeść, ani się z tym pobawić.

W długiej, serdecznej, intymnej rozmowie udało mi się skłonić Murkę, by przyznała, że niezbyt jej zależy na żółwiu, ale że ten żółw ma dość trudne życie i na jakiś czas zamieszka u nas.

Poprosiłam Murkę, żeby ulokowała żółwia we własnym pokoju (swoim, nie żółwia) i starannie zamknęła drzwi. Mam nadzieję, że żółw się nie obrazi i będzie miał dosyć miejsca, żeby biegać i się bawić... Potwornie się boję żółwi!...

Jakoś mi nieswojo - po pierwsze żółw, a po drugie po tych roz-

mowach z Teściową czuję się podłą rozbijaczką rodzin. Ale właściwie czego mam się wstydzić w naszych czasach, kiedy rozwód jest czymś zwykłym? Rozwieść się jest uczciwiej niż podtrzymywać nieudany związek, w którym ludzie nudzą się ze sobą i dawno się nie Kochają. Dzieci też na tym cierpią, bo fałsz i negatywne emocje otaczają je jak mgła. Tkwiał w tej mgle, usiłują wiosłować do brzegu szczęścia, ale jest im ciężko.

Wszyscy się rozwodzą i nikt nikogo nie potępia. A może jednak potępia? Albo te moje myśli to jakiś atawizm w rodzaju kosmatego ogona? Wywodzący się z epoki jaskiniowej, kiedy rodzina była stabilna, a cudzołóżnicę pędzano nago po ulicach?

...Roman ma dziecko, dziewczynkę. Będzie się spotykać ze swoją córką w niedziele, a my z Murką w tym czasie będziemy się zajmować swoimi sprawami. Ale przecież i tak zajmujemy się swoimi sprawami. Ja pracuję, czytam, rozmawiam przez telefon i spotykam się z Romanem, a Mura po prostu sobie żyje.

Znam siebie. Jestem bardzo zazdrosna. Będę myśleć: no tak, on spędza weekend ze swoją córką; idą do kina albo do zoo. I to jest w porządku. Ale co ze mną? Ja też będę chciała spędzać z nim weekendy. Tymczasem on stawia interesy swojej córki wyżej od moich. Co znaczy, że Kocha swoje dziecko bardziej niż mnie. A już na pewno bardziej niż moją Murę, która w tej sytuacji w ogóle jest tylko na przyczepkę. Choć jest przecież jeszcze bardzo mała. Też dziecko.

Najpierw będę cierpieć w milczeniu, potem zacznę się obrażać, ciskać talerzami i rzucać się na podłogę, przewracając oczyma i krzycząc: „A my, my, kim dla Ciebie jesteśmy?!”. W takim razie wolę nie mieć żadnego męża niż takiego, który mnie zostawia samą w każdy weekend!

Lepiej niech przyprowadza swoją córeczkę do nas. Będę ją karmić wszystkim, co lubi: lodami, makowcem z cukierni naprzeciwno. A może spodobać się jej pielmieni Daria? Ale co będzie, jeżeli ona nie lubi mrożonek, tylko domowe jedzenie w rodzaju odsmażanych kartofli z parówkami?

Będę się starała z nią zaprzyjaźnić, będę przypoehlebnie zaglądać jej w oczy, ona zaś będzie sobie myśleć: „I mój tata zostawił dla niej moją mamę...”. A nie jest jeszcze na tyle duża, by zrozumieć, że mężczyźnie bardzo trudno jest dokonać właściwego wyboru od razu i na zawsze, że co drugie małżeństwo kończy się rozwodem, że w życiu różnie bywa i każdy człowiek ma prawo do szczęścia, a dzieci dorosną i będą miały własne życie itepe. I w ogóle zrozumieć wszystko to, co mówimy sobie i innym. Dlatego że ta konkretna dziewczynka jeszcze nie dorosła i wie jedno - że tata i mama powinni być razem. A ja jestem wrogiem mamy i babci. (Nawiasem mówiąc, waleczna kobieta z tej Teściowej Romana, na pewno ma jakieś odznaczenia bojowe).

Może kobiety, których mężowie posiadają dzieci z pierwszego małżeństwa, mają jakieś szczególne właściwości. Ja ich nie mam i kocham tylko moją osobistą Murę i Katkę Żeńki, a pozostałe dzieci też kocham, ale tylko w zasadzie.

Z tego wszystkiego wynika, że to z góry przegrana bitwa. Zwłaszcza że dziewczynka jest w takim wieku, dziewięć lat, kiedy tego rodzaju przeżycia są szczególnie traumatyczne. Ale przecież są traumatyczne i w wieku dwunastu lat, i piętnastu... Najlepiej, gdyby miała około czterdziestki, wówczas mniej by to przeżywała... Ile ja będę mieć lat, kiedy jej stuknie czterdziestka? A co, kobiety nawet w tym wieku wychodzą za mąż. Taka na przykład Teściowa wyraźnie nie ma nic przeciw seksowi, chociaż stara się to przede mną ukryć. Ale mnie nie tak łatwo oszukać - bezpieczny seks zdecydowanie ją podnieca.

Te rozmyślenia tak mnie rozdrażniły, że miałam chęć miotać się po domu i co pięć minut nerwowo palić w toalecie - typowy stres. Ale jeśli się jest psychologiem, to zawsze się wie, jak postępować przy stresie. A więc potrzebuję wysiłku fizycznego. Mogę zrobić pranie, posprzątać, nalepić pierogów. Pierogi z jagodami i śmietaną są pyszne...

- Wybierzmy się na plac Pałacowy pojeździć na rolkach - zaproponowała Mura.

- A śnieg? - zdziwiłam się.

- Dziewczyny mówią, że nic nie przeszkadza, można jeździć.

...Wirowaliśmy z Murą na rolkach wokół kolumny Aleksandra.

Plac Pałacowy był pełen ludzi, dzieci jeździły na rolkach, dorośli po prostu spacerowali. Mura miała czerwone rolki, ja czarne. Mura była w krótkiej białej kurteczce, ja w krótkiej czerwonej kurteczce. Jak to miło, że wszyscy myślą, że jestem jednym z tych dzieciaków, takich młodych i ślicznych.

- Patrzcie, mama na rolkach! - krzyknął, pokazując na mnie palcem, dziesięcioletni chłopiec.

Też coś, „mama”!

Oburzona, potknęłam się i boleśnie stłukłam sobie nogę.

- Mamuś, to głupek, bardzo młodo wyglądasz! - powiedziała Mura; natychmiast wstałam, podniesiona na duchu. - Twoja młodość to zasługa karmy Whiskas.

Kiedy wróciliśmy z Murą do domu, pod naszymi drzwiami stali Łysy (tydzień temu oznajmiłam mu z dumą, że mam teraz dobrą pracę i po wypłacie będę mogła wziąć udział w jego przedsięwzięciach) oraz ogromna bieżnia treningowa. Kiedyś Irka Chomik namówiła mnie, żebyśmy kupiły sobie tę bieżnię do spółki. Ani ona, ani ja nigdy na niej nawet nie stanęłyśmy, za to bardzo pilnujemy, czyja kolej na jej przechowywanie. Kiedy kończy się moja kolej trzymania tej kolubryny, zajmującej pół przedpokoju (Sawwa lubi na niej sypiać), zazwyczaj po prostu stawiam ją pod drzwiami Irki i uciekam. No i teraz ona poszła za moim przykładem...

Postanowiłam spać w pocieszającej piżamie.

LUTY

*1 lutego, czwartek*

O wpół do ósmej rano wydarzył się Nieludzki Horror i Najprawdziwszy Koszmar. Spałam (a cóż innego miałabym robić o tej porze?),

kiedy nagle w uchu zagrała mi *Eine kleine Nachtmusik*. W pierwszej chwili zdawało mi się, że jestem w Filharmonii i już pora na oklaski, ale rozbudziwszy się, zrozumiałam, że to dzwoni komórka. Boże, gdzież ona jest?

Telefon znalazł się pod poduszką. Ciekawe, przed kim go tam schowałam?

Ledwie się wyrwałam z objęć Morfeusza, z takim trudem znalazłam telefon - i po co to wszystko?!

- Jestem żoną Romana. - Byłam jeszcze nie do końca rozbudzona, ale od razu pojęłam, że dzieje się coś strasznego. - Wiem, że jest pani jego kochanką. Spotkajmy się dziś o osiemnastej, dobrze? Tylko gdzie?

- W „Café Sol” - odparłam odruchowo i w tej samej chwili krzyknęłam: - Nie, nie w „Café Sol”, nie w „Café Sol”, w ogóle nigdzie! (Prowadząc ważne negocjacje, należy się odprężyć, policzyć do dziesięciu, głęboko pooddychać, wszechstronnie przemyśleć sytuację i własną odpowiedź).

Ale ona już się rozłączyła... Po co ja się z nią umówiłam, po co, po co?!...

„Café Sol” wymieniłam machinalnie, ponieważ „Café Sol” (bardzo demokratyczna, bezpretensjonalna kawiarenka) mieści się w budynku przylegającym do mojego domu i całkowicie odmieniła moje życie.

Jeśli człowiek mieszka na rogu Newskiego i Włodzimirskiego, to po kilka razy dziennie ktoś do niego dzwoni i mówi: „Jestem na Newskim, wpadnę do ciebie na kawę”. Celują w tym zwłaszcza Anka, Maszka, Tatiana, Katka i Natasza - wpadną na minutkę na kawę i ani się obejrzą, a już zjadły z tobą i obiad, i kolację, i zamierzają razem z tobą iść spać. Teraz spotykam się z nimi w „Café Sol”, co jest bardzo wygodne, bo zawsze mogę taktownie wyjść, nikogo nie urażając, i nikt nie utknie u mnie w domu na cały dzień.

Domyślałam się, co się stało. Teściowa nie wytrzymała i opowie-



działa o wszystkim żonie Romana. A mnie się zdawało, że zafascynowała ją psychologia, że ona i ja wszystko już między sobą ustaliliśmy - ja nie wychodzę za Romana, a ona, idąc za moją radą, stara się uatrakcyjnić życie rodzinne zięcia. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego ludzie są tak niedobrzy dla mnie i tak niepodatni na fachowe wskazówki?

Jestem zaszczytnym jelonkiem (omal się nie rozplakałam, kiedy to do mnie dotarło). Wszyscy mnie prześladowają - chłopiec na placu Pałacowym, dziekanica, żona Romana. Okropnie mi siebie żal - biednego, Bardzo Samotnego Jelonka... Teraz, kiedy los pochwycił mnie w potrzask nieprzyjemności, pozostaje mi tylko leżeć pod kołdrą i mieć nadzieję, że kiedyś i dla mnie nadejdą lepsze czasy.

...A może nie warto się martwić? Trzeba przyznać, że w moim życiu jest też dużo dobrego - wielu wiernych przyjaciół (mama, Mura, Żeńka, Alona, Olga, Irka Chomik, Larysa)... i bardzo wielu studentów. Dla nich wcale nie jestem „kochanką Romana”, tylko szanowanym doktorem psychologii.

Myślałam, że nie zmruję oka na mokrej od łez poduszce, ale zasnęłam i spałam do dziesiątej - ze zmartwienia i dlatego, że dziś idę dopiero na dwunastą.

Po obudzeniu natychmiast poradziłam się dziewczyn, czy powiadomić Romana o wyznaczonej na osiemnastą przykrości.

Żeńka powiedziała, że mam śmiało spoglądać w twarz przykrościom i w żadnym wypadku nie iść na spotkanie z żoną.

Alona zaproponowała, że pożyczę mi torebkę od Gucciego, żebym się pewniej czuła, i że ona sama na wszelki wypadek usiądzie przy sąsiednim stoliku.

Olga powiedziała, że się śpieszy do Lenfilmu na wywiad z pewną młodą aktorką, która gra w *Gliniarzach*, i jej się poradzi - aktorka powinna wiedzieć, jak postępować w sytuacjach kryminalnych.

No i nadal nie wiem, czy dzwonić do Romana. Jako psycholog myślę, że lepiej go nie niepokoić, tylko sprawdzić samej, jaka jest

jego żona, jak wygląda i jak się ubiera.

Na stole kuchennym leżał liścik: „Nakarm żółwia”. Czym się karmi żółwie? Z zamkniętymi oczami wrzuciłam do pokoju żółwia niewielką kanapkę z żółtym serem i kiełbasą, i nagle zrobiło mi się strasznie gorzko - dlaczego wieszcznie daję się wszystkim prowadzić na pasku? Zgodziłam się na randkę z żoną Romana, przygarnęłam żółwia...

Twardo postanowiłam oddać żółwia do sklepu zoologicznego.

Nie mogłam się doczekać jedenastej. Dlaczego takie placówki nie mogą być otwarte od dziesiątej albo zgoła od ósmej? Za minutę jedenasta przystąpiłam do obdzwaniania sklepów zoologicznych, błagając, by wzięto żółwia na przechowanie za rozsądną cenę.

Wszędzie słyszałam jednakową odpowiedź:

- Nie przyjmujemy od ludności żółwi bez dokumentów.

Uświadomiłam sobie, że tak, rzeczywiście, żółw nie ma żadnych dokumentów, a ludność z żółwiem bez dokumentów to ja. Nawiasem mówiąc, sama też nie mam dowodu. Oboje z żółwiem jesteśmy biednymi wyrzutkami, pozbawionymi praw obywatelskich.

- Proszę, weźcie go państwo - skamlałam. - My mamy już Lwa Jewgienjewicza, Sawwę Ignatjicza (że niby spełniamy swój obowiązek wobec świata zwierzęcego)... Dziecko przyniosło go do domu, małe dziecko... - Dla większej wiarygodności siąknęłam nosem.

- Ile lat ma pani dziecko?

- E-e... piętnaście... Ale ona jest jeszcze bardzo dziecinna...

- Niech pani spróbuje sprzedać żółwia pod jakimś bazarkiem. Tylko niech go pani nie oddaje za darmo, bo nie wiadomo, do kogo trafi - powiedziała sprzedawczyni. Jaka pocziwa, w innych sklepach w ogóle niczego mi nie doradzano...

- Świetnie rozumiem, że nie można za darmo oddawać zwierzaka pierwszemu lepszemu na ulicy - mało to się kręci wszędzie żółwich maniaków...

Wyobraziłam sobie, jak stoję pod bazarkiem z żółwiem w rękę i

zaglądając w oczy przechodniom, mamrocze: „Pan kupi zółwia, niedrogo... oddam w dobre ręce...”.

Ciekawe, czy to dziewczynka, czy chłopiec?

Postanowiłam sprawę zółwia na razie odłożyć i zaczęłam się bardzo starannie ubierać na spotkanie z żoną Romana - Alona powiedziała, że wiele od tego zależy. Nie rozumiem, co mianowicie. Przypuścimy, że się spodobam żonie, i co?...

Nazwę zółwia Gantenbein.

Dzisiejszy dzień przejdzie do historii jako Potworne, Krew w Żyłach Mrozące Wydarzenie. Kiedyś, po wielu latach, w jakiś zimowy wieczór powiem do swoich przyjaciół: „A pamiętacie Potworne, Krew w Żyłach Mrozące Wydarzenie?”, a oni bez chwili namysłu ze smutkiem kiwną głowami.

W „Café Sol” zamówiłam największe czekoladowe ciastko, jakie było w gablocie, i kielich szampana, żeby się poczuć niezależną i leciutko sobie zamącić percepcję. Czekolada i szampan to mieszanka piorunująca, pod której wpływem młode niewinne dziewczęta natchmiasz przeobrażają się w młode niewinne ofiary, ponieważ czekolada podnieca, a szampan odbiera zdrowy rozsądek. Ale ja nie jestem wszak głupią nastolatką!

Usiadłam przy swoim ulubionym stoliku pod oknem, twarzą do drzwi, i zaczęłam palić jednego papierosa po drugim. Siadanie twarzą do drzwi to spuścizna po naszych przodkach: oni zawsze siadali w traktierni czy szynku twarzą do wejścia, żeby mieć wszystko pod kontrolą, nie przegapić wroga i w porę uciec.

Szampan szybko uderzył mi do głowy i przestałam się tak bardzo bać.

- O, to pani, dzień dobry!

Larysa! Co to za szczęście, tkwiąc w tym nieprzyjaznym otoczeniu i w pantoflach na obcasie (włożyłam je za poradą podłej Alony, żeby

spodobać się żonie), ujrzeć znajomą osobę, pozytywnie do mnie nastawioną. Larysa uśmiechnęła się i natychmiast się odprężyłam - przyjaciele wszak istnieją właśnie po to, by nas podtrzymywać na duchu i obdarzać ciepłem.

- Muszę pani podziękować! - powiedziała dziarskim głosem Larysa. - Całkowicie zmieniła pani moje podejście do życia.

Otóż, zapamiętawszy z naszej rozmowy, że w życiu mężczyzny najważniejsze jest libido, Larysa postanowiła zrewidować swoje życie oraz telefon komórkowy męża i w ten sposób namierzyła jego kochankę, i zaraz jej pokaże...

- Co? Co jej pani pokaże? - spytałam zaciekawiona. Może żona Romana pokaże mi to samo?

- Nieważne, ale w każdym razie dziękuję pani za wszystko!

Skromnie spuściłam oczy. W takich chwilach człowiek czuje, że nie żył na próżno.

- A ja czekam na żonę mojego... przyjaciela - oznajmiłam i dodałam dla uściślenia: - Kochanka.

Gdyby nie strach i szampan, za nic nie przyznałabym się Larysie, że siedzę w tej kawiarni z tak nieeleganckiego powodu.

- Żona mojego kochanka chce mnie poznać. Trochę się boję...

Larysa zmieniła się na twarzy.

- Ależ niech się pani mną tak nie przejmuje - uspokoiłam ją. - Jestem przecież psychologiem, zawsze mogę ją przekonać, żeby się nie awanturowała publicznie...

To miło, kiedy twoi przyjaciele się o ciebie troszczą, zwłaszcza nowi przyjaciele. W naszym wieku rzadko nawiązuje się nowe przyjaźnie...

Mój tata miał świetne wyrażonko na określenie stopnia koleżeńskiej zażyłości: „Jesteśmy na «ty» i na «taka twoja mać»”. To wyjątkowo trafne - bliskim przyjaciółom można powiedzieć wszystko, co się czuje, a po prostu przyjaciółom nie zawsze.

Na naszym wydziale jest pewna docent, z którą już z pięć lat

chodzimy na papierosa i zwieramy się sobie z różnych „życiowych” spraw. Ona opowiada, że nie wie, jak ma postępować z synem, że syn akurat teraz bardzo potrzebuje ojca, a ojca nie ma, no i co począć? Ale docent za nic się nie przyzna, że ona też akurat bardzo potrzebuje mężczyzny, i ja jej też tego nie powiem... No i tak od pięciu lat dzielimy się różnymi problemami egzystencjalnymi (mówimy o sensie życia, o strachu przed śmiercią, o tym, skąd się wzięliśmy na tym świecie, i tak dalej), a przy tym zwracamy się do siebie per „pani”. A wszystko to oznacza, że w sensie przerośniętym jesteśmy na „ty”, ale w żadnym razie nie na „taka twoja mać”. To smutny rodzaj kontaktów, bo człowiek czuje się straszliwie dorosły. A z Larysą jest zupełnie inaczej, odbieram ją jako nową bliską przyjaciółkę.

- Pani... Pani... - jąkała się Larysa.

Głupio mi, że tak się mną przejmuję!

- Niechże się pani uspokoi, może ona wcale nie przyjdzie. Nie zanosz się na to, żebyśmy, ja i jego żona, miały się zaprzyjaźnić, a wobec tego po co mamy się spotykać, prawda?

- Mój mąż Roman jest pani kochankiem? - zapytała Larysa.

O Boże, takie rzeczy zdarzają się tylko w brazylijskich serialach, a ja przecież znajduję się w Pitrze!

Nasza dalsza rozmowa rzeczywiście brzmiała jak dialog z brazylijskiego serialu:

- Kto?

- Roman.

- Roman to pani mąż?

- Roman to mój mąż.

- To niemożliwe.

- Tak.

I znowu:

- Roman jest pani kochankiem?

- Roman?

- Tak.

- Kto, Roman?

Larysa opamiętała się szybciej niż ja i zdecydowanie postawiła kropkę nad „i”:

- Mój mąż i pani kochanek to jeden i ten sam Roman - powiedziała tak, jakby pytała: „Z kim współpracujesz?”.

Przez sekundę miałam wrażenie, że świeci mi lampą w twarz.

Kiedy ktoś inny wymawia słowo „kochanek”, wydaje się ono jakieś nieprzyzwoite - przychodzi ci do głowy chowanie się w szafie, uciekanie przez balkon i inne brudy, niemające nic wspólnego z twoją niezwykłą miłością, wyjątkową, nie taką jak u wszystkich.

Nie odrywając ode mnie nieruchomego spojrzenia, Larysa naciśnęła kilka klawiszy swojego telefonu i czyjaś komórka zagrała *Eine kleine Nachtmusik*. Okazało się, że moja.

- No! - powiedziała Larysa przy stoliku i w telefonie. - I co? Proszę mi patrzeć w oczy.

Odrzekłam, że teraz jest zupełnie jasne, że to jakieś nieporozumienie:

- Mój przyjaciel Roman nie może być jednocześnie pani mężem Romanem, bo żona Romana jest okropnie mrukliwa; aż strach powiedzieć, ale potrafi się nie odzywać po parę dni.

- A jak inaczej mam ich wychowywać i karać? - odparła z oburzeniem Larysa.

W krytycznych momentach życia ludzie mobilizują siły, wykazują niesamowity refleks i przywołują na pomoc wszystkie rezerwy organizmu: tak, pewna kobieta nawet uniosła autobus, który przegniótł jej dziecko, i uratowała je!

Ja też wykazałam niesamowity refleks i wpadłam w stupor, toteż nie bardzo pamiętam, co było dalej.

- A-a... Czyja... czy my... czy Teściowa... muszę iść spać. Tylko skończę ciastko i spać. Wkrótce zobaczymy się w salonie, wszystkiego dobrego...

Wyjście znalazłam szybko, ale nie od pierwszego razu, najpierw

nadziałam się na drzwi toalety, a potem trafiłam do kuchni.

Ciekawe, czy pozostaniemy z Larysą przyjaciółkami? Myślę, że tak. Żeńka i ja miałyśmy kiedyś wspólnego mężczyznę - mojego męża Denisa. Przespali się ze sobą, przypadkiem czy umyślnie - nie wnikałam w to. Nie, najpierw powiedziałam Żeńce: wynocha z mojego życia, ale potem się rozmyślałam - jak to „wynocha”, no nie, nie jestem taka głupia, żeby na zawsze utracić przyjaciółkę z przedszkola, i powiedziałam: zaczekaj, na razie nigdzie się nie wynoś.

Może i z Larysą tak będzie? Ale nawet jeśli nie pozostaniemy w przyjaźni, nie mam prawa się za to na nią obrażać, bądź co bądź, Larysa nie jest moją starą przyjaciółką, tylko nową.

Nie mogłam się dostać do domu przez całe dwadzieścia minut - konsjerżka, protegowana Łysego, w chustach okręconych na wierzchu przedrewolucyjnych portek treningowych, opowiadała mi, jak się świetnie bawiła, pływając dwadzieścia lat temu jako bufetowa na statku - to zupełnie co innego niż siedzenie w holu, gdzie w zasadzie nie ma nic do roboty. W związku z tym, gdybym się nudziła, ona zawsze może do mnie wpaść na pogawędkę.

Uderzyłam się boleśnie o bieżnię w przedpokoju. Od poniedziałku zacznę biegać. Czuję się kiepsko, ale może poćwiczę, chociaż głupio zaczynać trening, kiedy człowiek jest niezdrow. Mogę zacząć ćwiczyć w każdej chwili, nie muszę przecież nigdzie chodzić, bieżnia zawsze czeka na mnie w przedpokoju.

Nie mogę tu zapisać, co powiedziała Żeńka o tym, że ja zawsze pakuję się w jakieś historie i że teraz żona Romana okazała się moją przyjaciółką Larysą, chociaż kto by przypuszczał!... Nie mogę, bo jestem zdecydowaną przeciwniczką leksyki nienormatywnej w formie pisemnej i tylko kulturalnie wykorzystuję to i owo ustnie - kiedy niespodzianie spada mi na nogę stacjonarna bieżnia albo kiedy Żeńka, Alona, Olga i jeszcze parę bliskich mi osób za bardzo się rozbustwiają i trzeba je ostro przywołać do porządku. Ale nigdy na piśmie!

Opowiedziałam Żeńce o wesolutkiej konsjerżce-bufetowej. Żeńka chichotała ohydnie i nazwała mnie nową Rosjanką. Mówi, że mam wszystkie objawy - dżipa, parking, konsjerżkę. Musiałam ostro przywołać ją do porządku.

*2 lutego, piątek,  
krótki, bardzo smutny dzień*

Nie mogłam się doczekać wieczoru - o siedemnastej miałam konsultację w salonie piękności, a zaraz potem zajęcia z Larysą.

Krótki plan dzisiejszych zajęć:

1. Wyjdziemy z założenia, że nasza przyjaźń nie ucierpiała.
2. W życiu wszystko się może zdarzyć, no i właśnie nam się przytrafił tak kuriozalny wypadek.
3. Nie chcę rozbijać jej wspaniałej rodziny.
4. Wręcz przeciwnie, jestem gotowa przeprowadzić psychologiczną korekcję ich wzajemnych stosunków, w tym także w kwestii libido.
5. Chociaż to dla mnie bardzo bolesne, bo ja też go kocham, nie tylko ona.
6. Ale ona pokochała go pierwsza, więc trudna rada...

...Nie mogę uwierzyć, że wypędzono mnie z salonu jak psa. (Dlaczego jak psa? Wypędzanie psów jest jeszcze gorsze niż wypędzanie ludzi. To po prostu takie wyrażenie).

Jak zwykle skierowałam się do swojego gabinetu, ale nie wiedzieć czemu był zamknięty. Poprosiłam kierowniczkę o klucz, ale ta, odwracając oczy, powiedziała przeproszającym tonem:

- Nie wiem, co zaszło, ale... tu są pani rzeczy... - I wręczyła mi nad ladą reklamówkę.

Zmieszana zajrzałam do środka. Były tam: zielona lampa, dwie filiżanki, dwie łyżeczki, cukiernica - do podejmowania klientek herbatą, chusteczki jednorazowe - do ocierania łez klientek i moich,



zapas czekoladek gryłażowych (dwie) dla mnie. A gdzie moje ulubione czarne pantofelki z klamerkami, które wkładałam w gabinecie?

- A co, przenoszą mnie do innego pokoju? Do którego?

Proszę pamiętać - potrzebuję dwóch jednakowych wygodnych foteli i stolika - powiedziałam beztrzesko, starając się nie okazywać, jaką przykreść sprawiają mi takie przenosiny bez mojej wiedzy. [Zastosowałam jedną z najtrudniejszych psychologicznych technik: jeśli nas obrażono, nie powinniśmy się nadymać jak sowy (dlaczego jak sowy, czy to też tylko takie wyrażenie?), ale starać się prowadzić czysto merytoryczne negocjacje. Na przykład:

Obrażająca: - Przepraszam, nie poznałam, przytyła pani o jakieś dziesięć kilo!

Nasza odpowiedź, poufnym tonem: - Wie pani, mój mąż jest strasznie zadowolony, że może spokojnie na mnie polegać!].

Kierowniczka była czerwona, bełkotała coś niewyraźnie i w końcu zrozumiałam, że chcą mnie upchnąć w komórce za gabinetem masażu. Okazało się jednak, że to nie tak, w ogóle nie tak - po prostu mnie wyrzucili! Wyrzucili z pracy! I zgubili moje ulubione czarne pantofle z klamerkami!

Kiedy człowiek jest zszokowany i znajduje się nagle w rozpaczliwej sytuacji, bez pracy i bez pieniędzy (pensji na uczelni nie można uważać za pieniądze, tylko za coś w rodzaju stypendium, kiedy rodzice żywią cię i ubierają, a stypendium czyni cię niezależnym i pozwala chodzić do kina), otóż taki człowiek zawsze zaczyna myśleć o najważniejszych problemach dnia codziennego, jakie go czekają w nowej sytuacji. Tak więc i ja, wlokąc się do domu z reklamówką z filiżankami, rozmyślałam, że muszę pilnie szukać jakiegoś zarobku, bo trzeba przecież płacić pomocy domowej. Po prostu nie jestem w stanie postąpić z Iriną Andriejewną tak okrutnie... Niezbyt uważnie słuchałam opowieści o jej życiu, ale zapamiętałam dobrze, że biedaczka nie ma żadnych innych dochodów prócz wynagrodzenia za prowadzenie nam domu. Będziemy musiały z Murą ograniczyć

wydatki na żywność i odzież.

...Jeszcze nigdy nikąd mnie nie wyrzucono... nie, raz tak - z lekcji fizyki, za to, że w czasie wykładu o zasadach działania świdra malowałam Iree paznokcie. Lakier był bardzo ładny, różowy...

Jest mi tak strasznie wstyd, wstyd, wstyd! Czuję się jak bezdomny kot. (Chociaż kotów też nie wolno wypędzać, nie tylko psów).

Na podwórzu spotkałam Łysego. Musiałam dotrzymać obietnicy, złożonej tydzień temu, kiedy liczyłam na spory zarobek, i zapłacić:

1. Za uniform dla konsjerżki - kaszkiet i biały koronkowy fartuszek.
2. Za parkowanie staruszka.
3. Za inne wydatki socjalne Łysego; zdaje się, że chce kupić konsjerżce malutki telewizor.

To były moje ostatnie pieniądze... Boże, co teraz będzie? (To znaczy z Iriną Andriejewną).

Przyszłam do domu i już miałam zacząć płakać i szukać pracy, kiedy się okazało, że teraz to nie dom, ale teren działań bojowych, a komunikat jest następujący:

1. Zadzwoił Roman.

Roman mnie kocha, tak właśnie powiedział: „Kocham cię”. Och! Te słowa zawsze wywołują w żołądku takie przyjemne łaskotanie...

2. Zadzwoiła Alona.

- Wszystko dobrze się składa, po prostu świetnie. Wiesz przecież, że takie długogrające związki z żonatymi mężczyznami to prosta droga do samotnej starości. A teraz Roman będzie musiał wybierać - powiedziała - i ja osobiście nie mam wątpliwości, kogo wybierze, ciebie czy tę swoją żonę.

Ojoj, czyżby naprawdę mnie?! Może Alona jest wobec mnie stronicza? A może nie?

3. Zadzwoił Roman.

- Dzwoniłem do domu. Żona mówi, że córka nosi w kieszeni moje zdjęcie, popatruje na nie i mówi: „Tata mnie jeszcze nie wy-

chował, a już chce porzucić”.

4. Zadzwoiła Żeńka.

Powiedziałam: „Jaka to poważna dziewczynka i co za dojrzałe myśli i wyrażenia”.

- Co jej matka wetknęła do kieszeni, to nosi - odparła Żeńka. - Albo żona w ogóle łże - dodała cynicznie.

Jakaż ta Żeńka jest jednak przyziemna. A jeżeli dziewczynka naprawdę cierpi, ja zaś w żaden sposób nie mogę jej pomóc...

Żeńka nic nie rozumie, rozwiodła się z ojcem Katki, kiedy mała miała pół roku, i teraz nudzi: „KatkaZadzwońDoTaty, KatkaZadzwońDoTaty...”. Po prostu po to, żeby Katka miała ojca.

Wieczorem przyszedł Roman, siedzieliśmy w kuchni i omawialiśmy sytuację. Roman relacjonował, co kto komu powiedział.

Żona (wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że żona i moja przyjaciółka Larysa to jedna i ta sama osoba!) powiedziała:

- Połowę salonu i dziecko zobaczysz jak własne uszy!

Mama Romana powiedziała:

- To głupio zamieniać własne dziecko na cudze (cudze to Mura).

Przyjaciół Romana powiedział:

- Chociaż twoja żona ma trudny charakter, to może się okazać, że twoja nowa (nowa to ja) ma jeszcze gorszy.

Teściowa powiedziała:

- Będę ci cię śnić co noc i wszystko wypominać. (Ciekawe, czy ona naprawdę potrafi zjawiać się w cudzych snach? Mam nadzieję, że mnie nie zamierza nawiedzać).

Tak długo omawialiśmy sytuację, że kompletnie przestałam rozumieć, jak to wszystko się stało - jak gdybym, niczym Alicja w krainie czarów, napiła się z niewłaściwej butelki, przestała być sobą i zatoneła w szarej, mętnej kaszy.

Mura się obraziła, że Roman i ja, zamiast się z nią kumplować, zamknęliśmy się w kuchni i w upojeniu omawiamy stan rzeczy w jego rodzinie. Odmówiła zjedzenia pielmieni Daria, wywołała mnie do

przedpokoju i zaczęła szeptać gniewnie:

- Ja chcę, żebyś była szczęśliwa, a ty masz teraz minę jak nasza wychowawczyni - jakby przedwczoraj wypila butelkę octu.
- Dlaczego przedwczoraj?
- Bo już się zdążyła przenieść na tamten świat.

Sama jestem temu winna - Mura jest strasznie rozpieszczona i od niemowlęstwa uważa, że moi goście są jej gośćmi. Nigdy nie interesowała się zabawkami, wołała cicho stać w pobliżu gości jak jakiś cień, a nie dziecko. Szybko o niej zapominaliśmy, a zresztą nie było sensu jej wyrzucać, bo i tak zawsze mogła podsłuchać...

Roman prosto z mojej kuchni zadzwonił do żony (nie wierzę, że to jest Larysa, a nie zły sen!), w milczeniu wysłuchał, co miała mu do powiedzenia, zdenerwował się i wybiegł z mieszkania ze straszną twarzą. Pobiegłam za nim, żeby zobaczyć, jak mogłabym mu pomóc, a kiedy wróciłam, okazało się, że Mura ze mną nie rozmawia. Kilka minut później powiedziała:

- Proszę bardzo, lataj za nim po ulicy, może uda ci się go złapać i otrzeć mu łzy!
- Jesteś taka sama jak twój ojciec, nie rozumiesz subtelnych porywów duszy! (Nigdy nie wolno mówić źle o drugim z rodziców, poza sytuacjami, kiedy wysiadają nam nerwy, a mnie akurat wysiadły).

Wychowałam Murę na osobę nieczułą! Ale może ona po prostu nie dość dobrze zna Romana i dlatego nie potrafi się wczuć w jego problemy.

Już zupełnie nic nie rozumiem, a Żeńka - Żeńka rozmawiała ze mną bardzo uszczypliwie. Powiedziała, że Roman wychodzi jej bokiem. Że po jaką cholereę przekazuje mi te jakieś p... Że wszystko zwała na mnie. Powiedziała, że jestem idiotką. Nie mogę się z tym zgodzić. Za co ona tak nie lubi Romana? Przecież nigdy go nie widziała. Aa, wiem. To po prostu zazdrość. Co innego ona i ja, obie bez mężów i serdeczne przyjaciółki, a co innego, jeżeli ja jestem

zakochana i Roman jest mi prawie tak bliski jak ona.

Na koniec rozmowy Żeńka powiedziała o Romanie (aż przykro mi to pisać) „ten zapłakany złamas”. Jestem pewna, że Mura jej się poskarżyła.

Przez głupią Żeńkę spałam w pocieszającej piżamie.

*3 lutego, sobota*

Dziś jest dzień najbardziej gorzki w moim życiu, to znaczy nie w ogóle, ale w życiu miłosnym.

Przed pierwszym wykładem spotkałam się z Romanem w Ogrodzie Letnim. Roman był bardzo czuły i zamyślony.

Powiedziałam, że strasznie mi go żal.

- Proponujesz, żebyśmy się rozstali? - zapytał Roman z dziwną gotowością. - Na jakiś czas, dopóki się wszystko nie ułoży...

Bardzo się zdziwiłam, ponieważ spodziewałam się czegoś wręcz przeciwnego - że on powie: chcę na zawsze być z tobą (i Alona była tego pewna, i Olga, i wszyscy).

- Nie, ja... - Chciałam mu wyjaśnić, co to jest dojrzała miłość i świadomy wybór, i że zdołamy przezwyciężyć wszystkie problemy z dziećmi - obojgu nam wystarczy uczucia, by kochać i jego córeczkę, i Murkę - ale za dziesięć minut musiałam zacząć wykład.

Roman odprowadził mnie do bramy uczelni.

- No, to ja idę, dobra? Na jakiś czas, rozstajemy się tylko na jakiś czas...

W głowie mi się nie mieściło, że tak po prostu wziął i odszedł, bez żadnych pożegnalnych pocałunków, łez i zakłęb.

Zostałam porzucona?... Chyba zostałam porzucona...

Gdyby akurat dziś nie pojawiły się wiadomości o nowym zwrocie w procesie aresztowanego oligarchy, byłoby mi nieznośnie smutno, a tak, dzięki problemom polityczno-społecznym, oderwałam się trochę

od własnego dramatu. Niektórzy koledzy z wydziału byli w bardzo wojowniczych nastrojach, wymachiwali rękami i mówili różne straszne rzeczy typu „dyktatura peterskich czekistów”, „powrót trzydziestego siódmego roku”.

Czułam się jedyną obrończynią prezydenta w obozie wroga. Bądź co bądź, chodziłam z nim do jednej szkoły, a to zobowiązuje.

Tłumaczyłam się, przypochlebnie uśmiechałam, jak w sytuacji, kiedy twój bliski krewny zrobił coś, co się nikomu nie podoba, a ty masz mieszane uczucia, z jednej strony niby podzielasz tę opinię, a z drugiej - to przecież krewniak, i jeśli ty sam publicznie go potępisz, to co będzie?! Poza tym od czasu do czasu przez głowę przemykały mi myśli w rodzaju „wujek jest starszy, wujek wie lepiej”. Może odzywa się we mnie dziedzictwo pańszczyzny - przekonanie, że prezydent naprawdę wie lepiej i zawsze ma rację!

Wszystko to jest nieprzyjemne i niepokojące.

W czasie tej dyskusji zadzwoniła mama; chciałam jej powiedzieć, co moi koledzy myślą o Putinie, i nagle powstrzymała mnie jakaś niewyraźna wewnętrzna cenzura - a może przez telefon NIE WOLNO?

A może o Putinie mówić źle NIE WOLNO? A może o Putinie w ogóle mówić NIE WOLNO?

Ułożyłam w myślach list do prezydenta.

„Drogi kolego Putin! Chodziliśmy do tej samej szkoły, tańczyliśmy na wieczorkach w tej samej sali, stawiali nam dwóje ci sami nauczyciele! A teraz czuję się jakoś niezręcznie! Proszę, zrób tak, żeby...”.

...A może już NIE WOLNO WYMIENIAĆ TAK PO PROSTU JEGO NAZWISKA? O matko!

Na wykładzie zapytałam studentów, co sądzą o nowym zwrocie w sprawie aresztowanego oligarchy, a studenci odpowiedzieli, że nie wiedzą, kto to jest. Ale są po stronie prezydenta, a wszystkim oligarchom warto by dać popalić, chociaż oczywiście oni, studenci, w

ogóle nie wiedzą, o czym mowa.

Pod koniec wykładu dostałam SMS. Pomyślałam, że to Roman z przeprosinami. Ze zdenerwowania nie mogłam odczytać wiadomości, więc poprosiłam o pomoc dziewczynę z pierwszego rzędu. Przeczytała. Okazało się, że Roman potwierdza nasze zerwanie, ale mimo to mnie kocha, chociaż na razie nie będzie dzwonił. Ależ głupia sytuacja - wygląda na to, że podzieliłam się ze studentami swoim życiem osobistym. Dobrze, że dziś na wykładzie było zaledwie jakieś sto dziesięć osób.

Jak na złość, temat wykładu był bardzo trudny - „teorie myślenia”. Ja sama nie do końca je rozumiem. Po wykładzie zapytałam ostrożnie, czy są pytania. W końcu zawsze można się jakoś wykręcić, coś zmyślić albo oświadczyć: „Jesteście jeszcze za młodzi, aby to wiedzieć”.

Wstała prymuska w okularkach z pierwszego rzędu, ta, która odczytała mi SMS.

- Chciałam spytać... Co robić, kiedy się zostało porzuconą? Pytam w imieniu koleżanki.

Zastanowiłam się chwilę nad moimi własnymi planami w związku z tym, że Roman mnie rzucił.

1. Popalić nad Kanałem Zimowym.
2. Kupić w cukierni regularny nostalgiczny tort z różami z żółtego kremu i zjeść go w samochodzie.
3. Ściągnąć na wieczór dziewczyny i rozbeczeć się od razu w przedpokoju.
4. Zrobić im pizzę, one nie muszą głodować tylko dlatego, że mnie się przydarzyło nieszczęście.
5. Oczywiście ukryć wszystko przed mamą (ponieważ, według mamy, jeśli to ja porzucam, wszystko jest jak należy, ale jeśli porzucają mnie, mama przeżywa tragedię, a my z Murą natychmiast stajemy się dwiema biednymi, nikomu niepotrzebnymi sierotkami).
6. Oraz przed Murą (wyślę ją do kina, płakać i rozpaczać przy małym dziecku to niepedagogiczne, małeństwo potrzebuje matki,

która pewnie kroczy przez życie).

7. Porozmawiać z Żeńką o tym, że mam zmarnowane życie, bo bez wzajemności kocham Romana. I co ja, bezrobotna nowa Rosjanka, mam zrobić z opłatą za parking, konsjerżkę i pomoc domową.

- Wiem, co robić - ołśniło mnie nagle. - Po pierwsze, w żadnym razie nie wstydzisz się tego, że nas porzucono. Wszyscy nie wiadomo czemu uważają, że to coś wstydlivego. Nieprawda. Głupio wstydzisz się za innych, przecież to nie my popełniliśmy zdradę, tylko akurat na odwrót. Jak gdyby o wiele lepiej było rzucić samemu, uprzedzić wypadki i zdążyć zdradzić najpierw! Po drugie, należy natychmiast zacząć wzmacniać i rozbudowywać osobowość.

- Rozbudowywać muskulaturę? - zainteresował się chłopak z dalszego rzędu.

- Nie, osobowość!

- Jaką znowu osobowość?!

Zostali pół godziny dłużej, dyskutując o tym, jak konkretnie wzmacniać i rozbudowywać. Nie w klubach fitness, ale w bibliotekach, muzeach, konserwatoriach. Można jeszcze zostać wolontariuszem w domu dziecka albo domu starców. Żebyśmy mogli gwizdać na to, że nas porzucono, żebyśmy wiedzieli, że mamy siebie!

A właśnie, może to i dobrze, że wyrzucono mnie z salonu piękności. Dosyć tego chałturzenia, lepiej napiszę pracę habilitacyjną.

Popaliłam nad Kanałem Zimowym, spoglądając w wodę, zadzwoniłam do Alony i Olgi. Irka Chomik w zasadzie nie powinna mieć wstępu na takie imprezy, jako że nie jest przyjaciółką Alony i Olgi, ale bliska zażyłość z Murą upoważnia ją do uczestniczenia w moim życiu na równych prawach z nimi. Poza tym byłoby nieładnie dać jej powód do gorzkich rozmyślań, że to, co najciekawsze w moim życiu, przechodzi jej koło nosa.

O piątej przyszedłam do domu z tortem (jeden mały torcik, zgodnie z planem, zjadłam w samochodzie) i zaczęłam się szykować do pocię-



szająco-pokrzepiającej wizyty dziewczyn. Co do pizzy, okazało się, że w domu nie ma ani żółtego sera, ani wędliny, ciasta zresztą też nie ma. Postanowiłam zamiast pizzą poczęstować dziewczyny tortem.

Zjadłam tort. Postanowiłam zamiast tortu zamieść dla dziewczyn podłogę w przedpokoju i korytarzyku.

Zamiatałam podłogę razem z Sawwą Ignatjiczem, który ulokował się na szczotce, a korytarzykiem sunął w naszym kierunku Gantenbein. Zupełnie zapomniałam oddać go do sklepu zoologicznego i teraz został u nas na zawsze...

Pięć po szóstej zadzwoniła Alona, ma przykrości.

Dziś rano oświadczyła Nikicie wprost, że mąż nie okazuje jej miłości seksualnej i w soboty chałturzy, a przecież umawiali się co do sobót. Zepchnęła go z łóżka - po prostu źle obliczyła siłę pchnięcia. Nikita z podłogi powiedział żałośnie: „No to zapytaj, zapytaj psychologa (mnie), ona (ja) ci powie, że nie możesz mnie tak traktować!”.

Alona poskarżyła się, że jest w takim nastroju, że chciałaby umrzeć, nie życzy sobie nikogo widzieć i zaraz przyjdzie, już wkłada nowe dzinsy Calvina Kleina.

Dwadzieścia po szóstej zadzwoniła Olga. Była potwornie rozdrażniona - Wasia znów się skompromitował (wciąż jeszcze trwa okres Leżącego, Wasia ma złe notowania). Powiedział, że nie widzi żadnej różnicy między akselbantem i akwamarynem; jedno i drugie brzmi jak nazwa karmy dla kotów.

- Powiedz mi jako psycholog - czy on jest idiotą? Każdy wie, że kocia karma to Whiskas!

- Idiota w sensie przenośnym czy fizjologicznym? - uściśliłam. - Jaki ma kształt głowy (hydrocefaliczny czy trójkątny)?

- Kształt głowy ma jak idiota, zapewniam cię.

Olga powiedziała, że z powodu akselbantu i akwamarynu definitywnie skłania się na stronę Dimoczki i już prawie rozstała się z Wasią; co prawda, sam Wasia tego nie zauważył.

Przekonywałam Olgę, że Wasia nie musi wszystkiego wiedzieć.

Moi studenci na przykład nie znali słów „marginalia”, „apartheid” i „emfaza”. Albo ja - zeszłej zimy strasznie się zdziwiłam na widok wody cieknącej z kaloryfera. No bo skąd mogłam wiedzieć, że w środku kaloryfera jest woda?!

A Wasia na pewno wie, skąd co cieknie.

- A ty sama też jesteś dobra! - wykrzyknęłam radośnie (wszyscy wiedzą, że jestem za pokojem, za prostymi codziennymi radościami i za Wasią). - Kto w zeszłym tygodniu skompromitował się w restauracji?

W zeszłą środę Olga była w drogim barze w towarzystwie jakichś wybitnych filmowców, nie pamiętam jakich (nigdy nie mogłam pojąć, czemu mam się interesować obcymi ludźmi, którzy wcale nie interesują się mną). I jeden z filmowców poprosił kelnera o sommeliera.

- Nie mamy sommeliera - odparł kelner. - Pan wybaczy.

- Jak to nie macie sommeliera, to niemożliwe - rozżościł się filmowiec. - Stanowczo życzę sobie sommeliera!

Kiedy filmowiec i kelner tak się sprzeczali, Olga, dziewczyna wyrozumiała (jeżeli tylko rzecz nie dotyczy Wasi), zwróciła się polubownie do kelnera:

- No niechże mu pan poda tego sommeliera, niech pan przyniesie z sąsiedniej restauracji, jeśli u was nie ma... Nie widzi pan, że człowiek chce tylko sommeliera i nic więcej?!

Kiedy jest ci bardzo źle, masz ochotę sprawiać innym ból, toteż bezlitośnie ciągnęłam:

- Kto nie wiedział, że sommelier to wcale nie wino, tylko kelner od win? Co?! A mówisz, że to Wasia jest idiotą...

Olga szybko zmieniła temat, mówiąc, że musi czym prędzej dokończyć artykuł i ruszać do mnie. Oczywiście kłamstwo, po prostu zrobiło się jej głupio, że nie pamięta, jaki Wasia ma kształt głowy.

Po rozmowach z dziewczynami ktoś niedobry we mnie aż podskoczył - nie mnie jednej jest źle, innym też nie wszystko idzie jak z płatka! Ciekawe, czy wszyscy ludzie nabierają otuchy przy cudzych

przykrościach, i jestem zwyczajnym człowiekiem, któremu nic, co ludzkie, nie jest obce, czy też wredną, nielojalną żmiją? Dlaczego właśnie ja? Ale ja przecież nie życzę Alonie, żeby Nikita nie okazywał jej miłości seksualnej, po prostu mam poczucie solidarności - że obie mamy problemy, nie tylko ja.

O siódmej Mura poleciała do kina, a do mnie przyszły Alona, Olga i Irka Chomik. Alona przyniosła mnóstwo pysznego jedzenia (sałatkę olivier, awokado z krewetkami, tort miodowy od Denisowa i Nikolajewa), Olga kasetę *Moskwa nie wierzy łzom*, a Irka Chomik krem przeciwmarszczkowy. Irka powiedziała przy tym, że skoro spotkała mnie taka tragedia, ona odstępuje mi stacjonarną bieżnię na zawsze.

Dziewczyny wypytywały, jak przebiegło rozstanie, co powiedział Roman, a co ja, a co on, a co ja.

Wszystkim (oczywiście poza Żeńką) zamierzam przedstawić rzecz tak, jakbym to ja pierwsza go rzuciła. Denisowi i Alle też powiem mimochodem: „Rzuciłam swojego Romana”. Oni zapytają dlaczego, a ja na to: a, znudził mi się!

Wiem, że głupio jest kłamać, chociaż nikt się przecież nie dowie... Ale najsilniejsze uczucie, jakiego teraz doznaję, to wstyd. Strasznie mi wstyd - naopowiadałam wszystkim o naszej niezemskiej miłości, okazało się zaś, że to pospolity banał, a ja wyszłam na idiotkę!

Postanowiłam, że za nic się nie przyznam. Powiem, że wszystko zrobiło się zbyt skomplikowane i ja sama mam już tego dość...

Skłamać mi się nie udało, bo dziewczyny bardzo mnie przyciskały, a ja nie zdążyłam wymyślić, czemu sama mam tego dość. Musiałam najpierw powiedzieć półprawdę, że trochę ja jego rzuciłam, a trochę on mnie, ale on mnie bardziej. Potem musiałam powiedzieć całą prawdę. Dziewczyny były bardzo serdeczne, podsuwały mi tort i mówiły:

- Roman jeszcze pożałuje...
- Już żałuje...

Było bardzo przyjemnie.

Około dziesiątej po Irkę wstąpił Piotr Iwanycz i mój dramat zszedł na drugi plan wobec nowego obrotu w sprawie aresztowanego oligarchy. Piotr Iwanycz jest bogatym biznesmenem (ma sieć sklepów „Wkładki ortopedyczne”, na razie niewielką, złożoną z jednego sklepu w zaułku Swiecznym. Ale Piotr Iwanycz bardzo energicznie promuje swój produkt i nawet zmusił mnie do napisania notki historycznej o wkładkach - „Wkładki ortopedyczne - mity i rzeczywistość”), tak więc Piotr Iwanycz zapatruje się na sprawę pesymistycznie i powiedział do mnie i do Irki: „No i co, uczyli was tego w szkole, jak rozkładać wielki biznes?”. Powiedziałam, że nie, niczego takiego nas nie uczyli, tylko chemii w rozszerzonym zakresie, a pozostałych przedmiotów jak wszędzie... ale Piotr Iwanycz i tak był wściekły, a Irka siedziała i bała się, że się to odbije na jej życiu rodzinnym.

Irka nie chciała wychodzić, opierała się i żałośnie oglądała, całkiem jak Sawwa Ignatjicz, kiedy się go ciągnie za kark, ale Piotr Iwanycz bardzo stanowczo poprowadził ją do domu - zwymyślać za to, że chodziła do niewłaściwej szkoły.

Po wyjściu Irki Alona i Olga ostatecznie zapomniały, dlaczego do mnie przyszły, i zaczęły omawiać nową wersję serialu *Saga rodu Forsyte'ów*.

- A ja lubię Soamesa! Kocham Soamesa! - krzyknęła Olga. - To dokładnie taki mężczyzna, za jakiego powinnam była wyjść! I zauważcie, że finansowo też jest dobrze ustawiony, nie to, co Wasia, a tym bardziej Dimoczka...

- Posłuchajcie, może ja tu czegoś nie rozumiem - wtrąciła nieśmiało Alona - ale wydaje mi się, że Irena robiła z igły widły, wielkie mi coś, czemuż to nie mogła z nim spać! On sam jej proponuje, a ona się nie zgadza! Miała przewrócone w głowie, prawda, dziewczynki?

Olga oznajmiła, że rozczarowała się do mężczyzn i w najbliższym czasie zamierza zostać feministką, a może nawet lesbijką w rodzaju Safony. (A propos, Wasia na pewno nie wie, kto to była Safona, i

myśli, że to jakiś zagraniczny aktor filmowy).

W tygodnikach, dla których Olga pisze recenzje filmowe, domagają się teraz od niej nie mądrych recenzji, ale plotek.

Utrącili jej wnikliwą recenzję filmu z Hugh Grantem, a zamiast tego kazali napisać dwie linijki o filmie, a potem - dziesięć przykazań Hugh Granta plus jego gusty w ubiorze. I jeszcze powiedzieli, że materiały mają być krótkie, bo te tygodniki czytają mężczyźni, a mężczyźni nie potrafią przeczytać długiego tekstu, tylko krótki jak zajęczy ogonek.

- No i kto ma krótki rozum? - zapytała Olga tragicznym tonem. - Tak, pobędę trochę feministką, a potem zostanę lesbijką... - Przytuliła się zalotnie do Alony, a potem jak nie wrześnie: - Słuchajcie, dziewczyny, ależ z tego podpadniętego oligarchy przystojniak!

Moim zdaniem na razie nie grozi jej zostanie lesbijką - Olga jednak bardzo nie lubi do niczego się zmuszać.

Kiedy dziewczyny poszły, rozmawiałam z Żeńką i strasznie dużo paliłam.

- Mamy szczęście, że nie zjawił się u ciebie z walizką i kraciatym tobołem - powiedziała Żeńka. - Po jakiego grzyba ci facet z taką przebojową teściową i żoną w anamnezie.

Ależ zła kobieta z tej Żeńki...

W czasie naszej rozmowy coś ciągle szurało pod kuchennymi drzwiami, pewnie Mura podsłuchiwała.

*5 lutego, poniedziałek*

Dzień był nijaki - smutny, znowu dużo paliłam, położyłam się spać o dziewiątej wieczorem, Mura zmierzyła mi temperaturę, miałam 36,5, obniżoną - silne osłabienie.

Zupełnie nie mogłam zasnąć. Dręczyły mnie smutne myśli, a przy tym od nieustannego palenia miałam w środku wstrętne uczucie,

jakbym zjadła paczkę papierosów. Przypomniałam sobie powiedzenie „każdy ma własne piekło” i że to wcale nie Bóg nas tam posyła, tylko człowiek sam stwarza sobie małe przytulne piekielko według swego gustu. Nie będę płakać, złościć się i stwarzać sobie własnego piekła.

Ryczałam. Jestem sama, samiuteńka, tylko ja jedna w całym wszechświecie. I tak mnie jakoś boli w głowie, w gardle, w piersi i brzuchu.

O dziesiątej zadzwoniła mama i zaczęła mi robić wymówki o jakąś dwójkę Mury i jeszcze o coś - o wszystko.

- Mura ma dwójkę, ty jesteś potwornie lekkomyślna... a poza tym Mura miała rano rżnięcie w brzuchu...

- Mamo, to na razie! - Czułam, że nie mogę z nią dłużej rozmawiać.

- Nie, nie na razie, żadne na razie! Mura ma dwójkę, ciebie wczoraj znów bolała głowa, mówiłam ci, powinnaś zażywać jednocześnie cytramon i no-spę, rozgryzać i nie popijać... a Mura jest potwornie lekkomyślna... mówię ci, że cytramon należy rozgryzać, a ty na pewno połykasz...

Czy ta mama wcale nie czuje, jak mi jest źle? Z pewnością zostałam podmieniona w szpitalu.

\*

A cóż to dzisiaj za nieszczęsny dzień! Ledwie się lekko zdrzemnęłam, kiedy przyszła Mura w piżamie i lokówkach. Podkraśla się cichutko, ale podnosząc nogę, żeby wleźć do mnie do łóżka, już płakała na cały głos: „U-u, aaa, uu-u!”

Błagałam, żeby mi powiedziała, co się stało - dwójka czy kłopoty z jakimś chłopakiem, a może chce nowy płaszcz, i kiedy byłam już u kresu sił z tej strasznej nieświadomości, Mura nagle gwałtownie przerwała wycie i powiedziała spokojnym, bezczelnym ze strachu głosem (dobrze znam ten jej głos, od dziecka stosowała go, przyznając się do czegoś surowo zabronionego):

- Spokojnie mogłabym ci tego nie mówić... ale powiem, bo jestem bardzo uczciwa. - Umilkła na chwilę. - Nie chciałam, żebyś płakała, i nie chciałam, żebyś straciła pracę...

- Mura, nie rób scen w środku nocy i nie każ się prosić. Przynajmniej się szybko, bo cię ugryzę.

Murka jeszcze trochę się podroczyła, potem usiadła w łóżku, dziarsko się prostując, a następnie cofnęła się w najdalszy róg i zadudniła w poduszkę:

- To wszystko przeze mnie... Ja jestem wszystkiemu winna... Przeze mnie rozstałaś się z tym typem i przeze mnie wywalili cię z salonu... Myślałaś, że nic nie wiem, a ja wszystko podsłuchiwałam...

- Nie miałam żadnych wątpliwości, że podsłuchujesz. Ale dlaczego wszystko ma być przez ciebie? - Dziecku odbiło przez te moje historie!... Mama ma rację, jestem złą matką, a Żenka też ma rację - jestem idiotką...

- Teściowa to Sieriożka...

- Jaki Sieriożka? - zapytałam odruchowo, chociaż powinnam była zapytać, jaka teściowa. - Miałaś zły sen, Murka?

Kładźmy się lepiej spać...

- Sieriożka Pletniow...

Gdyby po dzisiejszym dniu kołatały się we mnie jeszcze jakieś siły moralne, to zerwałabym się na równe nogi i popędziła po stacjonarnej bieżni, a tak tylko słabym głosem pytałam, zupełnie jak dziewczyny wczoraj wieczorem: „A ty... a on... a ty... co?”. Niesamowita, nieprawdopodobna historia, w którą wprost nie sposób uwierzyć!

Mura utrzymywała, że:

1. Teściowa Romana, która najpierw dzwoniła do szafy, a z którą się później zaprzyjaźniłam i z którą omawialiśmy rozmaite problemy życia rodzinnego (przypominam sobie dokładnie, że mowa była o skuterach);

2. Teściowa, którą uważałam za drugą Ninon de Lanclos z powodu zaskakującego zainteresowania bezpiecznym seksem;

3. Teściowa, która rozmawiała ze mną ochryplym basem (sądzi-

łam, że może pali)

- otóż ta zatroskana o życie małżeńskie swojej córki starsza pani okazała się kolegą z klasy Murki, Sieriożą Pletniowem.

- Coś ci się poplątało, Murka. Teściowa to całkiem dorosła starsza kobieta, pytała mnie o zdradę... i mówiła, jak źle jest dzieciom, kiedy rodzice się rozchodzą... - powiedziałam miękko. (Biedne dziecko zwariowało). - Chłopcy w twoim wieku nie interesują się takimi dorosłymi sprawami. Pomyliłaś się, Murka, idź spać, a jutro pójdziemy razem do lekarza...

Murka machnęła tylko ręką.

- Co do zdrady, to zdradziła go Tanka, najpierw chodziła do kina z Sieriożką, a potem zaczęła się spotykać z Maksem... I w zeszłym roku jego rodzice się rozwiedli, no to mówi, że dzieciom jest źle...

- Ale dlaczego, Mura? - zapytałam tępo. - Dlaczego to zrobiliście?

Mura schowała się z głową pod kołdrę i musiałam do niej zakrobać.

- A dlaczego wybierałaś się za męża? No?! - burknęła spod kołdry.

- Oszalałaś! Jak mogłam wybierać się za męża za żonatego faceta?

- A kto mówił: „To wszystko na serio”? Kto mówił: „Wszystko może się zdarzyć”? Może Puszkin, co?

- Mura, nie bądź trywialna.

- Najpierw tata będzie miał dziecko - rozgorączkowana Mura wyrzała spod kołdry. - Oprócz mnie będzie jeszcze nie wiadomo kto! A jeżeli tata pokocha to dziecko bardziej? A potem ty też - za męża?! I też mi coś urodzisz? - Mura wyprostowała się wojowniczo i w jej głosie pojawiły się wyraźnie histeryczne nutki. - A ja, za przeproszeniem, to pies? Co ze mną zrobicie? Jestem jeszcze dzieckiem!

Nareszcie prawie zrozumiałam. Tak się złożyło, że Sieriożka Pletniow, podobnie jak Mura, miał skomplikowaną sytuację domową, no i dwie biedne samotne istoty odnalazły się nawzajem.

Najpierw Mura się złąkla, że wychodzę za męża, i Sieriożka pomógł



Murze, a wkrótce potem mama Sieriożki wyrzuciła z domu żółwia i nastąpiła kolej Murki na przyjęcie z pomocą. Zawarli dżentelmeńską umowę - Sieriożka udaje Teściową, dopóki mu nie obiecacie, że nie wyjdzie za męża, a Mura za to bierze na garnuszek żółwia.

Co prawda Sieriożka trochę oszukał Murę i teraz nie chce wziąć żółwia z powrotem, ale to nieważne, bo już nazwałyśmy go Gantenbein, a jeżeli nadałeś komuś imię, to koniec - od tej chwili za niego odpowiadasz.

Murka domagała się współczucia dla siebie, Sieriożki i żółwia, szantażowała mnie tym, że jest dzieckiem z rozbitej rodziny, groziła natychmiastową traumą psychiczną, aż wreszcie zajęczała cieniutko i poprosiła o przebaczenie. Tak właśnie powiedziała: „Przebac mi, proszę, już więcej nie będę!”. Mura nigdy w życiu nie prosiła o przebaczenie, i to tak dalece wytrąciło mnie z równowagi, że nagle przypomniałam sobie, o czym mówiłam dziś na wykładzie, i wylałam z łóżka.

- Wiesz, Mura, jest takie pojęcie „myślenie jednokierunkowe” - zaczęłam uroczyście, przechadzając się przed Murą w mojej ciepłej podartej piżamie. - Człowiek myślący jednokierunkowo nie jest w stanie dokonać żadnego istotnego odkrycia. My zaczniemy myśleć inaczej. Wyjaśnię ci to w punktach, bierz zeszyt i zapisuj pod moje dyktando.

1. Rozstałam się z Romanem.

a) Jeszcze nikt nigdy mnie nie rzucił i byłam przekonana, że mnie rzucić nie można. A człowiek powinien doświadczyć wszystkiego, toteż wszystko jest w porządku i jak najśluszej.

b) Poza tym w przyszłości czeka mnie prawdziwa miłość (tfu, tfu, tfu, byle tylko nie zapeszyć). Najprawdopodobniej, kiedy się mnie wreszcie doczeka, nie będę już mogła nikogo urodzić, i to będzie ci na rękę, Murka.

2. Sierioża odmawia wzięcia z powrotem żółwia.

a) Tylko patrzeć, jak przestanę się bać Gantenbeina, już teraz mi się wydaje, że jest miły. Spróbuj sobie wyobrazić, jak musi się czuć

stworzenie, którego nigdzie nie chcą! Naszym obowiązkiem jest postępować tak, żeby czuł się jak we własnej rodzinie.

b) Żółwie żyją trzysta lat. Za trzysta lat ja się całkowicie pocieszę, a Gantenbein wciąż jeszcze będzie mieszkał w naszym domu i pamiętał o moim dramacie.

Wróciłam do łóżka i przypomniało mi się, jak niby jakiś psychologiczny słownik wyśpiewywałam Teściowej-Sierioży o różnych trudnych problemach życia rodzinnego z punktu widzenia kobiety, i zapragnęłam trochę dokuczyć Murce.

- Doigrałaś się, moja droga córeczko - powiedziałam mściwie. - Straciłam robotę. A ponieważ musimy utrzymać Irinę Andriejewnę, będziemy oszczędzać na tobie... Jutro obmyślę jakiś sposób szykanowania cię.

\*

Mura usnęła, a ja nie spałam - robiłam podsumowanie.

1. Zostałam bez Romana i bez roboty.
2. Za to z żółwiem i stacjonarną bieżnią.

Przed zaśnięciem (mam nadzieję, że to już koniec niespodzianek i nikt się nie pojawi, żeby mi oznajmić, że Roman tak naprawdę jest kobietą albo zoofilem) mogłam wreszcie spokojnie popłakać po swojej miłości... Dopiero teraz poczułam, że jestem SAMA, SAMA, SAMA...

Nigdy już nie zdejmę pocieszającej pizamy. Będę w niej chodzić nawet na wykłady.

*6 lutego, wtorek*

Postanowiłam, że będę się trzymać, i głęboko schowałam pizamę. Zacznę ze zdwojoną energią pisać swoją książkę, ponieważ bólu i rozpacz w żadnym wypadku nie należy trzymać głęboko w sobie. No więc wychlusnę wszystko, najpierw w Mango, potem w Benettonie, a

potem na stronicach mojego dzieła.

Przed pójściem na wykład udało mi się jeszcze podtrzymać na duchu Olgę, która ma nieprzyjemności. Naczelný jakiejś moskiewskiej gazety powiedział, że jej materiały do niczego się nie nadają i że powinna zmienić styl.

- Z mojego poważnego tekstu zrobili artykuł do brukowej prasy - kto się z kim pieprzy i tak dalej, i teraz mój podpis będzie widniał pod kompletnym chłamek!...

- To wycofaj swój podpis - zaproponowałam.

- Nie jesteś z branży i nic nie rozumiesz... to prestiżowe wydawnictwo i nie mogę tego zrobić...

Uspokajałam Olgę, radziłam jej pisać, jak każą, inkasować honoraria i wrócić do Wasi.

Wychodzę na cały dzień, aż do wieczora. Mura też wróci dziś późno, bo spotykamy się po wykładach i wyruszamy na pocieszający rajd po sklepach. Żeby Lew Jewgienjewicz się nie nudził, włączę mu telewizor.

Wyprawa do sklepów się udała - obejrzałyśmy wszystkie nowe kolekcje w Mango, Mexx, Benettonie i we wszystkich sklepach, jakie wpadły nam w oko. Window shopping doskonale działa na moje zdrowie psychiczne: postanowiłam, że kupię sobie wszystko różowe - spodnie, sweter, koszulę, pantofle i torebkę. Na początek kupiłyśmy Murce różowy pasek i pierścionek z olbrzymim różowym szkiełkiem, bardzo ładny, szkoda, że ja nie mogę już takich nosić.

Na Władimirskim Murka wysiadła z samochodu i pobiegła do koleżanki, a ja chciałam wjechać na podwórze, ale nadziałam się zderzakiem na jakąś belkę w białe i czerwone pasy, zagradzającą wjazd do bramy.

Cholera, przez ten mój dramat zupełnie zapomniałam: otóż Łysy oznajmił rano, że po powrocie do domu zastanę szlaban, i wręczył mi jakiś gadżet, mówiąc, że mam nacisnąć tam guziczek i drzwi się

otworzą. To znaczy, podniesie się szlaban i wpuści mnie na podwórze. Ale zgubiłam ten czarodziejski gadżet...

Najpierw próbowałam prześlizgnąć się pod szlabanem, ale mi się nie udało - mój samochód jest za wysoki. Potem usiłowałam się wcisnąć w szczelinę między szlabanem a bramą - też na próżno. Po co mi taki wielki samochód? Gdybym jeździła na wrotkach, byłabym niezależna, a tak muszę iść do Łysego i prosić, żeby mnie wpuścił do domu.

Mam u Łysego marne notowania... Chyba podejrzewa, że jestem idiotką, i marzy, żeby zbadać kształt mojej głowy.

Wchodziłam po schodach i myślałam: jak to jednak dobrze, że nie jestem samotna. Zaraz powitają mnie Lew Jewgienjewicz, Sawwa i Gantenbein.

Sawwy nie było w domu, tak że w przedpokoju czekał na mnie Gantenbein, maszerując po stacjonarnej bieżni, a Lew Jewgienjewicz tak się obraził, że zostawiono go samego na cały dzień, że nawet nie wyszedł mnie powitać.

No tak, lodówka otwarta na oścież. Z dolnej półki wszystko wyjedzone, zostało tylko opakowanie od masła. A kiełbasę i żółty ser Lew Jewgienjewicz najwyraźniej zjadł z papierem. Wyżarł konfitury ze słoika, do czysta, proszę, jaki dzielny. Na podłodze poniewierają się topione serki, to znaczy cynfolia po serkach.

Chciałam zjeść maminy kotlet (rano na patelni były trzy cudne, pulchniutki, rumiane kotleczki) - kotletów też nie ma. Jak mu się udało zsunąć ciężką żeliwną pokrywkę? I dlaczego z powrotem przykrył patelnię? Pewnie myślał, że zapomnę o kotletach.

Dzwonek do drzwi. Łysy z ostentacyjnie znaczącą miną - surowy zwiastun losu.

- Zbieram pieniądze na gorący posiłek dla konsjerżki. Zupa z pulpecikami i kompot... Piotr Iwanycz już wpłacił.

Zaraz wtrączę mimochodem, że jestem pisarką.

- Wie pan, nie bardzo zrozumiałam, co pan powiedział, bo jestem

pisarką i właśnie kończę rozdział - powiedziałam wyraźnie.

- Należy się od pani pięćdziesiąt dolarów na pulpeciki do końca miesiąca.

No to koniec! W mojej rozpaczliwej sytuacji finansowej nie pozostaje mi nic innego, jak zastosować wobec Łysego najskuteczniejsze techniki psychologiczne. Zaraz zatańczy tak, jak mu zagram!

Dla zaoszczędzenia czasu postanowiłam przejść od razu do najsilniejszej techniki, za pomocą której będę mogła manipulować Łysym, jak zechcę. Należy wyrazić swoje prawdziwe uczucia. Powiem mu, że teraz odczuwam straszliwą kobiecą samotność i skrajny stopień niepewności co do dnia jutrzejszego konsjerżki. Oraz że czuję, iż nie dam rady za nic płacić, bo wyrzucili mnie z pracy. A jeśli będę za wszystko płacić, moja córka Mura z niedożywienia może zejść na złą drogę i zacząć kraść konsjerżce pulpeciki i wypijać kompot...

I trudno, będę wieczną dłużniczką Łysego, mam w końcu też inne obowiązki w życiu, na przykład muszę utrzymywać pomoc domową...

- Ja... ja... ja... - Nagle łzy trysnęły mi z oczu i zaczęłam mamrotać: - Jestem przecież psychologiem... każdemu potrafię pomóc... a sobie nie potrafię, no i płaczę jak najzwyklejsza idiotka... a do tego zostałam porzucona na zawsze...

Usiadłam na stacjonarnej bieźni i widocznie uruchomiłam ją pupą, bo bieźnia nagle ruszyła, ja spadłam na podłogę i siedziałam tak, szlochając z poczucia krzywdy.

- Tak - powiedział surowo Łyсы.

Podniósł mnie z podłogi, zaprowadził do łazienki, a ponieważ zupełnie nie mogłam przestać ryczeć i czkając, próbowałam bez skutku coś powiedzieć, kilka razy wsadził mi głowę pod kran.

Otrząsnąwszy się jak Lew Jewgienjewicz po kąpieli, całkowicie przyszedłam do siebie.

- P-przepraszam pana, w-więcej nie b-będę spadać z bieźni - powiedziałam.

- A co, rzeczywiście jest pani prawdziwym psychiatrą? Z domu

wariatów? - zapytał z szacunkiem Łysy, wycierając mnie ręcznikiem.

- M-między p-psychiatrą a p-psychologiem jest d-duża różnica...  
Ja mam d-do czynienia z ludźmi z-zdrowymi, którzy p-po prostu mają różne p-problemy: s-samoidentyfikacja, s-sens życia, s-samoaktualizacja...

- A urok potrafi pani odczytać? - ożywił się Łysy.

- No, jeżeli to konieczne...

Łysy zaprowadził mnie do pokoju, usadził za stołem i zaczął opowiadać o swoim życiu. Z profesjonalnego punktu widzenia okazał się bardzo interesującym przypadkiem. Na Łysym rzeczywiście ciąży urok. Ma bardzo dużo pieniędzy (określenie „dużo pieniędzy” można interpretować różnie, to zależy wyłącznie od nastroju. Cieszę się, że Łysy jest zadowolony z tego, jak idą mu interesy). No więc, ma dużo pieniędzy, a miłości wciąż nie ma i nie ma. Łysy chciał się już nawet ożenić, ale tylko z miłości, a wszystkie poznane panienki na odwrót, chcą jego pieniędzy.

- A gdzie pan poznaje te panienki? - zainteresowałam się.

Tak w ogóle to miałam w tym własny interes - chciałam się dowiedzieć, gdzie jest owo tajemnicze miejsce, w którym ludzie poznają się i znajdują sobie parę do miłości i małżeństwa. Ja też się tam wybiorę.

- Jak to gdzie? Tam gdzie wszyscy. W barach, restauracjach, różnych klubach... parę razy poderwałem jakieś na konkursach piękności... Raz była to miss Rejonu Frunzeńskiego... - pochwalił się Łysy.

Widziałam sporo dziewcząt Łysego: wszystkie do siebie podobne jak siostry bliźniaczki, cienkie nóżki, rączki i białe włosy...

- A gdzie indziej mam iść, żeby poznać dziewczynę? Na dyskoteki jestem już za stary... - Wstydliwie spuścił oczy i po raz pierwszy zobaczyłam, że Łysy jest moim rówieśnikiem, a nie grubym starszym panem.

Ciekawe, a ja, czy jestem za stara na dyskoteki? Osobiście tak nie uważam. W zeszłym roku byliśmy z Murką i jej koleżanką w jednej

bardzo modnej dyskoteci (poszłam, żeby nie puszczać ich samych). Po dwóch godzinach zabawy za pięćdziesiąt rubli nakłoniłam didżeja, żeby ogłosił, że dyskoteka za pięć minut się zamyka. Didżej powiedział: „Przepraszam, zamykamy”, ja wyciągnęłam Murę i jej koleżankę, po czym dyskoteka znów się otworzyła, już bez nas.

- Jakimi cechami powinna się odznaczać pańska żona? - zapytałam.

- No... tego... żeby umiała ugotować kisiel z torebki, żeby była spokojna, nieśmiała... jednym słowem, domatorka...

Powiedziałam Łysemu z profesjonalną wyższością, że umiejętność ugotowania kisielu z torebki i nieśmiałość to nie są cechy, które na co dzień znajdują przystań na konkursach piękności i w restauracjach.

- Wydaje mi się, że pańskie poszukiwania wśród młodzieńskich dziewcząt raczej nie zakończą się ślubem... - powiedziałam w zadumie.

Łyśy zdziwił się i poprosił mnie o świadczenie mu płatnych usług psychologicznych w tej i różnych innych kwestiach. Powiedział, że jego partnerzy biznesowi oci... (tu uderzył się dłonią w usta i przeprosił), jak się dowiedzą, że on ma własnego, osobistego psychologa.

Już pomyślałam z rezygnacją, że Łyśy jest jak Larysa - chce się przyłączyć do bezpłatnej grupy interesantów, ale powiedział, że będzie płacił za konsultacje, i to dużo, bo wszystko, co bezpłatne, jest złe, a co drogie - dobre.

Stworzyliśmy z Łysym barter: on pokrywa moją część szlabanu i pulpecików dla konsjerżki, a ja udzielam mu porad psychologicznych. Jestem bardzo szczęśliwa, że wszystko się tak dobrze ułożyło z opłatami za ochronę, parking i to, co mu jeszcze przyjdzie do głowy.

Żeby nie zapomnieć powiedzieć Murce, że ma teraz nazywać Łysego nie Łyśy, tylko Sponsor, albo, dopóki nie przywyknie, na razie Łyśy Sponsor. Gdyby Łyśy Sponsor nie zwrócił się do mnie po pomoc psych., posłusznie płaciłybyśmy z Murką za wszystkie jego

pomysły, chudłybyśmy i bladły i pewnego dnia po prostu zemdlałybyśmy z głodu pośród tych pięknych rzeczy dla nowych Rosjan - szlabanu i konsjerżki w kaszkiecie.

Teraz, kiedy jestem całkiem sama na tym świecie, mogę wreszcie dokończyć swoją książkę. Pisałam do wieczora, jak prawdziwy twórca, nie mogłam się ani na chwilę oderwać od mego utworu.

Zbliżała się noc, byłam już straszliwie zmęczona, okazało się jednak, że do końca jeszcze bardzo daleko, a poza tym końca i tak nie wymyśliłam.

I nagle przyszedł mi do głowy genialny pomysł, jak szybko zostać prawdziwym pisarzem. Postanowiłam na razie nie kończyć książki, tylko po prostu opublikować swój dziennik. Nie bez powodu przecież piszę go prawie każdego wieczoru. Żebym tylko nie zapomniała pozmieniać imiona i zastrzec na samym początku: „Bardzo proszę nie obrażać się na autora, bo wszystkie osoby i zdarzenia zostały wymyślane”. Albo lepiej tak: „Wszystkie zdarzenia wymyślił autor”... A jeśli pisany mi sukces i może nawet przełożą mnie, to jest dziennik, na obce języki? No cóż, uważam, że mój *Dziennik* będzie miał znacznie większy wpływ na przyjaźń i wzajemne zrozumienie między narodami niż różne akcje polityczne. Wszyscy się dowiedzą, jakie lubimy z Murką ciuchy i jakie jedzenie, jakie mamy radości i smutki (na przykład dwójka z fizyki...

Murze grozi dwójka na okres, dwójka na półrocze, dwójka na cały rok, dwójka na życie!) i jak sobie z nimi radzimy - dokładnie tak samo jak wszyscy zwyczajni ludzie w innych krajach - i że obie z Murką jesteśmy przeciw terroryzmowi, i... Może nawet dostanę Pokojową Nagrodę Nobla...

Czytałam fragmenty *Dziennika* dziewczynom przez telefon, wszystkim się podoba, wszystkie mówią, że jestem geniusz. Ja wiedziałam, wiedziałam, hura!



Zupełnie nie mogłam zasnąć, myśląc o tym, że teraz jestem pisarką. Obudziłam Murę (jeżeli człowiek ma matkę pisarkę, to spokojnie może pójść na drugą lekcję) i zapytałam, co myśli o mojej książce.

- Wieczorem już mnie o to pytałaś... sto razy albo dwieście.
- Powiedz jeszcze raz!
- Twoja bohaterka z *Dziennika* jest podobna do ciebie, a druga do mnie. Dlatego, że *Dziennik* jest o mnie i o tobie, i z twojej książki wszędzie wystaje twój puszysty ogon.
- To niedobrze. To znaczy, że nie jestem prawdziwą pisarką.
- Akurat, w każdej książce zawsze siedzi jej autor, nawet w *Annie Kareninie* siedzi Dumas.

Jutro zaniosę *Dziennik* do wszystkich wydawnictw nadnewskiego miasta-bohatera.

*23 lutego, piątek*

Dziś zaczyna się wielki post i w związku z tym coś wymyśliłam.

Chodzi o to, że odchudzanie w celu udoskonalenia wyglądu zupełnie mi się nie udaje. Nie mogłam doprowadzić do końca żadnej diety, bo jestem osobą uduchowioną i potrzebuję bodźca nie fizycznego, tylko moralnego. No i pomyślałam sobie: a może by się tak odchudzić w celu udoskonalenia się duchowo? Ale czy to nie grzech pościć, żeby się odchudzić? Wygląda to tak, jakbym przestrzegała przykazań boskich w celu osiągnięcia korzyści osobistej.

Z drugiej strony, człowiek zachowuje post nie tylko dla Boga, ale i dla siebie. Panuje opinia, że w trakcie poszczenia coś się dzieje z duszą. Czemu bym nie miała spróbować, tym bardziej że w istnienie duszy wierzę.

Okazało się, że przestrzeganie postu jest całkiem łatwe - można jeść bardzo dużo wszystkiego, co lubię, czyli chleb, ziemniaki, makaron, kukurydzę, zupę fasolową, jeśli ktoś mi ją ugotuje. I jakie to interesujące - jak gdybym w mgnieniu oka stała się zupełnie inną

istotą, która po prostu z natury nie żywi się mięsem, jajkami czy żółtym serem... Camembertem też się z natury nie żywi.

Przed snem pokłóciłam się z Żeńką z powodu religii. Do Katki przychodzi w odwiedziny chłopiec, który nie jada wieprzowiny, więc Żeńka, jak prawdziwa matka, lepi dla tego chłopca pielmieni z kurczakiem, nie przestając narzekać:

- Ci Żydzi w Rosji nigdy nie byli Żydami i jedli wieprzowinę, aż im się uszy trzęsły, no to czemu w Niemczech z całej religii wybrali sobie właśnie niejedzenie wieprzowiny?!

- Każdy ma prawo wybrać z religii, co chce - oświadczyłam.

- Ale dlaczego akurat niejedzenie wieprzowiny?!

- A ty sama dlaczego nie wchodzisz do kościołów? - zapytałam złośliwie. Byłam wściekła, kiedyśmy z Murą i Katka zwiedzały kościoły, a Żeńka stała na zewnątrz z miną osoby, która wie coś, czego nie wiem ja. - Ty sobie właśnie wybrałaś niewchodzenie do obcych kościołów.

- To zupełnie co innego. Tu chodzi o to, żeby nie dawać na obce kościoły. No, nie wrzucać im do skarbonki...

Rozzłościłam się. Moim zdaniem każdy ma prawo wybrać sobie jakiś drobiazg - niejedzenie wieprzowiny albo przestrzeganie postu - ale niedawanie na obce kościoły oznacza, moim zdaniem, zamach na coś dużego i cudzego. Po okropnej awanturze Żeńka przyznała mi rację.

*25 lutego, niedziela*

Pomyślałam sobie, że przecież nie jestem osobą prawdziwie wierzącą, która chodzi do cerkwi i tak dalej. Wydaje mi się nawet (może nie mam racji, więc z góry wszystkich przepraszam), że Panu Bogu jest obojętne, czy nasmaruję chleb masłem, czy nie. Nie uwierzę, że On nie ma innych kłopotów i nieustannie mnie obserwuje. Jestem prawie pewna, że Pan Bóg nie zauważy, jeśli zjem małą kawał-

czek żółtego sera. I wypiję kawę z mlekiem.

*26 lutego, poniedziałek*

Złamałam post, bo się bardzo przejęłam Niewiarygodnym Wydaniem.

Wszyscy mówią, że takie cuda zdarzają się niezwykle rzadko albo po prostu wcale - maszynopis mojego *Dziennika* (dalej Książka) przypadkowo wpadł w ręce znudzonej żony pewnego wydawcy i proszę - moją Książkę przyjęło wydawnictwo albo żona wydawcy.

Sądzę, że cuda się zdarzają, ponieważ:

1. Mura uważa, że *Dziennik* jest niesamowicie dobry, a moja córka jest surowym, ale obiektywnym znawcą prawdziwej literatury.

2. Alona i Olga chwaliły, Żeńka słuchała przez telefon i nie pytkowała, a to już coś, nawet duże coś.

3. A poza tym Olga jest profesjonalistką - zna się na filmie.

4. Życie jest pasiaste, każdy to wie. Gdyby Roman nie rzucił mnie tak, nie bójmy się tego słowa, okrutnie i teraz nadal mielibyśmy romans, jestem pewna, że żadna żona wydawcy nigdy nie wzięłaby do rąk mojego *Dziennika*. Ale Bóg (los, anioł stróż) uważnie pilnuje pasiastości życia, żeby na jedną klęskę przypadało jedno powodzenie.

Wydawnictwo, które zamierza wydać moją Książkę, jest niewielkie (a po co mi wielkie?), od razu zaprzyjaźniłam się z wydawcą, z jego żoną też, bardzo, ale to bardzo mili ludzie.

MARZEC

*1 marca, czwartek*

Arkadij (wydawca) powiedział mi przez telefon, że moja książka jest wspaniała.

Przechadzałam się po kuchni niezależnym pisarskim krokiem, drżałam, paliłam, rozpływałam się ze szczęścia i dalej już nie słuchałam. Chociaż mówił ważne rzeczy, takie, których pisarze powinni uważnie słuchać. O nakładzie, terminach, honorarium.

Arkadij oznajmił, że w drukarni przypadkowo jest dziurka (nie rozumiałam) i książka ukaże się już za dwa miesiące.

Co mówił o honorarium, nie słuchałam - było mi niezręcznie. To przecież sztuka, a poza tym nie potrafię się uwolnić od myśli, że to JA powinnam zapłacić za to, że WYDADZĄ moją powieść.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedziałam. - Proszę pozdrowić żonę, do widzenia.

Piotr Iwanycz, Nikita i Alona powiedzieli, że za każdą pracę powinno się płacić i że należy mi się honorarium. Nie jestem o tym przekonana. Chociaż z drugiej strony, za każdą pracę powinno się płacić, czyż nie?

Ciekawe mimo wszystko, ile mi zapłacą? Ale jakoś głupio zadzwonić i zapytać.

Za honorarium kupię sobie notebook i następną książkę będę mogła pisać, stojąc w korkach. Albo nie, lepiej zrobię remont i nakupię wszystkim drogich prezentów. Murze wybiorę coś w Mango, dla mamy zdobędę abonament do Domu Książki, Lwu podaruję ogromną sztuczną kość, Sawwie - pieniek do pazurów, bo na razie ostrzy je o grzbiet Lwa Jewgienjewicza, Gantenbeinowi też coś kupię... Mam przeczucie, że honorarium powinno być duże.

Do wieczora nieustannie marzyłam o honorarium. Olga powiedziała, że muszę podpisać umowę; wtedy się dowiem, jakie będzie moje honorarium, i będę mogła zaplanować wydatki. Dla przyzwoitości odczekam parę dni, a jeszcze lepiej tydzień, i zadzwonię do Arkadija, a potem podpiszemy umowę.

Odczekałam dla przyzwoitości do godziny pierwszej.

Dzwoniąc do wydawnictwa, czułam się Bardzo Ważnym Autorem.

- No, co tam słychać? Z moją umową?

- Proszę zrozumieć, sytuacja na rynku wydawniczym zmienia się błyskawicznie, dosłownie przed południem jest tak, a po południu już całkiem inaczej.

Arkadij naświetlił mi południową sytuację, ale nie słuchałam, przeobrażając się w oczach z Bardzo Ważnego Autora w nikogo nieinteresujące „nic”.

Bardzo się bałam, że Arkadij powie: „Autorów jest wielu, i to ważniejszych, a wydawnictwo jedno. Mamy kogo wydawać”. Ale nie powiedział.

*2 marca, piątek*

Bardzo się denerwowałam, że do tej pory nie podpisałam umowy, ale postanowiłam, że sama dzwonić nie będę. Pamiętałam, że nigdy nie należy o nic prosić, sami się zgłoszą i zaproponują.

Zadzwoiłam do wydawnictwa punktualnie o dwunastej.

Myślę, że o dwunastej już można dzwonić...

- Czy zastałam Arkadija?

- A kto mówi?

Nienawidzę, kiedy mnie pytają, kto mówi. Wydaje mi się, że zaraz odejdą od telefonu, poszepeczą, wrócą i powiedzą: „Nie ma go”, chociaż w rzeczywistości jest, i teraz razem się ze mnie śmieją.

No i faktycznie usłyszałam:

- Jest nieobecny.

Mam przeczucie, że Arkadij się rozmyślił i nie chce wydać mojej książki! Ukrywa się przede mną! Więcej już za nic nie zadzwonię, to zbyt upokarzające.

Zadzwoiłam po dwudziestu trzech minutach.

...Czy zastałam... A kto mówi?... Nie ma go.

... W ciągu dnia dzwoniłam jeszcze kilka razy i wreszcie się do-dzwoniłam. No, ja wam pokażę! To najpierw mówicie: „Pani *Dziennik* jest wspaniały, zarobimy na nim mnóstwo pieniędzy!”, a teraz tak?!

Zadzwoiłam do Arkadij a na komórkę (nigdy nie wiem, czy wypada dzwonić na komórkę, a nuż dali mi ją po prostu z uprzejmości, a nie po to, żebym dzwoniła?) i rzuciłam nonszalancko, leniwie, jakbym dopiero co sobie przypomniała, a nie wydzwaniała do wy-dawnictwa co dziesięć minut:

- Co to ja miałam... aha... kiedy mam przyjechać na podpisanie umowy?

- No... e-e... jutro w drugiej połowie dnia.

Hura!

Zadzwoiłam do Olgi (jest moim konsultantem w tym nowym dla mnie świecie) i powiedziałam, że strasznie się wszystkim denerwuję, szczególnie honorarium, i w ogóle.

- Dzwon tam zaraz i powiedz ostro: „Dlaczego mam się denerwować do jutra? Zazwyczaj standardową umowę wysyła się pocztą elektroniczną. Jakąż to niespodziankę przygotowaliście mi państwo w umowie, że nie możecie jej wysłać?”.

Oto co znaczy profesjonalista!

No i Olga ma rację. Jestem dorosłą kobietą, doktorem psychologii, wykładowcą i pisarką, a wszystkiego się boję...

Zapisałam tekst Olgi na kartce i powtórzyłam głośno, przewracając oczami i dzwoniąc zębami: „Jakąż to niespodziankę mi przygotowaliście? Co?!”.

- E-e... Bardzo przepraszam, panie Arkadiju, ale może, jeżeli oczywiście nie zrobi to panu różnicy... to ewentualnie... e-e... jutro w południe?... A-a, niemożliwe, no cóż, to przepraszam, do widzenia...

Przed zaśnięciem czytałam dziennik Czukowskiego: „Był sobie kiedyś krokodyl, spacerkiem po Newskim chodził...”. Chyba mnie wciągnęło. No proszę, okazuje się, że nawet autor *Krokodyla*, czło-

wiek bardzo szczęśliwy i pogodny, jest tak samo „szczęśliwy” jak wszyscy inni. Pisze: „...jestem w nędzy, biegam po wydawnictwach... życie mam poszarpane, jestem nieszczęsnym bankrutem, rozdeptanym obcasem pechowcem...”.

Zrozumiałam, że nawet tak poczytny pisarz jak ja też może napotkać na swej triumfalnej drodze do sławy rozmaite ciernie i kolce w rodzaju Arkadija, z jego niechęcią do podpisywania umów...

*5 marca, poniedziałek*

Przez kilka dni niczego nie zapisywałam - wszystkie myśli miałam zajęte zwykłymi pisarskimi problemami: umowa, nakład, honorarium...

Dziś pojechałam wreszcie do wydawnictwa podpisywać umowę. Arkadij był dla mnie bardzo miły i próbował mi wcisnąć jakiś napisany odręcznie paperek bez jego podpisu i bez pieczętki. Może Arkadij od dziecka cierpi na rzadką chorobę - organiczną niechęć do podpisywania umów? Ale ja stałam na straży swoich praw i szybko, nie czytając, podpisałam umowę sama. To taki porządny człowiek i jego żonie tak się podoba moja książka, że byłoby nie do pomyślenia psuć nasze stosunki czytaniem umowy, jak gdybym nie miała do wydawcy zaufania.

Wysłałam z wydawnictwa absolutnie szczęśliwa, wsiadłam do samochodu i dopiero wypaliwszy ze szczęścia papierosa, mogłam przestudiować moją umowę. A było tam napisane:

1. Wydawnictwo może wydać moją książkę, a może i nie wydać, to zależy.
2. Wydawnictwo nie zapłaci mi honorarium, jako że nie było o tym mowy.

Zrozumiałam wszystkie warunki umowy prócz jednego. Nie rozumiem, po co było doprowadzać mnie do hysterii, zamiast grzecznie

powiedzieć:

„Drogi autorze! Możemy wydać twoją książkę bez honorarium, a możemy i nie wydać, też bez honorarium. Wybór należy do ciebie”.

I ja bym grzecznie odpowiedziała:

„Drogi wydawnictwo! Jestem tak niesamowicie szczęśliwa, że wydajecie moją książkę, że cała reszta mi zwisa i powiewa, a co się tyczy honorarium, to wymyśliłam to wszystko pod złym wpływem Piotra Iwanczyca oraz Nikity i Alony, którzy nie mają zielonego pojęcia o twórczości, znają się tylko na handlu”.

Jestem bardzo zadowolona, że wszystko się wreszcie ułożyło i nie gnębią mnie więcej myśli o honorarium. Teraz znowu mogę się zająć prowadzeniem domu, na przykład sprawdzić dzienniczek Mury.

- Murka, kochanie, pokaż mamusi swój dzienniczek - zamiauczałam słodko, ale nie wytrzymałam i natychmiast przesłam na groźny ojcowski bas: - Gdzie twój dzienniczek?!

- Nie mam. Nie mam dzienniczka. Zgubiłam - pisnęła Mura.

- Mura! Cóż to, schowałaś dzienniczek jak smarkata pierwszoklasistka?

- Nie, zgubiłam, zgubiłam!

Wygląda na to, że nie chce mi pokazać dzienniczka... Ale ze mną nie ma żartów! Udało mi się dobić targu - Mura pozwoli mi jednym okiem zerknąć na dzienniczek, a ja za to kupię jej różową bransoletkę do kompletu z różowym pierścieniem.

- Ale nie wypuszczę go z rąk! - krzyczała Mura, ze wszystkich sił wczepiona w dzienniczek.

Dzienniczek cały był zapisany czerwonym długopisem, dlaczego? Dotychczas zawsze pisałyśmy niebieskim.

A-a, rozumiem, to wszystko uwagi. Wychowawczyni wpisała pięć uwag od siebie i trzy w imieniu innych nauczycieli. Na przykład: „Jak twierdzi nauczyciel matematyki, przez całą lekcję rysowała diabełki na ręce kolegi z ławki. Uważam, że powinna rysować nie diabełki, ale coś przyjemnego, pogodnego”. „Jak twierdzi nauczyciel historii, na



lekcji kręciła się i robiła słodkie oczy. Uważam, że w jej wieku za wcześnie na coś takiego, zwłaszcza podczas lekcji historii”.

Wygląda na to, że dzienniczek Mury to ulubione miejsce wychowawczynie do zapisywania swoich przemyśleń. A może ona po prostu prowadzi własny dziennik wewnątrz dzienniczka Mury i dalej zacznie się coś ciekawego? Oto dwa ostatnie wpisy z dzisiejszą datą: „Dziecko, daj dzienniczek do podpisu choćby sąsiadom!” i „Moja cierpliwość się skończyła! Jutro pokażę dzienniczek dyrektorowi!”.

Za nic nie podpiszę czegoś takiego! Niech teraz Mura sama się ratuje - to jej życie, nie mogę jej wiecznie prowadzić za rączkę... Niech robi, co chce - niech spali dzienniczek albo zrzuci całą winę na Lwa Jewgienjewicza - na przykład, że go zjadł... Przy okazji nauczy się ponosić odpowiedzialność za własne czyny.

- Jestem twoją córką - mówi ze smutkiem Mura. - A ty moją matką. - Zaraz poprosi, żebym jej pomogła pozbyć się dzienniczka. Ja jako osoba dorosła jestem za tym, żeby dzienniczek spalić, ale... niech sama decyduje. - Wobec powyższego chcę z tobą poważnie porozmawiać. Co mi kupisz na ósmego marca?

Tu wpadłam we wściekłość, rozjątrzona tak potwornym brakiem odpowiedzialności, i wrzasnęłam:

- Zamiast się zastanawiać, jak najsprytniej pozbyć się dzienniczka, ty myślisz o prezentach?! Ile masz dwójek z fizyki, osiem?! Uważaj, bo się doigrasz, że sprawdzę kształt twojej głowy!

Boże, przebacz mi, sama wszak jestem pedagogiem, ale co za zołza z tej fizyczki! Wiadomo przecież, że dzieci będą zdawać na studia i wszystkie biorą korepetycje z wybranych przedmiotów. A w gimnazjum obciążenie jest ogromne! Po co na przykład Mura ma coś wiedzieć o jakimś Instytucie Papieskim? Ja sama nic o nim nie wiem i dobrze, obroniłam nawet pracę doktorską.

Czasem Mura do późnej nocy odrabia lekcje, a kiedy o dwunastej wypływa ze swego pokoju i zmierza do łazienki, ja krzyczę: „Ani mi

się waż myć! Idź spać! Zabraniam ci się myć!”. Raz sąsiadka zapytała ostrożnie (bała się, widać, że jestem furiatką):

- Czemu pani nie pozwala Murce się myć?
- Mycie jest szkodliwe! - warknęłam. - Jest taka nowa szkoła w pedagogice, niech pani czyta prasę!

Ale osiem dwójek z fizyki to jednak przesada!

- Kim ty chcesz zostać, Mura, stróżką?! - wrzeszczałam, czując, że to już nie ja, ale moja mama...

I w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Na progu stał Nieogolony Przystojniak, konwojowany przez konsjerżkę w kaszkiecie, włożonym na ciepłą chustkę.

(Konsjerżka lubi sama przyprowadzać moich gości, jako że niekiedy udaje jej się wdrzeć na moje terytorium i wziąć udział w pogawędce).

- Co pani tak krzyczy na Muroczkę, aż na dole słychać! - skarciła mnie konsjerżka, a ja odparłam pośpiesznie:

- Dzięki za przyprowadzenie gościa, miłego dnia!

Co za niezręczna sytuacja - człowiek pierwszy raz nas odwiedził i trafił akurat na awanturę!

- Andrieju, to pan? - zapytałam głupio, jak gdyby Andriej mógł odpowiedzieć: „Nie, to nie ja!”. - Proszę wejść, jak to miło, że pan wstąpił, jeszcze raz bardzo panu dziękuję za... no, za tę stłuczkę.

- Papierosy, na których był zapisany telefon, wypaliłem i paczkę wyrzuciłem, ale przypadkowo zapamiętałem adres... no i przyszedłem. Właśnie w sprawie tej stłuczki...

Zmieszałam się - czyżbym jego też stuknęła?

- Podamy do sądu tego pani VIP-a - powiedział zmysłowo Andriej.

Piliśmy herbatę, wstyd mi tylko było, że nie mam nic słodkiego do herbaty. Właśnie przed awanturą Lew Jewgienjewicz dokończył placek z wiśniami i kremem śmietankowym wypieku mamy, bardzo

smaczny (mnie dostało się malutko, to niesprawiedliwe, zawsze jestem w tym domu jak sierota).

Nasz kuchenny stół jest niski, a Lew Jewgienjewicz, przeciwnie, wysoki, toteż Andriej zdziwił się trochę, widząc nagle mordę Lwa Jewgienjewicza w swoim talerzyku. Nie licząc tego epizodu, zwierzaki zachowywały się na mocną czwórkę, tylko raz pobiły się wprost na mnie o kawałek kielbasy. Tak naprawdę walczą o moją miłość - każdy uważa, że zajmuje w moim sercu pierwsze miejsce.

- Mura, w tej chwili zrób Lwu Jewgienjewiczowi kanapkę! - poleciłam surowo. - Nie widzisz, że jest głodny?

Okropność, człowiek pierwszy raz jest u nas z wizytą, a tu Lew Jewgienjewicz głodny...

Udało mi się całkowicie usprawiedliwić przed Andriejem - zrozumiał, że Lew i Sawwa nie będą mogli stawić się w sądzie i że wymyślałam Murze od stróżek nie dlatego, że uważam tę profesję za niegodną mojej córki, ale dlatego, że Mura ma osiem dwojek z fizyki.

Andriej powiedział, że może pomóc Murce w fizyce, ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie ma już ani chwili czasu, toteż przejrzy tylko zadania, a potem przyjdzie już porządnie popracować. Murka ze znudzoną miną przyniosła podręcznik i zeszyt i zaczęła się wpatrywać w sufit, a Andriej przelotnie zajrzał do podręcznika.

- Nie ma pani przypadkiem informatora? - zapytał.

Pokazałam mu szafę w korytarzyku, gdzie trzymam książki techniczne, odziedziczone po tacie, i wyszłam, żeby mu nie przeszkadzać w studiowaniu podręczników.

Zajrzałam do kuchni po jakiejś półtorej godzinie. Mura drzemała z głową opartą na rękach (co za taktowne dziecko, mogła przecież pójść spać do swojego pokoju, a ona nie, grzecznie dotrzymuje towarzystwa gościowi). Andriej siedział przy stole obłożony książkami i zapisywał już trzeci zeszyt. Wyglądało na to, że zostanie tu przez najbliższe dwa miesiące.

- Rozwiązałem prawie wszystko do końca roku - powiedział. -

Zostało już bardzo niewiele - na jakieś dwie, dwie i pół godziny. Niestety, nawalił mi kalkulator i muszę wszystko liczyć sam, dlatego tak długo to trwa.

- A może nie trzeba wszystkiego liczyć? - zapytałam nieśmiało. - Tylko podać kolejność działań i już...

Andriej nie odpowiedział, podliczając kolejny słupek...

To wygodne, że zadania z fizyki może rozwiązać obcy facet! No, a jeżeli człowiek nie jest obcym facetem, tylko ojcem dziecka, to żona mu mówi:

- Jesteś przecież ojcem dziecka, a nie obcym facetem! A mimo to zupełnie się nie interesujesz fizyką!

Ojciec dziecka rozgląda się zaszczutym wzrokiem i nienawidzi fizyki, przy okazji zaś żony. A z obcym facetem jest bardzo fajnie - on nie ma obowiązku się interesować fizyką i nikt nie ma obowiązku na niego krzyczeć.

Po godzinie jeszcze raz zajrzałam do kuchni.

Mura obudziła się i poszła do siebie. Złękłam się, że wypadło jakoś niegrzecznie, ale Andriej nie zauważył, że Mury nie ma, jeszcze trochę posiedział nad zadaniami i pożegnał się, mówiąc, że już od dawna, od szóstej wieczór, nie ma ani chwili czasu. zaproponował, żebym obudziła Murę wcześniej i wytłumaczyła jej rozwiązania.

- To nic trudnego, zaraz pani wyjaśnię - powiedział, stojąc w drzwiach.

Podziękowałam, wyznając, że jestem kompletnym tumanem, i Andriej poszedł, a mnie ogarnął taki wspaniały nastrój, że włączyłam karaoke (prezent od Denisa na poprzedni Nowy Rok) i zaśpiewałam kilka piosenek (jakoś nie mogłam osiągnąć tego, żeby karaoke mi oznajmiło: „Śpiewa pani wspaniale!”).

Kiedy dośpiewywałam *Katiuszę*, zadzwoniła Żeńka, też włączyła karaoke i zaśpiewaliśmy razem przez telefon *Czeremchę i bez*.

- No i ile punktów wyśpiewałaś? Bo ja na przykład osiemdziesiąt sześć - powiedziała zazdrośnie Żeńka.

- Ja sześćdziesiąt trzy. Spróbujemy jeszcze raz?

Przed snem nic nie czytałam, podśpiewywałam w poduszkę: „Jazębino czerwona, któremu serce mam dać?”.

*8 marca, czwartek*

Ósmy marca, Dzień Kobiet, to święto ginekologiczne, żaden kulturalny człowiek nawet nie uważa go za święto. Na przykład mnie nikt nie złożył życzeń. Ludzie kulturalni obchodzą Dzień Zwycięstwa i Nowy Rok. Poza tym walentynki, Święto Dziękczynienia (co prawda, tylko w Ameryce), rocznicę zdobycia Bastylli i dzień Wszystkich Świętych.

O jedenastej rano zadzwoniła Alona, bardzo dumna z Nikity - z okazji święta usmażył jajecznicę (fuj, jakież to pospolite!) i podarował jej srebrną paterkę. A mnie nikt nie powińszował, bo jestem człowiekiem kulturalnym.

Hura! O wpół do pierwszej zadzwonił Andriej. Spotkaliśmy się na kawie w „Café Sol”. Wręczył mi kwiaty. Kwiaty, kwiaty, hura! A jednak to święto coś w sobie ma. I cóż złego może być w kwiatkach?

Wieczorem kumpel Murki Sieriożka Pletniow podarował mi pluszowego łosia. I po jednym tulipanie Murce i mnie. U łosia w pupie widać relaksujące ziarenka, a Dzień Kobiet to przecudowne święto!

*11 marca, niedziela*

O dziesiątej, kiedy jeszcze prawie spałam, zadzwonił Andriej. Powiedział, że Mura w ogóle nie bywa na świeżym powietrzu i że musimy się szybko zbierać, bo sezon w Korobicynie się kończy.

- Ale my nie jeździmy na nartach - powiedziałam speszona.
- Toteż mówię - sezon się kończy, a wy nie jeździecie.

\*

Po drodze do Korobicyna wstąpiłyśmy do naszej historyczki pozyczyć kostium narciarski. Kostium jest śliczny, niebieski z granatowymi wypustkami.

Śnieg, słońce, muzyka, tłumy pięknych ludzi. Murka siedziała w kawiarni w butach narciarskich i była z siebie bardzo dumna. Na górę nie chciała wyjść, oznajmiła, że w kawiarni też jest fajnie.

A ja poszłam pojeźdzać. Skoro już przyjechaliśmy tu z Andriejem, powinniśmy mieć wspólne zainteresowania.

Wdrapywałam się na oślą łączkę centymetr po centymetrze i po dwóch godzinach mogłam już zjechać z trzech metrów.

- Ależ pani umie, tylko się pani boi. A nie ma się czego bać, absolutnie - powiedział Andriej i dodał z przekonaniem: - Zaraz panią nauczę się nie bać.

Samo stanie na szczycie wielkiej, wprost olbrzymiej góry jest straszne. A już o tym, by zjechać w dół, mowy nie ma! W końcu przecież nie wolno mi ryzykować - mam dziecko, córkę!

Andriej zaczął zjeżdżać tyłem do stoku, przodem do mnie. Ciągnął mnie w dół za kijki i krzyczał: „W prawo!... A teraz w lewo! Co, nie wie pani, gdzie jest prawo, a gdzie lewo?”

Przewróciłam się, nie boleśnie, ale kompromitująco, i leżąc, pomyślałam: „No to już koniec, nie ma wyjścia”. Ale nigdy nie jest tak, żeby nie było żadnego wyjścia, wyjścia zawsze są dwa. Pierwsze - odpiąć narty i zjechać w dół na pupie. Drugie - odpiąć narty i poczłapać się w dół na czworakach.

- Niech pan zjeżdża, Andrieju, a ja tu poczekam - powiedziałam. - Będę tutaj stała, a jak pan będzie zjeżdżał drugi raz, wtedy mnie pan zabierze - dodałam przypochlebnie. - Moim zdaniem to niezły pomysł.

Andriej pomknął w dół, a ja stałam na górze jak prawdziwy narciarz. Śnieg, słońce, mnóstwo pięknych ludzi i ja w niebieskim

kostiumie naszej historyczki.

...Co to było, co, co?! Leżałam na śniegu i nie mogłam zrozumieć, co się stało... Przecież nigdzie nie jechałam, dlaczego mnie tak strasznie boli głowa i noga?

Okazało się, że nie leżę sama. Obok mnie leżał snowboardzista.

- Przepraszam panią, ale sport jest sportem! - uśmiechnął się uśmiechem Sawielija Kramarowa, szybko chwycił swoją deskę i pognął w dół.

Ma rację - sport jest sportem, życie jest życiem, ale ja jestem boleśnie potłuczona...

Kiedy Andriej wreszcie zjawił się na ratunek, okazało się, że też ma problemy. Po pierwsze, w czasie zjazdu złapał go lekki atak korzonków i przyjechał po mnie skręcony na lewy bok. Po drugie, nie bardzo wiedział, dokąd ma mnie wlec - na dół do wyciągu czy na górę do kawiarni.

Postanowiliśmy czołgać się na górę, na bliny ze śmietaną.

Pelzliśmy po stoku bokiem, podtrzymując się nawzajem - on, zgięty w pół, trzymał się za krzyż, ja kulałam. Jak Lisica Alicja i Kot Bazylio.

*12 marca, poniedziałek*

Dziś z samego rana rozpoczęłam nowe życie, życie pisarza. Zawsze tak się dzieje - wieczorem jesteś jeszcze nikim, a kiedy się zbudzisz rano, twoje zdjęcia znajdują się we wszystkich gazetach. To rozumiem!

Zadzwoiła pani redaktor (mam REDAKTORA) z wydawnictwa (mam WYDAWNICTWO! Wprost nie mogę uwierzyć, że mam to wszystko!). Pani redaktor zaprosiła mnie na promocję jakiejś książki w Domu Filmowca (czemu filmowca, skoro to książka?). Nieważne, na razie jeszcze nie wszystko rozumiem, ale na pewno się w tym

wkrótce połapie.

Przez cały dzień krzyczałam w duchu: „Hura, hura!”. Nie tylko Olga i niektóre inne osoby spędzają czas na bankietach, wręczaniach nagród, koktajlach i w kularach - ja też idę na promocję.

Bardzo się denerwowałam przed spotkaniem z redaktorką.

Ona czuje się jak ryba w wodzie w literackim świecie, jest znana. Zabiera mnie ze sobą. A ja w tymże literackim świecie jestem cóż, nikim, po prostu czytelnikiem.

Długo naradzałam się z Aloną, co włożyć. Zapakowałam do samochodu (promocja ma być wieczorem i mogę nie zdążyć do domu, żeby się przebrać) dużą reklamówkę, zawierającą: wyjściowe spodnie z cienkiego jedwabiu (Alona powiedziała: włóż je, chociaż raz będziesz ubrana jak człowiek); jedwabną bluzkę z falbanami (Alona powiedziała: nie bierz, i tak nie włożysz takiego porządnego ciucha); woreczek biżuterii, (postanowiłyśmy, że zorientuję się na miejscu, co włożyć); szpilki (złapałam je w ostatniej chwili). Szpilki są na mnie za duże. Alona powiedziała, że literaci bardzo się zdziwią, widząc, jak kuleję, przytrzymując pantofle skulonymi palcami nóg. Poza tym na pewno się w nich przewrócę, bo nigdy nie noszę wysokich obcasów.

Na imprezę literacką udałam się w dzinsach (dzinsy są czarne, nikt się nie połapie, że to dzinsy, nie wieczorowe spodnie, a Alonie nic nie powiem) i w czarnym swetrze.

Pani redaktor okazała się strasznie miła i, jeśli nie liczyć tego, że byłam wobec niej okropnie skrepowana i onieśmielona, tośmy się zaprzyjaźniły. Razem weszłyśmy na salę, gdzie odbywała się prezentacja książki, i redaktorka powiedziała, że jest tu sporo osób z Moskwy, a potem nawet podprowadziła mnie do starszego pana w ciemnym garniturze, na pewno jakiegoś znanego moskiewskiego autora.

- Oto nasz młody petersburski prozaik - zwróciła się do niego.

Obejrzałam się, żeby zobaczyć młodego petersburskiego prozaika. Obok nikogo nie było. Czyżbym to miała być ja? Uśmiechnęłam się



uprzejmie na wszelki wypadek, zerkając z ukosa na redaktorkę, czy się czasem ze mnie nie śmieje. Nie, to niemożliwe, ona by się nie śmiała, jest taka miła. A ten moskiewski pisarz, nie śmieje się? Raczej nie.

Ruszyłyśmy dalej, redaktorka przodem, ja krok w krok za nią, jak nieśmiałe kaczątko za mamą kaczką. Dobrze, że byłam cała na czarno - po prostu taka nierzucająca się w oczy czarna mara, a nie wystrojona idiotka w kretyńskich jedwabnych spodniach i jeszcze bardziej kretyńskiej bluzce z kokardą.

Redaktorka podprowadziła mnie jeszcze do paru osób, stojących w oddzielnej grupce.

- To... - oj! Wymieniła nazwisko, znane mi od dziecka i mojej mamie też.

- A to... - ojoj! Znów wymieniła nazwisko, znane mi od dziecka i mojej mamie też.

- To... - ojoj! Wymieniła jeszcze jedno nazwisko, znane mi od dziecka i mojej mamie też.

Czyż to możliwe, że stoję tu obok nich? Czyż mój *Dziennik* to takie wspaniałe dzieło, że od razu wyniosło mnie na szczyty literackiego Olimpu?

- A to jest nasz młody petersburski prozaik - przedstawiła mnie znowu pani redaktor.

Drapałam się nerwowo, nie przestając się uśmiechać głupim uśmiechem, i zastanawiałam się, czy wypada powiedzieć, że obie z mamą kochamy ich od dzieciństwa. Czy nie wypada? A może oni nie chcą, żebyśmy z mamą wiedziały, ile mają lat?

Wyobraziłam sobie, jak będę wieczorem opowiadać mamie:

- To - Szekspir, to - Charlotte Brontë, to - Michał Lermontow, a to - nasz młody petersburski prozaik...

Tak sobie stałam, rozmyślając, co powie mama, i z zachwytu trochę się oderwałam od rzeczywistości, a kiedy przyszłam do siebie, pisarze już krążyli wokół nakrytego stołu i słusznie robili, bo prze-

kąski były całkiem niezłe: trzy rodzaje wędlin, dużo różnych serów, paszteciki, orzeszki i kruche ciasteczka.

Uśmiechałam się idiotycznie hurtem do wszystkich pisarzy, skłębionych wokół wędlin i całej reszty, bezustannie sięgałam po żółty ser z dziurami (ciekawe, jak się nazywa) i cieszyłam się - oto stoję tu sobie ja, młody petersburski prozaik, i jem pyszny literacki ser. Paszteciki leżały, niestety, za daleko ode mnie, nie dostał mi się ani jeden!

Zjadłam dużo orzeszków. Orzeszki to bardzo wygodna przekąska na koktajlu. Jeżeli nikt z tobą nie rozmawia, możesz bez przerwy żuć i udawać, że specjalnie po to przyszedłeś i jesteś bardzo zajęty.

Pogadałam sobie z jednym z pisarzy, których książki znam z dzieciństwa. Powiadomił mnie radośnie, jak tanio zapłacił za bilet z Moskwy do Pitra i z powrotem - tylko pięćset rubli za wagon z miejscówkami\*. I tu dopiero zrozumiałam, jak głupi byli Piotr Iwanycz oraz Nikita z Aloną w kwestii honorarium. Skoro taki znany mi z dzieciństwa pisarz cieszy się z miejscówki, to moje marzenia o zrobieniu za honorarium remontu wydają się co najmniej naiwne!

\* Chodzi o rosyjskie wagony z miejscami do leżenia, niepodzielone na przedziały - pasażerowie leżą półka w półkę obok siebie (przyp. tłum.).

- Wagon z miejscówkami to samo życie, a w przedziałach marazm! - powiedział Znany Pisarz.

Zrozumiałam, co ma na myśli.

W tym wagonie Pisarz jechał z kobietą, która opowiadała, że pięć lat temu zmarł w Magadanie jej krewniak, no i teraz ona chce go przewieźć do domu. Pisarz zląkł się, że może kobieta nie jest przy zdrowych zmysłach, i już chciał się z kimś zamienić na półkę, kiedy współpasażerka wyjaśniła:

- Co pan, nie rozumie? To przecież Północ! Krewniak dobrze się tam trzyma.

Teraz już zawsze będzie jeździł wagonami z miejscówkami i zbierał fakty z życia do swojej twórczości.

Poza tym niedawno miał spore szczęście - kupił w lumpeksie

marynarkę za trzysta rubli, niech pani zobaczy, jaki gatunek! Kiwałam głową, macałam marynarkę i czułam się częścią literackiego świata - ja też uwielbiam lumpeksy i przedwczoraj kupiłam sobie koło metra na Gorkiego nowy czarny sweter.

Znany Pisarz zapytał mnie (mnie!):

- Pani też jest pisarką?

- Nie, nie jestem pisarką, po prostu wieczorami piszę *Dziennik...* o miłości...

- O-o-o! - zadudnił mój rozmówca. - O miłości mogą wydać w serii dla pań, a tam są olbrzymie nakłady...

Nie mogłam się uwolnić od myśli, że on też chciałby się dostać do serii dla pań.

Znany Pisarz oszczędł, a ja usiadłam w kąciku i spędziłam tam dłuższy czas sama ze swoim talerzykiem, póki nie usiadła obok mnie pisarka, prawdziwa, nie taka jak ja. Strącała popiół na mój talerzyk i szturchała mnie ostrym łokciem w ramię. Po trzecim kieliszku wetknęła twarz w sałatkę, całkiem jak Lew Jewgienjewicz, i zaczęła wydawać dziwne dźwięki (wyobraziłam sobie, jak będę opowiadać o tym Żeńce, i mimo woli parsknęłam. Żebym nie zapomniała zapytać Żeńki, czy prawdziwej pisarce wolno sypać popiół do własnego talerzyka).

Pod koniec wieczoru tak dalece nabrałam śmiałości w tym nowym, niezwykle dla mnie interesującym świecie, że zapytałam swoją sąsiadkę, wraz z którą delectowałyśmy się żółtym serem:

- Pani jest też pisarzem?

- Jestem żoną pisarza - odparła dumnie, sprzątając mi sprzed nosa ostatni kawałek sera.

Z pewnością żona pisarza to cała profesja. Potem zobaczyłam ją z mężem. Facet ma jakieś trzydzieści pięć lat i pewnie przez długie lata pisał i pisał, ale nie chciano go wydawać, on mimo to wciąż pisał i pisał, a ona chodziła na paluszkach wokół biurka i pracowała na trzech etatach, żeby on mógł spokojnie tworzyć i jeszcze miał przy tym co

jeść... wystarczy spojrzeć, jak ona lubi ser, widać wszystko, co najlepsze, oddaje jemu... Ich dziecko jest na pewno błdziutkie...

*19 marca, poniedziałek*

Obudziłam się rano i znowu zasnęłam. Nie ulega kwestii, że jedyną, co powinno się robić w poniedziałek, to leżeć w łóżku, udając chorą, żeby można było nie wstawać. Co też i robię. Wykładów dziś nie ma, odwołane, bo nasze piękne audytoria zwiedza zagraniczna delegacja. Studentów wysłano do muzeów, a mnie do łóżka.

Obudził mnie telefon. Pani redaktor! A więc to tak wygląda życie pisarza - ani snu, ani wypoczynku dla udręczonej duszy. Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce będę miała dość światowego literackiego życia, tych wszystkich bankietów, promocji, koktajli... Nie, chyba jednak nie będę miała dość.

Ciekawe, dokąd ona mnie dziś zaprosi?

- Nie jestem w stanie czytać pani książki - powiedziała surowo redaktorka.

Potwornie się wystraszyłam. Czyżby to było tak okropne?

- Jedne i te same osoby noszą u pani różne imiona.

To niemożliwe! Kilka razy zmieniałam imiona, szczególnie kobiece, i wszystko dokładnie sprawdziłam... Na wszelki wypadek postanowiłam przejrzeć dyskiety.

W tekście wszystko jest w porządku, bardzo dużo różnych postaci. Wszystkie postaci mają różne imiona. Czy ta redaktorka chce, żeby imiona były jednakowe? Dlaczego? Coś takiego nudno by się czytało. A u mnie wcale nie jest nudno, na przykład:

- Dima, smakuje ci ryba?

Anton kiwnął głową.

Albo tak:

Ała weszła do pokoju.

- Cześć, Katia! - krzyknęli wszyscy.

Albo jeszcze tak:

„Ach, Asiu, Asiu!” - powiedziała do siebie Masza.

Ta redaktorka na pewno uważa, że jestem wariatką... Mam nadzieję, że jest przynajmniej zadowolona, że na promocji wszystko tak dobrze poszło - wariatka autorka nie rzuciła się i nie pogryzła prawdziwych pisarzy...

Jestem strasznie rozstrojona. Tylko przez jeden wieczór, noc i pół poranka byłam młodym petersburskim prozaikiem.

A teraz kim jestem? Szaloną maniaczką, która ma rzadką manię nazywania postaci różnymi imionami po to, by się wydawało, że jest ich więcej.

## KWIECIEŃ

*3 kwietnia, wtorek*

Obudziłam się w wyjątkowo złym nastroju, ponieważ we śnie usilnie opędzałam się od myśli, że muszę szukać pracy (nadzieja na to, że prawdziwy pisarz żyje z honorariów, rozwiąła się jak dym).

Kilka dni temu wydarzyło się coś nieprzewidzianego - bieda zajrzała mi w oczy akurat przy kasie w uniwersamie (wstąpiłam tam po wyjściu z Domu Książki). To jest, po prostu zabrakło mi pieniędzy, żeby zapłacić za wszystko, co wpakowałam do swego wózka (po co w ogóle robią takie duże wózki?).

Musiałam szybko rozsortować zakupy na prawo i na lewo.

Na prawo (do zostawienia w sklepie): camembert (rozpusza, ser „rosyjski” jest lepszy), suchą kiełbasę (ciężko strawna), paczkę kaszy błyskawicznej (można ugotować zwyczajną kaszę). Na lewo: całą resztę (chleb „Zdrowie”, dwa batony czekoladowe, obwarzanki, słodycze).

Po przyjeździe do domu natychmiast założyłam zeszyt wydatków.

Chleb „Zdrowie” - 24 rub.

Dwa batony czekoladowe - 38 rub.

... ..

...

Postanowiłam po prostu zapisywać produkty żywnościowe, bez cen - w ten sposób szybciej uda mi się wyłowić to, co zbędne:

Konfitury wiśniowe

Konfitury truskawkowe

Cukierki

Ptasie mleczko

Konfitury z czarnej porzeczki

Galaretki.

Nie, lepiej zapisywać to inaczej: produkty żywnościowe osobno, całą resztę osobno.

Żywność - 685 rub.

Książki-410 rub.

Oto co było do okazania: żyjemy nieekonomicznie - zbyt wiele wydajemy na żywność, a wydatki na żywność i na książki powinny być jednakowe.

Początkowo nie chciałam zapisywać tego w dzienniku, pomyślałam jednak, że byłoby to nieuczciwe - dzisiaj musiałam jeszcze kupić w antykwariacie *Sagę rodu Forsyte'ów* w INNEJ OKŁADCE. Miałam ją kiedyś (książkę, nie okładkę), tylko gdzieś mi się zapodziała i kupiłam *Sagę* w zielonej okładce, ale ani razu jej nie otworzyłam, bo i tak mogę cytować na wrywki. A tu patrzę - to one, dwa niebieskie tomy, takie jak kiedyś miałam! Czytałam *Sagę* w domu przy obiedzie i nie mogłam się oderwać - to całkiem inna *Saga*, ta sama, moja.

Wieczorem pomyślałam: niby nie mam się czego wstydzić - wielkie mi rzeczy, kupiłam książkę i jeszcze kilka innych, no i nie starczyło mi forsyt na camembert i kielbasę, ale jednak było mi jakoś wstyd i miałam wielką ochotę na kielbasę, a szczególnie na camem-

bert. Nie, do diabła, dość tego, muszę poszukać dodatkowej pracy, postanowiłam i obdzwoniłam wszystkich znajomych (na razie najbliższych), żeby poszukali mi posady.

I oto dziś o czwartej mam rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Nikita załatwił, że porozmawia ze mną pewien ważny pan, który potrzebuje bystrego pracownika (to coś dla mnie) w niepełnym wymiarze godzin (to też coś dla mnie).

Ten ważny pan, członek klubu rotariańskiego (wiem z literatury, że na Zachodzie kluby rotariańskie zrzeszają wpływowych biznesmenów, polityków i in. Jak to dobrze, że ci panowie także u nas zaczęli się jednoczyć), handluje proszkiem do prania. Kazał mi przyjść do pałacu Szeremietiewów.

\*

Rotarianin okazał się mężczyzną bardzo miłym i eleganckim. Wypytywał ciepło o moją pracę, płacę i rodzinę.

- A dlaczego ma pani taki marny samochód? - zapytał.

Ogromnie ujęta, że ów pan tak się interesuje moim życiem, rozluźniłam się i zaczęłam szczegółowo opowiadać, jak to Denis na zawsze zapomniał u mnie swego półzywego land-rovera.

- Rozumie pan, mój mąż, to jest mój pierwszy mąż... nie, to znaczy nie mam żadnego drugiego męża...

- Zadam pani psychologiczny test na inteligencję - przerwał mi pan, wpijając się we mnie wzrokiem. - Proszę kontynuować szereg: J D T 4.

- Nie potrafię - wyznałam. Pewnie zaraz mój rozmówca powie: przepraszam, jest pani debilka.

- Oj nie, chwileczkę! - pisałam nieśmiało. - Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Dobrze?

- Pani to znała, znała pani! - wykrzyknął pan.

Pękając z dumy, powiedziałam, że mój tata był matematykiem i od piątego roku życia wiedziałam, że po jednym idzie dwa. Dlatego wszelkie testy to dla mnie betka i swobodnie mogę kontynuować

szereg - dalej będzie sześć, siedem, osiem...

Sądzę, że udało mi się niezłe przedstawić, i teraz czeka mnie zawrotna kariera w branży proszku do prania. Najpierw zostanę lewą ręką tego pana, potem prawą, potem odgałęzię się od niego ze swoim własnym biznesem (może nawet zrujnuję jego firmę, zależy, jak on się będzie zachowywał), a potem... a potem mnie też przyjmą do miejscowego klubu rotariańskiego...

Pan powiedział, że o mnie pomyśli i zadzwoni do Nikity (dlaczego do Nikity?).

Podczas wieczornego wykładu bez przerwy rozmyślałam o tym, jak świetnie się zaprezentowałam na rozmowie wstępnej, i nagle przyszło mi do głowy, że studentów należy koniecznie wyszkolić w rozwiązywaniu takich testów - przecież mają przed sobą życie, karierę i tak dalej.

W związku z tym poprosiłam studentów, by napisali esej w trzech zdaniach na temat „Obudziłem się rano cały zielony”, ale tak, by w eseju był wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Nikt sobie z tym nie poradził prócz jednego chłopaka, który odczytał następujący tekst:

Wstęp: Obudziłem się kiedyś rano cały zielony.

Rozwinięcie:

Prześcieradło z łóżka spadło, kołdra mi uciekła,

I poduszka jak ropuszka rechocze jak wściekła.

Łapię świecę, ta do pieca,

Zegar też dał dyla...

Zakończenie: Nigdy więcej nie kupię takich dragów!

Zdolny chłopak, brawo!

W domu nie mogłam się doczekać telefonu Nikity i zadzwoniłam do niego sama.

- No, co tam w sprawie proszku do prania? - zapytałam w nadziei, że wszystko dobrze, zostałam przyjęta do pracy, ale nic z tego. Nikita miał złą wiadomość - nie spodobałam się panu rotarianinowi.



Uważa, że takich przesadnie bystrych osób nie powinno się dopuszczać do sprzedaży proszku do prania. Cóż, to przykre, ale zrozumiałe - zląkł się konkurencji z mojej strony (najpierw otworzę swój *branch*, a potem zrobię mu *take over...*).

Problem pracy pozostaje otwarty.

*4 kwietnia, środa*

Dziś wieczorem konsultowałam Łysego (za nic nie mogę się przyzwyczaić do nazywania go Sponsorem). Okazało się, że Łysy ma całą masę problemów (podejrzewam, że to wszystko wcale nie jest takie proste - może on po prostu lubi, kiedy ktoś go słucha). Problem Łysego na dziś to pieniądze, tak jak u mnie.

Po tym, jak zapłaciłam Irinie Andriejewnie, zostało nam z Murą tylko na jeszcze jeden plastikowy pierścionek (Mura chce niebieski, a ja bym wolała zielony, pod kolor oczu).

Czy powinnam zrewidować cały system naszego gospodarowania, czy poprosić Denisa o pieniądze za następny miesiąc z góry? (Będzie wrzeszczał, że jesteśmy z Murą znane rozrzutnice, a on nie jest milionerem).

Denis wie, że ja wiem, że on da, i te jego krzyki to czysta formalność, coś w rodzaju przedśmiertnego trzepotania skrzydełkami przez motyla, a jednak żal mi go... Dlatego zapytałam Murę, co sądzi o kaszy błyskawicznej na śniadanie, obiad i kolację przez trzy dni, do wypłaty. Mura zgodziła się na błyskawiczną gryczaną i ryż, to dobrze.

No więc Łysy ma ten sam problem co ja - z pieniędzmi.

Coś mu się nagle stało. Już od tygodnia nie wiadomo czemu boi się wydawać pieniądze: nie kupuje ubrań, sprawdza wszystkie paragony w sklepach spożywczych i wybrał się nawet do hurtowni „Wstążka”. A wczoraj zastanawiał się przez cały dzień, jak zdołał zjeść tyle jogurtów?

Kilka razy w tym tygodniu Łysy był ze znajomymi w restauracji i tam jego problem z pieniędzmi też dawał o sobie znać. Za każdym

razem, gdy dochodziło do płacenia rachunku, Łysy zrywał się i wybiegał bez pożegnania. Po prostu nie był w stanie rozstać się z pieniędzmi! Co tu zresztą dużo gadać - wstrzymał nawet roboty przy wznoszeniu na naszym podwórzu wieżyczki do obserwowania prospektu Włodimirskiego i rozważa ewentualność wycofania swego wkładu w gorące posiłki dla konsjerżki.

Wygląda na to, że zbyt pochopnie zgodziłam się na barter - nie przypuszczałam, że natknę się na tak trudny problem jak pieniądze... Strasznie się zdenerwowałam i zlekłam (ale barter to barter i teraz muszę mu udzielić porady psych.).

- E-e... pańska przypadłość to problem bardzo typowy wśród ludzi bogatych na całym świecie.

Łysy natychmiast aż napęczniał z dumy, a ja wciąż jeszcze nie wiedziałam, co począć.

- Wiem dokładnie, co należy zrobić - oznajmiłam. - Sto razy miałam do czynienia z cierpiącymi na to schorzenie ba-ardzo bogatymi ludźmi z całego świata, a teraz zajmę się panem...

Łysy wyprostował się dziarsko, jak dwójkowicz, którego wybrano na starostę klasy.

- Musi pan spełnić trzy dobre uczynki - powiedziałam twardo. - Trzy razy wydać pieniądze nie na siebie. Modernizacja podwórka i dożywanie konsjerżki się nie liczą. Musi pan wydać pieniądze na konkretne osoby.

- A z jakiej racji?! - oburzył się Łysy.

- Wszyscy bogacze tak się leczyli - przypomniałam mu. - Ale jest pewien warunek. Jeśli choćby w jednym z trzech przypadków pożaluje pan wydanych pieniędzy - wszystko przepadło, musi pan zacząć od nowa.

Mam nadzieję, że Łysy nie czytał w dzieciństwie o chłopczyku, który spełniał dobre uczynki, żeby otrzymać czarodziejską różdżkę.

- Za tydzień przyjdzie pan do mnie z raportem. A więc - trzy dobre uczynki! I proszę pamiętać: musi się pan cieszyć, że może

pomóc ludziom swoimi pieniędzmi!

*5 kwietnia, czwartek*

O dziesiątej rano dziwny telefon - Andriej.

- E-e... Jak tam z fizyką? Czy... kche, kche... dobrze rozwiązałem zadania?

Nie chcąc go martwić, powiedziałam, że dobrze, a tak naprawdę nie mam pojęcia i Mura chyba też nie.

Andriej milczał. Ja też milczałam, opowiedziałam mu tylko szczegółowo o mojej nieudanej karierze w dziedzinie proszków do prania.

- Czy naprawdę mu się nie spodobało, że od piątego roku życia umiem liczyć? - spytałam.

- Kche... hm... Znam tego rotarianina - powiedział Andriej i dodał, że nie mam absolutnie nic do roboty w biznesie.

Wtedy zapytałam go, czy jest członkiem klubu rotariańskiego, na co wydał jakiś dziwny dźwięk, coś pośredniego między zwykłym parsknięciem i niegłośnym warkotem, z czego wywnioskowałam, że tutejsza organizacja ludzi wpływowych nie cieszy się jego szacunkiem. Powiedział, że to po prostu duże składki członkowskie, wnoszone do bardzo niemiłego towarzystwa.

Skoro tak, to dobrze, że nie będę pracować u tego grymaśnika. Miałam wielką ochotę zapytać, ale się nie odważyłam, kim w takim razie jest sam Andriej, skoro zapraszano go do klubu rotariańskiego - magnatem prasowym, właścicielem targowiska, działaczem politycznym?

Andriej milczał tak długo, że poczułam się niezręcznie, i żeby przerwać milczenie, rzuciłam:

- Chciałby pan gdzieś się wybrać?

Andriej odparł, że tak, jutro wieczorem, bo potem nie będzie mógł.

- Dokąd pójdziemy? - spytałam.

- E-e... wszystko jedno.  
- Jutro jest w filharmonii dobry koncert - powiedziałam z pytającą intonacją, żeby mu pozostawić możliwość odwrotu; a nuż zgodził się tylko z grzeczności i teraz żałuje...

- Mogę najwcześniej o ósmej.

Co to znaczy „mogę”? Czy on uważa, że każdy może wyznaczyć koncert na odpowiadającą mu porę?

- Ale filharmonia akurat wtedy nie może.

- Hm... - westchnienie, niewielka pauza. - O szóstej... - długa pauza, westchnienie - ...pod pani domem. Hm... Do zobaczenia.

Filharmonia to jedyne właściwe miejsce na spotkanie z Andriejem, ponieważ:

1. Niech sobie nie myśli, że skoro poluję na wysoko postawionych dygnitarzy, to nie mam potrzeb kulturalnych.

2. I dobrze mu tak. Mógłby sam coś zaproponować, taki Roman zawsze miał mnóstwo pomysłów...

Wieczorem powiedziałam Alonie, Oldze, Żeńce i Irce Chomik, że traktuję to nie jak randkę, ale jak spotkanie świadków w ramach przygotowań do procesu. Taki seksowny, nonszalancki przystojniak na pewno ma kupę kobiet. Zgodziły się ze mną wszystkie poza Irką Chomik.

Irka powiedziała:

- Nie szkodzi, ta kupa na niego zaczeka.

Może nie mam racji, nieco ją lekceważąc i nie uważając za najmądrzejszą z moich przyjaciółek?

*6 kwietnia, piątek*

Wysłałam z domu o szóstej trzy (zawsze dobrze jest trochę się spóźnić). Na ulicy koło mojego domu nikogo nie było (ale co to znaczy nikogo? Było mnóstwo różnych ludzi, wśród których stałam,

rozglądając się na wszystkie strony, jak idiotka, którą wystawiono do wiatru).

Postanowiłam się schować w sklepie „24 h” i obserwować ulicę przez szybę.

Nie mogę powiedzieć, że bym była na niego bardzo obrażona za spóźnienie, jako że od początku nie traktowałam całego tego draństwa jako randki, tylko po prostu myślałam: a nuż przerodzi się to w romantyczny wieczór - najpierw posiedzimy w kawiarni, potem pójdziemy do filharmonii i może on weźmie mnie za rękę, jak w piątej klasie.

Czarny land-rover pojawił się o szóstej dwadzieścia dwie. Dla zachowania twarzy kupiłam batonik czekoladowy, odczekałam jeszcze trzy minuty i ruszyłam do samochodu.

- Napijemy się kawy? - zaproponowałam. - Gdzie?

Andriej wzruszył ramionami - gdzie pani chce.

W „Café Sol” on zamówił podwójne espresso, a ja cappuccino i duże ciastko z jagodami (miałam jeszcze ochotę na ciastko z malinami i naleśnik z serem, ale wstydziłam się powiedzieć).

Ledwie rozsiedlił się przy stoliku i obdarzyła Andrieja jaśnym, zadumanym uśmiechem, kiedy w jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Przecież ci... (niezroz.)... powiedziałem, żebyś... rrr... - warczał gniewnie - a ty... rrr... (niezroz.).

Piłam spokojnie kawę, nie okazując żadnego zniecierpliwienia, czekałam, aż Andriej rozwiąże swoje palące problemy i zaczniemy gawędzić o tym i owym.

Wreszcie przestał warczeć; otrząsnęłam się i powiedziałam:

- A... - ale telefon zadzwonił znowu.

- Wagony mi stoją!... - wrzeszczał Andriej cichym, strasznym głosem - ty, taka twoja... - dalej znów niezrozumiale, szeptem, odwrócony, z zasłoniętymi ręką ustami, ale wszystkiego się domyśliłam.

Pałam w zamyśleniu i udawałam, że znamy się sto lat albo nawet

jesteśmy małżeństwem: mąż biznesmen, gdzie tylko na chwilę przysiadzie, tam zaraz zaczyna pracować, a żona pisarka także tu, w kawiarni, obserwuje życie i obmyśla fabułę.

\*

...Jest mi przykro, okropnie przykro! Andriej nie odezwał się do mnie ani słowem, mówił tylko do telefonu... Po co w takim razie zaprosił mnie do filharmonii?

Postanowiłam, że się nie obrażę, w końcu dla prawdziwego mężczyzny wagony są ważniejsze niż ja, a poza tym nie jestem głupiutkim podlotkiem i potrafię się czymś zająć. Na przykład teraz, kiedy on wrzeszczy do telefonu, mogę się zastanowić: czy on jest żonaty, czy nie?

Jest taki krab, którego jedne szczypcy to przysmak, a drugie nic ciekawego. Poławiacze krabów odcinają mu te delikatesowe szczypcy, a stworzenie wrzucają z powrotem do morza. Głupi krab chowa się w ustronnym miejscu i hoduje nowe szczypcy. I zamiast siedzieć rozsądnie na miejscu, znów daje się złowić, poławiacze znów odcinają mu te pyszne szczypcy...

Otóż ja także z wielkim trudem wyhodowałam sobie nowe szczypcy, ale za nic w świecie nie dam się ponownie złapać. Nie jestem jakimś głupim krabem, żeby jeszcze raz mieć do czynienia z żoną i fałszywą teściową!

Jakaż to byłaby szkoda, gdyby jednak był żonaty... To jakbyś miała pięć lat i wyciągała rączkę po lalkę, a lalka okazuje się cudza, więc sięgasz po drugą - ta też jest cudza, nie twoja, i ta również, i ta... Gdzież wobec tego jest twoja?! To znaczy moja...

Rozmyślając o życiu krabów, nie zauważyłam, że Andriej rozmawia, to jest wrzeszczy, dobre dziesięć minut. Prawie definitywnie postanowiłam, że wstanę i opuszczę tę romantyczną ucztę. Tym bardziej że powinniśmy już ruszać do filharmonii.

- Koncert nam się wścieknie - powiedziałam w nadziei, że An-

dziej się uśmiechnie.

Ale się nie uśmiechnął. Nie odrywając się od telefonu, zapłacił, i pojechaliśmy na koncert.

\*

W filharmonii panuje szczególna atmosfera - to wysepka zupełnie innego życia.

Całe dzieciństwo przemęczyłam się w tej sali, dokładnie w czter-nastym rzędzie. A jeżeli człowieka zmuszano do czegoś, czego potwornie nienawidził, ale był za mały i jeszcze nie umiał stawiać oporu, to potem, kiedy dorośnie i już nikt go nie może zmuszać, nie wiadomo czemu robi to sam z siebie... Właśnie z tego dziwnego powodu nadal chodzę do filharmonii, zwłaszcza że są tam moje filharmoniczne staruszki, wciąż te same - w białych bluzkach i srebrnych fryzurach. Były już takie, kiedy ja byłam mała. A poza tym - mają twarze. Twarze ludzi z tej właśnie wysepki innego życia.

No i niewypał. Myślałam, że w pierwszej części będzie Bach - jest melodyjny i każdy może go przeżyć. A na drugą część postanowiłam nie zostawać - miał to być koncert na wiolonczelę z orkiestrą jakiegoś nieznanego mi kompozytora. Zamieniono jednak kolejność i teraz zamiast pierwszej części rozpoczęto drugą.

Z programu dowiedziałam się, że ów nieznan mi kompozytor jeszcze żyje i jest nawet trochę młodszy od nas. Może nie okazać się tak nieszkodliwy jak Bach. I będzie jeszcze wokalista; podejrzewam, że Andriej nie przepada za wokalem.

Trwał koncert na wiolonczelę z orkiestrą. Kątem oka obserwowałam Andrieja - wyglądało na to, że mu się podoba. W każdym razie oczy miał zamknięte. Prawdziwi melomani zawsze słuchają muzyki z zamkniętymi oczami.

Oj! Podskoczyłam z przestachu. Sapie! I chyba jeszcze pochrapuje na wdechu! Co robić?! No trudno, jest zmęczony, to niech śpi, ale te dwie baby przed nami... oglądają się i psykają. Udałam, że Andriej

nie jest ze mną.

Pochylił się do przodu! Przeleżałam się, że upadnie prosto na te baby, i przytrzymałam go za rękaw. Gdybyśmy byli sobie bliżsi, wiedziałabym, jak się zachowuje w towarzystwie - czy na przykład ma zwyczaj chrapać i przewracać się w przejście, czy pośpi sobie kulturalnie i w antrakcie się obudzi. A tak to się oczywiście strasznie denerwowałam.

Andriej przespał cały koncert na wiolonczelę z orkiestrą i obudził się dopiero na głos śpiewaczki.

Odwrócił się w moją stronę z dziką zgrozą w oczach, widać czegoś TAKIEGO się nie spodziewał.

Pochylił się do mnie - czyżby zamierzał czule podmuchać mi w uszko?

- Czy tu jest bufet?
- E-e... tak... często można tu dostać słodkie bułeczki z „Metropolu”.
- Dlaczego w filharmonii nie ma miejsc sypialnych?
- W następnej części będzie Bach - usprawiedliwiałam się.
- Przy Bachu śpię jeszcze lepiej - zapewnił mnie Andriej, zsunął się trochę w dół, otworzył program i wyciągnął długopis.

Widać jest jednak człowiekiem o wyrobionym guście muzycznym - proszę, jak uważnie studiuję program, zaznaczając utwory, które mu się spodobały.

Tu Andriej trącił mnie łokciem i pokazał program:

Cykl pieśni na głos i orkiestrę smyczkową  
do wierszy Rimbauda  
Fanfary  
Miasta  
Flota  
Interludium  
Piękno  
Parada



## Odjazd

- To już koniec! Zaraz będzie *Odjazd* - szepnęła radośnie. Okazało się, że wykreślał to, co śpiewaczka już wykonała...

\*

Oklaskiwałam artystkę razem ze wszystkimi.

- To antrakt czy koniec? - zapytał rzeczowo Andriej.

- Antrakt - odrzekłam i dodałam mimochodem: - Nawiasem mówiąc, na widowni nie spał nikt poza panem. Mówię to po prostu dla informacji.

- Ja już się wyspałem, na drugiej części będą spać inni - odparł łagodnie Andriej.

- Za żadne skarby nie wyjdę! Wysłucha pan uwertury w pięciu częściach - powiedziałam mściwie.

- W pięciu częściach?! - powtórzył z westchnieniem Andriej i poszliśmy do bufetu.

Miałam wielką ochotę na bułeczki; są w dwóch rodzajach - czasem z bitą śmietaną, a czasem z kremem. Ale ja zapatruję się na życie optymistycznie i zawsze liczę na bitą śmietaną.

Andriej dowiózł mnie pod dom i pośpiesznie odjechał. Nie powiedział ani słowa o tym, jaki to był cudowny wieczór i jak mu się podobał wokół, i nawet nie wspomniał o następnym spotkaniu... a Roman zawsze mówił mi na pożegnanie, dokąd pójdziemy następnym razem...

Dzwoniły dziewczyny i chciały się dowiedzieć, jak poszło.

Alona oświadczyła, że jestem głupia i przepuściłam takiego chłopca (Alona nigdy go nie widziała i w swojej opinii opiera się wyłącznie na szacunku dla land-roverów, oczywiście poza moim. Apropoz, zderzak już prawie odleciał, trzyma się, jak mawiała moja babcia, na słowo honoru). Powiedziała, że powinnam raczej pójść z nim do sali kon-

certowej „Oktiabrskaja” na koncert Wierki Sierdiuczki albo Klarki Woniuczki - wtedy być może zbliżyłby nas humor. Alona wyczytała w książce o seksie, że humor zbliża, i zamierza dziś w sypialni puścić Nikicie kasetę z koncertem Petrosjana. Kasetka erotyczna na niego nie podziałała, ale jest pewna, że Petrosjan pomoże.

Belferskim tonem, jakby przemawiała nie do mnie (doktora psych. itepe), ale do swych synów dwójkowiczów, Alona opowiedziała mi o pewnej swojej znajomej.

Znajoma:

1. Czytała tylko *Harry'ego Pottera*, była więc całkowicie otwarta na wszelkie intelektualne prądy (nie to co ja. Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta zbyt dużo czyta).

2. Poznała kogoś na ulicy, ale ten ktoś prócz ulicy ma jeszcze luksusowe mieszkanie.

- Czy wiesz przynajmniej, gdzie ten Andriej jest zameldowany? - zapytała Alona surowo. - A może jest bezdomny i nocuje w land-roverze?

3. Jeździła po Newskim kabrioletem i wyrzucała oknem podarowane przez tego kogoś białe róże (a ja jestem kryminalistką, wmieszaną w podejrzaną kolizję drogową).

Ten ktoś okazał się człowiekiem bardzo zamożnym.

- A czym się zajmuje twój Andriej? - zainteresowała się Alona. - Pytam cię jak matka!

Powiedziałam, że nie wiem, ale w jego samochodzie zawsze leżą ogromne gumki, a przez telefon wrzeszczy o jakichś wagonach.

- Jest dróżnikiem? - wyraziła przypuszczenie Alona. - Czy może maszynista? To skąd by miał land-rovera?

Notabene, ten ktoś po dwóch dniach znajomości i rozjeżdżania kabrioletem zaproponował znajomej Alony małżeństwo, podczas kiedy mnie nie zaproponowano nawet pójścia do kina.

Aż do bólu zazdrościłam znajomej Alony... Niechby tak nam obu z tą znajomą trafiło się owo nieoczekiwane szczęście! Na przykład jej

mieszkanie i małżeństwo, a mnie... ja bym chciała rzucać i rzucać róże z kabrioletu!

W rzeczywistości jest to genialnie wyrażona formuła kobiecej przyjaźni - jedna przyjaciółka nie ma nic przeciw temu, żeby drugiej świetnie się wiodło, ale niech i jej tak się wiedzie. Męską przyjaźń wśród kobiet spotyka się bardzo rzadko, tylko u mnie z Aloną, Olgą, Żeńką i Irką Chomik.

Nasza przyjaźń wytrzymała wszystko. Nawet kiedy Żeńka kupiła sobie na wyprzedazy sweter Betty Barclay za jedyne dziesięć euro, a dla mnie zabrakło, trzymałam się, tylko zażądałam, żeby oddała mi za to swoje spodnie narciarskie od Calvina Kleina.

Znowu zadzwoniła Alona. Dopiero co rozmawiała ze swoją znajomą - narzeczony już nieaktualny. Znajoma Alony źle go zrozumiała w kwestii małżeństwa. Poza tym okazało się, że facet ma zbyt dużą głowę ze skłonnością do łysienia (aha, aha, a Andriej jest za to wysoki, zgrabny, męskie rysy, lekki ślad wczorajszego zarostu, niski głos itede).

*7 kwietnia, sobota*

Madryt, zamach terrorystyczny.

Przez cały dzień myślę o młodym Hiszpanie. W tym pociągu były jego żona i mała córeczka. Żona w niebieskiej sukience z różowym kołnierzykiem, z koszykiem w ręku, a córeczka w białym koronkowym fartuszku, jak na obrazach Goi. I nagle on się dowiedział, że ich nie ma... z telewizji, w czasie przerwy obiadowej w swoim biurze...

Wymyśliłam tego mężczyznę, on tak naprawdę nie istnieje, ale przez cały dzień łamię sobie głowę, jak będzie dalej żyć.

W telewizji mówią, że nie jest to ostatni atak terrorystyczny na świecie. To znaczy, że kiedyś znów będą ofiary (oby to nigdy nie nastąpiło!) i o nich też powiedzą w telewizji, i wszyscy będą się wzdrygać i płakać, o tym mężczyźnie zaś zapomną, a przecież on

nigdy już nie będzie miał żony w niebieskiej sukience z różowym kołnierzykiem i córeczki w białym koronkowym fartuszk.

*10 kwietnia, wtorek*

Wieczorem konsultowałam Łysego. Przyszedł zadowolony, z listą swoich dobrych uczynków, i zaczął z dumą odczytywać:

1. Kupiłem pobliskiemu przedszkolu dziesięć lalek i modele samochodzików - lamborghini, ferrari, mercedesa, subaru imprezę WRX.

- Model ferrari zostawiłem sobie, nie mogłem się z nim rozstać, to nie szkodzi? - Łysy zerknął na mnie z obawą.

Kiwnęłam głową, że na razie w porządku, zobaczymy, co będzie dalej.

2. Przeprowadziłem przez ulicę staruszkę i niepostrzeżenie wsunąłem jej do kieszeni pięćset rubli.

Uważam, że Łysy szachruje - bardzo prosił, żebym mu zaliczyła staruszkę za dwa dobre uczynki, ale ja byłam nieugięta.

- Jedna staruszka - jeden dobry uczynek! - powiedziałam twardo.

Łysy powiedział, że jego partnerzy też chcą mieć osobistego psychologa i robić dobre uczynki. Cieszę się - im więcej klientów, tym szybciej się poprawi moja sytuacja materialna, a wtedy nie będę musiała zmieniać zasad prowadzenia domu i łąać Irinie Andriejewnie, że jestem na specjalnej modnej diecie, składającej się tylko z kaszy błyskawicznej.

- Jesteśmy dziś z Murą zaproszone do podmiejskiej restauracji - powiedziałam Alonie i zabrzmiało to tak pięknie, że trochę się zdziwiłam, kiedy zrozumiałam, że po prostu jedziemy szosą prosto przed siebie (choć to bez wątplenia o wiele ciekawsze niż jazda do jakiegoś określonego miejsca). Wreszcie znaleźliśmy restaurację i był

to prawdziwy fuks, w każdym razie Andriej wyraźnie się tego nie spodziewał.

Okazało się, że baraczek w Riepinie, gdzie w czasie studenckich wakacji kupowałam kiełbasę i ranne pantofle, parę lat temu został przerobiony na restaurację, pretensjonalną w kwestii wystroju i wyszkolenia kelnerów, i prestiżową w kwestii menu i cen.

Odwieczny problem: jeśli wybierzesz najdroższą potrawę, sama sobie wydajesz się żarłokiem, jeśli najtańszą - prostaczką, którą można było ufetować kiełbaską w ulicznym kiosku, wobec czego po prostu stuknęłam palcem w jakąś rybę, a Mura z Andriejem studiowali szczególnie jadłospis, zawisając nad każdą linijką jak prawdziwi smakosze.

- Nie będę pił - powiedział Andriej. - Wczoraj... kche, kche... byłem w bani, jeszcze odrobinę nie doszedłem...

- Dokąd? - zainteresowałam się uprzejmie.

Andriej popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Może nie powinnam była pytać dokąd? Wielu mężczyzn nie znosi, kiedy się ich wypytuje, dokąd idą, uważając to za zamach na ich swobodę poruszania się.

Delektowaliśmy się jedzeniem i gawędziliśmy. Pierwsze skrzypce w rozmowie grała Murka, a ja siedziałam i zastanawiałam się - dlaczego ludzie ukrywają przed sobą nawzajem swoje myśli? Na przykład teraz będę się dławić drogim jedzeniem, myśląc przy tym, że nie mam za co kupić niezbędnych składników mojego i Mury pożywienia (camembert, kiełbasa), ale nie mogę się podzielić tą zabawną historią z Andriejem, a tak byśmy się oboje uśmiali...

Kelner, niewysoki czarniawy młodzieniec, prawie nie odchodził od naszego stolika, i najpierw myślałam, że taka tu jest doskonała obsługa, ale wkrótce zauważyłam, że on obsługuje tylko Andrieja. Delikatnie popiskując, krążył wokół niego i bezustannie przestawiał mu talerz i kieliszki. Parę razy musnął dłoń Andrieja - kiedy podawał gorące dania.

Miło mi, że Andriej tak się wszystkim podoba, rzeczywiście sta-

nowi egzemplarz rzadko spotykanej absolutnie męskiej urody. My z Murą oczywiście nie byłyśmy zazdrosne, ale było nam trochę przykro, że naszego towarzysza na zabój kokietuje ktoś inny.

Spoglądałyśmy na siebie porozumiewawczo i głośno chichotałyśmy, ale kelner był całkowicie pogrążony w swoich uczuciach, a Andriej w ogóle niczego nie zauważył...

W drodze powrotnej wśród nieprzejrzanego mgły wyciągaliśmy z rowu ostrzyżonego na języka chłopaka. Długo, prawie godzinę. Kiedy Andriej i Jeżyk mocowali hol, rozmyślałam, jaki z tego Andrieja dobry, szlachetny człowiek. Uratował mnie, teraz ratuje Jeżyka...

Zawsze staram się pamiętać, że wszystko na świecie obraca się na dobre, i ten uwięziony w rowie Jeżyk okazał się czymś w rodzaju anioła na naszej drodze: podczas ratowania chłopca bardzo się z Andriejem zbliżyliśmy, na co w zwykłych, nieekstremalnych warunkach potrzebowalibyśmy miesięcy lub lat. Aby się zbliżyć, dobrze jest trafić razem pod ostrzał, oczekiwanie w korku też może być, może się także zawalić dach stodoły, w której przypadkowo znaleźliście się we dwoje - to też, owszem, zbliża, ale najlepiej jest kogoś wspólnie uratować.

Ratując Jeżyka, niechcący przeszliśmy z Andriejem na „ty”. W naszym wieku jest to już problem, toteż uważam owo wydarzenie za duży postęp.

Niedawno, idąc ulicą, zobaczyłam ogromnego, niezwyklej urody landcruisera. Ledwie się zatrzymałam, by mu się przyjrzeć (nie mam zwyczaju gapić się na samochody jak mali chłopcy, ale landcruiser był naprawdę piękny), kiedy dwaj ochroniarze zaczęli z niego wyciągać grubego facia w garniturze i wyciągnęli go prosto na mnie.

- Ojej, to ty, to ty! - zapiszczałam, a gruby facio wyrwał się ochroniarzom i rzucił mi się na szyję z krzykiem:

- To ja! A to ty?!

Ale gruby facio i ja chodziliśmy do jednej klasy (Jurka Pietrow siedział za mną, teraz handluje ropą naftową, a wtedy wiecznie sypał

mi za kołnierz drobniaki), a z nowymi dorosłymi znajomymi człowiek nigdy nie wie, kiedy można szybko przejść na „ty” - w sex shopie, w milicji? A może tylko podczas seksu, a potem znowu na „pan”? Albo dopiero kiedy razem odchowamy wnuki?

- Dawaj tu podnośnik! - wrzasnął Andriej, obejrzałam się w poszukiwaniu owego „dawaj”, ale okazało się, że „dawaj” to ja.

- No coś ty mi przyniosła, nie wiesz, co to jest podnośnik?

I „coś ty mi przyniosła” też było do mnie - a więc na pewno jesteśmy na „ty”.

Ciągnęliśmy i ciągnęliśmy Jeżyka na holu do miasta. Nigdy nie myślałam, że to zajmuje tyle czasu, około dwóch godzin. Andriej co chwila wyskakiwał z samochodu, coś poprawiał, udzielał wskazówek i stopniowo ogarnęła go taka czułość dla Jeżyka, jakiej doznajemy tylko wobec osób, któreśmy uratowali (mnie nic nie ogarnęło, byłam strasznie śpiąca).

Kiedy po jakichś trzech godzinach wjechaliśmy wreszcie do miasta po światowych rozrywkach w podmiejskiej restauracji, zapytałam ostrożnie Andrieja, czy Jeżyk nie ma jeszcze jakichś bliskich ludzi poza nami, bo może teraz nadeszła ich kolej udzielenia mu pomocy.

- A po co? - odparł ze zdziwieniem Andriej. - Przecież my jesteśmy na miejscu. Sami go doholujemy.

I poholowaliśmy Jeżyka przez miasto w kierunku przeciwnym do naszego domu (to już było zupełnie głupstwo, najwyżej godzina dwadzieścia minut).

Cała ta akcja dobroczynna trwała około czterech godzin, a ja ciągle myślałam: już niedługo powinniśmy z Murą wstawać, a jeszcześmy się nie położyły. I że przestawanie z bardzo dobrym, szlachetnym człowiekiem ma też swoje niewielkie minusy. Chociaż z pewnością życie z nim w jednej rodzinie byłoby komfortowe - zawsze wiedziałabym, gdzie on jest: albo operuje podnośnikami na drogach całego regionu, albo występuje jako świadek w cudzych wypadkach drogowych.

- Wpadnę w sobotę w sprawie fizyki i w ogóle - powiedział Andriej na pożegnanie.

Hm... W sobotę Mura jedzie z klasą do Komarowa na cały weekend. A więc będziemy sami.

Dziś było nasze czwarte spotkanie, jeżeli liczyć od samego początku. Chyba najwyższy czas, żebyśmy pobyli sam na sam, bo inaczej nigdy nie będzie o miłości!

...Może to dobrze rokuje, że mamy tyle wspólnych spraw (Jeżyk etc).

Po przeżytych dramacie muszę być ostrożniejsza w swoich uczuciach.

Będziemy sami... Będziemy sami?... Będziemy sami!

*14 kwietnia, sobota*

Czy on ma świadomość, tak jak mam ją ja, do czego może doprowadzić nasza pierwsza prawdziwa randka? Bez Mury, bez piśkliwej śpiewaczki, bez kelnera homosia i Jeżyka we mgle?...

Czy on myśli od samego rana, tak jak myślę ja, że będziemy zupełnie sami, nie licząc oczywiście Lwa Jewgienjewicza, Sawwy i Gantenbeina?

Czy on wie, tak jak wiem ja, że Sawwę można wysłać na dwór, Gantenbeina postawić na bieżni, a Lwa Jewgienjewicza zamknąć w kuchni sam na sam z lodówką?

I wreszcie, czy on teraz kupuje seksowną bieliznę, tak jak robię to ja (jestem w sklepie „Dzika Orchidea”)?

Chociaż co ja gadam... taki mężczyzna (wysoki, zgrabny, męskie rysy, lekki wczorajszy zarost, niski głos etc.) nie potrzebuje żadnej seksownej bielizny. Oczywiście setki razy był w takich sytuacjach i setki kobiet same wieszaly mu się na szyi i wiszą tam do tej pory... i tak dalej.

Ale mnie prawdziwie seksowna bielizna jest absolutnie niezbędna



(po prostu na wszelki wypadek, żebym się czuła spokojniejsza).

Przypomnijmy sobie smutne doświadczenie - Romanowi podobały się komplety. Pozostaje mi tylko wybrać komplet. Od razu odrzuciłam kokardy, strasy, paciorki i inne ozdóbki. Bielizna powinna być piękna, ale skromna, żeby on nie pomyślał, że wystroiliam się specjalnie dla niego i codziennie chodzę w piórach jak kogut.

W bieli podświadomie czujesz się kobietą; majtki i stanik czarne z czerwonym nasuwają myśli o prymitywnym domu publicznym z czasów *Jamy*\*; kolor żółty niekorzystnie podkreśla bladość skóry i w ogóle nadaje się tylko dla idealnych figur, a niebieski i różowy przypominają wzruszające dziecięce majtasy z czasów radzieckich...

\* Powieść z życia prostytutek (1909-1915) pióra Aleksandra Kuprina (przyp. tłum.).

Czarny? Hm, czarny... Tak jest, w czarnych koronkach będę wyglądać jak prawdziwa kobieta, dojrzałe namiętka, a jednocześnie skromna i o dobrym guście.

Znalazłam bardzo ładny czarny komplet ze srebrzystymi koronkami. Może to przesada?... Nie, wcale nie przesada, w sam raz!

...Chyba jednak przesada - to bardzo drogie, cała moja pensja... Co to za sprawiedliwość społeczna, żeby człowiek, który przez cały miesiąc bez wytchnienia krzewi w narodzie idee rozumne, dobre, wieczne, pod koniec miesiąca mógł sobie za to kupić tylko majtki i stanik ze srebrzystymi koronkami, po czym nie starcza mu nawet na pończochy?

Kupiłam w tureckim sklepiku naprzeciw „Orchidei” sympatyczny komplecik trzy razy tańszy i wcale nie gorszy, i jestem zadowolona.

Po przyjsciu do domu wystroiliam się w nowe majteczki i stanik i zadzwoniłam do Alony. Zapytałam, czym mogłabym zadziwić Andrieja w kwestii jedzenia.

- Jeżeli chcesz go zadziwić, ugotuj mu pielmeni Daria, tak z pewnością nikt go jeszcze nie podejmował - powiedziała Alona.

Przysięgłam Alonie, że tym razem jestem kulinarnie bardzo po-

ważnie nastawiona.

- To zrób mi erotyczną hiszpańską zupkę - zachichotała Alona. - Podobno efekt jest niesamowity.

(Alona wypróbowała już erotyczną zupkę na Nikicie, ale Nikita się nie liczy - zakąsił zupkę makaronem po marynarsku i zlikwidował cały efekt).

- Przepis jest bardzo prosty, nawet ty sobie z tym poradzisz. - Zdawało mi się, że słyszę w tych słowach nieprzyjemny podtekst. - Słuchaj.

1. Rozetrzeć 10 dag orzeszków piniowych (mam naderwaną torebkę nerkowców) z trzema żółtkami.

2. Dodać szklankę rosolu z kury (mam kostki rosolowe Maggi) i szklankę śmietanki (śmietanka czy mleko, nie widzę różnicy).

3. Podgrzewać na wolnym ogniu (nie odchodzić ani na chwilę, pamiętać o wszystkich spalonych garnkach, ale przecież wszystkich nie sposób spałnić), doprawić szafranem (mam sól i pieprz).

4. Wlać parę łyżek hiszpańskiej anyżówki (akurat mam martini).

\*

Postanowiłam nie gotować zupki.

A może jednak ugotować? Tym bardziej że mam wszystkie składniki.

Ugotowałam zupkę i upiekłam szarlotkę.

Słyszac dzwonek do drzwi, szybko naciągnęłam pończochy. (Pończochy samonośne kupiłam po prostu na wszelki wypadek, cieliste, z szeroką koronkową gumą. Sprzedawczyni powiedziała, że to zupełnie nowy, ulepszony model, który może odmienić świat - koronkowa guma jest o dwa centymetry szersza niż w dotychczasowych modelach).

...W pończochach już na pewno jestem prawdziwą kobietą!

Miałam kiedyś znajomą lekkiego prowadzenia, to jest początkowo

nie wiedziałam, że jest prostytutką, myślałam, że po prostu lubi co wieczór siedzieć sama w bardzo drogich hotelach i wychodzić stamtąd z różnymi kawalerami. Kiedyś złapał mnie deszcz niedaleko jej domu i wpadłam do niej pożyczyc suche skarpetki, bo moje przemokły.

- Nie mam w swojej garderobie czegoś takiego jak skarpetki - powiedziała ta pani i od tej pory wciąż się zastanawiałam, co też ona nosi do spodni, czyżby rajtuzy?

Teraz, poznawszy życie prostytutek z literatury (wszystko, co wiem, zawdzięczam książkom, w odróżnieniu od Olgi, która wszystko zawdzięcza filmowi), jestem pewna, że ta pani nosiła do spodni nie rajtuzy czy getry, ale pończochy samonośne. To okropnie niewygodne, bo pończochy się zsuwają, ale każdy zawód wymaga jakichś ofiar. Ja na przykład na egzaminie powinnam być Surowym Wykładowcą, a najbardziej bym chciała co prędzej puścić wszystkich do domu z czwórkami. Ale cóż robić, muszę udawać S.W. Dobrze, że przynajmniej mogę udawać S.W. w skarpetkach, a nie w pończochach.

\*

Weszliśmy z Andriejem do kuchni. Andriej - wysoki, zgrabny, męskie rysy, lekki wczorajszy zarost, niski głos etc, ja - w srebrzystych koronkach i pończochach samonośnych.

- Ach jej, zostawiłam szarlotkę na stole! Na pewno Lew Jewgienjewicz zeżarł! - krzyknęłam i w tym momencie ją zobaczyłam - jest moja szarlotka, pyszni się na brzegu stołu przypalonym bokiem. Hm... dlaczego Lew Jewgienjewicz pogardził moją szarlotką?

Andriej spokojnie jadł zupkę, a ja cały czas czekałam - zaraz przełknę jeszcze jedną łyżkę i...

Żadnego efektu, poprosił tylko o chleb do erotycznej zupki.

Podaliśmy mu pulpety mamy z kaszą gryczaną i zapiekankę z kartofli, wszystko nostalgicznie radzieckie. Nie wytrzymałam, zjadłam dwa pulpety i nieduży kawałek zapiekanki. Pyszne i takie jakies swojskie, jak obiad w przedszkolu.

Po pulpetach i zapiekance Andriej wypił dwie filiżanki herbaty i chyba marzył o trzeciej. To nasza pierwsza prawdziwa randka, jesteśmy sami już przeszło godzinę...

I tu skryzalizował się we mnie prawdziwy Uwodzicielski Plan.

Podeszłam do okna, nie tak sobie, ale w ramach Planu, odwróciłam się i zaczęłam czekać. Zgodnie z wszelkimi zasadami gatunku Andriej powinien podejść i udając, że po prostu także chce spojrzeć przez okno, objąć mnie z tyłu, a ja powinnam udawać, że zupełnie nie mogę się oderwać od jakiegoś interesującego widoku na podwórzu.

Następnie powinien przyciągnąć mnie do siebie delikatnie i zapytać: „Widziałaś kiedyś tyle gwiazd?”, po czym pocałować mnie na tle nieba, usianego miriadami diamentów... a potem kochać się ze mną na skórze przed kominkiem, w złocistym blasku płomieni...

\*

...Nie podchodzi, pije herbatę, chrupie obwarzanki (a szarlotka, co z moją szarlotką? I jemu, i Lwu Jewgienjewiczowi doprawdy trudno dogodzić)... Co innego, gdybym miała gwiazdy, kominek i skórę...

I wtedy stała się rzecz najstraszniejsza ze wszystkich, jakie mogą się przydarzyć prawdziwej kobiecie w pończochach samonośnych - pończochy zaczęły mi się zsuwać w dół. Dlaczego? U innych jakoś się trzymają. Nigdy nie zauważyłam kobiet drepzczących ulicą z pończochami ściągniętymi w harmonijkę przy kostkach, a mnie się to zaraz przytrafi... Co robić?

Nie podchodzi. Siedzi przy stole, pije herbatę.

- Nie masz czasem cytryny? - zapytał jak gdyby nigdy nic, jakby wcale nie jadł erotycznej zupki.

Do cholery, jakiej cytryny, kiedy pończochy zjechały mi już do kolan! Nie mogę odejść od okna, nie mogę, bo zaraz całkiem się zsuną. A poza tym nie mam cytryny.

Muszę coś zrobić, żeby do mnie podszedł! Z bliska będzie widział tylko moją twarz, a nie nogi w opadających pończochach.

- Popatrz, jaki... deszcz - powiedziałam zachęcająco.

Pije herbatę. Tak...

- Spójrz, jaki wielki samochód stoi na naszym podwórku! Co to za marka?

Andriej zerwał się od stołu i w jednej chwili znalazł się przy oknie.

- To zwykły volkswagen wielkości żiguli - powiedział rozczarowany.

- Znaczy, że mi się zdawało.

Teraz wreszcie mnie obejmie, teraz, zaraz! Tylko że ja nie mogę objąć jego, mam ręce zajęte - przytrzymuję pończochy na wysokości kolan.

- Kapie ci z kranu - powiedział Andriej i tak rączo rzucił się do zlewozmywaka, jakby tonął tam ktoś z jego bliskich. Z kranu rzeczywiście kapie, ale co z tego? Kapie już dwa lata i nie ma to żadnego wpływu na moje życie.

Andriej z pół godziny z przejęciem naprawiał kran, pokrzykując na mnie i używając nieznanych mi słów w rodzaju „kombinerki”, i odniosłam wrażenie, że nareszcie znalazł się w swoim żywiole.

W końcu, zakręciwszy kran na głucho, Andriej zaczął się nerwowo rozglądać w poszukiwaniu, co by tu jeszcze naprawić.

I wtedy przyszła mi do głowy pewna psych. hipoteza (zaskakująca, kontrowersyjna, ale wszystko, co nowe, z trudem toruje sobie drogę).

A może ON TAKŻE SIĘ BOI? TAK SAMO JAK JA?

Mężczyźni tylko wydają się tacy, jakby sami o wszystkim decydowali i niczego się nie wstydzieli. A jeśli mają takie same kompleksy jak my, a nawet gorsze? My przynajmniej wiemy na pewno, że tak czy owak jakoś sobie poradzimy z tym „pierwszym kontaktem seksualnym”, a oni nie - nie wiedzą.

Czy to możliwe, że mężczyźni myślą: a jeśli, nie daj Boże, się skompromituję?... Albo zbyt szybko, albo wcale... koszmar! Sytuacja jest tym trudniejsza, że wiele kobiet (wiem to z literatury oraz od moich przyjaciół mężczyzn) traktuje seks, a zwłaszcza pierwsze zbliżenie, jak imprezę w rodzaju koncertu estradowego - no, pokaż, co

potrafisz i jakiej mi dostarczysz rozrywki!

Oczywiście do młodych chłopców (zaczynając od wyrostków w rodzaju Teściowej-Sieriożki Pletniowa, a na dwudziestodzieciolatkach kończąc) to wszystko się nie odnosi, ale wśród mężczyzn po trzydziestce (Andriej ma tak na oko trzydzieści osiem, gdzie jest zameldowany, nie wiem, czy jest żonaty, też nie wiem) spotyka się już wielu pólimpotentów (to także wiem z literatury).

Wobec powyższego na miejscu mężczyzn po trzydziestce w ogóle wolałabym zrezygnować z seksu, żeby potem nie było żadnego wzajemnego niezrozumienia i problemów psych.

Moja hipoteza może się jednak okazać niesłuszna - to się w nauce zdarza nagminnie. Na przykład Andriej niczego się nie boi, tylko po prostu jestem mu obojętna. Tym bardziej że ja akurat mam się czego bać - zrobiła mi się fałdka na brzuchu... Od czasu, jak się rozstałam z Romanem (brzmi znacznie lepiej niż „Roman mnie rzucił”. To taki chwyt psych. - nie nazywać rzeczy po imieniu, ale tak, jak nam się bardziej podoba)... No więc, od tego czasu przybyło mi trzy kilogramy... a tak uczciwie, cztery (czekolada pomaga znosić przykrości, zwiększa ilość endorfiny w mózgu. Gdybym nie była psychologiem, nie wiedziałabym tego, ale „wiele wiadomości - wiele smutków”, w tym wypadku kilogramów).

Rozważając swoją hipotezę i zastanawiając się, czy nie napisać na ten temat artykułu naukowego, nie zauważyłam, że Andriej już od jakiegoś czasu mnie obejmuje i bezskutecznie szuka na moich plecach zapięcia stanika. A tam go nie ma, bo mój nowy stanik, czarny ze srebrzystymi koronkami, zapina się z przodu!

Niestety, nie potrafiłam całkowicie się rozluźnić.

1. Przychodziły mi do głowy myśli wcale nie liryczne - myślałam o bezpiecznym seksie.

Zdawałoby się, że dla osób naszego pokroju nie powinno to stanowić problemu, ale co konkretnie mam robić? Jesteśmy oboje ludźmi

nowoczesnymi, dokoła szaleje AIDS i różne takie... A więc konieczna jest prezerwatywa, dalej - Wyrób.

Tu jednak też mogą wyniknąć rozmaite sporne kwestie - kto powinien włożyć Wyrób i kiedy mianowicie, a poza tym co, jeśli Wyrób jest za duży albo za mały, albo w ogóle uwięźnie?

- Czy ty... czy?... - wybełkotałam coś niewyraźnie i Andriej niezupełnie mnie zrozumiał. Może pomyślał, że nagle rozboleła mnie głowa?

Możliwe, że ma ze sobą Wyrób. Ale jeżeli on... rozpatrzmy kilka wariantów:

a) myśli, że ja się obrażę, bo wyjdzie na to, że specjalnie wziął Wyrób ze sobą, wiedząc, że dziś TO się stanie - po zupce, pulpetach z kaszą gryczaną, zapiekance z kartofli, trzech filiżankach herbaty i naprawie kranu;

b) myśli, że ja się obrażę, że on zawsze ma przy sobie Wyrób, bo prowadzi bujne życie seksualne;

c) myśli, że ja się obrażę, że on chce użyć Wyrobu, bo to znaczy, że nie ma do mnie zaufania.

Mówiąc mu, że mam Wyrób, przedstawiłabym się jako osoba nieromantyczna i zbyt przewidująca. A może nawet rozwiązała - co to znaczy „mam”? Świadczy to o tym, że nie jestem wybredna w wyborze partnerów. I nie ufam jemu (por, poprzednie warianty, tylko na odwrót, kiedy on to ja, a ja to on).

Podjęłam rozsądną decyzję: zaryzykuję.

2. Niepokoiła mnie myśl o tym, jak wyglądam. Widok z boku - fałdka na brzuchu, widok z góry - cellulitis, widok z dołu - podwójny podbródek.

Uwodzicielska poza na boku - ładnie i minimum fałdek, tylko trzeba pamiętać, żeby wciągnąć brzuch. Ale jeśli będę leżeć nieruchomo na boku, on pomyśli, że jestem zimna.

Pomyślałam, że chyba dobrze być zwierzakiem. Jakie są tłuste

zwierzaki? Synowie Alony mieli kiedyś chomiki, a te dochowały się całej masy dzieci! Jestem prawie pewna, że gruby chomik nie myśli o tym, że ma drugi podbródek albo cellulitis na ogonie, i nie wstydzi się odwracać ogonem do partnera, tylko po prostu cieszy się życiem.

A on też ma niewielką fałdkę, ale ta fałdka nie budzi we mnie przykrych emocji, raczej przeciwnie... przecież mnie samej daleko do doskonałości.

3. Jest po prostu cudownie, ale czemu, no, czemu nie mogę się uwolnić od myśli, że a nuż on właśnie... jak ci z literatury, ci po trzydziestce?

...Och, dzięki Bogu, nie!

Alona mówi (przestudiowała książkę o seksie i teraz stale przekazuje swoje nowo nabyte wiadomości sztafetą mnie i Oldze), że mężczyźni tak się zawsze starają z nową partnerką, że sami mają z tego niewiele przyjemności.

Bardzo się niepokoiłam w tym względzie o Andrieja, ale on najwyraźniej też czytał tę książkę o seksie, bo zrobił wszystko, co mógł - i wkrótce nie byliśmy już nowymi partnerami, ale całkiem starymi.

Nieszczęśni dzisiejsi ludzie mają same problemy! A jak to, na przykład, bywało dawniej (wiem z literatury):

- Ach, zawładnął pan jedynym skarbem, jaki posiada cnotliwa dziewczyna! - To w wypadku utraty niewinności.

Albo:

- Ach, zawładnął pan jedynym skarbem, jaki posiada uczciwa kobieta! - To w wypadku utraty czci.

I partner od razu wie, że to poważna sprawa i trzeba dać jakąś odpowiedź - ożenić się albo powiedzieć „odczep się”.



A dzisiaj?!

Dzisiaj po akcie seksualnym wypada udawać, że nie zaszło nic szczególnego, więc bardzo się starałam pokazać Andriejowi, że wszystko to nie ma dla mnie większego znaczenia, że teraz będziemy rozmawiać na tematy ogólne i nie będzie żadnych „Ach, zawładnął pan jedynym skarbem, jaki posiada uczciwa kobieta!”.

Długo, do jakiejś czwartej rano, rozmawialiśmy dosłownie o wszystkim. To jest, ja rozmawiałam na różne tematy ogólne - o polityce, literaturze i sztuce. Oczywiście strasznie mnie korciło, żeby go spytać, czy jest żonaty, ale Andriej mógłby pomyśleć, że roszczę sobie do niego jakieś prawa (tylko z powodu jednej nieszczęsnej nocy), więc nie zadałam żadnego pytania natury osobistej (meldunek, miejsce zamieszkania itepe).

Jedynie, czego udało mi się dowiedzieć (a i to bardziej dla Alony), to rodzaj jego pracy. Andriej nie jest żadnym magnatem prasowym, po prostu buduje coś w obwodzie leningradzkim (czemu by jednak nie nazwać go gubernią piterską?), chyba linie przesyłowe (nie jestem pewna, czy dobrze go zrozumiałam, ale niewątpliwie ma to coś wspólnego z elektrycznością).

Tak sobie rozmawialiśmy (ja), wiele razy piliśmy herbatę i nawet skończyliśmy szarlotkę (nic innego nie było), a o szóstej rano Andriej nagle zerwał się na równe nogi.

- Jasna cholera!... Powinienem był wyjść najpóźniej o piątej! A jeszcze lepiej o czwartej! - krzyczał, ubierając się szybko jak żołnierz na alarm, i wybiegł. Dokąd tak pognał?... Od windy zawołał, że zadzwoni, jak wróci. Skąd wróci?

Ciekawe, jaką można mieć robotę o szóstej rano, albo jeszcze lepiej o czwartej? Ja na przykład nie mam żadnej.

A może on nie pędził do roboty, tylko do żony, kochanki, sędziwej babuni?

*15 kwietnia, niedziela*

Rano Andriej nie zadzwonił.

Żeby się oderwać od hipnotyzowania telefonu, poszłam z Irką Chomik do pasażu Władimirskiego na zakupy. Irka powiedziała, że po okropnym dramacie z Romanem nie wolno mi popełnić kolejnego błędu i muszę spróbować przyzwyczać Andrieja do domu.

Dobrze pamiętam, jak próbowałam przyzwyczać Sawwę Ignatjicza do specjalnego kociego nocnika!... Nic z tego nie wyszło, muszę go wypuszczać na spacer.

Irka Chomik uważa, że podstawowa zasada osvajania mężczyzn polega na... no, że w ogóle mężczyznę należy karmić, wobec czego najpierw poszłyśmy do działu przypraw, gdzie za poradą Irki nabyłam goździki, gałkę muszkatołową, cynamon i curry.

Uniwersam to bardzo wygodny i pożyteczny wynalazek w porównaniu z małutkimi sklepikami spożywczymi, szczególnie dla mnie, pisarki - można tam obserwować życie, zaglądając do cudzych koszyków.

Zauważyłam parę młodych ludzi. W ich koszyku leżały:

1. Pudełko z dwuosobowym dmuchanym materacem.
2. Opakowanie gumy do żucia.

Będą się kochać na podłodze i żuć gumę. Takim to dobrze, żadnych kłopotów, a ja muszę wyżywić rodzinę...

Chciałam wziąć mrożoną pizzę, lazanię i paluszki rybne.

- Chyba oszalałaś! - zasyczała Irka i trzepnęła mnie po rękę. - Kupimy mięso! Co on woli, wieprzowinę czy wołowinę? A może baraninę, to podskoczymy na bazar...

Rozumiem, że Irka Chomik życzy mi trwałego związku z Andriejem, ale, moim zdaniem, niekiedy przesadza z tym troszczeniem się o mnie.

Kupiłyśmy dwa kawałki wieprzowiny i jeden kawałek wołowiny, na wszelki wypadek.

- A jaki Andriej jest w łóżku? - zapytała Irka przy półce z deserami, i w tym momencie gruchnęła muzyka - w naszym uniwersamie często są występy taneczne i wokalne w ramach akcji promocyjnych.

- Dla mnie to za słodkie - powiedziałam w zadumie, studiując tekst na pojemniku z bitą śmietaną. Druk był drobny, jakby specjalnie dla bystrych sokołów z postępującą starczą dalekowzrocznością...

- Nigdy nie jest zbyt słodko - oznajmiła autorytatywnie Irka, więc posłusznie wrzuciłam bitą śmietaną do koszyka. - Ja na przykład jestem bardzo namiętna, po prostu niesamowicie... i w ogóle, mamy już po trzydzieści sześć lat, a to jest właśnie wiek, w którym kobiety zaczynają rozumieć, co do czego...

- Ależ my z Murą dawno już wiemy, do czego - ja do kawy, a Murka po prostu bierze pojemnik i psika sobie do ust...

- Coś ty powiedziała?! - rzuciła się Irka. - Nie dosłyszałam, czy ty...

*16 kwietnia, poniedziałek*

Andriej nie dzwonił, ale to nic, nasz związek będzie bardzo silny - oparty na rozsądku i wzajemnej sympatii, kiedy miłość rozwija się powoli, jak rozkwitający kwiat.

Żeby nie myśleć, poszłam z Olgą do Kaplicy na występ chóru chłopięcego. Chłopcy byli cudowni, śpiewali bardzo wzruszająco pieśni o nadziei i miłości. Później dorosną, będą krzyczeć: „Dawaj podnośnik!”, zostaną u kogoś na noc, a potem nie zadzwonią...

W Kaplicy przestawiłam swoją komórkę na wibracje.

*17 kwietnia, wtorek*

Andriej nie dzwonił, i nie potrzeba. Nie jestem zakochana.

Żeńka powiedziała: „Twój Andriej okazał się playboyem”.

- Co przez to rozumiesz? - zapytałam zimno.

Nie miałam się czym zająć i byłam bardzo obrażona za Andrieja, spróbowałam więc przeanalizować, kto to jest playboy:

1. Ktoś, kto jest umięśniony i przystojny (on bez wątpienia jest).
2. Ktoś, kto ma wiele kobiet (on na pewno ma).

Z tego wniosek, że Żeńka ma rację, muszę przestać o nim myśleć. Spotkamy się jak obcy ludzie na rozprawie w sądzie i już.

*18 kwietnia, środa*

Nie spodobało mu się, że za dużo gadałam?

On już nigdy nie zadzwoni, to oczywiste. Nadal nie jestem zakochana, tylko bardzo mi przykro, że jestem taka do niczego.

Żeby nie myśleć, poszłam z Olgą na spektakl Griszkowca.

Griszkowiec twierdzi, że aby zrozumieć mężczyzn, nie trzeba czytać mętnych psychologicznych książek, w których autorzy uczą obchodzić się z mężczyznami jak z dzikimi zwierzętami - oswajać ich, oszukiwać...

(Co się tyczy dzikich zwierząt, mam własną informację. W pewnej książce o małpach napisano, że dorosły samiec cały dzień się szlaja, drażni inne samce, zaczepia samice i bez przerwy je. Wnioski każdy może sobie wyciągnąć sam).

\*

Absolutnie się zgadzam z Griszkowcem, że aby zrozumieć mężczyzn, należy:

1. Poczytać sobie o tym, jak 560 marynarzy na statku tonęło i śpiewało. To tyle, jeśli chodzi o to, jacy są mężczyźni.

(Po co mam czytać, i tak płakałam, kiedy mi to opowiadał).

2. Kochać i szanować mężczyznę trzeba nie za coś, jak na przykład pieniądze, ale po prostu tak.

(Tu jestem absolutnie bez grzechu - za pieniądze można by kochać i szanować Łysego).

3. Mężczyzna koniecznie musi mieć fotografię ukochanej kobiety. Kobieta jako taka nie jest mu potrzebna, ale fotografia musi być.

(W tym punkcie sama jestem sobie winna - mogłam się zakrzętać i wsunąć Andriejowi do kieszeni wywołany film z poprzedniego roku, a on by go zaniósł do wywołania (nikt tego prócz niego nie zrobi) i powiesił na ścianie moje zdjęcie. Jest tam jedno dobre, kiedy leżę w łóżku i mam na twarzy sylwestrową maskę - okulary i wąsy, na głowie uszankę, w jednej ręce cygaro, a w drugiej miotełkę. To Alona i Olga podkrały się, kiedy spałam, wystroiły mnie tak i sfotografowały na pamiątkę. Andriej mógłby sobie powiesić to zdjęcie na ścianie... a tak co? Już pewnie nie pamięta mojej twarzy...).

- Dobranoc, Knurku!
- Dobranoc, Murku!

*19 kwietnia, czwartek*

Dziś po pierwszym wykładzie podeszła do mnie jedna ze studentek.

- Czy mogę pani zadać osobiste pytanie w swojej sprawie?

Zawsze pozwalałam na zadawanie mi wszelkich osobistych pytań dotyczących wszystkich, studenci o tym wiedzą i wleźli mi na głowę - teraz na przykład chciałam zapalić i pójść do toalety.

- Jestem gruba - wykrztusiła studentka i zaczęła pociągać nosem.
- I przez to rzucił mnie chłopak.
- Tylko proszę mi tu nie płakać - powiedziałam. - Życzy sobie pani prywatnej konsultacji psych.? Ma pani trzy minuty, a potem idę zapalić i do toalety.

Dziewczyna, trzeba przyznać, dosyć tęga, wyjęła zeszyt i przygotowała się do notowania.

- Wydawcy zasypują nas ostatnio modnymi książkami-dziennikami - zaczęłam. - Ludzie nie tylko piszą dzienniki, ale

usiłują jeszcze publikować te brednie (to mnie strasznie oburza - chcą złożyć na ołtarzu sławy absolutnie wszystkie intymne szczegóły tego, co przeżyli, a czasem nawet zmyślić coś, co się nie wydarzyło). Otóż w każdym tak zwanym dzienniku bohaterka oznajmia, że jest za gruba i dlatego ją porzucono. A ja, dypl. psycholog, o głębokiej wiedzy, zaczerpniętej ze skarbnicy ludzkości, doktor nauk, matka - ja pani mówię, że nic podobnego! Człowiekowi rozumnemu nigdy nie przyszłyby do głowy takie bzdury!

Dziewczyna notowała w zeszycie.

- Proszę odpowiedzieć szybko, bez zastanowienia - poleciłam surowo - gdzie pani go poznała?

- Na dyskotece w klubie „Gribojedow”.

- Aha - kiwnęłam z zadowoleniem głową. - I o to mi chodziło! Na tańcach wybiera się partnerkę z uwagi na urodę. Czyli z urody i tuszy pani mu się spodobała? Tak czy nie?

- Tak...

- Skoro on panią wybrał i zaprosił... do siebie czy do pani... - Dziewczyna spuściła oczy. - I jeżeli to miłość... to znaczy, że zostaliśmy pokochane za naszą wyjątkową osobowość, a przestano nas kochać nie za zbędne kilogramy, ale za coś innego... To wszystko, idę do toalety.

Dziewczyna krzyknęła w ślad za mną:

- Ale za co przestano nas kochać, za co?!...

- Nie wiem - rzuciłam przez ramię i ruszyłam do toalety.

Wiecznie cierpię przez swoją dobroć i empatię i nie zdążam zapalić.

Przez cały następny wykład bezustannie myślałam: a jednak coś mu się nie spodobało. CO?!

Pod koniec wykładu zrozumiałam (ukrywanie przed sobą niemiłej prawdy byłoby nieprofesjonalne) - tak naprawdę wiem, że nie chodzi o kawałek mięsa (zamiast mięsa podałam mu pulpety, wszystko w porządku). I nie chodzi o to, że za dużo gadałam.

JESTEM ZA GRUBA. Właśnie dlatego Andriej zniknął na zawsze.

W samochodzie w drodze do domu przypominałam sobie, że wczoraj wieczorem Murka nazwała mnie „Knurkiem”. Tak właśnie powiedziała: „Dobranoc, Knurku!”. Po prostu dziecko nie potrafi dłużej udawać...

Na podwórzu stało się dla mnie absolutnie jasne - najwyższy czas się odchudzić, teraz albo nigdy...

Zamiast pójść do domu, wstąpiłam do Irki Chomik, żeby się dowiedzieć czegoś o odchudzaniu, i słusznie - Irka wie o tym wszystko. Jutro idę się kodować igłami przeciw apetytowi.

W oczekiwaniu jutrzejszego chudnięcia tragicznie się obżerałam przez cały wieczór. Zjadłam tyle, że w lodówce zostały puste półki. Prościej byłoby nie rozmieniać się na drobne i zjeść lodówkę w całości.

OD TEGO MIEJSCA ZACZYNA SIĘ OSOBNY DZIENNIK -  
DZIENNIK ODCHUDZANIA MEGO

*20 kwietnia, piątek*

### Dziennik odchudzania

12.00. W gabinecie lekarza. Lekarz to Koreańczyk Igor Siemionowicz. (A może to nie lekarz, tylko szarlatan w białym fartuchu?).

12.05. Po wtykał we mnie pełno igieł i kazał pół godziny posiedzieć w poczekalni w charakterze jeżozwierza. (Skoro to Koreańczyk, to dlaczego nazywa się Igor Siemionowicz?).

12.35. W gabinecie lekarza. Kazał mi się rozebrać i położyć na leżance. Zapytał mnie (trzy razy), czy wszystko u mnie w porządku z życiem osobistym. Trzy razy odpowiedziałam, że tak, ale on mimo to pogładził mnie po ramieniu. (Dlaczego zapytał, czy podoba mi się

jego biopole? On mi się wcale nie podoba, po prostu zwróciłam się do niego jako do lekarza).

Igor Siemionowicz polecił mi nie jeść nic (zupełnie nic!) przez dwa tygodnie. Wolno mi tylko pić - wodę mineralną, herbatę, kefir. Z bardzo groźną miną poprosiłam o pozwolenie na kawę, papierosy, jogurt i marnine pulpety najpóźniej do jedenastej wieczór. Zgodził się na wszystko oprócz pulpetów. (Czyż on nie rozumie, że z łatwością mogłabym go oszukać, zwłaszcza w kwestii pulpetów?).

12.50. Wyszłam z gabinetu. Jestem teraz odchudzantką. Niebawem, za dwa tygodnie, będę chuda. Mizerna, wychudzona, beczcielna. Chuderlawa, anemiczna, rachityczna (wszystkie te słowa mają odcień pogardliwy, dlaczego?).

Teraz jestem bardzo zajęta - muszę przez dwa tygodnie chodzić codziennie do Igora Siemianowicza i płacić mu po trzysta rubli za wizytę.

Ale: dziś jest piątek, a zapisał mnie dopiero na poniedziałek. Jeżeli mój kontakt z nim i jego biopolem ma być nieustanny, to czemu bruzdzą nam ustawowe dni wolne od pracy?

13.10. Chce mi się jeść, jestem oburzona. Całe to kodowanie to lipa! Igorowi Siemionowiczowi nie udało się zakodować mnie przed głodem.

13.11. Marzę o zupie fasolowej; Irinie Andriejewnie udaje się ona lepiej niż racuchy.

13.20-17.10. Wykłady, w czasie wykładów nic nie jadłam.

17.40. W „Café Sol”, sama z filiżanką espresso (bez cukru) i papierosem (pierwszym tego dnia).

Przyglądam się dziewczynie przy sąsiednim stoliku, je pizzę. Ma sympatyczne fałdki na bokach! I na brzuchu. Na pewno podoba się mężczyznom i samej sobie. Ma też na talerzyku ciastko, bezę z kremem.

17.55. Ale jeśli już dziś, pierwszego dnia, nie wytrzymam, to koniec - mogę machnąć na siebie ręką.

Na kodowanie wydałam pieniądze. Nie jestem zwierzęciem, żeby



zaraz po wyjściu od lekarza nazreć się ciastek, to byłaby hańba. Albo makaronu po marynarsku. Albo zupy... zupy fasolowej z dużymi, brązowymi fasolkami. Myślę o niej nieustannie, chociaż w domu oprócz zupy fasolowej jest również makaron po marynarsku. Ale to byłby koniec.

Aha, Igor Siemionowicz powiedział jeszcze:

- Proszę nikomu nie mówić, jakie tu odprawiamy czary, bo zechcą to pani wyperswadować.

18.10. Igor Siemionowicz nabiera kobiety na poczucie winy i pragnienie posiadania guru, ale nie ze mną takie numery! Zaraz pójde do kuchni i zjem zupę...

18.11. Nie, jeszcze zaczekam, bo **WTEDY BĘDZIE JUŻ KONIEC**. Po jednej stronie Andriej i piękne szczupłe kobiety, po drugiej stronie ja.

19.22. Cały świat, świat krewetek i owsianki, czekolady i racuchów, chipsów i suszonych kalmarów, jest przede mną zamknięty. Cały świat z restauracjami i kawiarniami, w których siedzą szczęśliwi, normalni ludzie. Cały świat, w którym można się rozwalić przed telewizorem z herbatnikami albo marmoladą.

À propos marmolady... w sąsiednim sklepie jest pyszna gruszkowa marmolada nie dla mnie. Nie dla mnie pracują supermarkety... tyle tam pyszności i to wszystko nie dla mnie (na przykład konfitury w małych słoiczkach).

Wygląda na to, że **DZIENNIK ODCHUDZANIA** staje się listą wszystkiego, co mogłabym zjeść, ale nie zjadłam.

20.00. Cały cywilizowany świat znajduje się po jednej stronie, a ja wraz z głodującymi Afryki i klinik Vichy - po drugiej.

20.10. Trzysta rubli, które zapłaciłam za to, żeby pół godziny pobyć w skórze jeżozwierza, to niewielka suma, zwłaszcza w przeliczeniu na to, żeby zaraz zjeść zupę.

20.15. Gdyby to była naprawdę poważna metoda, a nie szarlateria, nie chciałoby mi się tak potwornie jeść.

20.25. A, i jeszcze jedno. Igor Siemionowicz powiedział, że jeśli nie będę przestrzegać... krótko mówiąc, jeżeli po kodowaniu będę jeść, natychmiast bardzo przybiorę na wadze, nawet sto kilogramów. To nie jest metoda naukowa, tylko szantaż!

20.26. Może zacząć jeść teraz zaraz, póki czary Igora Siemionowicza nie zaczęły działać?

20.30. Filiżanka herbaty. Nie kawy, bo zamierzam obejrzeć *Dobranockę* i położyć się spać, aż do rana.

20.40. Obudziła mnie Alona. Bardzo szczęśliwa, niemal wraziła w telefon z przejęcia.

- Nie mogę rozmawiać - powiedziałam słabym głosem.

- Możesz, możesz! - odparła Alona. - Masz pojęcie, co się stało?

Udało mi się!

Miała na myśli to, że książka o seksie przed paroma minutami spełniła swoją rolę w jej pożyciu z Nikitą. Kiedy indziej bardzo bym się ucieszyła ze względu na Alonę, ale teraz tylko bąknęłam bezsilnie: „Gratuluję”, i pomyślałam: „Skoro już teraz, po jednym dniu głódówki, nie licząc porannej kanapki (PRZED KODOWANIEM, W INNYM ŻYCIU), jestem tak słaba... To jak już będę chuda, seks w ogóle nie będzie mi potrzebny.

*21 kwietnia, sobota*

11.30. Nie mogę wstać, całkiem osłabłam z głodu. Poprosiłam Murkę, żeby mi przyniosła filiżankę herbaty.

Mura przyniosła herbatę i powiedziała:

- Masz tu swoją herbatę, Knurku-świrku.

Nie czuję smaku herbaty, nie czuję nic prócz ogromnych pretensji do losu. Nie wstanę dziś z łóżka. Już nie chce mi się jeść, chce mi się głośno płakać.

11.46. A może lepiej niech już będę gruba? Puszysta, pulchna,

tlusta. Nalana, otyła, dorodna, tęża, nabita, zażywna, opasła, zapasiona (wszystkie te słowa są bardzo sympatyczne).

15.15. Jeśli się nie je, to po co żyć?

15.20. Po prostu spojrzę na zupę, jak ona tam sobie radzi beze mnie.

20.10. Talerz zupy fasolowej. Jeden, ale duży (z drugiej strony, duży, ale jeden - może jeszcze nie wszystko stracone i będę mogła powrócić do głodówki?).

20.16. Kielbasa, trzy kawałki i jeszcze jeden malutki, nie liczy się. Dwie mandarynki.

21.15. Tak, jestem Knurek, ale nie Knurek-świrek.

21.22. Dwa pulpeciki.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - chyba przerwałam głodówkę. Ale mam bardzo istotny powód - uświadomiłam sobie, że jestem osobą na tyle silną i niezależną, że nie mogę pozwolić, by Igor Siemionowicz tłumiał moją wolę jedzenia.

Poza tym oszczędzę trzysta rubli na następnym seansie, a ile jeszcze, kiedy całkiem przestanę do niego chodzić!

Sumienie mi nie dokucza, przeciwnie - jestem dzielna, że tak zręcznie wyrwałam się ze szponów czarownika i oszczędziłam pieniądze!

00.10. Pielmieni.

00.22. Przeprowadziłam ważenie kontrolne - w czasie głodówki przybyło mi dwa i pół kilo. Ten fakt potwierdza w całej rozciągłości moją opinię, że całe to kodowanie to podłe oszustwo.

*24 kwietnia, wtorek*

Niepotrzebnie przez całą sobotę odmawiałam sobie najkonieczniejszej rzeczy - jedzenia - Andriej był u mnie przedwczoraj i wczoraj.

Co mi się w nim podoba - to że nigdy nie przychodzi z pustymi rękami. Wczoraj przyniósł kabaczek, przedwczoraj dynię. Tylko co to za obyczaj natychmiast wszystko gotować i zjadać? Przecież to są przepiękne przedmioty dekoracyjne. Raz miałam już dynię z daczki Alony. Przez całą zimę ozdabiała kredens, a na wiosnę zeszkrobałyśmy z blatu dyniową maź.

Kiedy Andriej się zjawił, zapytałam go, dlaczego zniknął na cały tydzień (po prostu zapomniałam, że w żadnym wypadku nie powinienam okazywać, że roszczę sobie jakieś prawa do jego wolnego czasu i do niego samego).

Bardzo mnie zdziwiła jego odpowiedź: otóż nie dzwonił i nie przychodził, bo pracował w odległości trzystu kilometrów od Pitra. (I to w czasie, kiedy ja głodowałam z obrazy i zdenerwowania i nieustannie czekałam na jego telefon, nawet w Kaplicy na występach chóru chłopięcego!).

W odpowiedzi na moją minę Andriej zaczął się dość nieporadnie tłumaczyć. Jak się okazało, myślał, że:

1. Jestem... e-e... kobietą wyzwoloną, która traktuje lekko... hm, hm... wszystko... i dla mnie... kche, kche... to wszystko nic nie znaczy.

2. I on... kche, kche... po prostu nie chciał się narzucać, hm...

3. Teraz też... hm... by nie przyszedł, ale ma jeszcze do rozwiązania... e-e... kilka zadań z fizyki, a poza tym zauważył w przedpokoju zepsuty fotel, i tylko dlatego się pojawił, bo tak to za nic nie chciałby mi przeszkadzać.

Dziwni ludzie ci mężczyźni - fotel już od dwóch lat świetnie sobie radzi z trzema nogami.

- O nic mnie nie spytałaś, nawet nie ciekawi cię, czy jestem żonaty... - O dziwo, Andriej naprawdę miał w oczach cierpienie.

- Jesteś żonaty? - zapytałam szybko i sama odpowiedziałam z rezygnacją: - Jesteś...

- A właśnie że nie - odrzekł z pośpiechem Andriej - właśnie że nie jestem żonaty...

A mnie coś ścisnęło w brzuchu ze szczęścia. Teraz mogę żyć i pracować, nie bojąc się żadnych operetkowych niespodzianek - na przykład, że Łysy okaże się nagle jego żoną!

Nie żebym miała w stosunku do Andrieja jakieś plany matrymonialne, jak głupiutkie dziewczątka, które marzą o założeniu rodziny z każdym napotkanym mężczyzną, ale skoro on nie jest żonaty, mogę chyba wierzyć, że to... boję się powiedzieć „na zawsze”... Po prostu niewykluczone, że zostaniemy taką rozczulającą parą jak ci starszuczkowie, którzy trzymali się za ręce na ławeczce w Ogrodzie Letnim (zauważyłam ich, kiedy Roman mówił, że musimy się na jakiś czas rozstać), i był to najpiękniejszy obraz, jaki widziałam w życiu, nie licząc *Giocondy* w Luwrze.

...Nie, niezupełnie tak, nie najpiękniejszy... Jeszcze piękniejsza była scena, którą obserwowałam na stacji benzynowej we Francji, kiedy razem z Murą, Denisem i Ałłą wybrałam się na rodzinną wycieczkę do Disneylandu.

Na stację zajechali na dwóch motocyklach bardzo zgrabni, odziani w czarną skórę młodzieńcy w kaskach. Patrzyłam na nich i rozmyślałam, jaka piękna jest młodość i co za szkoda, że moja już chyba minęła... I nagle młodzieńcy zdjęli kaski i okazali się starszkiem i starszką, całkiem siwymi, o pomarszczonych twarzach... Mieli co najmniej po siedemdziesiąt pięć lat...

- Dlaczego się rozwiodłaś? - zapytał Andriej. - I gdzie jest twój mąż?

- Mój mąż mieszka w Niemczech. Bardzo chciałam wyjechać do Niemiec, a on nie chciał za żadne skarby, no i się rozwiedliśmy.

- Nie rozumiem.

Dziwne, zdawało mi się, że nakreśliłam sytuację bardzo precyzyjnie.

- A po co chciałaś jechać do Niemiec?

- Do mojej przyjaciółki Żenki.

- Nie rozumiem. Chciałaś emigrować do przyjaciółki?

- No tak. Do Żeńki. Coś długo nie dzwoni, chyba co najmniej od wczoraj. Wkrótce zatelefonuje i wtedy was sobie przedstawię.

Akurat gdy to mówiłam, Żeńka zadzwoniła.

- Daj mi go do telefonu - poleciła. - Porozmawiam z nim jak matka.

Andriej trzymał słuchawkę przy uchu i milczał. Nie powiedział ani słowa, za to wydał mnóstwo rozmaitych dźwięków, powarkiwał i chrząkał, tak że nie rozumiem, czemu Żeńka podsumowała: „Ależ on rozmowny... ale tak w ogóle porządny człowiek”.

Ja też spytałam Andrieja, dlaczego się rozwiódł. Wzruszył ramionami - z całkiem banalnego powodu, nie to co ja. Po prostu dwa lata temu wyjął ze skrzynki pocztowej kartkę od jakiejś nieznanej mu firmy turystycznej, z następującym tekstem:

„Szanowni Tamaro Aleksiejewno i Konstantinie Władimirowiczu!

Szczęśliwego Nowego Roku! Dziękujemy, że już kilka razy skorzystali Państwo z naszych usług przy wyjazdach wakacyjnych! Zawsze z przyjemnością zorganizujemy Państwu wspaniałe wypoczynek...” i tak dalej.

Tamara Aleksiejewna to była jego żona, a Konstantina Władimirowicza Andriej jeszcze nie znał.

- No i... e-e... rozwiedliśmy się. Hm.

- Gdzie jest teraz twoja żona?

- W Mińsku.

Mińsk jest daleko...

- Z Konstantinem Władimirowiczem?

- Tak.

Konstantin Władimirowicz też jest daleko... Szkoda, że nie mogę go zobaczyć - nie wyobrażam sobie, jak można być jeszcze przystojniejszym niż Andriej, ale niektóre kobiety zawsze mają więcej szczęścia niż inne.

A jednak pewna znana mi osobiście autorka kryminałów bardzo dobrze zna życie - to prawda, chodzą po ulicach i sklepach wędkar-skich prawdziwi mężczyźni dla mnie, Kopciuszka - nieżonaci oli-garchowie, którzy nigdy nie poznali miłości! (Andrzej nie jest oczy-wiście oligarchą, a ja nie wiem, czy zdążył poznać ze mną prawdziwą miłość, ale mimo to, mimo to, mimo to...).

\*

Zjedliśmy w domu grochówkę z torebki (zupę ugotowała Mura, żeby mi się podlizać w sprawie referatu z biologii, zazwyczaj zup nie jadamy).

*25 kwietnia, środa*

...Przychodzi dziś do mnie parę osób, jako że te parę osób strasznie się stęskniło za Andriejem i chce go wreszcie poznać. Te parę osób to Alona i Olga, może wpadnie też Irka Chomik.

Zadzwoiłam z uniwersytetu do Alony i zapytałam, co szykuje dziś Nikicie na kolację.

- Faszzerowaną paprykę, przepada za nią! - dość chętnie po-wiedziała Alona i bardzo mi się nie spodobała lekceważąca nutka w jej głosie, jakby ze mną nie było sensu o tym mówić! - A tobie wiesz, co radzę: kup mrożone kotlety po kijowsku i postaraj się je uszlachetnić.

Co to znaczy uszlachetnić mrożone kotlety?

- Włóż do każdego kotleta kawałeczek masła, przystroj pie-truszką i skłam, że zrobiłaś je sama.

„Ach tak - pomyślałam - a właśnie że zrobię faszzerowaną papry-kę!”

Po drodze do domu kupiłam na bazarku paprykę. W domu przy-pomniałam sobie, że potrzebny jest jeszcze farsz, ale odważnym

szcęście sprzyja: znalazłam w najdalszym kącie zamrażarki paczkę zlepionego farszu - pewnie Irina Andriejewna chciała usmażyć mielone i zapomniała.

Niech Alona nie będzie taka ważna, myślałam, napychając duże papryki farszem i ryżem. Dla człowieka inteligentnego to żadna trudność włożyć do papryk najpierw farsz, a potem ryż. Problem polega tylko na tym, żeby dusić paprykę na wolnym ogniu, podczas kiedy ma się ochotę zrobić duży ogień i jak najszybciej z tym skończyć.

Potrawa wyglądała wspaniale, nie gorzej niż u Alony - czerwone i zielone papryki, zatopione we własnym żółtym sosie, pięknie.

Kiedy papryka się dusiła, zastanawiałam się, dlaczego mam taką ochotę nakarmić Andrieja, w którym nie jestem zakochana (jest bardzo miłym facetem, wysokim i przystojnym, poza tym pomaga Murze w fizyce, poza tym MNIE BYŁO z nim bardzo dobrze). I dlaczego nigdy nie miałam chęci poczęstować faszerowaną papryką Romana, w którym, przeciwnie, byłam zakochana (okropny dramat mojego życia)? Tym bardziej że Roman pracuje w telewizji, a Andriej ma taką nieciekawą pracę - coś związanego z elektrycznością.

Murka bardzo ładnie nakryła do stołu i nawet poszła do Irki po łyżeczki. Nasze łyżeczki nie wiadomo czemu katastrofalnie znikają z domu. Mama uważa, że wyrzucamy je do śmieci razem z kubkami po jogurtach, ja ze swej strony już od dawna zamierzam rewidować gości przy wyjściu: na pewno w roztargnieniu wkładają łyżeczki do kieszeni i w ten sposób wynoszą.

Mura wystawiła na stół wszystkie nasze kryształły i pokręciwszy się w zadumie dokoła, umieściła na środku azalię w malutkiej doniczce.

- Cóż ty się tak starasz, jakby to był sylwester albo Dzień Pogranicznika?

- Niech myśli, że codziennie tak jadamy.

Andriej przyszedł z wielką reklamówką (w reklamówce były trzy



rodzaje camemberta, wędlina, czekoladki, sok, słoiczek grzybów i koniak) i ze swoją walizeczką z narzędziami. Ubóstwia tę walizeczkę i wszędzie ją ze sobą nosi.

Teraz też nie wiadomo, po co rozłożył narzędzia i podziwia je... Zaprosiłam go do stołu (lepiej, żebyśmy zaczęli jeść przed przyjściem Alony i Olgi, wtedy wizyta dziewczyn przeszłaby niepostrzeżenie).

Papryka już całkiem ostygła, a Andriej szalał na całego ze swoją walizeczką - przybił listwę podłogową i teraz wieszał półkę w łazience. Narobił straszego bałaganu, porozrzucał wszystkie nasze szampony i kremy, hałasował wiertarką i wszędzie sypał strużyny.

- Podaj mi młotek! - krzyczał rozkazująco. - Przynieś miarkę! Przytrzymaj półkę!

Typowa złota rączka, delektuje się krzątaniem wokół swojej osoby z młotkiem w garści! I to już nie pierwszy raz: narobi bałaganu i zadowolony, ze zmęczoną miną spracowanego człowieka, pije herbatę i domaga się, żebyśmy przyznały, że to było bardzo potrzebne. Potrzebne? A potem trzeba po nim sprzątać.

...Ludzie potrzebują czasu, by do siebie przywyknąć, i myślę, że ta jego namiętność do organizowania mi domu z czasem przestanie mnie drażnić i wyda mi się po prostu sympatycznym dziwactwem.

Kiedy tylko wreszcie zasiedliśmy do stołu, rozległ się dzwonek do drzwi.

Wybiegłam z kuchni, zabierając talerzyk z wędliną.

- Dlaczego zabierasz wędlinę mnie i Murze? - zdumiał się Andriej.

- Taki już mam nawyk... Bo kradnie... - wyznałam z udręką.

- Kto, Mura?!

- Lew Jewgienjewicz kradnie! - krzyknęłam, pędząc z wędliną do przedpokoju. No i co w tym niezwykłego - pies kradnie, bo też chce żyć! Stało się to już w naszym domu taką zabawą - on kradnie, my krzyczymy, on się wstydzi i znów kradnie. Pomaga mu Sawwa Ignatjicz - wskakuje na stół i zrzuca jedzenie, a potem się dzieli. Za to

Gantenbein zachowuje się przyzwoicie... Podrzutki zawsze chcą udowodnić, że są lepsze od rodzonych dzieci, no i on się właśnie stara. Nie wie, głupek, że skoro już przyjęliśmy go do rodziny, to spokojnie może kraść.

Przyszły Olga i Alona, i nie tylko - zabrały też ze sobą Nikitę.

- Wszystko, co najciekawsze, zawsze odbywa się za moimi plecami! - ryczał Nikita w drodze do kuchni, potrząsając butelką koniaku. - Nie bój się, tylko na niego taktownie popatrzę, nawet nie zauważysz! Czy on pije koniak? Bo jakby nie, to mam jeszcze w samochodzie dzin i wódkę!

Po co Alona go ze sobą wzięła, no, po co? Nikita zaraz zacznie się zgrywać na surowego ojca i zapyta, gdzie się poznaliśmy. I co ja mu powiem - że pod sex shopem?...

Nieznajomi dorośli ludzie nie zawsze potrafią od razu znaleźć wspólny język. Już dawno zauważyłam, że po przekroczeniu trzydziestu czterech lat każdy zagospodarowuje sobie własny kawałek życia, i im ten kawałek jest mniejszy, tym zażarciej go broni - jak ostatniej własnej piędy ziemi.

Moi przyjaciele, którzy zagospodarowali sobie własny kawałeczek Ameryki, zawsze mówią: „Jak można żyć gdziekolwiek poza Ameryką! U nas jest najlepiej!”. A przyjaciele mieszkający w Pitrze zawsze im odpowiadają: „Jak można żyć gdziekolwiek poza Pitrem! U nas jest najlepiej!”.

A ja nie wiem, gdzie lepiej, chociaż nie pochwalam Ameryki za to, jak postąpiła z Jugosławią. Sama opowiada o ideałach demokracji i sama się pcha. Jeśli każdy zacznie rzucać bomby, gdzie mu się żywnie spodoba, co się stanie z tym światem?! A poza tym myślę, że gdybyśmy żyli wiecznie, to warto byłoby wybrać miejsce najprzytulniejsze, by się tam na zawsze zagnieździć, ale skoro nie jesteśmy na tej ziemi na zawsze, to niech każdy mieszka tam, gdzie mu dobrze, i o co tu się spierać? Andriej i Nikita też - nie od razu udało im się ustalić, co będą pić, koniak Nikity czy koniak Andrieja.

- Co to jest? - zapytała Alona, spróbowałszy faszerowanej papryki.

- Jak to co? Faszerowana papryka. Zrobiłam wszystko zgodnie z twoim przepisem, dokładnie tak jak powiedziałaś. - Popatrzyłam z nadzieją na Andrieja i spytałam: - A co, niesmaczne?

- Hm... e-e... kche, kche... niezłe... a co tam jest w środku?

Okazało się, że nadziałam papryki farszem rybnym.

- To wszystko przez Irinę Andriejewnę; pewnie chciała zrobić kotlety rybne - rzekłam z gorzkim uśmiechem. Jeżeli wszyscy się z człowieka natrzęsają, to ten w końcu przywyka do szyderstw.

- Dlaczego pies cały czas stoi przy stole, prosi i nie daje spokojnie zjeść? - zapytał Andriej.

Hm, Lew Jewgienjewicz to pies?

- Wyobraź sobie, że mieszkasz u innych istot, dużych, złych - zaczęła objaśniać Mura - które ciągle jedzą, co chcą i kiedy chcą. I wszystko zależy od nich - dać ci jedzenie czy nie dać, zwłaszcza coś dobrego. Zamknij oczy i wyobraź to sobie! Te istoty jedzą wędlinę, a tobie mówią: Andriej, zabieraj mordę ze stołu!

Andriej, zbity z tropu, powiedział:

- Ja bym nie kładł mordy na stole.

No proszę, jaki dumny, ja na pewno bym się kręciła w kółko, prosiła, żebrała, kładła mordę na stole...

- Z tego waszego Lwa Jewgienjewicza nie ma żadnego pożytku, nie gryzie i nawet nie szczeka - podtrzymał rozmowę Nikita.

- A ty sam szczekasz? Gryziesz? - zapytała rzeczowo Mura. - Czy z ciebie w domu jest jakiś pożytek?

Dzieciak przyzwyczał się wszystkim mówić „ty”! Kto ją tak okropnie wychował?

Chcąc rozładować sytuację i stanąć w naszej obronie, Olga wtrąciła:

- Lew Jewgienjewicz, jak wszyscy mężczyźni, po prostu lubi smakołyki... Powiedz, on za mięsem i kaszą nie przepada, prawda?

- Kto, ja? - zapytał z przestraczem Andriej.

Olga roześmiała się.

- Tak, ja zawsze po przyjeździe z wizytą przede wszystkim pytam gospodynię, czyjej nowy znajomy lubi mięso albo kaszę...

Andriej bardzo ujmująco się zmieszał i powiedział:

- Do licha, dziewczyny, boję się was, już od dwudziestu lat nie występowałem w roli narzeczonego na oględzinach!

I zaraz zrobiło się tak wspaniale, jakbyśmy się znali tysiąc lat!

Najwięcej szczęścia miała tego wieczoru Alona. Nie bez kozery przyprowadziła Nikitę - założyła się z nim o nowe futro i wygrała!

- To najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu widziałam - zamruczała z rozmarzeniem Alona, kiedy Andriej wyszedł wyprowadzić Lwa Jewgienjewicza.

- Założyłabym się, że ma w sobie gruzińską krew - zauważyła Olga, trochę urażona w imieniu Dimoczki i Wasi - albo ormiańską. Słowianie nie mają w sobie takiego zwierzęcego magnetyzmu...

- Tak, tak, na pewno - przytaknął Nikita. - A ja jestem zwyczajny Słowianin, żadna atrakcja...

- Założymy się?! O nowe futro! Z norek! - ożywiła się Alona. - Błękitnych, z kołnierzem z pieśca!

Kiedy Andriej z Lwem Jewgienjewiczem wrócili ze spaceru i wszyscy zasiedli do herbaty z plackiem wypieku Alony, zapytałam Andrieja, czy nie miał w rodzinie gruzińskich albo ormiańskich przodków.

- Jestem Białorusinem - powiedział Andriej - i żadnej obcej krwi w mojej rodzinie nie było, co prawda nie wiem o wszystkich, tylko do trzeciego pokolenia. - I zaczął wymieniać swoich krewnych do trzeciego pokolenia.

- Futro, futro! - wrzasnęła Alona przy stryjeczno-stryjecznych babkach po mieczu. - Nowe futro z norek, z kołnierzem z pieśca!

Pod wieczór zjawiła się w kuchni Irka Chomik - przyszła, nie dzwoniąc do drzwi. Andriej był zdziwiony, ale mu wyjaśniłam, że

kiedyś dawno zapomniałam u niej swoich kluczy. Kilka razy w ciągu wieczoru (cztery) dzwoniła Żeńka, pytając, kiedy wszyscy sobie pójdą, żeby mogła zadzwonić naprawdę.

- Dlaczego masz tyle przyjaciółek? - zapytał ze zdziwieniem Andriej, kiedy wszyscy już poszli.

- A co, za mało? - odparłam. - Żeńka się nie liczy, a Alona, Olga i Irka Chomik to moje najbliższe przyjaciółki. Ale nie myśl sobie, mam jeszcze Tankę, Innę, Wikę, Ankę i Nataszkę, to moje przyjaciółki drugiego rzędu. A poza tym mam po prostu koleżanki...

Zapytałam o jego przyjaciół. Powiedział, że są ludzie, do których może zadzwonić w nocy z drogi i powiedzieć, żeby natychmiast do niego przyjechali. I sam do nich pojedzie w nocy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- No, a żeby zadzwonić i pogadać, zapytać, jak leci, posiedzieć na kawie i w ogóle?

Zacinając się, z trudem wymienił trzy imiona.

Mężczyźni mają dziwne pojęcie o przyjaźni! A po co całe to towarzystwo (Alona, Olga, Irka Chomik, Tanka, Inna, Wika, Anka i Nataszka) ma pędzić do mnie w nocy i siedzieć do rana?

Za dwadzieścia dwunasta Andriej powiedział:

- No to będę leciał.

Bo za trzy godziny musi wstawać i jechać trzysta kilometrów w swoich elektrycznych sprawach. I teraz tylko wypije herbatę i wychodzi.

Piętnaście po pierwszej Murka ziewnęła i postanowiła iść spać.

- Tę pozostałą godzinę i czterdzieści minut niech pan przenocuje u nas - zaproponowała rozsądnie przed pójściem do siebie.

Zrobiłam Andriejowi posłanie na kuchennej kanapce, a on nastawił budzik na trzecią w nocy. Przed snem naprawił kuchenną szafkę, napił się jeszcze herbaty, przejrzał papiery w swojej teczce, poklepał Lwa Jewgienjewicza i położył się spać.

Ja leżałam u siebie i myślałam: Mura śpi w swoim pokoju, pokój

jest daleko. Pokój Murki jest daleko, Murka śpi. Myślałam tak, myślałam, aż usnęłam. A zbudziło mnie trzaśnięcie drzwiami - Murka poszła do szkoły. Jeszcze trochę pospałam, a parę minut po ósmej poszłam do kuchni po coś do zjedzenia, zła i niewyspana, i cóż ja tam zastałam?!

- Andriej! - krzyknęłam przerażona. - Zaspałeś!

Andriej zerwał się jak oparzony, krzyknął, że już od dwóch godzin czekają na niego trzysta kilometrów stąd, w zamyśleniu wypił herbatę i...

...Dzisiaj nie mogę się zgodzić z tym, że pogłoski o kobiecym orgazmie są mocno wyolbrzymione. Skąd mi się to wzięło? Przecież nie jestem w nim zakochana. Nie jestem wszak tak płocha, żeby się zakochiwać dwa razy do roku, a w tym roku już byłam zakochana.

Andriej bardzo się śpieszył i znów piliśmy herbatę. W telewizji szedł mecz piłki nożnej. Andriej się zapatrzył, a kiedy się ocknął, nie mógł znaleźć na stole swojej kanapki.

- Bo trzeba stawiać wyżej, na telewizorze, tam Lew Jewgienjewicz nie sięgnie - wyjaśniłam.

Zadzwoił Denis. Powiedziałałam mu, że mam miłość i rodzinę i jestem bardzo szczęśliwa. Denis wypytywał mnie z przejęciem i zazdrościł. Zapytał, czy jeśli jestem zakochana w Andrieju, to oni z Ałłą mogą uznać, że to z Romanem to było tylko zauroczenie. Ale nie udało mu się sprowokować mnie do kłótni; odpowiedziałam, że mogą.

MAJ

*4 maja, piątek*

Andriej ma bardzo nudną pracę związaną z elektrycznością w różnych rejonach daleko od Pitra i ciągle wyjeżdża nie wiem dokąd, trzysta kilometrów, a nawet dalej. Ale kilka razy w tygodniu przyjeżdża i

żyjemy szczęśliwym życiem rodzinnym (Murka jest za i mama też nie jest przeciw).

I oto dzisiaj postanowiłam się zastanowić nad swoim życiem rodzinnym. Wszystkie szczęśliwe rodziny są szczęśliwe jednakowo, jeśli nie liczyć pewnych dziwactw, do których można się przyzwyczaić.

Do czego powinnam była przywyknąć dziś rano:

9.14. Znalazłam w lodówce słoiczek czarnego kawioru. Skąd on się wziął? Pomyślałam sobie, jak to dobrze mieszkać z takim zapobiegliwym, gospodarnym człowiekiem - wszak kawior bardzo dobrze robi na cerę. Chciałam zrobić wszystkim kanapki, odkręciłam wieczko - a tam!... Okazało się, że to wcale nie czarny kawior, tylko ziemia z robakami.

9.15. Dlaczego w mojej lodówce leżą robaki? Jeśli nie jestem Chińczykiem.

9.23. Dzwoniła mama. Prosiła, żeby powiedzieć Andriejowi, że dziś jest północny wiatr i żeby Andriej nie zapomniał włożyć czapeczki, zwłaszcza że może padać.

(Wczoraj Andriej powiedział mamie, że my z Murą zupełnie nie dbamy o zdrowie. Chodziło mu o to, że w domu zawsze powinna być grochówka, a mama zrozumiała to tak, że my z Murą za lekko się ubieramy, i nabrała do niego sympatii).

9.26. Andriej zażądał, żeby zaparzyć kawę. (Co do jedzenia, nie jest grymaśny, ale nie pija kawy rozpuszczalnej, dlaczego?).

9.37. Przyniosłam kawę. (Jestem aniołem).

- Co to jest? - zapytał Andriej z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.
- Mełłam, parzyłam... - zaszcebiotałam pośpiesznie.
- Kłamiesz - uciął Andriej. - Mełłaś kawę rozpuszczalną.

Uważam, że takie podejrzania są obraźliwe, a poza tym kawę rozpuszczalną miele się daleko szybciej.

9.50. Poprosił, żeby mu zaparzyć zieloną herbatę. Nie chce się zgodzić z tym, że zielona herbata to herbata z zielonego pudełka

Ahmad Tea.

10.20. Prowadził pertraktacje z Iriną Andriejewną (dziś jest jej dzień), namawiając ją, żeby zrobiła kaczkę. Nie rozumiem, jak ludzie mogą jeść kaczkę (kaczka lata), ozór (ozorem krowa rozmawia), królika (ma duże, puszyste uszy)!

- Ale kiełbasa, którą jesz ty, jest szkodliwa i niesmaczna - powiedział Andriej.

- Dla osób subtelnych całkiem w porządku - odparłam. - Kiełbasa jest produktem bez żadnych cech żywej istoty.

Irina Andriejewną uwielbia Andrieja, więc lobbuje na jego rzecz w sprawie kaczki. Nie rozumiem, za co tak go lubi - mają przecież zupełnie różne poglądy na sztukę. Ona czyta w kółko Jane Austen, a Andriej wieczorami wertykuje literaturę specjalistyczną: *Wędkuj z nami*, *Wędkarstwo na Rusi*, *Sprzęt wędkarski*, *Hobby wędkarskie*.

10.32. Powiedział, że fajnie by było, gdybyśmy gdzieś pojechali na dwa, dwa i pół dnia, a przy okazji pokazali Murze kawałek świata.

- Do Włoch?! - zawołałam. - Do Hiszpanii, do Londynu?!

W Hiszpanii jest za gorąco, we Włoszech za dużo ludzi, do Londynu możemy pojechać kiedy indziej, Paryża on osobiście nie lubi, Pragę obejrzał sobie dokładnie w telewizji.

- Moglibyśmy pojechać na Kubę - zaproponował Andriej.

- Dlaczego akurat na Kubę?

- Kuba to ojczyzna siei - oznajmił po głębokim namyśle Andriej i zaczął pakować swoje rzeczy: walizeczkę, wędkę, robaki. Jedzie na ryby. To znaczy do pracy, a przy okazji na ryby, bo ta praca mieści się w pobliżu ryb.

10.40. Wysłałam na zajęcia przed Andriejem. Na drzwiach wejściowych wisiał napis: „Nie zapomnieć! MUCHA!?”. To do mnie?...

Wspólne życie składa się z wzajemnych ustępstw, z tym i owym należy się pogodzić, to i owo zrozumieć i wybaczyć... Mogę wybaczyć robaki i mamę, ale są sprawy poważne; godząc się na nie, łatwo utracić własną indywidualność: kawa rozpuszczalna, zielona herbata



w zielonym pudełku etc.

No i trudna sprawa pieniędzy. Zupełnie nie mogę się zdecydować, kim jestem - zamężną kobietą na utrzymaniu męża czy po prostu utrzymanką? A może samodzielny człowiekiem, prowadzącym wspólne gospodarstwo z partnerem na zasadach równouprawnienia, dobrej woli i zrozumienia?

W zeszłym tygodniu Łysy przyprowadził dwóch swoich kolegów (problemy analogiczne jak u Łysego - miłość, pieniądze i tak dalej), mogłam więc zapłacić Irinie Andriejwnie. Pieniądze Denisa za kwiecień i maj poszły na opłacenie szkolnej wycieczki Murki do Anglii, a moja pensja już dawno się skończyła. Prosić Andrieja o pieniądze na gospodarstwo domowe nie chcę, jestem zbyt dumna - Andriej uważa przecież, że ja nie mam gospodarstwa domowego.

Andriej zawsze przynosi ogromne reklamówki z jedzeniem i pastą do zębów, włożył też do nocnej szafki jakieś pieniądze. Nie chcę brać pieniędzy z szafki, bo jestem dumny, samodzielny człowiekiem i nie wiem, ile wypada wziąć.

Gdybym nie miała Andrieja, mogłabym teraz:

1. Pożyczyć od Alony.
2. Przez jakiś czas żywić się z Murką kaszą błyskawiczną i parę razy zjeść kolację u mamy.

Teraz jednak mam w domu mnóstwo jedzenia i pieniądze w szafce, a czuję się jak uczeń młodszych klas, którego w domu rodzice żywią i opłacili mu obiady w szkole, ale biedulek nie ma za co kupić sobie głupiego chomika czy świnki morskiej. I jestem równie nieszczęsna jak ten chłopiec - nie mogę sobie kupić rajstop albo chociaż paru książek!

Ciekawe, czy Andriej też ma taką listę? I co tam jest zapisane? Boże, jakież trudne jest życie!

Przyszłam na wykład trochę spóźniona.

- Zaczniemy dziś nowy temat: konflikty - oznajmiłam, wpadając do audytorium i rozglądając się na wszystkie strony.

Na prawo, na lewo i przede mną - we wszystkich oczach senność...  
Po co im konflikty w maju, kiedy są zakochani i śpiący z powodu wiosennego braku witamin?

- Proszę przekreślić „konflikty” - powiedziałam stanowczo. -  
Temat dzisiejszego wykładu: Jak odróżnić miłość od zakochania i co to w ogóle jest miłość.

Mój ulubiony psycholog (poza paroma innymi) uważa, że miłość jest jak targowisko. Tylko że ludzie nie proponują pomidorów czy tureckich sweterków, ale samych siebie, i tu towarem jest wszystko, co kto ma - kręcone włosy, długie nogi, modne sandałki i cały wachlarz osobowościowy - od dobroci do umiejętności jazdy na rolkach. I każdy na tym rynku miłości otrzymuje według zasług, na przykład: on jest piękny, ona czytała *Wojnę i pokój*, albo ona jest bogata, a on mądry.

Senność im chyba minęła, pojawiły się ożywione oczy i mnóstwo pytań.

Odpowiadając na nie, myślałam o sobie i Andrieju. On jest przystojny, bardzo dobry i szlachetny, można na nim polegać finansowo... a ja? Czymże jestem w porównaniu z nim na owym rynku?

Nie jestem taka wysoka i piękna jak on, nie odznaczam się jakąś szczególną szlachetnością i zupełnie nie można na mnie polegać finansowo.

- Obiecała pani powiedzieć, jak odróżnić miłość od zakochania - przypomnieli mi studenci.

- A-a, tak... Ja sama nie wiem - przyznałam się uczciwie. - Ale nauka twierdzi, że to bardzo łatwe. Jeżeli jesteście zakochani, to chcecie być szczęśliwi z tym kimś, a jeżeli kochacie, to chcecie, żeby ten ktoś był szczęśliwy...

- Przykłady, prosimy o przykłady!

Po chwili namysłu dałam taki oto przykład:

- Powiedzmy, że wasza miłość śpi... Na przykład jeździła gdzieś służbowo trzysta kilometrów... No więc śpi, a wy bardzo chcecie,

żeby się obudziła i dała wam kwiaty. Ale okrywacie swoją miłość kocem i cieszycie się, że ona się wyśpi. I do diabła z kwiatami!...

Znowu odpowiadałam na liczne pytania z sali, a sama myślałam o sobie i Andrieju. Uważam, że przyrządzenie papryki faszerowanej rybą z powodzeniem można uznać za miłość.

8 maja, wtorek

Pada deszcz. Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa! Mogę się objąć po domu bez wyrzutów sumienia, że omijają mnie różne rozrywki kulturalne i że muszę jakoś „spędzić wolne dni”. Zdarza mi się to mniej więcej raz na rok.

- Chodź, ponadskakuj mi tak, jakbyś mieszkała w haremie i jakby od tego zależało twoje życie! - zaproponował Andriej, rozmarzony, bo najpierw przyniosłam mu na kanapę kawę, potem racuchy (gumowe, jak to się u nas przyjęło), potem jeszcze jedną kawę i pozwoliłam zapalić w pokoju.

- Ha! W haremie! - odparłam. - Według najnowszych badań naukowych, mężczyzn w dwudziestym pierwszym wieku będzie się używać wyłącznie do reprodukcji, a mieszkać będą poza domem, na przykład w ogrodzie, w budce...

- Gdzieś ty czytała o takich badaniach? - zainteresował się Andriej.

- E-e... w *Dzienniku Bridget Jones*...

Śmiałyśmy się, gadaliśmy, oglądaliśmy film, jestem bardzo, bardzo szczęśliwa!

Poza tym wreszcie zrozumiałam, na czym polega sekret szczęśliwego życia rodzinnego.

Chodzi o to, że na cały miniony weekend Andriej mnie rzucił. Powiedział, skromnie patrząc w podłogę, że wkrótce wyjeżdża aż do

poniedziałku, a w poniedziałek, nie wpadając do mnie (czemu nie mógł powiedzieć „do domu?”), znów wyjeżdża. Nic nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam i czekałam, kiedy z moich oczu popłynie łza.

Wyjechał, a ja - ja znowu zostałam zupełnie sama z Murą, Lwem i Sawwą (teraz jest jeszcze Gantenbein, ale bywają zwierzaki wesołe, a on akurat nie za bardzo), telefonami Żeńki, Aloną, Olgą i in.

Uważam, że nie ma nic straszniejszego niż najpierw przywiązać do siebie człowieka, a potem zostawić go samego na długi weekend od czwartku wieczorem.

W sobotę wszystko było dokładnie tak jak dawniej - wszyscy żyli szczęśliwym życiem rodzinnym na premierach i prezentacjach, i tylko ja byłam sama - sama! Popadłam w tak głęboki rozstrój nerwowy, że nie chciałam rozmawiać z Aloną i Olgą (Żeńka się nie liczy).

...Czułam, że nikomu nie jestem potrzebna, nikt mi nie powie „zrób zielonej herbaty”... albo „zaparz prawdziwą kawę”...

Za to kiedy tak siedziałam w domu niepotrzebna nikomu na całym świecie, przypadkiem znalazł się długofalowy dobry uczynek dla Łysego.

Zadzwoiła jedna nasza lektorka niemieckiego i rwącym się ze zdenerwowania głosem usilnie rozmawiała ze mną najpierw na tematy oderwane, a potem powiedziała, że złoży mi wizytę jako psychologowi.

Lektorka przyjechała nie sama, ale z dziesięcioletnim synem, i kiedy odesłaliśmy chłopca do Murki, rozplakała się i opowiedziała mi głupią szkolną historię: kilku chłopców z jego klasy ukradło, znalazło czy sprzedało telefon komórkowy, i jej synek razem z nimi.

- Wychowuję go przecież sama, bez męża, i tak się boję, że z mojego chłopca wyrośnie... - powiedziała lektorka i rozplakała się.

Gdyby Murka coś ukradła, znalazła albo sprzedała, ja też potrafiłabym tylko płakać, straszyć, histeryzować... Ale we dwie z lektorka jakoś sobie poradzimy z wychowaniem chłopca!

Opracowałyśmy bardzo długi, szczegółowy plan wychowawczej

rozmowy z jej synem. Plan zawierał przykłady z historii starożytnej i eposu germańskiego, a ja dodałam jeszcze kilka testów psychologicznych. Ustaliliśmy, że ja będę go besztać, ona bronić, a potem na odwrót, żeby wszystko było tak jak w męskim filmie gangsterskim.

I tu rozległ się dzwonek do drzwi i w progu ukazał się Łysy (przyzwyczał się wpadać bez uprzedzenia w sprawie swoich dobrych uczynków, zaraz mu pokażę, gdzie jego miejsce!).

- Jak to dobrze, że pan przyszedł! - powiedziałam. - Za chwilę dam panu do przejrzania nasz plan dotyczący wychowania pewnego małego chłopca. Zwłaszcza że pan, jako specjalista...

Łysy przeczytał nasz plan do połowy, zmarszczył brwi i bardzo surowo zapytał:

- Gdzie dzieciak?

Kiedy Łysy, wyprosiwszy do nas Murkę, rozmawiał z chłopcem, dygotałyśmy jak myszy pod miotłą i ze zdenerwowania wypiliśmy pół butelki martini. Murka próbowała podsłuchać, o czym rozmawiają, ale Łysy mówił tak cicho, że, niestety, nic z tego nie wyszło.

Strasznie biedna jest ta nasza lektorka niemieckiego - odpowiada za istotę zupełnie innego gatunku niż ona sama. Ta istota (chłopiec jest wspaniały!) ma całkowicie inne podejście do rzeczywistości, skłonności, wszystko! A lektorka niemieckiego musi go wychowywać - to tak, jakby żyrafa uczyła latać orla. Bo poza nią chłopiec nikomu nie jest potrzebny.

A jeśli lektorka nagle zapragnie odstawić atak hysterii? Każda kobieta miewa momenty, kiedy musi wrzeszczeć, tupać albo, przeciwnie, cicho płakać. Ja urządzam wrzaski Murce, a komu lektorka niemieckiego ma urządzać wrzaski albo płacze?

Pewna moja znajoma zawsze informowała swojego syna, że ma okres. I chłopiec mówił znacząco: „Mama jest dziś niedysponowana”. Najpierw myślałam głupio, że jest straszną idiotką, a potem zrozumiałam: biedna kobieta chciała, żeby jakiś mężczyzna jej pożałował. Nasza lektorka niemieckiego jest inteligentna, ma doktorat, ona nie

będzie opowiadać synkowi, że ma okres, i nie będzie wrzeszczeć, obarczając go odpowiedzialnością za to, że jest jedynym mężczyzną w jej życiu...

Lysy wyszedł do nas razem z chłopcem i powiedział, że o wszystkim sobie pogadali i że my nie musimy wiedzieć o czym. I że będzie chłopca regularnie odwiedzał, na przykład przyjedzie jutro. A teraz odwiezie go razem z mamą do domu prawdziwym dżipem.

Może kiedyś nadejdzie taki czas, że społeczeństwo się opamięta i zamiast wysyłać swoich dorosłych chłopców do Czeczenii, przydzieli po jednym żołnierzyku każdemu samotnemu chłopcu, który nie ma taty?

Kiedy Andriej wreszcie się pojawił, powiedziałam mu dość stanowczo, że skoro tak chce gdzieś pojechać, to właśnie Alona z Nikitą proponują, żebyśmy pojechali z nimi do Turcji.

- Na dwa tygodnie - dodałam groźnie. - W romantyczną podróż, słyszysz?

- A czy ja mógłbym nie jechać? Jedź w romantyczną podróż z Murą - powiedział żałośnie Andriej i sięgnął do nocnej szafki po pieniądze.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

- No bo co ja bym tam robił? - odezwał się prosząco Andriej. - Może lepiej pojedźmy do Finlandii na ryby?

- Jasne, w Turcji nie ma ryb - odparłam. - Ale co ja będę robić w Finlandii, kiedy ty będziesz łowił ryby?... No dobrze, niech będzie, pójdę ci na rękę.

Taki był mój plan - najpierw rozdrażnić go Turcją, a potem się poświęcić i z rezygnacją wyrazić zgodę na Finlandię!

*9 maja, środa*

Andriej jeszcze śpi (to właśnie jest miłość - kiedy mam straszną chęć go obudzić, żeby już zaraz z nim być, ale cierpliwie czekam -

niech się wyśpi po tym borykaniu się z elektrycznością). Mura chce, żebym ją odwiozła do parku, aby pojeździła na rolkach (zamierzam pojeździć razem z nią).

Ale jestem normalnym człowiekiem i nigdzie nie pójdę, dopóki nie zaśpiewam *Dnia Zwycięstwa* ze wszystkimi gwiazdami estrady i zwykłymi ludźmi (w Dzień Zwycięstwa trzeba oglądać telewizję państwową RTR, która transmituje świąteczny koncert - to coś wspaniałego, kiedy gwiazdy estrady śpiewają razem ze mną i z weteranami w orderach i medalach!).

- „Dzień Zwycięstwa, o nim marzył każdy z nas” - śpiewałam, stojąc przy zlewozmywaku (bardzo ładnie i z uczuciem).

- Kto tutaj tak okropnie wyje? - zapytał Andriej, wchodząc do kuchni, i zaśpiewał: - „W jasny Dzień Zwycięstwa kwitnie biały bez, wielka radość, ale oczy pełne łez”\* i tak dalej, póki nie dośpiewaliśmy do końca.

\* Słowa W. Charitonow, muzyka Dawid Tuchmanow, przekład Wiktor Maksymkin (przyp. tłum.).

Mura podrygiwała niecierpliwie i biadoliła, że wszyscy już dawno jeżdżą (dziwna rzecz, ani razu nie udało mi się zobaczyć tych „wszystkich”! Wszyscy noszą lewisy, wszystkim pozwolono jechać na dachę z nocowaniem, wszystkim kupiono w Mango trzecią w tym sezonie kurtkę - wstrząsająca jednomyślność).

Mura chciała już jechać, ale ja jestem normalnym człowiekiem i nigdzie nie pojadę, póki nie obejrzę do końca *Dworca Białoruskiego*. W Dzień Zwycięstwa WSZYSCY powinni jeszcze raz obejrzeć *Dworzec Białoruski*.

Zadzwoiła Żeńka, ogląda *Dworzec Białoruski*, ale u mnie film zaczął się o dwunastej, a u niej o drugiej. (To niepojęte, czemu u niej jest o dwie godziny później niż u mnie, przecież rozmawiamy TE-RAZ?).

- To bardzo dziwne obchodzić Dzień Zwycięstwa w Niemczech - powiedziała w zamyśleniu.

- Zapytaj, czy czuje się zwycięzcą - wtrącił Andriej.

- Patrę z balkonu na pokonanych Niemców i czuję się jak partyzant na tyłach wroga - odrzekła powoli Żeńka, zapalając papierosa.

Rozmawiałam z Żeńką (wiem, że jest jej smutno) i oglądałam film (tekst nieważny, znam go na pamięć).

Kiedy na ekranie zabrzmiała słynna piosenka, zaśpiewałam do wtóru i Żeńka też. Wyszło nam świetnie, tylko przy słowach „...Jednego tylko nam zwycięstwa trzeba, za jaką cenę - mniejsza o to, mniejsza z tym”\* rozplakałam się, nie dlatego, że jestem taką patriotką, ale po prostu mama zabierała mnie na paradę weteranów na Newskim. Weterani byli stareńcy i wyraźnie ciężko im się szło z tymi wszystkimi medalami. Żeńka w Niemczech też płakała w słuchawkę (nie dlatego, że jest taką patriotką, ale po prostu mama też ją zabierała na paradę weteranów na Newskim, weterani byli stareńcy...). I tak razem śpiewaliśmy, troszkę płacząc w swoich kuchniach, ja w Pitrze, a ona w Niemczech.

\* Bułat Okudźawa, *Piosenka Dziesiątego Batalionu* (przekład W. Dąbrowskiego).

- Co ty, chcesz się dostać do „Fabryki Gwiazd”? - spytała złośliwie Mura.

Zgodziłam się, że na dziś już dość śpiewania, i wybrałyśmy się pojeździć na rolnkach. Andriej też się z nami wybrał. Zaproponowałam, żeby sobie wypożyczył rolki, ale udał, że nie słyszy.

*10 maja, czwartek*

To dla mnie - za samotny weekend oraz za mądrość i pomysłowość w sprawie Turcji!

Zaproponowałam, żeby wyruszyć do Finlandii o dziewiątej wieczorem, tak by dotrzeć na miejsce jeszcze za widna i pójść spać już w Finlandii.

Murka uważała, że lepiej wyjechać wczesnym rankiem, żeby trochę pospać we własnym łóżku.

Andriej oznajmił, że jedyną właściwą porą rozpoczęcia podróży



jest trzecia w nocy.

W rezultacie, aby uniknąć wszystkich wariantów, kiedy można by było w nocy choć odrobinę się przespać, wyjechaliśmy o trzeciej nad ranem. Przedtem nie spaliśmy, bo głupio byłoby się kłaść, a potem nie spaliśmy, bo jechaliśmy.

- Pamiętajcie, że nigdy nie zatrzymuję się po drodze - obwieścił Andriej z tak godną miną, jak politycy przed wyborami, mówiący w telewizji: „Wszystkim podniosę emerytury” albo: „Jestem za szczęśliwą Rosją”.

- Jak to, w ogóle? A na siku? - przestraszyła się Murka.

- Nie zatrzymuję się. Siku zrobicie przed drogą (jakieś pięć godzin jazdy plus granica, kontrola celna...). Zapamiętaj sobie, Mura - ja się nie zatrzymuję.

- Dobra, pojedziemy w pampersach - poddała się Mura i wyruszyliśmy.

Zgadzałam się nie zatrzymywać, denerwowałam się tylko trochę na myśl o granicy - tam to już na pewno trzeba się zatrzymać i pokazać paszporty. Za to jeżeli pogranicznicy z psami ruszą biegiem i zaczną strzelać, będziemy wiedzieli, że to do nas, bo my nigdy się nie zatrzymujemy.

Zatrzymaliśmy się na pierwszej stacji benzynowej, żeby kupić naleśniki z serem, potem przy sklepie, żeby kupić baterijki do latarki (Andriej powiedział, że absolutnie nie można jechać do Finlandii bez latarki), przy kiosku, żeby kupić „Sport-Express”, w Wyborgu, żeby przestudiować witrynę zamkniętego sklepu „Sto drobiazgow dla automobilistów”, i jeszcze trzy razy po drodze, żeby wykonać ważne telefony. Dzwonić z auta nie sposób, bo w czasie telefonowania Andriej musi biegać dokoła samochodu i głośno krzyczeć.

W Wyborgu już się bardzo śpieszyliśmy, toteż króciutko, jakieś dwadzieścia minut, oglądaliśmy w kawiarni mecz piłki nożnej i jak wicher pomknęliśmy dalej.

W fińskim hotelu z trudem dobrnęliśmy do łóżek. Przez cały następny dzień spaliśmy, a potem trzeba już było wracać, bo Andriej musiał jechać do pracy.

W Wyborgu zatrzymaliśmy się przy sklepie „Sto drobiazgów dla automobilistów”. Andriej powiedział, że wypatrył tam absolutnie niezbędny mu gadżet, skoczy tam na jednej nodze i ani się obejrzymy, jak będzie z powrotem. Nie było go (z zegarkiem w ręku) dokładnie czterdzieści trzy minuty, w czasie których Mura bez ustanku trajkotała, a ja drzemałam.

- No już dobra, niech on się z tobą ożeni - powiedziała Mura.

- Przecież nie chciałaś, żebym wychodziła za męża, nawet całkiem bez powodu wynajęłaś Teściową... - ziewnęłam.

- I żeby wesele było piękne - odrzekła wymijająco Murka i zaczęła fantazjować. - Najpierw robicie rundkę po mieście i składacie kwiaty pod Jeźdźcem Miedzianym, potem goście obrzucają was grochem, potem ktoś, najlepiej ja, wręczy wam kołacz weselny i będziecie go gryźć, żeby dokładnie wiedzieć, kto będzie rządził, potem...

- Murka, po co ten groch?

- No coś ty, nie wiesz? Żeby w rodzinie były pieniądze.

- Sama marzę o tym, żeby mieć kiedyś takie wesele, ale na razie w moim wieku to nie przystoi... zwłaszcza gryźć kołacz...

- Nie masz racji! - zaprotestowała gorąco Mura. - Dlaczego jeśli człowiek jest trochę stary, to zaraz musi rezygnować ze wszystkich radości życia?

Rzeczywiście, dlaczego?

W ferworze dyskusji o fasonie sukni ślubnej zapomnieliśmy, że na razie jeszcze nikt nam się nie oświadczył.

*11 maja, piątek*

Stała się rzecz niesłychana, wstrząsająca! W Domu Książki zakradłam się chyłkiem, za plecami Inny Igoriewny, do półki z literaturą

kobieca, patrzę, a tam... moja książka! Leży i sprzedaje się! Malutka, w miękkiej oprawie! MOJA KSIĄŻKA! Na okładce MOJE NAZWISKO! I tytuł *Dziennik*. Miałam nadzieję, że ją kiedyś wydadzą, ale żeby coś takiego - właśnie jestem tu, w Domu Książki, a ona stoi sobie na półce!

Wiem z literatury pięknej, że na widok swojej pierwszej książki pisarze zazwyczaj łkają i rzucają się na podłogę. Ja trzymałam fason. Nogi mi się ugięły, dłonie zadygotały, złapałam za rękaw nieznajomą ekspedientkę i krzyknęłam, stukając palcem w okładkę: „To ja!”. Ależ ta ekspedientka odskoczyła! (Na okładce narysowana była postać kobieca, ale nie moja!).

Okazało się, że książka jest w sprzedaży już dwa dni; dlaczego jeszcze nikt jej nie kupił? Sama kupiłam trzy egzemplarze - tyle było.

Wysłałam z Domu Książki na Newski i podskoczyłam na jednej nodze:

- Ha, ha, ha, ho, ho, ho, jestem pisarzem, chi, chi, chi!

Objechałam najbliższe księgarnie i udało mi się kupić jeszcze jedenaście egzemplarzy. W każdym sklepie podchodziłam do sprzedawców, pokazywałam książkę i pytałam:

- Czy macie ten bestseller? Podobno bardzo go chwalono... to ja napisałam!

A więc mam w samochodzie czternaście egzemplarzy! Do kogo człowiek ze łzami w oczach niesie swoją pierwszą książkę? Oczywiście do mamy!

Zaraz zadzwonię do Murki i dziewczyn, niech przyjadą do niej wieczorem. Szkoda, że Andriej wyjechał w sprawach elektrycznych.

Przyniosłam cztery książki - dla mamy, Alony, Olgi i Irki Chomik, a mama zrobiła kolację. Dlaczego ja nie potrafię tak smacznie i pięknie gotować? Schab ze śliwkami, pieczone ziemniaki z żółtym serem, naleśniki z jagodami. I tort z bitą śmietaną i wiśniami, dość spory. Mam nadzieję, że nie zjedzą całego i będę mogła zabrać

pozostałą część do domu (liczę, że to będzie połowa).

Wypiliśmy za to, że jestem teraz pisarką, i zaczęłam czekać, kiedy mnie obsypią pochwałami. Oczywiście, mama i dziewczyny czytały *Dziennik* w maszynopisie, ale książka - to coś całkiem innego!

- Moim zdaniem niezłe - powiedziała ostrożnie mama. - Ale dlaczego w ogóle nie ma tła społecznego? Tylko miłość i życie codzienne...

Mama wychowywała się na literaturze realizmu socjalistycznego i przywykła do tego, że miłość zawsze rozwija się przy taśmociągu albo w laboratorium naukowo-badawczym. A tak w ogóle, to wiem, czemu nie może pochwalić książki jak należy. To taki przesąd - a nuż pochwali i zapeszy, albo ludzie będą się ze mnie śmiać... Mama wierzy w mnóstwo różnych zabobonów.

- A ta dziewczyna z *Dziennika* to przecież ja - oznajmiła Murka. - I żądam mojej części albo prowizji.

(Jak to od razu widać, że dziecko chodzi do dobrego gimnazjum - wie, co to jest prowizja).

Wiem, kto pochwali mnie najlepiej - Olga!

- Słuchaj, jednej rzeczy tu nie rozumiem... - powiedziała Olga, kartkując książkę, i poczułam w środku okropny dygot. Przecież każdy może powiedzieć: „Nie podoba mi się”. Albo nie powiedzieć, tylko mieć taką minę, jakby po prostu nie chciał mi robić przykrości.

Nie słuchałam Olgi, próbując sobie wypracować specjalny pisarski wyraz twarzy „mam gdzie waszą opinię”.

Nie będę się obrażać na Olę. Wczoraj przez cały wieczór omawialiśmy z Murką jej życie osobiste. Już odeszła od Wasi (wczoraj w ciągu dnia), a do Leżącego jeszcze nie dotarła (w każdym razie ja dotychczas nic o tym nie wiem).

Lew Tołstoj napisał, że kiedy Lewin po raz pierwszy zobaczył swoje dziecko, poczuł, że „przybyła mu jeszcze jedna dziedzina, łatwa do zranienia”\*. Bardzo dobrze to rozumiem. Jak tylko sobie przypomnę nowo narodzoną Murę - niedonoszona, dwa kilogramy

sześćset gramów, czterdzieści sześć centymetrów, krzywe nożyny... jedna wielka dziedzina, podatna na zranienie!

\* Lew Tolstoj, *Anna Karenina*, przełożyła Kazimiera Illakowiczówna (przyp. tłum.).

I oto teraz, jak Lewin, mam nową dziedzinę, łatwą do zranienia - czy pochwałą moją książkę. Ciekawe, czy Lew Tolstoj też się denerwował, czy pochwałą *Wojnę i pokój*, czy od razu wiedział, że jest Lwem Tolstojem?

À propos - skoro ukazała się moja książka, zrobię sobie prezent - kupię czółenka na małej szpilce. Nie jestem wszak Lwem Tolstojem, żeby chodzić boso. Czółenka już mam upatrzone, białe z okrągłymi różowymi noskami. Z paskiem na pięcie.

- A ja lubię o miłości - powiedziała Alona. - Będę dziś czytać w kółko tę książkę do trzeciej w nocy! Nie będę się mogła oderwać!

Jedynie Alona wie, jak należy się obchodzić z pisarzami.

Kto jest ze mnie tak naprawdę dumny, to Łysy - spotkałam go dzisiaj na podwórku i podarowałam mu książkę. Łysy strasznie się podniecił i powiedział, że każdy towar wymaga wypromowania i on może sfinansować ustawienie na nabrzeżu billboardu reklamowego.

- Wszyscy się dowiedzą i zaraz polecą i kupią - namawiał mnie Łysy. - Niech się pani zgodzi!...

- Na billboardach nie reklamuje się książek, tylko papierosy albo wódkę...

- A my zareklamujemy książkę! - powiedział Łysy. - Zrobimy to elegancko, z pani zdjęciem...

- No to i ze mną - ożywiła się Mura. - I napiszemy tak: „Poszukuję sponsora w celu nabycia nowej torebki”. I Olgi zdjęcie też umieścimy na billboardzie, a obok napis: „Samotny krokodyl pozna pana...”.

Usiłowałam się dodzwonić do Andrieja, żeby mu opowiedzieć o książce, ale nic z tego - abonent znajdował się poza zasięgiem.

Przed zaśnięciem marzyłam o billboardzie - ja w środku, na rękach trzymam Murę, Olgę, Alonę, Lwa Jewgienjewicza, Sawwę Ignatjicza i Gantenbeina.

*12 maja, sobota*

Szlochałam w słuchawkę, nie wstydząc się Mury:

- Przysięgam ci, że nie zrobiłam nic złego! Nic, nic kompletnie nie zapowiadało kłótni, odejścia i rozstania na zawsze!...

Zwyczajny wolny dzień... Może to dlatego, że od rana siedzieliśmy w domu i byliśmy troszkę sobą zmęczeni? Lepiej by było pójść do Muzeum Etnograficznego na wystawę „Życie codzienne i obyczaje ludów Północy”...

- Opowiedz mi wszystko ze szczegółami, słowo po słowie, gest po geście - powiedziała Żeńka i słysząc było, jak zapala papierosa.

- Jedliśmy obiad...

- Co było na obiad? - W sytuacjach ekstremalnych Żeńka mobilizuje się jak weteran Specnazu - żadnych zbędnych słów czy gestów.

- Jak to co, pielmieni Daria! Ja jadłam pielmieni i czytałam Marininą, a Murka naprzeciw mnie jadła pielmieni i czytała Doncową. Andriej siedział pośrodku, wiercił się i chrząkał, a potem włączył telewizor, mecz, głośno.

- Dalej.

- Potem zadzwoniła Alona.

- Dalej.

- Potem zadzwoniła Olga.

- No.

- Zajrzał Łysy i szybkoitko go skonsultowałam...

- Na razie nie widzę nic strasznego - powiedziała Żeńka tonem lekarza pierwszego kontaktu.

- Potem zadzwonił Roman.

- Roman?!

- Potem piliśmy herbatę. Nie było ani jednej łyżeczki, bo

wszystkie naczynia są brudne. My z Murą mieszałyśmy herbatę łyżką stołową, a Andriej zawsze ma własną łyżeczkę, nosi ją w kieszeni džinsów. I tu powiedział, że to ostatnia kropla.

- Co ostatnia kropla?
- Ja też nie rozumiałam co...

Przekazałam Żeńce słowo w słowo, jak Andriej powiedział tragicznie, że musimy porozmawiać, i zaproponował, żebyśmy poszli do „Café Sol”. Teraz dopiero rozumiałam - chciał mi powiedzieć, że musimy się rozstać, i uważał, że łatwiej mu będzie zerwać ze mną w kawiarni, bo przy ludziach nie urządzę sceny. Ha, to źle mnie zna! Kto przy wszystkich krzychał do Denisa, że tylko idioci nie znają na pamięć tekstów piosenek zespołu „Sekret”?

- Sytuacja jest niejasna. Przysięgnij, że nie będziesz do niego dzwonić, dopóki się wszystko nie wyjaśni - przykazała mi Żeńka.
- Mówisz, żeby zadzwonić? - Po prostu nie dosłyszałam.

Nie powiedziałam Żeńce (nawet przy największej przyjaźni człowiek musi coś zachować przy sobie), że już zadzwoniłam do Andrieja na komórkę, jakieś pięćdziesiąt razy. Po prostu siedziałam i tępo naciskałam 2; pod cyfrą 1 mam na szybkich Murę, a 2 to Andriej. Nie powiedziałam też Żeńce, że w końcu się dodzwoniłam i rzuciłam niedbale:

- Byłam zajęta, zmywałam, gdzieś ty przepadł?
- Miałem bardzo dużo niezidentyfikowanych telefonów. To nie ty?
- Nie, nie ja. A kiedy przyjdziesz?
- Ja... kch, kche... myślę... że do siebie nie pasujemy. Hm.

Po godzinie przyjechało pogotowie ratunkowe - Alona z Olgą. Przyszła też Irka Chomik.

Alona umyła mi głowę (drapałam się nerwowo i pomyślała, że dawno nie myłam włosów), a Olga suszyła mnie suszarką i powtarzała:

- Pluń na niego, nie jest ciębie wart, weź się w garść, jesteś

przecież psychologiem!

Wyrwałam się z jej szponów i zupełnie spokojnie powiedziałam:

- Mówię ci jako psycholog - wynoś się! Jeżeli kiedykolwiek... jeżeli jeszcze raz... jeżeli tylko usłyszę, że on nie jest mnie wart...

A moja córka Mura stała obok z żelem do włosów w ręku i dogadywała, że bardzo polubiła grochówkę i jeżeli Andriej ode mnie odszedł, to ona, Mura, też z nim odejdzie. Bo Andriej jest bardziej podobny do rodzica niż ja.

...Nie miałam siły się sprzeczać, przekonywać i udowodniać. Wszystko jasne - nie jestem nikomu potrzebna.

- Dziewczynki - rzekłam ze smutkiem - on rano powiedział do mnie: „Cześć, grubasku”. Gdybym nosiła rozmiar czterdzieści dwa, toby tak nie powiedział.

Irka Chomik pobiegła do siebie, przyniosła wagę i przeprowadziłyśmy ważenie kontrolne. Okazało się, że jestem gorsza od Irki o dwa i pół kilograma. (Wstrętny Chomik na pewno oszukiwał - ja się ważyłam w kapciach, z zębami i paznokciami. Ale tak czy owak - dwa i pół kilo! To na pewno ta fałdka na brzuchu...).

Irka Chomik patrzyła na mnie tak łagodnie i czule, że jeszcze bardziej się upewniłam, że jestem potworem. Jako psycholog natychmiast zrozumiałam, że fałdka na brzuchu to jedyna prawdziwie nieseksualna część kobiecego ciała. Całą tłustą resztę męczyzna potrafi przeżyć, ale brzusek zaraz genetycznie naprowadza go na myśl, że z tą osobą wszystko jest już w całkowitym porządku, jest brzemienna i poświęcać jej uwagę to czysta strata czasu i nasienia. Następną myśl, jaka przychodzi samcowi do głowy, to myśl o rozszerzeniu swego terytorium, a co za tym idzie, konieczności dalszych zabiegów prokreacyjnych (nic się na to nie poradzi, taka jest genetyczna natura męczyzn. To fakt naukowy, wielokrotnie potwierdzony doświadczalnie).

- No, jeżeli tak cię to martwi, to lepiej nie zawracaj sobie głowy żadnymi gimnastykami, tylko zrób operację - powiedziała stanowczo



Irka, znana zwolenniczka radykalnych metod poprawiania urody. - To całkowicie odmieni twoje życie. Gwarantuję ci - nie poznasz sama siebie!

Irka od dawna próbowała się dobrać do mojego organizmu, ale teraz nawet nie musiała mnie namawiać. Nie byłam już matką Mury, doktorem psychologii, autorem książki. Byłam posłusznym bezradnym dzieckiem, przy czym wszystko jedno czyim.

W tym momencie byłam dzieckiem Irki i zgodziłam się bez szemrania, że usunięcie fałdki na brzuchu całkowicie zmieni moje życie.

- Operacja to głupstwo, musisz zmienić swój image - zaproponowała energicznie Alona. - Pójdziemy do Galerii i kupimy ci coś, na przykład torebkę od Gucciego.

Natychmiast stałam się dzieckiem Alony i przytaknęłam pokornie - tak, torebka od Gucciego całkowicie odmieni moje życie...

Dziewczyny poszły do domu, a ja zupełnie zapomniałam im powiedzieć, że Roman zaproponował mi pracę.

Okazuje się, że potrzebuje mnie pilnie Telewizja Petersburska, to jest potrzebuje psychologa, który poprowadzi rubrykę psychologiczną w programie „Dzień dobry” (całe życie marzyłam, by wystąpić w programie „Dzień dobry”!). Mam codziennie rano, punktualnie o siódmej piętnaście, udzielać porad psychologicznych: jak zostać liderem, odzyskać niewiernego męża, wykazać się w pracy itepe.

*14 maja, poniedziałek*

Dziś przydarzyło mi się coś, co nie powinno się zdarzyć nigdy: zwagarowałam z porannego wykładu, po prostu zwyczajnie nie poszłam. Uznałam, że tak czy owak jestem nieudacznicą i moje życie zmierza ku ruinie.

Andriej nigdy więcej mi nie powie: „Chodź, napijemy się herbaty”, albo „Czas spać”, albo „Kłamiesz, że umyłaś filiżankę”... KO-

NIEC!

Nie mogłam się już dłużej zastanawiać, co się stało, i pierwszy raz w życiu nie miałam ochoty do nikogo dzwonić, i dwa razy powiedziałam, że będę spóźniona na wykład, Alonie i Żeńce.

Wlokąc się powoli korytarzykiem do swojego pokoju, by na zawsze położyć się do łóżka, uderzyłam się mocno o sterczący ze ściany żelazny hak - Andriej chciał tu powiesić półkę na swoje książki o wędkarstwie. Widzieliśmy taką półkę w sklepie naprzeciwko.

Widocznie od uderzenia coś mi się poprzestawiało w głowie, bo nie tylko poszłam do sklepu po tę półkę, ale przytargałam ją do domu i nawet próbowałam sama zawiesić. Jako psycholog mogę podać kilka wyjaśnień takiego postępowania:

1. Zrozumiałam, że życie się skończyło.
2. Zrozumiałam, że życie trwa nadal.

Kiedy wreszcie uporałam się z półką, to jest uznałam, że mogę jej wcale nie wieszać, tylko po prostu oprzeć o ścianę, zadzwonił telefon.

- E... kche, kche...
- Andriej, to ty? Dokąd ode mnie odszedłeś?

Specjalnie nie zapytałam: „Dlaczego ode mnie odszedłeś?”, w obawie, że wypłynie kwestia braku w domu łyżeczek do herbaty i in.

- Dokąd, dokąd - odrzekł burkliwie Andriej. - Tu niedaleko... e-e... ze trzysta kilometrów... i miałem sprawy...

- Coś z elektrycznością? - zapytałam ze zrozumieniem (zawsze trzeba się bardzo dobrze orientować, po prostu czuć się jak ryba w wodzie w tym, czym się zajmuje ukochany mężczyzna, nawet jeśli nie jest to tak interesująca rzecz jak telewizja).

- A... e-e... do kogo mówiłaś przez telefon, że bardzo chcesz się pogodzić... kche, kche... i że teraz wszystko będzie inaczej... i że marzyłaś o tym całe życie... O czym marzyłaś i jak on się nazywa? Co?!

Tu odezwała się *Eine kleine Nachtmusik* i Murka wzięła moją komórkę, chociaż z całej siły machałam ręką, żeby nie odbierała, że z nikim nie będę teraz rozmawiać!

- To z telewizji - wyszeptała ze czią.
- Zaczekaj! To właśnie w sprawie marzeń! - krzyknęłam do Andrieja, złapałam komórkę i powiedziałam: „Nie ma sprawy, jasne, że mogę wystąpić na żywo jutro rano o siódmej piętnaście”.

Facet z telewizji w mojej komórce się rozłączył, a ja powiedziałam do Andrieja:

- Jutro mam pierwszy występ w telewizji, jutro mam pierwszy występ, mój pierwszy występ...

JAK człowiek może znieść tyle szczęścia? Wszystko stało się jednego dnia - i Andriej mnie kocha, i pierwszy występ.

...Czy naprawdę będę pracować w telewizji? Wszystkie marzenia kiedyś się spełniają... Poprosiłam o zastępstwo na uczelni na czas nieokreślony. Nie mam sił nawet powiedzieć „Hura”...

*75 maja, wtorek*

Debiut - mój pierwszy dzień w telewizji.

Miałam zamiar niezwykle szczegółowo opisać mój pierwszy dzień w telewizji według następujących punktów:

1. Telewizja jest piękna.
2. Moje samopoczucie i zachowanie w telewizji.

Ale telewizja rzeczywiście jest tak piękna, że mówić o tym to samo, co nazwać Monę Lizę tajemniczą, wyobrażając sobie, że to my pierwsi na świecie znaleźliśmy właściwe słowo na określenie jej piękna. To tyle, jeśli chodzi o punkt pierwszy.

Dalej: jąkanie się, dygot, chęć ucieczki, lekki rozstrój żołądka - wszystko to miałam tak samo jak inni. A na dziesięć minut przed wejściem na antenę pobiegłam do toalety i za nic nie chciałam wyjść z kabiny, dopóki nie przyszła po mnie asystent reżysera. I takie byłoby moje know-how, ale asystent reżysera powiedziała, że często wyciąga debiutantów z ubikacji. To tyle, jeśli chodzi o punkt drugi.

No to po co w ogóle pisać?

...Napiszę o swoim debiucie skromnie i treściwie.

No więc było to tak. Czując, że zaraz się rozplaczę, roześmieję, posikam i zwalę na podłogę, a wszystko to jednocześnie, drżącą ręką poprawiłam ciemne okulary i powiedziałam do kamery:

- Drogie panie! Jeśli obudziłyście się rano w złym nastroju, pojdźcie do lustra i powiedzcie sobie: „Jestem najpiękniejsza i najbardziej urocza!”.

Od dawna wiadomo, że spełnione marzenie wydaje się czymś zwyczajnym.

Ludzie często zadają pytania w rodzaju: „Czy czujesz dumę i wzruszenie, znalazłszy się w roli mamy, gwiazdy telewizyjnej (taty, pisarza, prezydenta)?”.

„Nie, ni cholery nie czuję, a tak na to liczyłem - myśli człowiek ze zdziwieniem. - A wszystko dlatego, że wczoraj JESZCZE nie byłem, a dziś JUŻ jestem, i mam inne, pilniejsze sprawy niż usiąść i myśleć, co czuję, będąc mamą, gwiazdą telewizyjną (tatą, pisarzem, prezydentem)”.

A propos - redaktorowi programu bardzo się spodobał mój tekst i kazano mi go jutro powtórzyć.

*16 maja, środa*

### G w i a z d a t e l e w i z y j n a

Znów napiszę skromnie i treściwie.

No więc było tak. Zrozumiałam, że jeśli się rozplaczę, roześmieję, posikam i zwalę na podłogę - nic strasznego się nie stanie, i spokojnie poprawiwszy ciemne okulary, powiedziałam do kamery:

- Drogie panie! Jeśli obudziłyście się rano w złym nastroju, pojdźcie do lustra i powiedzcie sobie: „Jestem najpiękniejsza i najbardziej urocza!”.

Tekst się spodobał i kazano mi go powtórzyć jeszcze raz, tylko trochę skrócić.

Dziś wieczorem chcemy z Andriejem urządzić rodzinną kolację dla uczczenia mojej kariery telewizyjnej. Zaprosiłam dziewczyny, żeby nie myślały, że przewróciło mi się w głowie, bo pracuję w telewizji - punktualnie o siódmej piętnaście pojawiając się na ekranie z trzy sekundowym zdaniem.

Postanowiłam podejść do kolacji poważnie i po drodze do domu wpaść na bazar Kuznieczny i kupić coś dobrego, żeby zrozumieli, że jestem Błyskawicznie Odmienioną Prawdziwą Gospodynią. Na przykład kupię kotlety schabowe i usmażę je opanierowane w jajku i w bułce. Albo tylko w jajku.

...Po drodze na bazar przypadkiem pojechałam do Domu Książki. Pamiętając o kolacji, natychmiast skierowałam się do działu kulinarnego.

Kupiłam: *Barbecue i grill, Z lodówki do kuchenki mikrofalowej, Śniadanie na trawie, Apetyczne salátky i przekąski, Coś nowego o deserach, Smakowite wspomnienia.*

Z napojów w Domu Książki były: *Historia wódki oraz Wielka księga koktajli.*

...A o bazarze zapomniałam. Powiem wszystkim, że nie zdążyłam - jeśli człowiek pracuje w telewizji, nie zawsze jest panem swojego czasu. Nie może powiedzieć: przyjdźcie do mnie o siódmej na kolację, będą schabowe. W telewizji mogą się zdarzyć różne nieoczekiwane rzeczy, a wtedy nie ma się głowy do zakupów.

Wieczorem zadzwoniła Alona i powiedziała, że urządza moją rodzinną kolację u siebie. Kupiła mnóstwo pysznego jedzenia i sama upiekła niesamowity tort beżowy z bitą śmietaną. No i poszliśmy do Alony na rodzinny wieczór dla uczczenia mojej kariery. Tak było o wiele lepiej, bo Alona zaprosiła dużo ludzi, a ja po raz pierwszy od

roku byłam na przyjęciu nie sama, ale W PARZE!

Opis uroczystego wieczoru na moją cześć.

\*

Wszyscy gawędzili z ożywieniem i jeden przez drugiego wypytywali mnie, jak tam jest w tej telewizji. Andriej siedział z ponurą miną i ożywił się dopiero wtedy, gdy zaczęto mówić o piłce nożnej, to znaczy on sam zaczął mówić o piłce nożnej, ale nikt nie podtrzymał tematu. Potem ożywił się jeszcze na chwilę, nawiązawszy poufną rozmowę o swojej elektryczności z sąsiadem vis-à-vis, ale ten wkrótce zaczął opowiadać o wycieczce do Grecji, więc Andriej znów stracił humor i umilkł.

Milczał nie tak po prostu, ale wyzywająco, demonstracyjnie MILCZAŁ i tylko raz się odezwał - zażądał, żeby mu włączyć telewizor na decydujący mecz Spartak - Dynamo.

I nie zerkał dyskretnie na ekran, od czasu do czasu do wszystkich się uśmiechając, ale OGLĄDAŁ MECZ, całkowicie nim pochłonięty, nie widząc niczego dokoła... jakby był u siebie w domu, a w dodatku, przerywając ogólną rozmowę, domagał się, żeby zrobić głośniejsze.

U Alony jest zawsze tyle pysznego jedzenia, że nikt ani na chwilę nie wstaje od stołu, i w tej sytuacji było mi to na rękę. Andriej, syty piłkarskich wrażeń, zasnął przy stole i miałam tylko nadzieję, że niezbyt się to rzuca w oczy (odchyliłam go na oparcie kanapy i nadałam mu pozę żywo i taktownie zainteresowanego otoczeniem).

Andriej spał mniej więcej godzinę - godzinę dwadzieścia pięć minut. Alona opowiadała gościom, że Andriej jest taki przystojny, że nawet wygrała futro, zakładając się o jego urodę, i rozpierała mnie duma posiadaczki.

Po godzinie i dwudziestu minutach Andriej się obudził i nachylił do mnie. Byłam pewna, że chce mnie pocałować, i już nadstawiłam policzek ruchem kochanej i rozpieszczanej kobietki.

- Kiedy będzie można wyjść? - zapytał żałośnie Andriej w nagle

zapadłej ciszy.

- E-e... tak się dobrze bawimy... wszystko takie pyszne... i Mura też się dobrze bawi... - wybełkotałam, starając się nie patrzeć na Alonę.

Murka rzeczywiście była rozbawiona: mrugała do Andrieja, śmiała się głośno i wszelkimi sposobami starała się przyciągnąć jego uwagę.

- Ta-ak, masz rację. Idziemy do domu. Przecież Mura siedzi tam sama jedna - powiedział głośno i radośnie Andriej.

Po drodze do domu oznajmił, że obejrzał mój samochód i jest bardzo niezadowolony z tych oględzin. Okazuje się, że zajeździłam silnik i (albo) spaliłam sprzęgło. On uważa, że potrzebny mi jest nowy pojazd (tu z zadowoleniem pokiwałam głową jak kukielka), a konkretnie traktor Białoruś. Zwłaszcza że ma schodki i będę mogła wsiadać do swojego nowego pojazdu po schodkach.

Tłumaczyłam się gęsto i zapewniałam go, że nie mogłam niczego w samochodzie zepsuć, bo na wszelki wypadek nigdy nie zdejmuję nogi z hamulca, a schodków nie potrzebuję - jestem w stanie sama wyskoczyć...

Potem rozmowa zeszała na złe prowadzenie się Sawwy Ignatjicza. Podobno włóczy się po straganach przy metrze Władimirska i w każdej budce uważają, że to ICH kot, karmią go i mają dla niego legowisko w pudełku. Z nieznanych powodów Andrieja szczególnie irytowało to, że Sawwa czasem u nich sypia. Chyba oboje z Sawwą mamy u Andrieja złe notowania.

*17 maja, czwartek*

Następny dzień w telewizji -  
rozbieżności twórcze

„Drogie panie! Jeśli obudziłyście się rano w złym nastroju, po-  
dejdźcie do lustra i powiedzcie sobie to, co zalecałam wam wczoraj!”.

Poprosili, żebym jeszcze troszkę skróciła tekst, jeżeli się da. CZYŻ MOŻNA JESZCZE KRÓCEJ?

*18 maja, piątek*

Ostatni dzień  
w roli gwiazdy telewizyjnej  
„Drogie panie! Jeśli obudziłyście się rano, zróbcie okropną minę do siebie lub tego, z kim się obudziłyście!”.

*19 maja, sobota*

Dziś na wykładzie zapytałam studentów:

- Czy moglibyście codziennie rano punktualnie o siódmej piętnaście powtarzać jedno i to samo?

W pierwszym rzędzie wstała dziewczyna, myszka-okularnica-prymuska, i powiedziała:

- A ja lubię, kiedy wszystko się powtarza. I wcale mi się nie znudziło powtarzanie sobie codziennie tych samych słów...
- Jakich?
- Jestem najpiękniejsza i najbardziej urocza...

...Po namyśle przyznałam rację myszce-prymusce - dobrze, że w życiu są rzeczy, które się powtarzają. (Jestem pewna, że to rezultat w porę zastosowanej interwencji operacyjnej - zaczęłam patrzeć na świat innymi oczami).

A zresztą oto dowód - przecież nie mamy dość budzenia się każdego ranka!

*31 maja, piątek*

Podsumowanie roku szkolnego.

1. Przybyło mi cztery i pół kilo, ubyło dwa, w sumie wynik od-



chudzania wcale nieży.

2. Zwracam większą uwagę na proste codzienne przyjemności, zamierzam zapytać Wasię, jak się robi kulebiak z kapustą, mamę o placek z bitą śmietaną i wiśniami, oraz poprosić Irinę Andriejewnę o przepis na gumowe racuchy.

3. Wczoraj Andriej dał mi w prezencie plecak (o, to on, mój plecak, leży przede mną na stole). Plecak jest bardzo skromny i wręcz niepozorny - szare płótno z suwakiem i ani jednego strasu. Za to po rozsunięciu suwaka człowiek niespodzianie trafia w inną rzeczywistość - w środku na podszewce namalowany jest Niebieski Rumianek, nie zwyczajny rumianek, ale Wyzywający, Radosny Niebieski Rumianek na Różowej Łące!

Oczywiście w moim życiu poza Niebieskim Rumiankiem jest jeszcze to i owo - niekiedy nawet wyobrażam sobie różne okropieństwa, na przykład:

1. Murki i Andrieja nie ma w domu, a robi się już ciemno i bardzo strasznie. Wtedy udaję, że tylko tak sobie nerwowo pociągam nosem, i powtarzam w duchu: „Boże, jeśli istniejesz, zrób tak, żeby tym razem nic się nie stało, i następnym razem też...”.

2. Kochamy się z Andriejem i tyle mamy do omówienia pomiędzy „dzień dobry” i „dobranoc”. Ale przecież jeden człowiek nigdy nie wie, co się może zdarzyć w przyszłości. A nuż ten drugi człowiek się nim znudzi? I kiedy konkretnie się to stanie? Ale ja zawsze mogę w celu podniesienia swego poziomu kulturalnego poczytać *Studia historyczne* Toynbeego i będę miała o czym z Andriejem rozmawiać, kiedy wejdzie do domu, przebywszy trzysta kilometrów od swojej elektryczności.

Ja też nigdy się nim nie znudzę, bo w naszym życiu zawsze jest element zagadkowości i tajemnicy. Na przykład Andriej zazwyczaj mówi: „Będę punkt szósta”, ale może to być szósta rano. Albo szósta wieczorem, ale wczoraj, kiedy myślał, że wszystko będzie tak, a tymczasem od tej pory wiele strasznie się zmieniło.

Kiedy zaś sięgam po coś do plecaka, wcale się nie spodziewam

zobaczyć tego Niebieskiego Rumianka - wszak w plecaku można się natknąć na bardzo różne rzeczy: zeszłoroczny kwit z pralni, ogryzek jabłka, zapomniany numerek do dentysty... a tu coś takiego - Niebieski Rumianek!...